

Do Instytutu Archiwum Wschodnie w Warszawie

Nie jest sprawą łatwą, pisać wspomnienie sprzed ponad pół wieku.

Na przełomie lat 1979-81 napisałem sobie a muzom wspomnienia z lat trzydziestych bieżącego wieku-które zahaczyły o początek okupacji Sowieckiej.

Przestałem pisać, ponieważ no stanie wojennym 1981- 1983, zaczęły się ukazywać publikacje, dotyczące Kresów Wschodnich, które przełamwały złą złą milczenie o tych ziemiach.

Wymienione wyżej wspomnienia, pisałem w konwencji obserwatora wydarzeń. Kiedy dowiedziałem się o Waszym Konkursie- postanowiłem pisać wspomnienia, w konwencji uczestnika wydarzeń.

Moje wspomnienia zawierają fragment wspomnień, o których wspomniałem na wstępie niniejszego pisma-str 1-47. Dalej część-str.48-234 pisałem od marca bieżącego roku-no przypadkowej informacji osoby (postronnej) o ogłoszeniu przez Wasze Archiwum, Konkursu o wspomnieniach z Kresów Wschodnich.

Jestem emerytem i nigdy nie pisałem na maszynie.

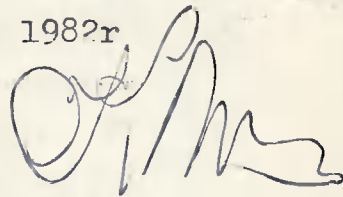
Moje wspomnienia przenisowałem na maszynę samą, ponieważ maszynę do pisania/pożyczoną/ dostosowała się do maszynisty-oryginał maszynopisu nie nadawał się do wysyłki-przesyłam więc kopię. byłem uczestnikiem wydarzeń opisanych we wspomnieniach, gdzie wstępuję jako Józef Berski.

Moje właściwe personalia to:

Kazimierz Bobra  
ul. Ptasia 2a  
56-400 Oleśnica  
telef. 42-44

do ewentualnego wykorzystania  
przez Archiwum Wschodnie

Oleśnica lipiec 1982r



Ziemia drży, przejmując, daleki huk przenika w głąb uszu. Odgłos brzmi, jak daleki grzmot zbliżającej się burzy. Huk nasila się, aż drzą sztywno - to znów jakby się oddalał, tracąc na intensywności. Senność nieznośna, nie chce odejść, a ten szum i huk stają się coraz bardziej dokuczliwe.

Jest pogodny poranek 20-tego września 1939 r.. Z kuchni dochodzą głosy ożywionej rozmowy. To weszła matka i mówi do ojca: W nocy przyszło pełno wojska. Mówił mi Koziański, że są to oddziały, które w nocnym boju, przedarły się przez niemiecki okrażeńia. Chcieli się przedrzeć bezpośrednio do Lwowa, ale tam Niemcy zgromadzili wielkie siły. Uderzili więc bardziej na północ i przez szosę Lwów-Żółkiew, przerwali się i nad ranem dotarli do Prus. Porozkładali się żołnierze po stodołach na sianie i nieludzko strudzeni śpią, jak zabici. Pełno ich też na zakopach, przy taborach.

A ten huk, to mówią, że ze wschodu nadciągają Sowieckie czołgi. Co z tego wyniknie?

Senność ustąpiła i jestem już na nogach. Gorączkowe, szybkie naciąganie spodni. Wchodzę do kuchni - szybkie przemywanie twarzy zimną wodą i wówczas senność całkowicie uchodzi.

Dokąd się wybierasz? pyta matka.

Na gościniec - odpowiadam i pędem uliczką w dół, gdzie u wylotów innych uliczek, gromady prusaków z oczami utkwionymi na wschód, wypatrują niewiadomej siły, nadciągającej w potężnym grzmocie silników.

Czuje się bliskość tej potęgi, po narastającym łomocie ogromnej ilości motorów. Odczuwa się też drżenie ziemi.

Tak - to chyba Sowieci. Polskiej armii nie stać na tak potężny rezonans akustyczny.

Wreszcie na zakręcie, przy Sierpińskim, ukazuje się pierwszy czołg. Za nim następny i tak po kolei, wylaniają się coraz to nowe, stalowe kolosy. Już chyba dziesięć i dwadzieścia a końca nie widać. Pierwsze czołgi coraz bliżej. Obserwując ten wąż pancerny Polacy, stoją bez ruchu, przysłonięci jego potęgą. Takich czołgów, żaden z nich jeszcze nie widział w życiu.

W ruchomej wieży każdego czołgu - armata.

Gdyby tak z tymi żołnierzami polskimi, którzy znajdują się w Prusach poszli na Niemca, to tylko wiórowy by się posypał - mówi jakiś tramwajarz.

W międzyczasie pierwszy czołg dojechał do luki pomiędzy domami, skąd na zakopach widać polskie tabory i grupy żołnierzy pomiędzy nimi. Stalowy potwór, zatrzymuje się jak gdyby zaskoczony. Dojeżdża do niego drugi, trzeci i następne kolejno dojeżdżające, również stają w bezruchu. W Pierwszych czołgach, wieże obracają się, kierując lufy dział w stronę wypoczywających żołnierzy polskich. Obok czołgów przeciska się do przodu samochód osobowy, w nim postaci w mundurach - chyba oficerowie. W głębi na gościńcu pojawia się kilka postaci w polskich mundurach i zbliżają się do czoła kolumny. Z samochodu sowieckiego umundurowane postacie wysiadają. Dystynkcje nieznane, Polscy oficerowie zbliżają się do tej grupki, wzajemny salut i zaczyna się rozmowa, której znaczenia zebrani cywile nie słyszą. Rozmowa przedłuża się, trwa już 10 minut, poczym Polacy odchodzą z powrotem wolno, jakby z opuszczonymi głowami. W głębi skręcają w jakąś uliczkę i znikają.

Po dziesięciu minutach z uliczek zaczynają wychodzić grupy żołnierzy z bronią - formują szeregi i powoli podchodzą ku taborom na zakopach. ~~W~~ Spoza czołgów wyłaniają się oddziały konnicy. Jeźdźcy otaczają tabory i polskich żołnierzy, którzy zaczynają składać broń w miejscu wskazanym przez dowódcę konnych. Czołgi wjeżdżają na zakopy i pierścieniem otaczają składających broń. Lufy dział skierowane na żołnierzy, którzy po złożeniu broni siadają na trawie. Niektórzy podkładają pod głowę płaszcze i natychmiast zasypiają.

Oj chłopcy, chłopcy, na nic wasz trud, na nic krwana nochna walka, uniknęliście niewoli niemieckiej a wpadliście w inną. Kto wie, czy to nie było schronienie pod rynnę - mówi Karol Kozłowski. Żołnierze tymczasem, bez przerwy podchodzą, składają broń i lokują się na łące.

Zajmują już dużą jej część. Będzie z dwa bataliony wojska - mówi Wolański.

Dziesięć czołgów zostaje w kręgu otaczającym jeńców polskich, a reszta z hukiem motorów rusza naprzód w kierunku Lwowa.

Chłopcy zaczynają liczyć przejeżdżające maszyny. Liczył <sup>em</sup> również ~~ich~~ ~~liczył~~ ~~do~~ ~~setki~~ ~~i~~ ~~przestał~~, <sup>em</sup> a maszyny z chrzęstem gąsienic jadą w dalszym ciągu nieprzerwanie.

Podziwiają ludziska ich potęgę, ale wiedzą już, że nie idzie ona na pomoc Polakom.

Po ostatnich czołgach następuje luka. Huk silników oddalających

się maszyn traci na sile, niczym odgłos odjeżdżającego pociągu. Na zakręcie pojawia się jakaś ruchoma masa. To konnica. Zbliżają się pierwsze szeregi jeźdźców. Idą żawą, zajmując całą szerokość jezdnii. Mundury drelichowe, okurzone i przepocone. Bluzy na plecach z białymi plamami. To sól-mówi Noworoński.

A gdzież to się tak utrudzili?

Na głowach czapki okrągłe, z pięcioramienną gwiazdą.

Zajęli już całą widoczną połaś gościńca, długą na lkm a na zakręcie pojawiają się coraz to nowe oddziały.

W pewnej chwili zorientowałem się, że powietrze przesycone jest jakimś nowym, nigdy nie spotykanym, intensywnym zapachem.

Nie mówię nic, ale obserwuję, obok stojących kolegów.

Nagle odzywa się głos, z grupy nieznanym uchodźców ze Lwowa.

Miećku, czy ty nie czujesz, że tu coś dziwnie śmierdzi?

Ta jak mogę nie czuć Mańku.

Czujim i to bardzo mocno, ale nijak ni mogim wymiarkować, co to za gangryna zatruwa powietrze.

Ta ty ciężki frajerze, ni kapujesz co to może być?

Jak Boga kocham Mańku, że ni.

Ty zakuta nakutro-taż to Azji czuć.

Czy ty Mańku na głowy upadł? Ta jaką Azji ty tu pod Lwowym wyszpanował?

Szpanuj Miećku na tych kozakow-to jakies Mongoły abu Chińczyki.

A gdzie ty chciał spotkać Mongoła, abu Kitajca, jak ni w Azji?

Taż ~~prawda święta~~ to prawda święta Mańku, ali szpanuj, jaki śmieszny daszki maju te ich czapki-zadarte do góry, jak ogon ruzniwanego indora. Nie wiesz z jakij to przyczyny-Mańku?

To zagienie na zapas, Miećku.

Daszki z dyktury na dyszczu tracu fason i zaginaju si w dół.

Jakby ni byli zagiente pod góry, toby zasłaniali oczy i na nosie by si dopiro zatrzymali.

Jak ty ni to wszystko fajni wyklarował-Mańku, ali szpanuj tera na drogi, bo Kozaki dyfilady kończu.

Rzeczywiście-szeregi kornicy przerzedzają się, ale poza parusetmetro-wą luką, ukazały się zaprzęgi konne. To artyleria.

Działa ciągnione przez trzy pary rosłych koni.

To sto pięćdziesiątki-stwierdził autorytatywnym tonem tramwajarz.

Zaprzęgi artylegijskie rozciągają się na dużej długości. Przejżdżają działa różnego kalibru.

Koła dudnią po tłuczniówce i w tumanach kurzu toczą się w kierunku miasta.

~~Manku~~ a gdzie są zajace? - zajace dostały nowe szkoty na te inwazje i poobcierali sobie giczały i teraz fecy przewijają - odpowiedział zapytany.

"ie była to jednak prawda. Przeczyły temu nowe tumany kurzu, na zakręcie koło Sierpeckiego . To ukazała się kolumna samochodów ciężarowych.

Na odkrytych skrzyniach stłoczeni żołnierze okropnie okurzeni. Prawie na każdym samochodzie wmontowany zestaw poczwórnych, ciężkich karabinów maszynowych. Groźnie sterczą ku niebu, te potężne ~~i groźne~~ wyglądające maszyny.

Czoło kolumny dawno minęło zakręt koło kościoła a końca nie widać. Za samochodami toczą się doczepione działa przeciwpancerne i lekkie działa polowe. Jakaż to potęga już przeszła - stwierdza smętnie tramwajarz.

A kolumna samochodowa porusza się naprzód nie kończącym się węzłem. Już blisko godzina upłynęła a samochody suną nieprzerwanie.

W pewnej chwili, zaczęły się zatrzymywać.

Lekki wiatr spędził chmurę pyłu. Żołnierze zaczęli otrzepywać kurz i niektórzy schodzili z samochodów przeciągając się i gimnastykując, z długiej jazdy zdrętwiały im nogi.

Niektórzy wyciągali z kieszeni białe suchary i gryząc je przekomarzali się między sobą.

Zupełnie jak polskie suchary wojskowe - powiedział Noworolski. Bo to są polskie suchary - wtrącił się Wolański. Byłem dzisiaj rano w Barszczowiu<sup>cach</sup> a tam na stacji kilkanaście wagonów.

Ludzie mówili, że w wagonach mieści się zaopatrzenie dla wojska. Gdy do Barszczowia<sup>ca</sup> podeszły wojska wowieckie, porucznik dozoru-jący na stacji, skrzyknął mieszkańców, aby zabierali wszystko co się znajduje w tych wagonach.

Abył tam majątek. 4 wagony papierosów, 4 wagony sucharów, kilka wagonów sukna wojskowego, 2 wagony mydła i między innymi w wagon konserw mięsnych.

Rzucili się ludziska ku wagonom i zaczęli wyładunek. Zanim czerwonoarmiejcy zorientowali się- wyładowany został jeden wagon sukna i prawie cały wagon konserw.

Dobrze, chociaż - mówił porucznik, że wczoraj tabory zabrały 3 wagony konserw.

Po pewnym czasie transport został otoczony przez konnych czerwonoarmistów, którzy zaczęli odpędzać gromady <sup>mieszkańców</sup> ~~poszwowian~~ z okrzykami "paszli oł żuda, eto nasze trafieje".

Ludziska odchodzili złorzecząc: patrzcie ich znaleźli się zdobywcy. Tyle majątku zagrabić.

A czyś ty na to pracował - krzyknęła gruba jejmość.

Nic to nie pomogło i czerwonoarmiejcy ustawili koło wagonów, strażę.

Całe gromady żołnierzy, podchodziły ku wagonom i wyciągali z wnętrza, przede wszystkim papierosy no i suchary. Ładowali to wszystko do chlebaków i kieszeni.

Aha! stąd te polskie suchary, które gryzą - powiedział Noworolski. Dzieciaki szybko wywęszyły okazję i niewiadomo skąd poznały pierwsze rosyjskie słowa - wołały "towariszcz, daj zakurit"

Wówczas zakurzeni żołnierze wyciągali z namaszczeniem, z cze-  
luści kieszeni polskie papierosy i rozdawali z miną krezusów.

Podszedł do tej grupy jakiś nieznanomy młody człowiek i poprosił jednego z żołnierzy po polsku "panie, daj pan zapalić".

Żołnierz skwapliwie sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął kilka egipskich - by momentalnie, szybkim ruchem, schować je z powrotem ze słowami "ja nie pan, je raboczyj i papiroski niet".

To żeś nie pan to widać czarnomażie - chociaż egipskie rozda-  
jesz - mruknął tranwajarz i zwracając się do niefortunnego młodzieńca powiedział: "masz pan tu wiarusa".

Zawstydzony młodzian wziął papierosa i oddalił się od stojącej grupy.

W pewnej chwili jeden z żołnierzy sowieckich, stojący na skrzyni samochodu, wyciągnął złożoną w książeczkę gazetę, wprawnym ruchem urwał kawałek w kształcie prostokąta, zwijając go w trąbkę - podobnie jak to czyniła ciotka Konstancja, sprzedawczymi w sklepie kołka rolniczego, kiedy klient zażądał 1 dkg piepszu. Żołnierz wyjął następnie, jakieś szare pudełeczko z bibuły i stukając w nie palcem wysypywał zawartość do sporządzonej trąbki. Następnie zwinął jej końce i zapalił zapałką. W pierwszej chwili gazeta się zapaliła płomieniem, ale zaraz

zgasła, a żołnierz z przyjemnością zaciągnął się i dmuchnął potężnym gejzerem dymu w niebo.

Widząc to Miećko zawołał: Mańku! Mańku! szpanuj tu, jak żołdat z gęby Parowóz robi!

Na co Mańku odpowiedział: Ty durna magoło-to żaden parowóz, ale tak się ruski egipski pali. Grupa stojących mężczyzn wybuchła przytkumionym śmiechem.

W przodzie kolumny, powstał jakiś ruch i żołnierze z nośpiechem zaczęli wsiadać na samochody, które z wolna jeden po drugim ruszały na zachód.

Niedługo trwał ten przejazd i po pół godzinie, ostatni samochód minął grupę obserwatorów.

Na zakręcie koło Sierpeckiego nie ukazały się już żadne inne oddziały.

Wówczas na zakopkach powstał jakiś ruch. Rozległ się krzyk komend w języku rosyjskim. Jeńcy polscy powstawali i popędzani przez komnych formowali czwórki. Po piętnastu minutach, kolumny jeńców, otoczone przez żołdatów na koniach, ruszyły z miejsca i kierując się na gościniec, maszerowały na wschód. Na twarzach żołnierzy, widoczne było ogromne zmęczenie. To pamiątka trudu poprzednich dni i heroicznego wysiłku minionej nocy. Przechodziły oddziały ze smutnymi twarzami i opuszczonymi na dół głowami.

Gdzie ten Moskał pędzi tych chłopców?—gderała babka Raszczyńska, przecież oni nie podnieśli na niego broni.

Przeklęte wrogi, zmówiły się razem do kupy na nasze polskie nieszczęście. Obserwujący Polacy, ze smutnymi minami, odbierali tę ostatnią defiladę żołnierza polskiego.

Tak to już koniec naszej Polski—powiedział tramwajarz, westchnąwszy głęboko.

Jakby na zaprzeczenie tych słów, w rejonie Lwowa wybuchła gwałtowna kanonada i rozległy się serie karabinów maszynowych.

Czyżby Polacy otwarli ogień do Sowieców?

Ależ to byłoby samobójstwem. Przecież takim dwu potęgą nie ma sensu stawiać oporu—powiedział Wolański.

Ogień artylerii nie słabł jednak i odgłosy walki rozlegały się z chwilkami przerw, aż do wieczora i nie umilkły nawet w nocy.

Staszek Piotrowski przyniósł z miasta Wiek Nowy.

Stojący przy gościńcu mężczyźni przywołało go do siebie.

Tramwajarz wziął gazetę do ręki i zaczął czytać na głos.

Komunikat mówił, że Warszawa broni się w dalszym ciągu, odpierając ataki niemieckie i kontratakując. Broni się Gdynia i Hel.

Armia Poznań i Pomorze przebijają się do Warszawy. Toczą się walki w rejonie Brześćcia i na Lubelszczyźnie.

W rejonie na zachód od Lwowa, ciężkie walki toczą oddziały armii Kraków i Południowej, które w zaciętych bojach przebijają się do Lwowa. Wielu żołnierzy z tych armii, małymi oddziałami przerwały przegrodę wroga i przebili się do miasta.

Od wschodu do granic naszego miasta, dotarły oddziały wojsk sowieckich, zamykając w ten sposób lukę w pierścieniu niemieckim, którą docierało zaopatrzenie do Lwowa i przez którą była utrzymywana łączność z obszernym jeszcze zapleczem na wschodzie.

Dotarłszy do naszych czat, na pierwszej linii, sowieckie oddziały zatrzymują się, nie podejmując żadnych kroków wojennych.

Rozpoczynają rozmowy z naszymi żołnierzami i na ich pytania przeciwko komu idą, odpowiadają: my z wami protiv germańca.

Równocześnie z innych placówek meldują, że sowieccy żołnierze podchodzą do stanowisk niemieckich, rozmawiają z Niemcami i częstują się papierosami.

Diabli w końcu wiedzą, po co wkroczyli tutaj? - mruknął tramwajarz.

Na gościńcu już pustym nic ciekawego się nie dzieje, więc gromady obserwujących przy poszczególnych uliczkach udawali się do ~~wszędzie~~ codziennych zajęć.

Po południu rozeszła się wieść, że na stacji w Żydaticzach stoją wagony z węglą i wojskowym sukniem mundurowym. Zaintrygowany podażym tam również pośpiesznie. Gromadnie pośpieszyło tam wielu pruskaków, przez pola w kierunku stacji. Przybyli jednak za późno, uprzedzeni przez mieszkańców Żydaticz. Trzy wagony zawierające sukno, były już puste. Okazało się jednak, że inni prusacy zdążyli jeszcze do wyładunku sukna i uszczknęli go jeszcze sporo. Niektórzy już odjechali z pełnymi wozami ładunku. Pozostało jeszcze 9 wagonów z bawełną. Bawełna prasowana w belach owiniętych w grube płótno. To płótno stało się obiektem zainteresowania, ludności wiejskiej. Bele wyładowywano i rozrzuwano, wyrzucając bawełnę, a zabierając płótno przydatne do sporządzania worków powszechnie w szerokim zakresie używanych na wsi. Wyładowano w ten sposób już 5 wagonów, których zawartość piętrzyła się piramidami białej bawełny, przy pustych już wagonach. Sporządziłem już tobołek z tej baweł-

i patrzę na rozkrzyczaną i rozgorączkowaną gromadę ludzką, przy nie-  
srokowym towarze.



Grzmot kanonady artyleryjskiej od Lwowa nie ustawał a nawet się jakby się przybliżył. W pewnej chwili grzyby wybuchów ukazały się na polach, pomiędzy Dublanami i Laszkami.

Do dzisiejszego ranka, był to teren we władaniu Polaków a teraz powinny być tam już wojska sowieckie. Jeżeli tak, to ktoś do tych wojsk strzela, tylko kto?

Poczułem się trochę nie wyraźnie. Pociski mogą sięgnąć Żydątycz. Postanowiłem więc opuścić zbiegowisko przy wagonach i udać się do domu, odległego z tego miejsca o około 2km.

Kawałek pomaszerowałem wzdłuż toru, a następnie skręciłem w prawo dochodząc do początku koryta Rudki, której biegiem prowadziła twarda wydeptana ścieżka. Na polach było pusto i chcąc czym prędzej dotrzeć do domu, przyspieszyłem kroku.

Byłem już nie daleko od drogi biegnącej prostopadle do Rudki a prowadzącej do domu—gdy powietrze wypełnił odgłos, zupełnie podobny do odgłosu zbliżających się czołgów, dzisiejszego ranka. Tym razem odgłos ten nie nadchodził od wschodu, lecz z zachodu. Czyżby to były rzeczywiście czołgi?

Ruszyłem biegiem ukosem na wzniesienie, bo z wąskiej kotliny Rudki nie mogłem niczego dojrzeć.

Po dotarciu na szczyt stoku, rzut oka w prawo i zobaczyłem czołgi, rozwinięte w szyku bojowym, huczące pełną mocą silników i pędzące w tumanach kurzu wyschniętej roli, na przełaj przez pola.

Przez moment zapatrzyłem się na ten fascynujący obraz, ale zaraz zaniepokoiłem się, bo środek szerokiej ławy czołgów, pędzących jak gdyby szeregami w kilku rzutach, których ostatnie wzniecały tumany kurzu, w okolicy stacji kolejowej w Żydątyczach—zdażał wprost na mnie.

To może być niebezpieczne.

Najlepiej przeczekać ten nieoczekiwany rajd pancernego zagonu, w głębokim parowie drogi, oddalonym niezbyt daleko. Ruszyłem biegiem w tym kierunku i osiągnąłem cel, gdy pierwsza fala czołgów była oddalona jeszcze kilkaset metrów.

Ze stromej skarpy parowu, obserwowałem pędzące maszyny, które pierwszą ławą przekroczyły już drogę po lewej i prawej stronie.

W ślad za pierwszą falą, przesuwały się następne. Co mogło by powstrzymać stalowe potwory w warunkach bojowych?—myślę.

Czołgi z dużą szybkością pokonują przestrzeń, kołysząc się na nierównościach terenu.

Po paru minutach, wataha pancernych kolosów zniknęła za wzniesieniem pruszkowskich pól.

~~Przez~~ Powrócił<sup>em</sup> do domu. Już od szczytu wzniesienia za zaguszeniem, zauważył<sup>em</sup>, że gościniec również zapełniony jest wycofującymi się oddziałami wojska.

Obserwując wycofujące się oddziały, doszedł<sup>em</sup> do wniosku, że są to te same, które rankiem przemaszerowały w kierunku Lwowa. Na gościńcu mężczyźni dyskutowali nad faktem wycofywania się sowietów.

Prawdą jest, że krasnoarmiejcy zostali ostrzelani przez artylerię. Tylko czyje to były pociski - to niewiadome - mówił Kozarski. Czy ta rejterada jest wynikiem tego ostrzału, to nie wierzę - wtrącił się tramwajarz.

✓ Przecież to, co przeszło przez Pruszki, stanowi niewielką część armii, która podeszła pod Lwów.

Pruszkowski gościniec ma lokalne znaczenie komunikacyjne.

Znacznie ważniejsze są drogi prowadzące od Tarnopola i od Równego. Tamtędy <sup>ki</sup>napewno poszły większe siły.

Można sobie tedy wyobrazić, jakie to siły, jeżeli część, która przeszła przez Pruszki, zrobiła na nas wrażenie, wielkiej potęgi. Nie mogła je spędzić z przedpola miasta, byle artyleryjska salwa. Moim zdaniem jest to odwrot zamierzony.

Wśród takich pogwarek, upływał czas, nadszedł wieczórny zmierzch, a wraz z nim pustoszał gościniec. Wieś zapadła w spoczynek. Cisza była przerywana seriami broni maszynowej i salwami artyleryjskimi, rozlegającymi się w północnej stronie Lwowa. Kto tam się jeszcze bije? i o co?

Rankiem 21 września rozległy się pogłoski, że nocą do Pruszek przyszło wielu żołnierzy i oficerów polskich. Wszyscy prosili o ubrania cywilne. Mówiono, że wśród oficerów był generał Sosnkowski.

Czy było to prawdą, tego nikt nie potwierdził.

W Pruszkach było wielu obcych ludzi i wśród nich mógł być znajdować każdy - nie zwracając uwagi mieszkańców przywykłych do takiej sytuacji od wielu dni.

Przed wkroczeniem wojsk sowieckich widoczni byli funkcjonariusze policji w mundurach. Wszyscy poznawali wraz z pojawieniem się oddziałów czerwonej armii. ~~Jacek~~ Rozpoznałem jednego z nich, już w cywilnym ubraniu, ale to tylko dlatego, że widywałem go codziennie na podwórzu u Kozarskiego, gdzie policjant znalazł schronienie.

Rozeszły się pogłoski, że sowieci natychmiast aresztują policjantów- nie też dziwnego, że ci poznikali. Przez cały dzień w Brusach nie było żadnego wojska, lecz od Lwowa odgłosy walk, dochodziły nie przerywane, ale już z mniejszym natężeniem.

Widocznie, ogniska zaciętych bojów wygasają. Wpływ na to ma niewątpliwie podejście wojsk sowieckich, do granic miasta.

Dzień 22-go września rozpoczął się spokojnie. Późnym rankiem, na gościńcu pruskim zaroziło się znowu od oddziałów sowieckich. Ogromne kolumny, posuwały się znowu w kierunku Lwowa. Demonstracja siły trwała długo. Zakończyła się, kiedy słońce znalazło się wpunkcie wskazującym południe.

od rana nie dochodzą już żadne odgłosy walki.

Jakaś nie naturalna cisza zapanowała w powietrzu, do której nie mogą się przyzwyczaić uszy nawykłe od wielu dni do wsłuchiwania się w odgłosy wojny.

Pojawiły się pogłoski o kapitulacji Lwowa.

Już po dwu godzinach wrócili do Prus, przebywający w służbie czynnej podchorążowie: Janek Preis i Józek Kowalski z 40-tego pułku piechoty, oraz Broniek Słomiński z 5-tego pułku.

Nie zostali oni wysłani na front, ale pozostali w koszarach, aby następnie wziąć udział w obronie miasta.

Znając dokładnie, różne boczne ścieżki i dróżki, uniknęli niewoli. Zresztą część załogi, wspierana ubraniami cywilnymi, przez ludność Lwowa, chroniła się przed niewolą.

Obstąpili prusacy przybyłych kombatantów i z zaciekawieniem słuchali relacji bezpośrednich uczestników obrony miasta.

Relacjonowali Józek Kowalski i Janek Preis, podchorążowie służący w 40-tym pułku piechoty.

Na front nie pojechalismy, gdyż pozostawiono nas w ośrodku zapasowym pułku.

Wojnę spędzaliśmy w koszarach, obserwując naloty lotnicze i ich skutki. Niepowodzenia na froncie przeżywalismy tak, jak wszyscy polacy.

Wśród normalnych zajęć w koszarach, nie myśleliśmy o Niemcach, gdyż mimo wszystko front od Lwowa był oddalony jeszcze w dużej odległości.

A tu niespodziewanie 12-tego września-alarm.

Wróg w granicach miasta. Było nas w koszarach kilkudziesięciu ze służby czynnej, oprócz tego kilkuset zmobilizowanych do uzupełnienia oddziałów frontowych. W alarmowym tempie zebraliśmy się i samochodami wyjazd na zachodnie peryferie miasta. O nieprzyjacielu nie wiedzieliśmy nic, ale całe szczęście wiedzieli o nim wszystko kolejarze z Głównego dworca kolejowego. W/g ich wskazówek stworzyliśmy linię obrony i prowadziliśmy wymianę ognia z Niemcami usadowionymi w kolejowych budkach i poza składami wagonów towarowych. Trwało to dwa dni - dopóki przybył posiłki nie zmieniły nas i nie wyparły wroga poza teren dworca i miasta.

Powróciliśmy do koszar i nasz udział w obronie ograniczył się do zadań zwiadowczych, gdyż znając dokładnie okolice miasta wypełnialiśmy najlepiej te zadania.

Tak upływał nam dzień za dniem, aż do 20 września, gdy do granic miasta podeszli Sowieci, zamykając w ten sposób pierścień oblężenia i łączność z zapleczem.

A czy to prawda, że otwieraliście ogień do oddziałów sowieckich?  
- zapytał Noworolski.

Oczywiście - pierwsza otworzyła ogień artyleria do czołgów, które podeszły zbyt blisko do naszych placówek. Wywołało to chaos i wycofanie się jednostek pancernych.

W dniu 21 września wkroczyły do miasta jednostki piechoty wzdłuż ul. Łyczakowskiej, Sowieci ośmieleni faktem, że nasze czołowe oddziały nie otworzyły ognia, kontynuowali marsz prowadzący do śródmieścia i wtedy dopiero doszło do wymiany ognia, który spowodował duże straty w piechocie przeciwnika i w konsekwencji jego pośpieszny odwrot poza granice miasta.

Dlaczego dowództwo nie poddało miasta?

Przecież walka, w warunkach całkowitego okrążenia, nie miała sensu.

Dowództwo liczyło na to, że w przetargu o miasto, może dojść pomiędzy potężnymi najeźdźcami do Konfliktu. Przecież Niemcy w walkach o jego opanowanie, ponieśli dotkliwe straty i wydawało się mało prawdopodobne, aby oddali dobrowolnie tak ważny ośrodek wojskom sowieckim.

Obserwacja jednak kontaktów, pomiędzy agresorami przekonała dowództwo obrony Lwowa, o tym, że sprawa zajęcia miasta została uzgodniona już wcześniej i nie ma co liczyć na nieporozumienie najeźdźców w tym względzie.

Dziś około południa, wojsko dostało rozkaz przerwania ognia, a następnie polecenie składania broni, w wyznaczonych miejscach. Było to zaskoczeniem dla wszystkich.

Skuteczna obrona miasta spowodowała ogromny zapał bojowy załogi, która w wielu przypadkach, odmawiała wypełnienia rozkazu o kapitulacji. Sporo czasu upłynęło zanim oficerowie wytkumaczyli beznadziejność dalszych walk.

Niewiele pożytku będą mieli Sowieci ze zdobytej broni. Każdy prawie żołnierz, uważał za punkt honoru, oddawać broń zdekompletowaną lub ~~poprostu~~ zniszczoną.

Godną podkreślenia postawę wykazali kupcy lwowcy, którzy otwierali sklepy z konfekcją i darmo rozdawali ubrania cywilne żołnierzom, chroniąc ich przed niewolą.

Tak w nieszczęściu naród polski wykazuje ogromną solidarność szkoda, że nie zawsze tak jest - powiedział już, były wójt Preś. Ze Lwowa dochodziły różne pogłoski.

Między innymi mówiono, że po kapitulacji Lwowa, wojska niemieckie rozpoczęły odwrót na zachód. W ciągu następnych kilku dni wiadomości te znalazły potwierdzenie w faktach.

To oznacza mówił wójt Preś, że <sup>o</sup>inwazja sowiecka ~~była~~ zadecydowana już w sierpniu, przy okazji podpisania układu gospodarczego sowiecko-niemieckiego.

Tajne klauzule tegoż układu zawierały postanowienia, których wyniki ujawniają się dopiero teraz.

W ten sposób, sytuacja narodu polskiego, wygląda analogicznie w stosunku do okresu zaborów. Różnica polega na tym, że w tamtym okresie było <sup>trzech</sup> zaborców a obecnie ~~z~~ <sup>dwóch</sup>. Tak rozprawiali ludziska, a życie toczyło się dalej.

Władza się zmieniła i zaczęła się reorganizacja administracji.

Przez najbliższe dni w Pruszkach <sup>ach</sup> pojawiali się umundurowani urzędnicy sowieccy. Organizowali radę wiejską i mianowali przewodniczącego tej rady ~~wzw.~~ "gołowu" czyli głowę. Został nim były członek KPP - Kopeś.

Pierwszą czynnością nowej administracji było uporządkowanie gospodarki rolnej w przejętych majątkach obszarniczych. Ich właściciele, natychmiast po wkroczeniu wojsk sowieckich zostali aresztowani i wraz z rodzinami deportowani na Sybir. Ocaleni ci, którzy opuszcili majątki natychmiast po wkroczeniu Sowieców.

Majątki skonfiskowano.

W części tych majątków zorganizowano gospodarstwa państwowe, czyli "sowhozy". W części zboże zgromadzone w stertach zostało rozdane ludności wiejskiej, oraz w ten sam sposób rozdzielono inwentarz żywy. Skorzystała z tego ludność wiejska bezrolna, czyli tzw. "biędniacy", ku zgorszeniu gospodarzy pruszkowskich. <sup>Wicki</sup> Mówił stary <sup>Lewicki</sup> ~~Lecki~~ - nie siał tu jeden z drugim, nie uprawiał a teraz zbiera.

Ciekawe jak to długo potrwa. Cudzą pracę rozciągać i rozdawać nie sztuka, ale to wszystko powinno zostać na ziemi, z której powstało i na której się urodziło.

Siewy nie zostały zakończone i nie zostaną, bo czym, kiedy wszystko zboże rozdrapano.

Nie miał racji stary <sup>Lewicki</sup> ~~Lecki~~, bo już w kilkanaście dni, po obdarowaniu, wszyscy obdarowani zostali zaproszeni do domu ludowego, gdzie po mitingu kazano im podpisać deklaracje z akcesem do kołchozu, czyli tzw. "kolektywnego <sup>zic</sup> chadziejstwa".

Pospuszczali nowy na kwintę, świeżo upieczeni gospodarze.

Kołhozy miały złą sławę u rolników. Odgłosy o nędznym życiu ~~W~~ nich na terenie Rosji Sowieckiej, przenikały przez wiele lat przed wojną, przez zamkniętą granicę i dziś budziły niepokój.

Pytani urzędnicy o dobrowolności wstąpienia do kołchozu, potwierdzili, że wszystko jest zorganizowane na zasadzie dobrowolności, ale wówczas trzeba zwrócić inwentarz i zboże. Jak tu zwracać zboże, kiedy już częściowo po omłocie poszło na przemiał i w postaci chleba, czy bułek służy obdarowanym. W niektórych przypadkach i jałówki zostały już zamienione na pieczeń.

Radzi, nieradzi biedniacy stali się w ten sposób członkami pierwszych kołchozów.

A tymczasem na wsiach nastąpiła fala tzw. mitingów.

W najmniej oczekiwanym momencie pojawiali się agitatorzy i żądali od "głowy" zwołanie mitingu.

Po wsi rozsyłano "wici" w postaci dziesiętników wzywających mieszkańców na miting.

W przypadku Pruszek mitingi odbywały się w domu ludowym.

Po jednym z nich powrócił do domu <sup>ma</sup> ojciec, ~~o~~ bardzo podniecony. Coś ty taki zadowolony - zapytała matka.

Podobał mi się stosunek przelegenta do zebranych w sali, Ton, tak życzliwy i serdeczny, że stał mi się wprost bliski. Kiedy prelegent dowiedział się, że w Prus<sup>ach</sup>~~zech~~ istnieje amatorska orkiestra dęta, polecił, aby na każdym następnym mitingu, orkiestra znajdowała się na sali i przegrywała zebranych mieszkańcom, aby było wesoło. <sup>jakom</sup> Pozatym wyjaśniał prus~~kie~~ artykuły Konstytucji Radzieckiej.

Muszę przyznać, że trudno się <sup>nie</sup> zgodzić z jego stwierdzeniem, że jest to najbardziej demokratyczna konstytucja w świecie. Ziemia ma należeć to tych, co na niej pracują, tzn. do chłopów, a fabryki do robotników.

Matka słuchając tych wywodów ojca, osłupiała z wrażenia i zkrzykiem wsiadła na niego.

- A nie mówił ci ten prelegent, że ziemia będzie należała do chłopów, a to co pod ziemią do państwa?

- A co mnie obchodzi to, co się znajduje pod ziemią.

Nic cię nie obchodzi? A czym będziesz palił, jeżeli ci ten torf na błot<sup>ach</sup>~~ach~~ upaństwowią?

Ojciec zamilkł - takiej ewentualności widać nie brał pod uwagę. Słuchasz o orkiestrze, zachwyca<sup>sz</sup> się mądrością i dobrocią prelegenta, a to, co trzeba nie słyszysz, ~~musi~~ Inni lepiej słuchają od ciebie. To, że ziemia należy do chłopów, to nie żadna nowina. Wiadomo, że chłop zawsze na ziemi gospodarzył i tak już widać pozostanie na zawsze. Tylko dotychczas nikt nad chłopem nie stał, tylko polowy w majątkach pańskich. Teraz majątków nie ma i nie widać, aby t<sup>ę</sup> ziemię państwo miało oddać chłopom. Potworzyli jakieś sowhozy i kołhozy, a tam już nie wystarczy jeden pański polowy a trzeba będzie z dziesięciu postawić.

Nam jeszcze pozwalają gospodarzyć prywatnie, ale długo to nie potrwa. W jaki sposób to zbobią - nie wiadomo. Już mówią niektórzy, że podatki będą wysokie, a oprócz tego zostaną wprowadzone dostawy obowiązkowe, od każdego hektara.

A w mieście fabryki należą już do robotników. Fabrykancki<sup>ch</sup> zostali aresztowani, lub puciekali.

Dotychczas słyszeliśmy o gospodarce sowieckiej tylko z jakichś pogłosek i plotek - teraz sami zetkniemy się w prawdę rzeczywistością.

Upłynęło kilka tygodni dopiero, a w mieście nie kupisz dosłownie nic. Nie ma zapalek, soli.

Zbliża się zima - nie ma żadnej odzieży, ani opału. Robotnicy się buntują, bo zarabiają nieźle, ale za te nieniadze nie można nic kupić. Zaczyna się handel wymienny, jak we wczesnym średnio-wieczu.

Słuchałem tych rozmów i ogarnęło mnie zniechęcenie.

Z komunikatów w gazetach dowiedziałem się o upadku Warszawy, Modlina, Gdyni i Helu. Pojawiły się pogłoski o utarczках w różnych rejonach Polski. Ponieważ żadnych konkretnych dowodów na istnienie jakichś zorganizowanych, polskich sił, nie było, przestałem poprostu słuchać wiadomości, napływających natrętnie, komentowanych przez prusaków w nadziei, że są prawdziwe.

Rzeczywistość była szara. Obie polskie gazety - Czerwony Sztandar, wychodzący we Lwowie, oraz Głos Radziecki, redagowany w Kijowie, prześcigały się w ośmieszaniu i poniżaniu, pokonanego polskiego żołnierza.

Pewnego, jesiennego dnia pojechałem rowerem do miasta i kupiłem Czerwony Sztandar. Po powrocie do domu, wyjąłem z kieszeni gazetę i zacząłem czytać.

Specjalnie z zainteresowaniem zaciekała mnie relacja z posiedzenia Rady Najwyższej w Moskwie, a szczególnie wystąpienie sowieckiego Komisarza spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa.

Komisarz Mołotow poinformował członków - Wierchownego Sowietu o ostatnich wydarzeniach politycznych - w wyniku, których sowiecki Sojuz, powiększył wydatnie swoje terytorium. W ten sposób świat kapitalistyczny skurczył się w sposób wyraźny. Dotyczy to byłego państwa polskiego. Szczególnie cieszy fakt, że Polska, ten nieudolny twór traktatu wersalskiego, zniknął raz na zawsze z mapy Europy. Nie czytałem dalej - krew uderzyła mi do głowy, ręce zacisnęły się kurczowo. Instynktownie wyczułem obelżywą wagę tych słów.

Wszelkie nadzieje, na przyjazny stosunek do Polaków, momentalnie odeszły. Propaganda sowiecka próbowała przedstawić fakt napadu na terytorium Polski, jako akt przypadkowy, który powstał w wyniku klęski polskiej armii. Wystąpienie Mołotowa zniweczyło te argumenty.

Wychodzący w języku polskim - Czerwony Sztandar nie odważył się wydrukować dosłownego tekstu tego przemówienia. Znacznie później



poznałem jego oryginał, w którym słowa-nieudolny twór-nie były wypowiedziane autentyczny tekst zdania brzmiał: -Polska ten bękart traktatu wersalskiego, zniknął raz na zawsze z mapy Europy-. Naród odczuwał to boleśnie. Kampania wojenna, przebiegała błyskawicznie i zakończyła się tak szybko, że dopiero teraz analizowano przyczyny tak niespodziewanego upadku państwa polskiego. Pojawiały się coraz częściej twierdzenia o zdradzie, gdyż tylko om, zdaniem niektórych, mogła spowodować tak szybką klęskę. Wśród tych dociekań i sprzeczek upływał czas. Wracali do domów, zmobilizowani do wojska. Byli to bezpośredni uczestnicy wydarzeń wrzesniowych.

Pewnego dnia w grupie kombatantów wrzesniowych znalazł się Józek Bednarz, żołnierz z 14-tego pułku ułanów jazłowieckich, który w kampanii wrzesniowej wszedł w skład Armii Poznań.

W grupie tej znalazł się również Karol Koziarski, w charakterze słuchacza. Sam nie brał udziału w tejże kampanii, bo chociaż chłopisko z niego na schwał, ale brak mu było dwu palców u prawej ręki. Palce stracił po pierwszej wojnie światowej-na skutek ciekawości. Jako młody chłopak, znalazł na polu jakiś-kawałek żelaza- a ponieważ stwierdził, że jest to kawałek rozbierny, więc postanowił go zdemontować. W wyniku tej operacji-kawałek-eksplozował i przy tej okazji urwał mu te dwa palce.

Sporokowany, zuchwałym zachowaniem się Jaska Gzarneckiego, zapytał go: a ty Jasiu przestraszyłeś chociaż jednego Niemca na tej wojnie? Czym przestraszył, tego nie wiem-odpowiedział Jasio-chociaż do nich strzelałem, ale nie wierzę, aby się przestraszyli, bo przecież ja nie ułomek, ale każdy Niemiec, jeszcze większy ode mnie.

Prawda żeś nie ułomek-prawie półtora metra posiadasz i gdybyś na froncie, nałożył czapkę na bakier-jak teraz, przykleił do warg papierosa, stanął w zokroku i wsunął ręce do kieszeni, to chyba nie jeden szkop zwątpił by.

Grupa stojących, wybuchła śmiechem, a rozgniewany Jasiak powiedział z wyrzutem: ej, żarty wam w głowie, Koziarski a na wojnie żartów nie ma, tylko poniewierka i nic więcej.

W tym przypadku, masz Jasiak rację-wtrącił się Józek Bednarz. Jeszcze dziś, nie mogę uwierzyć, że w normalny sposób, wyniosłem głowę cało, z piekła, w jakim się znalazłem.

Walczyliśmy nad Bzurą. Początkowo szło wszystko dobrze, waliśmy szwabów aż trzeszczało. Ale po kilku dniach, Niemcy ściągnęli posiłki i zaczęły się niepowodzenia.

Dostaliśmy rozkaz oczyszczać z sił nieprzyjacielskich puszcę Kampinowską w kierunku na Warszawę.

Nasz porucznik mówił, że nie powinno być źle, bo w lasach grunt bagienny i ciężkiej broni tzn. przede wszystkim czołgów - Niemcy do puszczy nie zdołają przeprowadzić.

Gdy tylko weszliśmy w las - a szliśmy jego południowym skrajem, zaczęły się walki. Skrzyżowanie leśnych drózek i przesiek były obsadzone przez oddziały niemieckie.

Rozbijaliśmy to po drodze i odpędzaliśmy na południe. Nie były to jeszcze duże siły, ale opóźniały nasze działania i przynosiły nam straty. Warszawa była coraz bliżej i nadzieja na jej rychłe osiągnięcie rosła w nas.

Już któregoś dnia z kolei, po rozbiciu kolejnej przegrody niemieckiej, jechaliśmy leśnym duktem, las zaczął się przerzedzać - wyłoniła się obszerna polana, gdy nagle las zagrzmiął salwami artyleryjskich wybuchów.

Porucznik wykrzyknął - szarżujemy ostrogami w koński bok. Szwadron wypadł na polanę, już w pełnym cwale. Żołnierzy ogarnęło bojowe uniesienie. Wytrzeszczone, błyszczące oczy, w rękach szable wzniesione do góry i jakiś nienaturalny ryk wydobywający się z dziesiątków gardzieli. Patrząc w prawo a tam przed nami już inne szwadrony w opętanej szarży cwałują na widoczne baterie, po przeciwnej stronie polany. Cała polana zasnuta dymami wybuchów artyleryjskich.

Nie wiem jak w tym grzmocie usłyszałem krzyk porucznika - szable na bok, przygotować granaty. Pędziłem jeszcze bez szabli w ręce i prawą ręką wydobyłem z chlebaka dwa granaty, z których jeden przełożyłem do lewej ręki. Wypatruję Niemców i widzę armaty. Armaty już nie strzelają, wyprzedzające nas szwadrony wybiły częściowo obsługę. Jestem w linii armat - za jedną z nich skulone postacie Niemców. Rzucam w nich granatem, skutku nie widzę i jestem już po drugiej stronie baterii.

Przede ~~wszystkim~~ <sup>mną</sup> kotłująca ściana wybuchów granatów ręcznych, wśród których widzę wieżyczki czołgów <sup>(które</sup> znalazły się przede mną. Niektóre czołgi płoną. Przekładam drugi granat z lewej ręki do prawej, obok po lewej sylwetka czołgu, odchylam się w lewo i przy wywijaniu rzucam granat pod stalowe cielsko. Przede mną uciekające sylwetki Niemców, chwytam błyskawicznie szablę.

Z lewej strony dochodzę Niemca - unoszę szablę do góry i tnę z całej siły w wykrzywioną ze strachu twarz Niemca. Jeszcze sekundy i znowu gęstwina leśna. Koń zwalnia jak na komendę. Dojeżdżam do kolegów i nie mogę żadnego poznać. Twarze skurczone oczy wytrzeszczone jakby nieprzytomne. Dziwnym wzrokiem patrzą żołnierze na siebie. Nikt do nikogo nic nie mówi. Dłuższy czas całyszwadron jedzie w milczeniu.

Taki był przebieg mojej pierwszej i ostatniej szarży w tej wojnie, w czasie której jedyny raz wyciągnąłem szablę z pochwy. Tak, tak chłopcy. Na nic wasz trud i poniewierka. Nie obroniłście Polski a okazuje się, że było czego bronić. Zabrakło Polski, znalazła się praca i zarobki. Tylko, że na te zarobki nic kupić nie można, bo sklepy puste - zakończył Kozierski.

Tory kolejowe już kończą poszerzać, to może dowiozą transportem kolejowym - wtrącił Bednarz.

A na to Jasio Mugaj - dużo Ci tam dowiozą, prędzej wszystko wywiozą <sup>meblami</sup> ~~meblami~~, które codziennie huczą nad naszymi głowami. Meblami nazwano czterosilnikowe samoloty transportowe, które natychmiast po wkroczeniu Sowieców do Lwowa, rozpoczęły wahadłowe loty.

Potężna maszyna o szybkości niezbyt imponującej, ogłaszała swą obecność hukiem, który stawał się słyszalny z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Trasa przelotu tych potworów przebiegała ponad Pruszkami, a ponieważ w przelotach wahadłowych brało udział codziennie po kilkadziesiąt maszyn - więc domy i szyby w Pruszkach <sup>ach!</sup> ~~ach!~~ trzęsły się przez większą część dnia, tym bardziej, że przeloty odbywały się na <sup>średniej</sup> ~~średniej~~ wysokości, z uwagi na bliskość lotniska.

Pruszkowianie byli zaintrygowani, co przewożą te poczwary? Ponieważ z każdym dniem występowały coraz większe braki w zaopatrzeniu - skojarzono to sobie z przelotami tych samolotów, które, zdaniem pruszkowian <sup>oków</sup> ~~oków~~, wywoziły resztki towarów ze Lwowa na "rodinu". Orzekli jeszcze, że rozmiany maszyn transportowych pasują najlepiej do przewozu mebli, więc nazwano je meblami.

Pewnego ranka wyjechał <sup>em</sup> ~~Jacek Berski~~, w ładny jeszcze poranek ostatnich dni października na pole, w celu dokonania orki. Orka odbywała się niedaleko od domu na pagórku za zagumieniem, skąd widok na południe, wschód i zachód był rozległy.

Ojciec prowadził pług a ja konie. Obróciliśmy już kilkanaście razy po zagonie, gdy od strony Barszczowic, rozległ się charakterystyczny odgłos jadącego pociągu. Zerkam w tym kierunku i wreszcie dostrzegam lokomotywę, a za nią długi skład wagonów towarowych, sunących powoli w kierunku Lwowa.

Józek, pilnuj konie! Gdzie się gapisz? - wykrzyknął ojciec.

Tato, to przecież pierwszy sowiecki transport kolejowy - mówię.

Prr siwy, prr kary! - wykrzyknął ojciec i skierował wzrok w kierunku łąk. Pociąg tymczasem, osiągnął most na Pełtwi i z wolna zbliżał się do pasma wzgórz podboreckich. W pewnej chwili lokomotywa zagwizdała, lecz nie był to zwyczajny gwizd polskich lokomotyw, ale jakiś przytłumiony ryk syreny źle nastrojonej, który napełnił swym brzdaniem całą dolinę Pełtwi i spowodował zwrócenie wszystkich głów mieszkańców Prus na tego pokojowego wysłannika techniki sowieckiej.

Rosja wielka, kolej większa i szersza i głos inny od lokomotyw na całym świecie! Tfu! Wio kary, wio siwy! - wykrzyknął ojciec.

R O Z D Z I A Ł    ~~XII~~  
 =====

Zabili bestie chłopaka - mówił jak gdyby do siebie  
~~stary Berski. Ojciec.~~

Taki dobry był chłopak, a takiego właśnie los nigdy nie oszczędzi.  
 Ażebym chociaż walka była skuteczną. Jeden szatan zakuty w stal  
 z zachodu - drugi ancychryst ze wschodu, pospołu zamęczyli  
 słabą, biedną Polskę.

Tylu młodych ludzi zginęło. A ilu poszło na poniewierkę do niewoli  
 Wielu powróciło do domów, ale mój chłopak nie wrócił. Napewno  
 zginął pod gruzami ~~Kazamat~~<sup>kazamaty</sup>, twierdzy modlińskiej.

Była druga połowa października. Rozpoczęły się pierwsze  
 typowe szarugi jesienne. Noce ciemne, że cho~~ć~~<sup>ć</sup> w pysk daj.  
 W taki deszczowy ponury wieczór ciągnął swoją gadkę ~~ojciec Berski~~<sup>ojciec</sup>.

Rodzina zebrana w kuchni zasiadła przy stole i w milcze-  
 niu słuchała tego monologu.

Tomek był ulubionym synem ~~Matki~~ i wojenny los tegoż syna,  
 powodował stałe wspomnienia ojca.

Zaradny i mądry był to syn. Ojcu zawsze pomógł i doradził, cho-  
 ciał do szkoły chodził i z pracą rodziców mało miał wspólnego.

Zły los sprawił, że wojna zastała go w służbie czynnej.

Są wiadomości, o tych, którzy zginęli i o tych co dostali się  
 do niewoli.

Tylko o Tomku, moim Tomku, żadnej wiadomości - biadolił.

W tym momencie skrzypnęły drzwi wejściowe, w sieni  
 rozległy się kroki, drzwi od kuchni otworzyły się i w świetle  
 lampy naftowej ukazał się Tomek.

Obecni w osłupieniu patrzyli na wymęczoną i pokrą postać  
 w mundurze. Po chwili zaskoczenia w kuchni rozpętała się burza.  
 Wszyscy jak na komendę rzucili się na Tomka. Z płaczem po kolei,  
 całowali go i ściskali. Tomek stał bez ruchu, milczący, najwi-  
 doczniej bardzo wzruszony.

Matka zakrzętała się szybko przy sporządzaniu wieczerzy i po  
 chwili Tomek z przyjemnością zasiadł do stołu, posilając się  
 po wielu dniach wędrówki w kierunku rodzinnego domu.

Po pewnym dopiero czasie, rozgadał się, relacjonując swoje przeżycia.

Wojnę spędziłem właściwie w Warszawie - w każdym razie nie w Modlinie. Zaraz w pierwszych dniach wojny, nasza kompania dostała rozkaz wyjazdu samochodami nad Pilicę, Korpus pancerny Reinharta przerwał polski front i parł naprzód pełną mocą, nie mając przed sobą już żadnej, poważnej przegrody. Do chwili jej stworzenia, należało opóźnić marsz jednostek nieprzyjacielskich, których oddziały czołowe pędziły w kierunku przepraw na Pilicy.

Naszym zadaniem było obsadzenie mostów, na kierunku niemieckiego natarcia, zaminowanie i zniszczenie, w przypadku groźby uchwycenia ich przez ~~prz~~ nieprzyjaciela.

Wyruszyliśmy wczesnym rankiem i przez Warszawę, w tumanach kurzu pędziliśmy ku celowi.

Im bliżej Pilicy, tym trudniejsza jazda. Drogi przepełnione uciekinierami i pomieszany oddziałami wycofującego się wojska, skutecznie tamowały ruch naszej kolumny.

Nad Pilicę dotarliśmy już o zmroku. Bez żadnego rozeznania i możliwości uzyskania informacji.

Zatrzymaliśmy się na moście a dowódca udał się do najbliższej wioski w poszukiwaniu telefonu w celu rozpoznania położenia oddziałów polskich, względnie ruchów czołówek nieprzyjacielskich. Porucznik tymczasem zaczął rozsyłać poszczególne grupy saperów w celu obsadzenia i zaminowania mostów w bliższym i dalszym sąsiedztwie. Należało trwać na mostach, dopóki oddziały polskie będą się wycofywały.

W przypadku pojawienia się oddziałów nieprzyjacielskich, mosty należy niezwłocznie wysadzać i natychmiast wracać do Modlina - o ile nie nadejdą inne rozkazy - co jest jednak wątpliwe w istniejącej sytuacji.

Ja zostałem na miejscu w drużynie minerskiej, która rozpoczęła niezwłocznie minowanie mostu.

Nieprzyjaciel był niedaleko, o czym świadczyły łuny pożarów i odgłosy broni maszynowej. Wydawało się, że przed nami nie ma już polskich oddziałów, więc porucznik rozkazał przygotować się do natychmiastowego wysadzenia mostu w przypadku zbliżenia się wroga.

W pewnej chwili z nocnej pomroki przed nami rozległy się odgłosy posuwającej się kolumny. Zamarliśmy w nasłuchiwanu.

Wysadzać most - rozkazał porucznik.

Panie poruczniku - odezwał się kapral Wieczorek, trzeba jeszcze poczekać, bo jeżeli to nasi?

Słychać odgłosy wozów konnych, a Niemcy nadchodzą przecież w huku silników.

Dobrze - odpowiedział porucznik, ale mieć się na baczności.

Tymczasem czoło zbliżającej się kolumny - a raczej jej kontury, wyłoniły się z ciemności nocnej do uszu saperów doszły odgłosy przyciszonych słów w języku polskim.

....., Tak to Polacy.

Żołnierze utrudzeni, szybkim marszem oddalali się od Niemców, którzy według ich relacji są tuż, tuż.

Ale Niemcy nie nadchodzili. Nadchodziły natomiast małe oddziały, przemiesz<sup>ane</sup>~~zone~~, z różnych rozbitych jednostek aż do rana.

Dopiero rano od nieopodal położonej wioski doszły do nas odgłosy silników spalinowych i ~~poza~~ poza ostatnich zabudowań wyłoniły się samochody pancerne i kolumna motocyklistów. Nie czekaliśmy dłużej i na rozkaz porucznika most wyleciał w powietrze, a my biegiem do naszego ciężarowego "Polskiego Fiata" i w pośpiechu na Warszawę.

Po koszarnej jeździe w kolumnach uciekinierów, osiągamy Warszawę z zamiarem powrotu do Modlina.

Zostaliśmy jednak zatrzymani przez dowództwo obrony Warszawy i wcieleni w szeregi obrońców stolicy. Nasz pluton dostał rozkaz nadzorowania mostu Poniatowskiego. Na tym moście spędziłem cały okres obrony miasta.

Ciągłe naloty, gwizd i wybuchy niecelnych bomb w Wiśle, zaminywanie i zdejmowanie min, w zależności od sytuacji, to cały obraz naszego udziału w obronie stolicy - nie licząc ~~naszego~~ udziału w obławach na dywersantów niemieckiej piątej kolumny. Ludność Warszawy z bohaterskim samozaparciem znosiła okrucieństwa totalnego oblężenia. Jej postawa miała decydujące znaczenie dla ducha bojowego żołnierzy.

Symbolem niezłomnej postawy był prezydent miasta Starzyński.

Podlegałem dowództwu wojskowemu, ale głos Starzyńskiego przez radio działał tak przekonująco, że wydobywał z wnętrza zimne postanowienie trwania na zajmowanych pozycjach, w wyniku czego nie tylko cywilna ludność, ale i żołnierze traktowali prezydenta jako duchowego dowódcę obrony stolicy.

Do późnej nocy trwała relacja Tomka z przeżyć wrześniowych. Nie dotrwał<sup>em</sup> do końca opowiadania brata ~~Józka~~, gdyż znużony usnął<sup>em</sup> przed jego zakończeniem.



ROZDZIAŁ XIII  
=====

Natrętne tarמושenie nie ustępuje. Nic niepomaga na-  
ciąganie kołdry na głowę.

Siostra Zosia jest nieustępliwa i stanowczym głosem, zmusza ~~Juzia~~  
do otworzenia zaspanych oczu.

Sen uchodzi - do głowy nadchodzą myśli. Przecież to było postano-  
wione wczoraj, że ~~pojadzie~~ <sup>pojadzie</sup> do Oparowa.

Niedługo nacieszyli się Oparow<sup>cy</sup>~~anie~~ nowymi gospodarstwami.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich, złożyła im wizytę uzbrojona  
wataha nacjonalistów ukraińskich z Gajów i Czyżykowa i wśród  
pogróżek, rozkazało Oparow<sup>com</sup>~~om~~ opuścić gospodarstwa, gdyż w prze-  
ciwnym wypadku wszystkich mieszkańców czeka śmierć.

Radzi, nieradzi, w skromnej liczbie Oparow<sup>cy</sup>~~anie~~, spakowali manatki  
i powrócili do Pruszek.

Nastąpiły wędrówki do "Rajona" z zapytaniami, czy będą mogli  
wrócić na swoje gospodarstwa. Odpowiedź "Rajona" brzmiała - nie.

Natomiast zebrane i złożone w stogi ~~sia~~ zboża, oraz okopowe,  
będą mogli zabrać, gdyż są one owocem ich osobistej pracy.

Salomonowy wyrok, spowodował codzienny exodus kilkudziesięciu  
furmanek do Oparowa, skąd przywożono najpierw snopki, zboża i siana  
a następnie buraki i ziemniaki.

Po zboże, ~~Juzia~~ nie wyjeżdża<sup>ła</sup>~~ła~~ <sup>ła</sup>, ale zbiór okopowych <sup>mnie</sup>~~go~~ nie ominął.  
Codziennie jeszcze w ciemnościach, następował wyjazd. Na miejscu  
wyorywanie pługiem rzędów ziemniaków i zbieranie do koszy z na-  
pełnieniem skrzyń wozów. Ciężka to praca, wprzemokniętej zimnej  
roli powodowała nieznośny ból pleców oraz rąk.

Napełnianie wozów trwało prawie do zmroku, a następnie w nocnych  
ciemnościach powrót do Pruszek, przez błotniste drogi a raczej  
bezdroża, w błotnistej mazi, w której ciągniony wóz zapadał się  
w dziurach grzęzawisk, powodując potworne zmęczenie koni i wspo-  
magających je ludzi.

Kilkunast<sup>o</sup>metrowa droga przez mękę, kończyła się późnym wieczorem  
w Prus<sup>ach</sup>~~ach~~, gdzie należało jeszcze ziemniaki wyładować, aby  
następnego dnia wczesnym rankiem powtórzyć rejs do Oparowa.

I tak dzień po dniu, wyjazd i powrót w ciemnościach krótkich  
dni późnej jesieni.

Zrzucenie odzieży, szybkie zjedzenie kolacji i do łóżka. Momentalne zasypianie i od rana nowy trud znoej pracy. Trwało to długo aż poza pierwszą dekadę listopada, kiedy pierwsze przymrozki uczyniły warunki przejazdu nieco znośniejsze.

Do szkoły ~~szkoła~~ nie chodził<sup>em</sup>, ponieważ cała rodzina orzekła, że do bolszewickiej szkoły, nie należy chodzić, gdyż nic mądrego tam się nauczyć nie można. ~~Jacek~~ Przyjął<sup>em</sup> tę decyzję obojętnie. Ani ~~nie~~<sup>mnie to</sup> grzało, ani ziębiło. Swoboda, bez obowiązku nauki, początkowo bardzo mi się podobała, aby z biegiem dni ustąpić normalnemu trybowi pracy w gospodarstwie, która stopniowo zaczęła nużyć monotonią przy obchodzeniu inwentarza.

W okresie długich wieczorów okresu jesienno-zimowego dużą popularnością cieszyła się gra w karty.

Grano w wielu domach.

~~U Józka Barokiego~~<sup>w naszym domu</sup>, zbierało się grono, kolegów, <sup>Tomka</sup> absolwentów szkół średnich. Jeden z nich Edek Pawelczyk był mistrzem w tej grze. Doskonale grał w brydża. Na tym jednak ta umiejętność się nie kończyła. Pawelczyk znał inne gry, których zasady objaśniał pozostałym adeptom rozrywki karcianej. Czynił to z pewnym kunsztem ujawnianym w każdym elemencie gry.

Od tasowania i rozdawania kart począwszy, poprzez styl gry w jego wykonaniu, wyłaniał się ceremoniał dotychczas niespotykany.

Posiadał naturalny rodzaj humoru, z czego korzystał, <sup>sympięc</sup> żartami i dykteryjkami. Gra z jego udziałem stawała się bardziej atrakcyjna, co odczuwali wszyscy uczestnicy gry - bez wyjątku.

W charakterze kibica uczestniczył<sup>em</sup> w tych wieczornych spotkaniach - ~~Jacek~~. Nauczył<sup>em</sup> się zasad gry w brydża, preferansa, w kierki, labeta, ~~pokera~~ i innych.

Wśród pouczeń Edka-w przypadku złego wyjścia partnera w brydżu, jego głos informował:"nie ruszaj bawole, czego nie ma na stole", lub " wychodzi się najmniejszą z najdłuższego". Na próby podglądania kart przez kontrpartnera mówił : "nie zapuszczaj żurawia". Sporo czasu upłynęło, zanim ~~szkoła~~ <sup>em</sup>połapał się w tych powiedzonkach. Ale kiedy pewnego dnia zabrakło partnera do gry, zaoferował<sup>em</sup> swoją osobę. Kandydaci do gry z niedowierzaniem przyjęli ~~jego~~<sup>moją</sup> propozycję. Spisywał<sup>em</sup> się przy stole karcianym nieźle, co z uznaniem stwierdzili starsi partnerzy. Od tego czasu bakcył gry w karty opanował <sup>mnie</sup>~~em~~ mocno.

Spośród swoich rówieśników zaczął<sup>em</sup> dobierać sobie partnerów i wprowadzał<sup>em</sup> ich w arkana gry karcianej. Grał<sup>em</sup> z Edkiem Grzeckim, Staszkiem Presem, Wojtkiem i Stefanem Piotrowskim.

Te batalie trwały godzinami, powodując ożywione dyskusje i spory. Gra w karty pochłaniała całą<sup>moją</sup> uwagę i w każdej wolnej chwili, kompletowałem<sup>em</sup> sobie partnerów i godzinami szelest tasowanych kart i stuk pięści rąk, rzucających je na stół, opanowywały niespodziewanie pomieszczenie graczy.

Przy każdej grze, nie mogłem<sup>em</sup> się ~~znieść~~ powstrzymać towarzyszącemu podekscytowaniu i zdenerwowaniu - szczególnie wtedy, gdy karta nie szła.

Stopniowo, gra w karty stała się dla <sup>mnie</sup> niego hazardem, przysłaniającym wszystko, co poza grą istniało.

Rozmyślałem<sup>em</sup> nad tym, aż pewnego dnia powiedział<sup>em</sup> sobie - dość.! Dotrzymałem<sup>em</sup> słowa i odtąd nie wziąłem<sup>em</sup> nigdy kart do rąk w grze o pieniądze. Przed grą wyznaczałem<sup>em</sup> sobie czas, jaki mogłem<sup>em</sup> jej poświęcić. Powiadamiając o tym partnerów i nigdy od tego nie odstępowałem<sup>em</sup>.

Po pierwszych opadach śniegu, przypinałem<sup>em</sup> do nóg narty i wędrowałem<sup>em</sup> po bieli zaspanych pól i łąk - często od świtu do zmroku, wraz z gromadą entuzjastów, rówieśników. Po powrocie, zmordowany szybko zaspokajałem<sup>em</sup> głód, łapczywie zjadając to, co matka stawiała przedem<sup>mi</sup> na stół.

Wypadki do Lwowa przyniosły nieprzyjemne wrażenia. Zupełnie odmienny charakter miasta, przepełnionego ponad miarę, przystrojonymi w szynelę żołdatami z brzydkimi budowlówkami na głowach, wypełniającymi chodniki w stopniu ograniczającym poruszanie się po nich, Baste sklepy i wystraszone, steroryzowane postacie przechodniów, dopełniały ponurego obrazu tego ongiś wesołego, pełnego humoru miasta.

Cywile na ulicach, to ludność miejscowa. Umundurowani to przybysze ze wschodu. Nowością było to, że w mundurach chodzili również urzędnicy.

Eleganci w gimnasciorkach, z okrągłymi czapkami z przyczepioną pięcioramienną gwiazdą na otoku, w butach z cholewami, uformowanymi w kształt miecha harmonii, spacerowali po ulicach - często w towarzystwie elegantek ubranych standartowo.

Obowiązywał koniecznie biały beret, wojskowa zielonkawa gimnasciorka, granatowa spódnica, białe bawełniane, grube pończochy i czarne półbuty. Ani odrobiny inaczej.

Domy w mieście przyżywały niespodziewaną nalo<sup>e</sup>ty NKWD. Odbywały się one stereotypowo. Przed upatrzony dom podjeżdżał samochód ciężarowy, zatrzymywał się przed bramą. Część enkawudystów wpadała do wnętrza, część pozostawała przed bramą. Z ~~wewnątrz~~<sup>wnętrzu</sup> nie wypuszczano nikogo, do ~~wnętrza~~<sup>wewnątrz</sup> można było wejść. Po pewnym czasie enkawudyści wychodzili, najczęściej z aresztowanymi, których umieszczano w więziennej okratowanej budzie. Wszystko odbywało się sprawnie i stosunkowo szybko. Widać, że technika aresztowań była stosowana często, przez co grupy dokonujące ich doszły do perfekcji w tym względzie.

Kolumna odprowadzana ponurym wzrokiem, ~~odjeżdżała~~<sup>mieszkańców</sup>, a skutek, w odgłosach lamentu nawiedzonych mieszkań, rozlegał się długo, przyciągając wzrok i słuch przechodniów, którzy z powagą i zrozumieniem przyjmowali te oznaki tragedii ludzkiej. Aresztowania i deportacje dotyczyły różnych ludzi. Najczęściej byli to polscy policjanci, oficerowie, którzy nie dostali się do niewoli, pracownicy wymiaru sprawiedliwości tzn. prokuratorzy, sędziowie itp. Represje stosowane do nich, dotyczyły również ich rodzin. Deportowani byli również mieszkańcy nie mieszczący się w grupach poszukiwanych i aresztowanych powszechnie. Byli to ludzie nie mający nic wspólnego, ani z pracą w administracji przedwojennej, nie interesujący się, ani uprawiający polityki, bardzo często zwykli robotnicy. Można to było tłumaczyć działalnością konfidentów, z usług których NKWD korzystało w sposób masowy.

Przygnębiony ~~człowiek~~<sup>człowiek</sup> doszedł<sup>em</sup> do budynku gimnazjalnego, w którym obecnie mieściła się szkoła średnia tzw. dziesięciolatka. Ze wzruszeniem oglądał<sup>em</sup> stare mury, boisko mieszczące się w niecce wykopu przy budynku szkolnym. Oparł<sup>em</sup> ręce o ogrodzenie boiska i zamyślił<sup>em</sup> się. Czy jeszcze kiedyś wejdę w te mury? Wojna przerwała naukę, a wewnątrz pozostała pustka. A przecież wojna dla mnie miała być wyzwoleniem od brzemienia obowiązku, który ciążył, zda się, ciężarem nieznośnym. Nauka nie jest niepotrzebnym balastem, - jak myślał<sup>em</sup> do niedawna przecież. Będę chodził do szkoły, do polskiej szkoły, tak być musi, gdyż tego potrzebuje ziemia <sup>moje</sup> i naród na niej żyjący. Ktoś dotknął<sup>em</sup> ramienia. Ocknął<sup>em</sup> się z zadumy. To Tadzik Jarowski. Cześć - wracasz do budy<sup>ni</sup> Chociaż to nie buda ~~z~~<sup>z</sup> przed wojny. Minęło kilka miesięcy, a w klasie ani połowa kolegów nie została. Jest to zupełnie inna klasa jak i nauka.

Profesorowie inni. Poczciwy ksiądz Czweczka zaginał na froncie, jako kapelan wojskowy. Przepadł bez wieści historyk Zarzecki. Polonista, popularny Bolcio Lewicki, wyjechał ze Lwowa też przed wojną i nie wiadomo, jak ~~się~~ potoczyły się jego losy.

Tadzik Doliński zginął pod gruzami zbombardowanego domu. Już w pierwszych dniach wojny. Mój brat, Zbyszek, jest na Węgrzech. Ze Lwowa wyszło, wielu takich niedorostków, jak on. Ze znajomych Romek Skorski, Balicki, Bielicki. Wszyscy są, gdzieś za granicą. Mój ojciec jest w niewoli niemieckiej.

Patrzę na Tadzika Jarowskiego i myślę. Jak się zmienił ten chłopak, jak spowaźniał. W szkole był to chłopak żywy, jak iskra.

....Jak przez mgłę, słyszę: zostałem sam z matką zrozpaczoną. Nie wiem, co będzie dalej, gdyż matka jest załamana. Gdybym ja nie pozostał w domu, to mogło by się wydarzyć coś najgorszego. Tak to wygląda-myślę. Jeszcze kilka miesięcy temu, jakże inaczej wyglądał świat i ludzie na nim żyjący.

Zostałem zaproszony do domu Jarowskich. Obiecałem, że przy najbliższej okazji odwiedzę Tadzika i matkę. Ale kiedy po ~~dwóch~~ tygodniach odszukałem dom przy ul. Gródeckiej - daremnie ~~spukałem~~ do drzwi. Sąsiedzi przyciszonym głosem poinformowali ~~me~~ <sup>mnę</sup>, że Jarowscy zostali przed dwoma tygodniami wyprowadzeni z domu przez ~~NKWD~~ <sup>NKWD</sup> i wywiezieni do nieznanego rejonu azjatyckiej części Rosji Sowieckiej. Jakie były dalsze losy rodziny Jarowskich, nie dowiedziałem się już nigdy.

Podobna tragedia dotknęła również inne znajome rodziny wojskowe. Ojcowie w niewoli, względnie w armii na zachodzie, a rodziny jako "wragi naroda" wyjęci z pod prawa, wywiezieni w ostępy tajg guberni Irkuckiej, Nowosybijskiej, Świądłowskiej, itp. Rosja wielka z tajgami niedostępnymi, ukrywała swoje łotrystwa, jakie ~~były~~ <sup>były</sup> normalnym atrybutem władzy carów białych i które mimo wszystko nie mogły konkurować z metodami wypracowanymi przez władców sowieckich.

Na ulicy Batorego okratowane budy przed urzędem śledczym NKWD, po obu stronach chodników, tłum ludzi. Poważne, zatroskane twarze, niektóre z wyrazem rozpacz. Czego ci ludzie oczekują? Wtem w tłumie poruszenie - ludzie stają na palcach, niektórzy z płaczem przepychają się w kierunku bud. Wołania Janek, Józek, Franek! są zagłuszane przez kordon czerwoarmiejców z karabinami w ręku z zatkniętymi na lufy bagnetami, "Paszli won ot tuda! Nie/lzia podchodzić k wragam naroda". Więźniowie wchodzą do bud szybko, prawie biegiem, podpędzani przez długie ostrza bagnetów. Drzwi zatrząskują się natychmiast i budy ruszają. Tłum na ulicy rozdygotany zaczyna się poruszać wraz w kierunku odjazdu samochodów.

Daremnie, człowiek nie zdzierży technice.

Pomruk tłumy trwa. Słychać złorzeczenie, płacz. Odgłosy te milkną, tłum rzadnieje i stopniowo miknie przed aresztu śledczego NKWD.

Nie na długo, gdyż jutro ulica zapełni się znowu i oczy tłumy będą spoglądać na bramę wejściową z nadzieją ujżenia kogoś bliskiego, a nuż może się uda zamienić kilka słów.

Płonne to nadzieje. Szczelny kordon umundurowanych stupajków, nie dopuści do wymiany zdań, pomiędzy "wragami naroda"

-108-

Nadejdzie wreszcie dzień, gdy ręce opadną. Bliskich już nie doprowadzają na śledztwa. Co się z nimi dzieje? do się stało? dokąd ich wywieziono?.

Próżno szukać wiadomości w NKWD. Tam człowiek gubił swój ślad bezpowrotnie i tylko jakiś nadzwyczajny przypadek mógł bliskim, wskazać trop oczekiwanego, bliskiego człowieka.

Jeżeli oskarżenie zahaczało chociaż w części o sprawę polityczną to oczekiwania były zbyteczne. Człowiek nie wracał nigdy do domu. Gdzie jego grób, w jaki sposób zginął? Nikt na to odpowiedzi nigdy nie znalazł.

Za każdym pobycem we Lwowie, podobny obraz. Psychoza rozpacz, beznadziejności i bezsilności ogarnia <sup>mnie</sup> ~~cała~~ coraz bardziej. W końcu boję się po prostu na ulicy. Obcowanie z szynelami, które zdominowały ruch na jezdniach, jak również na chodnikach, powoduje nastrój nerwowości i strachu.

Nie ma po co wchodzić do miasta, chociaż pojawiły się zapałki. Kolejki od ciemnej nocy, długie, niczym przed bankami w okresie wielkiego kryzysu. Sklep otwierają i przez godzinę uszczęśliwieni klienci wychodzą z zapałkami. Po godzinie zapałki rozsprzedane i długi ogonek potencjalnych niezaspokojonych klientów, ze złymi błyskami w oczach rozchodzi się, aby powtórzyć jutro tą samą operację od nowa.

## R O Z D Z I A Ł XIV

=====

Był wczoraj Dorociak w Rejonie i tam obiecują, że ułatwią naszą sprawę. Zażądali spisu wszystkich oparowców i dostarczenie do Rejonu razem z zajawą. Z jaką zajawą? To podanie czy jaki diabeł? Najlepiej to rozwikła Krzywy Szczepan z wiejskiej rady. ~~można było się zająć, Szczepan zajął.~~

Do Krzywego Szczepana, szkoda z tym chodzić, bo był u niego Serwa<sup>dzek</sup>~~ni~~, który jeździł do Rejonu przed dwoma tygodniami i to samo usłyszał co Dorociak. Krzywy Szczepan odmówił napisania podania i powiedział, że z tym nie chce mieć nic wspólnego. Patrzcie go! Krzywak - zazdrości nam. A co to - nie należy się nam ta ziemia? Tyle pracy włożonej w budynki. Kto nam to zwróci? My chcemy tylko pracować na powierzonej ziemi. Obejdziemy się bez Krzywego Szczepana. Zajawę napisze Kowalski i będzie dobrze.

Tak rozprawiali pomiędzy sobą niefortunni osadnicy z Oparowa. Tak dobrze zapowiadający się los, umknął im ~~z~~ przed no~~g~~a. Obecnie szukali szans powrotu na gospodarstwa, ~~w~~które włożyli już tyle trudu.

W Prus<sup>ach</sup>~~zech~~ czuli się intruzami, chociaż nikt z mieszkańców nie dawał im tego odczuć.

W tym okresie czas jakby zatrzymał się w miejscu. Życie stało się spokojniejsze. Zniknął pęd za pieniędzmi. Zbyt płodów rolnych był znacznie łatwiejszy a i ceny lepsze.

Wprawdzie towarów w sklepach brakowało, ale w rozkwicie znajdował się handel prywatny na placu krakowskim, gdzie można było kupić wszystko z ukrytych zapasów prywatnych, przedwojennych sklepów. Sprzedawca~~m~~ nigdy nie g~~o~~mijał okazji, aby poinformować kupującego, że sprzedaje towar w dobrym gatunku, jako że jest to towar przedwojenny. Handel rozwijał się wspaniale, do czasu kiedy ~~Sowieci~~ mieli dość tego okna wystawowego, przedwojennej, burżuazji kapitalistycznej. Decydującym powodem dyskryminacji handlu na placu krakowskim, były jak się wydaje wyczyny lwowskich kiesz~~ank~~owsów, którzy w bezlitosny sposób opróżniali kieszenie żołdatów, tłumnie przeciskających się przez zakamarki placu.



Kilkakrotna rewizja placu-wychwycenie-bezrobotnych i wywóz na roboty do kopalni węgla w t.zw. Donbasie, wystraszyła resztę spekulantów, którzy przeszli na na bardziej konspiracyjny system handlu.

Wyjazd na roboty do kopalni w Donbasie, był mocno propagowany i nawet w pierwszym okresie władzy sowieckiej, sporo młodych mężczyzn dało się zwabić propagandzie, ale ciężkie i niebezpieczne warunki pracy, oraz beznadziejne warunki bytowe, szybko ochłodziły ich zapał do zawodu górniczego.

Po kilku miesiącach, a nawet tygodniach, spotkać można było zmizerowane postacie, jak gdyby wstydliwie przekradające się do domów.

Uciekinierzy-górnicy- byli tematem drwin znajomych, z czego powstało pewne powiedzenie. Otóż, kiedy pewnego dnia jeden z adeptów emigracji zarobkowej zapytany przez kolegę: jak ci Franek poszło?-odpowiedział: do Donbasu jako tako, lecz z Donbasu z gołą sraką.

Wśród takich spraw, upływał czas mieszkańcom Prus i w tej atmosferze obracałem się i ja, t.zn. Jozek Berski. Ukończyłem właśnie 16 lat i uważałem się za coś w rodzaju dorosłego młodzieńca. Bolałem nad tym, że jak na razie, otoczenie nie chciało mojego statusu dojrzałości uznać i podrwiwało sobie z usiłowań udowodnienia swej męskości, które te usiłowania wyrażały się w nieszalankim sposobie poruszania się i wysławiania, oraz jak gdyby wyzywającym stosunkiem do starszych.

Bolała matka nad moją drobną budową, a tu w ciągu kilku miesięcy, z drobnego chłopca, zrobiła się duża tyczka.

Dostałem wilczego apetytu i zadowolona matka kroiliła potężne pajdy chleba, które znikwały błyskawicznie, wraz z garncem gorącego mleka na kolację, czy na śniadanie.

Zbyt szybki był to jednak wzrost, co spowodowało zmianę w sposobie poruszania się. Szybki i zwinny dotychczas, stałem się powolniejszy w ruchach, jak gdyby organizm nie mógł unieść ciężaru ciała. Przyrost ciężaru ciała, nie był po prostu proporcjonalny do przyrostu sił.

Codziennie z rana, nakładałem narty i z całą gromadą młodych chłopców pędziłem na pola, gdzie gruba warstwa śniegu na stokach pagórków, stwarzała dogodne warunki zjazdu.

Do domu wracałem resatkami sił, potwornie zmęczony i głodny. Ze Stasią Wolańską spotykałem się do niedawna dość często. Spotkania te były dla mnie przyjemnym przeżyciem, ale przy Stasi nie czułem się ~~jak wkradając~~ tak swobodnie, jak kiedyś. Owładnęło mną pragnienie, zaimponowania czymś wyjątkowym, lecz każdy pomysł wydawał mi się niezbyt zręczny. Po nadejściu pełni zimy, spotkania stały się rzadkim wydarzeniem. Od dwu tygodni, nie spotkałem Stasi ani razu.

Miałem nadzieję, spotkać ją dziś u Piotrowskich, gdzie ostatnio schodziła się młodzież na pogawędki. Silna wichura, ze śnieżycą i mrozem, zniechęciły młodzież do opuszczania domu i u Piotrowskich zastałem tylko domowników. Długo nie zabawiłem tam i rozczarowany powróciłem do domu.

W domu zastałem sasiada Piotra Lewickiego-byłego wójta Jana ~~Przys~~ Preisa i Grzeckiego.

Jak zwykle, toczyła się dyskusja dotycząca tym razem, przebiegu wojny sowiecko-fińskiej.

Wojna ta została zapoczątkowana u schyłku 1939 roku i trwała już drugi miesiąc. Jej wybuch został poprzedzony kampanią prasową, atakującą ten mały kraj. Gazety przenisływały Finom najgorsze przestępstwa i prowokacje w stosunku do Związku Sowieckiego. Aż wreszcie, któregoś grudniowego dnia, radio moskiewskie podało komunikat, że w wyniku ostatniej prowokacji Finów, poniósł śmierć, żołnierz straży granicznej.

Cierpliwość rządu sowieckiego, wyczerpała się, wobec czego zdradzieckie prowokacje Finów, zostaną ukarane akcją zbrojną sowieckiej armii.

I tak zaczęła się wojna. Dysproporcja sił, wręcz grot<sup>e</sup>skowo nierówna. Nie był to pojedynek biblijnego Dawida z Goliatem, ale raczej karzełka z olbrzymem.

Trzy i pół milionowy naród stanął do obrony swego kraju, przeciwko dwustu milionowemu zbiorowisku narodów, kierowanemu przez żadnemu zdobywcy za wszelką cenę, absolutnego władcę tego imperium- Stalina. Wojna stała się faktem.

Z uwagi na to, że tak Finlandia, jak i Rosja Sowiecka, były członkami Ligi Narodów-jej członkowie, zebraли się w Genewie, na wniosek rządu fińskiego i po krótkiej debacie, uznali Rosję Sowiecką za agresora i zaapelowali do władców na Kremlu o przerwanie działań wojennych i wycofanie swych wojsk z terytorium Finlandii.

Rosja Sowiecka odrzuciła ten apel i również postanowieniem tejże Ligii Narodów została wydalona z jej składu. Ani radio ani prasa nie podały tego faktu do publicznej wiadomości, która jednak przeniknęła przez granicę sowiecką, za pośrednictwem radiostacji zachodnich.

Wydarzenie na froncie przybrały nieoczekiwany obrót. "Karzełek" skazany na szybką klęskę, stawiał zacięty i co najważniejsze skuteczny opór. Mijały tygodnie, a zdobycz terytorialna sowieckich wojsk, okazała się bardzo mizerna. Przewaga liczebna i w uzbrojeniu nie znajdowała potwierdzenia w wydarzeniach na froncie. Ton oficjalnych komunikatów wskazywał na stabilizację linii frontu.

Dyskusja u Berskich toczyła się wokoło tych wydarzeń, a jej forma mogła utwierdzać postronnych słuchaczy w przekonaniu, że strona fińska bierze zdecydowanie górę, nad potężnym przeciwnikiem a konflikt zakończy się zwycięstwem skazanych na klęskę Finów.

Na dworze trwała zadymka śnieżna. Wicher pędził tumany śniegu, osadzając warstwy puchu w osłoniętych od jego działania miejscach w zasy o różnych, czasami wręcz fantastycznych kształtach.

Radio w ostatnich "izwiestiach" z Moskwy podawało stereotypowy komunikat z frontu fińskiego, wychwalający dzielność wojsk walczących w niezmiernie ciężkich warunkach dalekiej północy. Po zakończeniu dziennika, goście powstali z krzeseł i żegnając się z domownikami, udali się do domów.

U Berskich słano łóżka i układano się do snu przy akompaniamencie zawodzącego wicheru.

Następnego dnia, a było to 10 lutego 1940 roku, wczesnym rankiem, ktoś wszedł do sieni i z hałasem otrzepywał z butów śnieg. Otworzyły się drzwi do kuchni.

Coś się dzieje niedobrego - rozległ się głos ojca.

A co się ma stać złego? - pyta matka.

Prusy~~ni~~ otoczone dookoła wojskiem. Wszyscy dojeżdżający do pracy, powrócili do domu, gdyż żołnierze nie wypuszczają nikogo ze wsi. Do Prus~~zak~~ dostać się można, ale wyjść z wioski jest niemożliwością.

Już pełno furmanek i pieszych, a na dworze zadymka, że świata Bożego nie widać, a przy tym mróz siarczysty. Termometry wskazują 20°C w zaciszu. Na wietrze jest więcej.

Coś ci ludzie nieszczęśliwi zrobią pod gąłym niebem?

Otworzył Owsik dom ludowy, a oprócz tego utworzono pomieszczenie

w mleczarni. Piece gorące, więc ludzie krzywdy mieć nie będą. Wyprzęgnięte z sani konie, porozmieszczano w stajniach u różnych gospodarzy.

Ale co ma znaczyć ten kocioł utworzony przez sowietów?

Nikt nic nie i cała wieś z niepokojem oczekuje, co przyniesie dzień dzisiejszy.

Do kuchni wchodzi Piotr Lewicki.

Twarz zafrasowana w głębokim zaniepokojeniu. Mówił mi Karol Koziarski, że podobno mają wywozić oparowców—mówi

Matko Boska!—wykrzyknęła matka, a za cóż te łotry chcą wywieźć tych nieszczęśliwców?

Co złego zrobili im oparowcy?

To, że chcieli poprawić swój ubogi los, własną pracą? Polityka się nie zajmowali, bo się na niej nie znają.

Dokąd chcą wywieźć tych biedaków?

Mówił mi Drozd, że być może do Sapieżanki, w miejsce kolonistów niemieckich, którzy wyjechali do Niemiec.

Błysk nadziei pojawił się na twarzy matki, aby na chwili ustąpić nawrotowi zwątpienia.

Ty natychmiast idź z domu—zwróciła się do zięcia—Józka Drozda i ty Zosia też. Weźcie ciepłą odzież i jazda z domu.

Dokąd mam pójść, kiedy brata Stefana, czeka taki sam los.

Uchowaj Boże, abys ty tam szedł. Idź gdziekolwiek—masz przecież kolegów. Zresztą w nieszczęściu pomoże ci każdy prusak.

Jeżeli prawdą okaże się wywóz oparowców do Sapieżanki—wówczas pojedziesz tam i sam się zgłosisz.

Nie zdecydowani Drozdy, posłuchali rad matki i pośpiesznie opuścili dom. Pozostali na miejscu—matka, ojciec, mój brat Staszek no i ja.

Po upływie półtorej godziny, rozeszły się wieści, że uzbrojeni żołnierze, prowadzeni przez gołową Kopcia, chodzą po domach zamieszkałych przez byłych oparowców, spisują ich majątek, który ulegał nymitychmiastowej konfiskacie, zaś samym nieszczęśliwcom rozkazywano zbierać się do drogi.

Wyznaczony czas na przygotowanie wynosił dwie godziny. Skazańcom wszystko leciało z rąk. Pomagali członkowie rodziny, oraz sąsiedzi pakując tobały z rzeczy, które wolno było z sobą zabrać.

Przede wszystkim odzież i ciepła pościel, której zasadniczą część stanowiły pierzyny, oraz oczywiście żywność. Te przedmioty stanowiły podstawę, pozwalającą podtrzymać nadzieję na pomyslnie przetrzymanie podróży.

Największą troską było zabezpieczenie dzieci. Od wywozu nie wyłączano przecież nawet niemowląt.

Tymczasem u Berskich oczekiwano na ekipę uzbrojonych żołdatów, z nasilającym niepokojem, w miarę zbliżania się jej. W napięciu umichły rozmowy i tylko od czasu do czasu padały zdawkowe słowa. Myśli wszystkich domowników, krążyły wokół jednego zagadnienia. Co się stanie, jeżeli ekipa nie zostanie skazanych na deportację - Drozdów?

Napięcia nie wytrzymał ojciec. Pod jakimś pretekstem wyszedł z mieszkania i już nie powrócił. Po ojcu zniknął Staszek.

~~Staszek~~ trwał<sup>em</sup> jeszcze przy matce, ale gdy podawana z ust do ust wieść doniosła, że grupa żołnierzy znajduje się nieopodal w domu byłego wójta Preśa - nie wytrzymał<sup>em</sup> i wyszedł<sup>em</sup>, udając się do swego wuja Preśa, mieszkającego naprzeciw, bliżej gościńca. W domu została samotna matka.

~~Staszek~~ Stanął<sup>em</sup> w kuchni Preśów przy oknie, skąd miał<sup>em</sup> wgląd na swój dom. Cały napięty drżał<sup>em</sup> ze zdenerwowania, zaniepokojony o los samotnej matki.

Cożby to było, gdyby żołdaci zabrali matkę?

Przecież nie mógłby<sup>m</sup> pozostać tu bez niej. Od <sup>Lexwickich</sup> Lenkich, ukazała się grupa zbrojnych, prowadzona przez Kopcia.

Podążali do <sup>naszego domu.</sup> ~~Berskich~~.

Pierwszy wszedł Kopeć, za nim oficer, a po nich dwaj żołnierze z karabinami z zatkniętymi na nich długimi bagnetami.

Drzwi wejściowe zamknęły się. Napięcie <sup>moje</sup> ~~matki~~ wzrosło do zenitu. Co się tam dzieje, jak tę wizytę przetrzyma matka?

Mijają sekundy i minuty, długie jak wieczność, a z domu nikt nie wychodzi. Wreszcie po dziesięciu minutach drzwi się otwierają i po kolei wychodzą: Kopeć wraz z umundurowanymi.

Podekscytowany ~~Staszek~~, wychodzi<sup>m</sup> od Preśów i przekonawszy się, że Kopeć z żołdatami odeszli do następnych kandydatów do deportacji Mykickich, pobiegł<sup>em</sup> do domu.

W kuchni na stołku siedzi matka. Na odgłos otwieranych drzwi, ~~matka~~ podniosła głowę, którą dotychczas trzymała zakrytą rozpartartymi dłońmi.

Obaczył<sup>em</sup> ~~Staszek~~ bladą, strąpioną twarz.

I co mamo, coś im powiedziała? - <sup>moim</sup> ~~moim~~.

Opuściliście mnie wszyscy, a ja sama w domu musiałam kłamać tym przeklętym - powiedziała cichym głosem, w którym można było wyczuć głęboki wyrzut.

Ja już nigdzie nie pójdę z domu mam<sup>nie</sup>, żeby ~~nie~~ co się stało-  
odpowiedziałem.

Wrócił najpierw ojciec, a następnie brat Staszek.

Matka zakończyła gotowanie obiadu i podała do stołu. Wszyscy jedli  
w milczeniu, przytłoczeni pomurymi myślami.

Powiedziałem im, że zięć pokłócił się ze mną, przed pięciu dniami  
i poszedł z domu, a córka przed dwoma udała się do niego.

Na pytanie dokąd się udał<sup>o</sup> odpowiedziałem, że złej teściowej  
adresu się nie ujawnia-w każdym razie nie tak prędko.

I uwierzyli?-zapytał ojciec.

Nie bardzo, bo oficer zapytał Koncica, czy to prawda, a ten odpowie-  
dział: gospodyni mówi, ale czy prawdę? Nie wiem. Jeszcze chwilę  
posiedzieli i poszli. Chyba jeszcze przyjdą-powiedział ojciec  
i wyszedł do obrządku przy gospodarstwie.

Staszek posiedział chwilę i również wyszedł.

Ja pozostałem z mocnym postanowieniem nie opuszczania matki,  
ale, gdy przyszedł Piotr Lewicki z wiadomością, że oparowców ładują  
już na sanie-nie wytrzymałem i z prośbą w głosie powiedziałem  
do matki: Mamó ja to muszę widzieć, pozwól, że wyjdę na gościniec.  
Idź, synku, idź, powiedziała matka.

Opatuliłem się szybko i podażyłem uliczką na gościniec.

Przy siarzystym mrozie i wichurze niosącej chmury śnieżnego pyłu.  
widoczność była ograniczona a gościniec wydawał się zupełnie pusty.  
Przed przenikliwym wichrem, ukryłem się pod osłonę żywopłotu wujka  
Preisa i czekałem.

po upływie dziesięciu minut, usłyszałem charakterystyczny, słaby  
dźwięk dzwonka, w jaki były zaopatrzone sanie.

W międzyczasie w uliczce ukazały się dziewczęta: Marysia Lewicka  
Stasia Piotrowska, sąsiadka Józefa Wolańska i koledzy:

Janek Piotrowski i Wojtek Lewicki. Wszyscy schronili się pod  
osłonę żywopłotu, obok mnie.

Od strony kółka rolniczego-obecnie nie czynnego, rozległy się  
dźwięki dzwonek wielu saní.

W pomroce gęstego pyłu śnieżnego, pędzonego wichurą, ukazała się  
sylwetka pierwszego zaprzęgu a za nim wyłaniały się następne.

~~Rinne~~ Od strony zbliżających się saní, dochodzi cichy płacz kobiet.

Pierwsze sanie dojechały do grupki obserwatorów. To Owsiaki  
z Górki, następne to Dorociaki I Zajączkowscy, Łanińscy ~~Was~~  
Noworolscy, Kosiary i następne.

Wszystkie sanie otoczone kordonem czerwonooarmiejców, z karabinami w rękach, z długimi sztykami, zatknietymi na nich.

Jest przenikliwie zimno, więc ponaglają woźniców, którzy zacinają konie i wówczas korowód samprzyspiesza a żołnierze ruszają wraz z nimi truchtem, pokrzykując głośno.

Milcząca grupka, oniemiała z wrażenia, obserwuje ten ponury, złowrogi orszak. W niemych osłupieniu obserwuję mijające sanie. Wąż sanek zbliża się ku końcowi. Z pobocza drogi wyskakuje ku nim, jakaś postać kobieca, krzyząc: siostró moja kochana, nieszczęśliwa. Od saní odrywają się sylwetki dwu żołnierzy. Zagradzają drogę kobiecej postaci, krzyżując naprzeciw niej karabiny- poszła won od tuda, brzmi brutalny głos.

Na saniach płacz i szloch. To Wolańscy- mówi Marysia Lewicka. Drgnąłem tam musi być przecież Stasia Wolańska. Podnoszę oczy na sanie i wzrok mój chwyta spojrzenie szeroko otwartych, jakby zdziwionych oczu Stasi.

Podnoszę rękę, która zastyga w powietrzu. W piersiach coś się zakamuje, z gardła wydobywa się łkanie.

Chcę coś krzyknąć, ale skurozone szczęki nie przepuszczają głosu i sanki odjeżdżają, a wraz z nimi nikną-woierw oczy Stasi, a następnie jej postać, zamieniająca się w sylwetkę, która powoli niknie w śnieżnej kurzawie.

Sanie zniknęły- obserwująca grupa rusza w kierunku domów.

Nie reaguję na to. Dopiero krzyk Wojtka Lewickiego: Józek, czyś ty przymarzył do ziemi? przywołał mnie do rzeczywistości.

Drgnąłem i półprzytomny skierowałem się do domu.

Spojrzenie Stasi Wolańskiej, utkwiło mi w świadomości i nie chciało opuścić długo. Powróciłem do domu, usiadłem na krześle i milcząco, w bezruchu rozpamiętywałem tragedię, której epizod przed chwilą przesunął się przed moimi oczami.

Nie słyszałem słów matki, kierowanych do mnie. Trwałem w odrętwieniu i zupełnie nie reagowałem na to, co się wokół mnie działo.

Stasi Wolańskiej już w życiu nie spotkałem.

Przetrawiała ona epopeję zsyłki, gdzieś w głębokiej tajdze

W Swierdłowskim obwodzie, a następnie wraz z 1-szą dywizją kościuszkowską, powróciła do kraju. Wyszła za mąż i zamieszkała na Górnym Śląsku.

~~Ja~~ Po przeżytych szoku, przyszedł<sup>em</sup> do siebie i opowiedział<sup>em</sup> matce to, co widział<sup>em</sup> na gościńcu.

Przeklęte łotry - powiedziała matka. Mówią, że dla panów i burżujów, nie ma miejsca w państwie sowieckim, a ci nieszczęśnicy nie są przecież ani panami, ani burżujami - więc za co zgotowali im taki los?

Siepacze, nie przychodzą do nas więcej. Da Bóg, że nie będą już nas niepokoić.

Nadszedł szybki, zimowy zmierzch. Matka zapaliła lampę. Przygnębiony ~~Ja~~ wychodził<sup>em</sup> zazwyczaj w długie zimowe wieczory do kolegów i w pogaduszkach z nimi skracal<sup>em</sup> sobie czas, aż do pory snu. Dziś nie w g<sup>o</sup>wie m<sup>o</sup> to było. Zaczął<sup>em</sup> przewracać w książkach, chcąc wybrać jakąś do czytania. Wpadła m<sup>o</sup> w rękę historia starożytna - podręcznik z gimnazjum. Odczuł<sup>em</sup> potrzebę czytania tej historii, już nie z obowiązku, ale z autentycznej ciekawości.

Zaczął<sup>em</sup> czytać dzieje starożytnej Grecji, śledząc losy jej bohaterów, przewracał<sup>em</sup> kartkę po kartce. Nie potrafił<sup>em</sup> określić jak długo to trwało, gdy skrzypnęły wpiery wejściowe a następnie drzwi od pokoju, a w nich ukazała się postać Kopcia, za którym weszli najpierw "komandir" a za nim "bojec" z zatknętym<sup>o</sup> przy lufie karabinu-bagnetem.

Komandir zwraca się do matki z pytaniem: no i co, nie wróciła córka z zięciem?

A skądże - myślę, że nie tak prędko to nastąpi - odpowiada matka.

"Wot niczewo, pedaźdiom niemnożko"

Nieproszeni, pozasiadali na krzesłach, oddając się rozmowie.

~~Ja~~, Skrępowany i przestraszony tą wizytą, udawał<sup>em</sup> czytanie. W rzeczywistości czmychnąłby<sup>m</sup> z domu, ale bał<sup>em</sup> się ruszyć. Minuty płynęły powoli, nieznośnym rytmem rzucanych zdawkowo słów przez uzbrojonych intruzów.

Po jakiejś godzinie, komandir zainteresował się książką, której kartki odwracał<sup>em</sup> porczywie. ~~Ja~~.

Spojrząwszy na książkę, ~~komandir~~ zorientował się po rycinach, o jaką książkę chodzi.

"Eto Drewnaja Grecja" - powiedział. Chodziłeś do szkoły średniej - zapytał? Tak chodziłem do gimnazjum - odpowiedział<sup>em</sup> ~~Ja~~.

Ja dyrektor średniej szkoły w Kijowie - oznajmił komandir.



Następnie zaczął rzucać pytania na temat nauczania w polskim gimnazjum. Wyczuł ~~Staszek~~<sup>em</sup>, że chodzi mu o metody nauczania, oraz o warunki nauki. Kiedy dowiedział się, że nauka w gimnazjum była częściowo odpłatna, z dumą podk~~ę~~ślił, że w "Sowieckim Sojuszu" nauka jest darmowa i nie do pomyslenia jest pobieranie jakichś opłat, przez "gosударstwo"

Denerwowała ~~Staszka~~<sup>mnie</sup> ta rozmowa z komandirem. Obecność ekipy wykonawców deportacji ludności polskiej z Prus~~zk~~ ulegała przedłużaniu, zda się w nieskończoność.

Po trzech godzinach "posiedzenia" komandir zdecydował się wstać, co było hasłem dla pozostałych. Powiedzcie zięciowi, ~~gdziekolwiek~~ on jest, aby się zgłosił na NKWD. zwrócił się do matki. Niczego brać ze sobą nie potrzebuje, gdyż na miejscu otrzyma wszystko, co będzie do życia potrzebne. Otrzyma mieszkanie i będzie sobie spokojnie pracować wspólnie z żoną. Powiedział to tonem łagodnym, wzbudzającym zaufanie, które zda się wykluczało możliwość kłamstwa, czy złego charakteru przemawiającego. Bardzo możliwe, że oparowcy zostaną osiedleni w opuszczonej kolonii niemieckiej w Sapieżance - pomyślał ~~Staszek~~<sup>em</sup>.

Dobranoc. ~~Przeżena~~, Uciążliwa trójka wychodzi w mrok zimowej, śnieżnej zadymki.

~~Staszek~~ ~~oddechnął~~<sup>oddechnął</sup> głęboko - podobnie jak zdenerwowana matka.

Po chwili powrócił ojciec a zaraz potem, brał Staszek i po szybkim zjedzeniu opóźnionej kolacji wszyscy udali się na nocny wypoczynek.

Rankiem następnego dnia cała rodzina Berskich, siedziała przy kuchennym stole spożywając śniadanie. Nastrój przygnębienia panował jeszcze wszechwładnie, więc śniadanie przebiegło cicho, bez rozmowy.

Już pod koniec ~~jedzenia~~ skrzypnęły drzwi wejściowe i w kuchni ukazały się postacie: Kopia, Komandira i żołnierza z karabinem. Zdrastujcie - powiedział Komandir.

I zwracając się do matki zapytał: nu i co nie wrócił zięć z córką? Ażeż skąd - odpowiedziała matka. Jeżeli ktoś się tu zjawi, to tylko córka i jak już mówiłam - nie nastąpi to prędko.

Niczewo - nu jeśli oni przyjdą, niech się zgłoszą dobrowolnie, bo "jeśli oni będą skrywatsia, my ich pajmiom a tegga paganiom kak sobaki". Rysy komandira wypełniła złość, a zły wzrok raz jeszcze objął obecnych w kuchni, a on sam odwrócił się i wyszedł wraz z towarzyszami.

Patrzcie go - odezwała się matka - wczoraj łagodny, jak baranek, choć do rany przyłoż, a dzisiaj to prawdziwy stupajka.

Z tą Sapieżanką to napewno lipa. Rozmawiałem z Wolańskim, który odwoził wczoraj sankami deportowaną rodzinę Dorociaków, do której przyłączyli się: córka wójta Preśa - dziewiętnastoletnia Janka i siedemnastoletni Mietek.

Wójt Preś nie był oparowianin~~em~~, ale z uwagi na pełnioną funkcję w administracji polskiej, został włączony do listy deportowanych. Spodziewał się on tego i oddawna rzadko przebywał w domu.

W krytycznym dniu był poza domem, ale pozostała rodzina zgodnie z zasadą sowiecką, całkowitej zagłady "wragów naroda" - została włączona do wywożonych oparowców. Majątek skonfiskowano, lecz dziwnym trafem - wyłączono z wywózki chorą oddawna żonę.

O zmroku dnia wczorajszego, ponura kawalkada sań została ~~skiero-~~ kierowana na stację kolejową w Zapyt<sup>owic</sup>~~kach~~.

Dlaczego akurat do Zapyt<sup>owic</sup>~~ek~~?

Przecież do Zapyt<sup>owic</sup>~~ek~~ przejazd zimą jest ciężki. Prowadzi tam droga polna, wawozem zawiewanym przez śnieg w takim stopniu, że właściwie niemożliwa do wykorzystania - ciągnęła matka.

Zaprzęgi musiały jechać szczyrim polem, co również było niezmiernie ryzykowne. Grupa warstwa śniegu przykryła rowy, zapadłiska i różnego rodzaju wertepy.

Często konie wraz z saniami zapadały się w niewidocznej pułapce, z której ludzie musieli je wyciągać, w mozolnym trudzie, popędzani przez zbrojną eskortę.

Tak ciężkie warunki jazdy, jeszcze bardziej wzmagaly uczucie beznadziejnej rozpacz, wśród deportowanych rodzin.

Wymęczeni potwornie i zmarznięci dotarli do Zapyt<sup>owic</sup>~~ek~~, gdzie czekał na nich skład pustych wagonów towarowych.

Eskorta zaczęła rozmieszczać ludzi p~~o~~ wagonach. Nowy nawrót płaczu skazańców, na myśl o perspektywie spędzenia podróży w zimnym wnętrzu wagonów towarowych.

Szczęśliwie się złożyło, że powożący saniami, umieścili na nich sporo snopków słomy, dla osłony nieszczęśliwych pasażerów, przed mroźnym wichrem, w szczyrim polu. Pośpiesznie wrzucali te snopki do wnętrza wagonów. Skazańcy mężczyźni, rozwiązywali je i rozścielali na podłodze, co stwarzało atmosferę pewnej przytulności.

Na słomie rozkładano derki i koce, podczas układano zziębnięte i zmęczone dzieci na to posłanie, przykrywając je szczelnie pierzynami. Te właśnie pierzyny, stanowiły jedyną nadzieję przetrwania podróży, w warunkach ciężkiej zimy.

"Rozładowywał" swoich pasażerów również Wolański. Zabrał na sanie wyjątkowo dużo snopków, więc zadowolony, że przyda się ona Dorociakom - uśmiechnął się i wrzucał je ochotnie do wnętrza wagonu, a zobaczywszy obok sani skuloną i drżącą z zimna postać Mietka Preśsa, burknął: wrzucaj snopki, to się rozgrzejesz. Ja nie chcę wchodzić do wagonu, ja chcę uciekać - odpowiedział Mietek. Drgnął Wolański na te słowa i powstrzymał się z rzuca- niem snopków. Otoczony dookoła zbrojną eskortą pociąg, wykluczał ucieczkę. Nie miał jednak sumienia wpędzać chłopca do wagonu. Wrzucił jeszcze kilka snopków Dorociakom - dwa pozostawił na saniach. Zdjął siedzenie sporządzone z worka napełnionego słomą, podszedł do wagonu, wytrząsnął ~~słomę~~ i powrócił do sań. Rozglądnął się ~~za~~ zbrojną eskortą i widząc, że zmarznięci "Sołtaci" odwrócili się tyłem do wagonów, skąd wiał przejmujący, mroźny wiatr - powiedział do Mietka: szybko na sanie i włącz głową do worka, a nogi zagnij do przodu w kierunku koni.

Sprawnie wykonał to polecenie Mietek. Wówczas Wolański rozwiązał snopek z pozostawionej na saniach słomy i nie ~~w~~wracając na nic uwagi - zaczął napychać nią worek, dookoła ciała Mietka. Rozwiązał drugi snopek, okrył wystające nogi, które okrakiem wziął pomiędzy swoje i raz jeszcze przykrył warstwą słomy, co było uzasadnione ze względu na ochronę nóg przed mrozem.

Resztę ~~słomy~~ rozrzucił po saniach, <sup>usiadł na worku z Mietkiem,</sup> ~~zaciął~~ konie i ruszył w kierunku Prus~~zek~~. Wymijając kordon eskorty, został zatrzymany przez dwu żołdatów, którzy zaglądnięli do sań, sprawdzili, czy pod rozrzuconą ~~słomą~~ na saniach nie ukryło się coś, a przeko- nawszy się, że nie ma nic - zezwolili na odjazd.

Błądząc po polach w ciemnościach nocy, spotęgowanych nieustanną zadymką śnieżną, dotarli po północy do Prus~~zek~~. Nikt ich nie widział i przez dłuższy czas prus<sup>acy</sup>~~owanie~~ nic o tej uciezce nie wiedzieli.

Okazało się, że przed wywózką ukryła się więcej rodzin, a nie- tylko Drozdy od Bęrskich. Pozostawali w ukryciu: Kłos<sup>owscy</sup>~~scy~~, Mykiecy, wójt Preś<sup>14</sup>, Łacińscy, Stanisław Grze<sup>szek</sup>~~ski~~, chociaż mu żonę zabrali i samotny młodzian ~~Koszecki~~ <sup>Marjan</sup>.

Koszecki

Wszyscy wykonali najbardziej zryślnie kryjówki i zaczęli pędzić żywe tronieonych zwierząt.

Trzeba jednak podkreślić, że NKWD z rajona w Jaryczowie, nie miało większych szans zaskoczenia ukrywających się, gdyż wochronie przed niespodzianką tegoż zaskoczenia, brała udział cała wieś-solidarnie.

Gdy tylko bryka z rejonowym komendantem NKWD Majorowem i jego sztabem podjeżdżała pod Sielradę-natychmiast rozpoczynała działalność poczta pantoflowa, która w przeciągu kilku minut docierała do zagrożonych.

Ukrywający się reagowali, w zależności od pory roku. Latem uciekali na pola, pomiędzy łany zbóż, które stanowiły doskonałą ochronę, nie dająca żadnych szans tronieicielom.

Nieco gorsze warunki stwarzała jesień, zima i wczesna wiosna.

W tym okresie, pozostawały tylko kryjówki przy domowe.

Najgroźniejszym niebezpieczeństwem byli konfidenci, rekrutujący się ze środowiska miejscowego.

Zidentyfikowano dwu-ale istniały podejrzenia, że NKWD zwerbowało ich więcej. Ci nie zidentyfikowani, byli najbardziej niebezpieczni, gdyż, nieznani, poruszali się bez żadnych przeszkód po wsi i myszkując, mogli odkryć kryjówki uciekinierów.

Rozdz. V

Już trzecią kartkę otrzymałam od swego Dziunka.

Pierwszą-jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia-ubiegłego roku. Byłam tak zaskoczona, że nie mogłam pojąć sensu zawartego w tej pierwszej pisemnej przesyłce.

Spodziewałam się, że udało mu się przedostać do Rumunii, lub na Węgry. Tymczasem Dziunek napisał mi: jestem w obozie jenieckim w Starobielsku, na Ukrainie. Nudzę się i czas upływa mi na normalnych czynnościach obozowych, oraz czytaniu gazet. W tym kraju wielkiej kultury. Jak się ma nasz mały Marconi.

Jego brak odczuwam dotkliwie. Domyliłam się, że chodziło tu o radiowy odbiornik Philipsa.

Relacja ta pochodziła od mojej siostry Krystyny Herman, która przyjechała w odwiedziny do naszego domu.

Dziunek został zmobilizowany-ciągnęła Krystia- w ostatnim dniu sierpnia, jako porucznik rezerwy.

Do Złoczowa nie daleko, więc do macierzystego 52-giego pułku piechoty dojechał autobusem w niecałą godzinę.

Nie wyjechał na front, gdyż został w ośrodku zapasowym pułku.

Po wybuchu wojny, po kilku dniach, zaczęły się nienowodzenia na froncie. Zabrałam synka Edzia i pojechałam w odwiedziny do Złoczowa.

Dziunus, bardzo się ucieszył z naszego przyjazdu. Wyciągnął ręce do Edzia, za którym zdążył zatęsknić, chociaż od chwili rozstania, upłynęło niespełna dziesięć dni.

Mały ujrzawszy postać w mundurze, nie poznał ojca i odwróciwszy głowę, przytulił się do matki. Słyszac znajomy głos, odwracał głowę, obserwując postać w mundurze, lecz nieufności pozbyć się nie mógł.

Trzymając dzieciaka na rękach, zaczęłam rozmowę o niepokojących wieściach dochodzących z frontu. Wówczas Dziunek ze zniecierpliwieniem, przerwał mi. Nie powtarzaj propagandy niemieckiej. Sytuacja na froncie, nie jest zła, a za rozpowszechnianie wiadomości, wprowadzających nastrój defetyzmu w społeczeństwie, można się dostać do więzienia. Miałam wprawdzie wątpliwości co do jego postawy w tym względzie, ale widząc rozognione oczy, bałam się kontynuować rozmowę na ten temat. Rozmawialiśmy więc o wszystkim, co nas bezpośrednio dotyczyło.

Dziunek zaaferowany obowiązkami służbowymi rozmawiał jakgdyby z roztargnieniem. Rozmowa nie bardzo kleiła się. Widząc to, zmartwiona, postanowiłam skrócić swoją wizytę. Zaczęłam się żegnać. Dziunuś protestował, zresztą niezbyt gorliwie. Ucałował <sup>Edzia</sup> ~~Kysia~~, a ja z dzieckiem na ręce skierowałam się w stronę bramy wyjściowej. Wówczas stało się coś nieoczekiwanego. Malec z płaczem odwrócił głowę w kierunku ojca i wyciągnąwszy ręce wołał: tiata, tiata! - weź!. Ten usłyszawszy wołanie dziecka, przybiegł do nas, chwycił <sup>Edzia</sup> ~~Kysia~~ na ręce i dopiero wtedy porozmawialiśmy, jak szczęśliwe, młode małżeństwo. Zakończyliśmy optymistycznie w końcówce odwiedziny i powróciliśmy do domu.

Wypadki wojenne potoczyły się jak wszystkim już wiadomo. Myślałam, że po wkroczeniu Sowietów, Dziunek powróci do domu, ale na <sup>próżno</sup>. Dowiedziałam się, że na kilka dni przed wkroczeniem wojsk sowieckich, oddziały polskie wyszły z koszar i pomaszerowały na południe. Dalsze wiadomości dotarły do mnie w drugiej połowie października za pośrednictwem Mariana Figury - mieszkańca Mitulina, który został zmobilizowany w tym samym dniu co Dziunuś. Służyli razem w tym samym pułku jak również pozostali w koszarach w jednostce zapasowej. Po zarysowującej się klęsce armii polskiej - wyszli z koszar na południe, celem tworzenia ostatniego bastionu obronnego w południowo-wschodniej Polsce. Gdy dotarli na wyznaczone miejsce - po jednodniowym wypoczynku, nadeszła wiadomość o przekroczeniu wschodniej granicy przez wojska sowieckie. Wkrótce nadeszły nowe rozkazy nakazujące marsz w kierunku granicy rumuńskiej. Znowu forsowaliśmy marszem w kierunku granicy, w pośpiechu, aby ją przekroczyć przed nadejściem wojsk sowieckich.

Nie udało się jednak, gdyż Sowietci byli bliżej i zanim oddziały polskie zdążyły dojść do przejścia granicznego, był on już obsadzony przez oddziały sowieckie. Pertraktacje z Sowietami w sprawie przepuszczenia polskich jednostek do Rumunii nie dały rezultatów i wówczas dowódca powiadomił żołnierzy o rozwiązaniu oddziału, pozostawiając żołnierzom swobodę działania. Podeszedłem do pana porucznika - opowiadał Marian Figura i zapytałem - co mamy robić? Pan porucznik odpowiedział, że zrobi to, co postanowią pozostali koledzy oficerowie i prawdopodobnie, będzie się starał przedostać do Rumunii.

Ja postanowiłem powrócić do domu, z pomyslnym, jak widać skutkiem. Złe zrobił Władzio, że nie powrócił do domu-wtraciła się matka. Jest teraz daleko w tym szatańskim obozie, na łasce i niełasce wroga.

Same nieszczęścia spadają na nas. Niedawna wywózka onarowców. Upława już dwa tygodnie a żadnej wiadomości o nich nie ma. Tułają się gdzieś po Rosji Sowieckiej i nie wiadomo, czy jak żyją i czy wogóle żyją.

Kilka dni temu, nowe nieszczęście przyszło do Prus.

Przyjechali enkawudyści z Majcowerem na czele i zrobili rewizję u Kawiaka. Znaleźli pod podłogą na strychu, granaty ręczne. Zabrali ze sobą syna-Józefa a następnie po drodze Marcina Serwadczaka. Józek Kawiak, jeszcze kawaler, ale Marcin ożenił się niedawno. W domu została młodziutka, piękna żona. Byli jeszcze u Marcina Kowalkowskiego, ale na całe szczęście, nie zastali go w domu. Domownikom powiedzieli, aby się zgłosił dobrowolnie w komendzie rejonowej NKWD w Jaryczowie. Ten poszedł-nierozważny. Miał jednak szczęście. Po zapewnieniu złożonym na komendzie NKWD, że zgadza się przekonać Bronka Serwadczaka i Janka Krzyszczyka do dobrowolnego zgłoszenia się na konendę, został zwolniony warunkowo do domu.

No i co przekonał Krzyszczyka i Serwadczaka? zapytała Krysia. Na szczęście-nie, ale przy okazji dał sobie wytłumaczyć, że jego wyjście na wolność, z siedziby NKWD, graniczy z cudem i szansy ocalenia, już nie wolności, ale życia-zmarnować nie wolno.

W ten sposób, liczba ukrywających się, uległa zwiększeniu o dalsze trzy osoby.

To dziwne-skąd NKWD dowiedziało się o tych ukrytych granatach? - Zapytała, Krysia.

To przecież robota tych przeklętych szpiegli, którzy myszkują po wsi, będąc na usługach NKWD-odpowiedziała matka.

Biedny Władzio w niewoli, z dala od domu, a takie straszne czasy, nastąpiły u nas.

Okazało się, że w niewoli sowieckiej przebywa też kilku prusaków. Większość trafiła do obozów jenieckich w Niemczech, gdyż tak się złożyło, że oddziały, w których służyli prusacy, przeważnie od pierwszego dnia wojny, weszły do boju przy samej granicy niemieckiej. W Żydatyczach jest obóz jeńców polskich.

W ciężkich warunkach srogiej zimy, żyją oni poza ogrodzeniem

z drutu kolczastego. W dzień pędzeni do lasu, gdzie pracują przy wyrębie drzewa.

W tym obozie przebywa Franek Olejarz. Do jeńców podchodzić nie wolno - wykluczone jest dostarczanie jakichkolwiek paczek. Żona Franka nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo, postanowiła dostarczyć paczkę przed świętami Bożego Narodzenia.

Podkraść się pod druty obozu i przywołała w jakiś sposób męża. Przerzuciła paczkę przez druty i krzyknęła - uciekaj!

Równocześnie sama starała się oddalić jak najprędzej z niebezpiecznej strefy.

Na próżno - strażnicy dojrzeliby kobietę. Kilku z nich wypadło poza druty i z krzykiem popędzili przez pole w jej kierunku.

Dopadli kobieciej nastaci i poprowadzili do komendantury obozu.

Po czterogodzinnym śledztwie, wypuścili ją przerażoną i rozdrgotaną nerwowo

Wśród ogólnej beznadziejności, zarwosowuje się jasny promień nadziei.

We Francji powstaje polski rząd z generałem Władysławem Sikorskim na czele. Powstała polska armia a jej liczebność ciągle wzrasta.

Istnieją potężne siły aliantów, zdolne do rozbicia barbarzyństwa hitlerowskiego.

Sytuację komplikuje powrota Rosji Sowieckiej z jej - prawie sojusznictwem stosunkiem do hitlerowskich Niemiec.



Nadeszły pierwsze dni marca 1940r.

Wies powoli otrząsała się z odrętwienia, spowodowanego nawałem tragicznych wydarzeń ostatnich miesięcy. Przez rządziej <sup>powracano</sup> poruszono w dyskusjach do krytyki polskiego dowództwa i rządu, za tak szybką klęskę we wrześniu ubiegłego roku. W rozmowach pojawiła się nuta optymizmu związana z powstaniem nowego rządu i wojska polskiego we Francji. Lwowski-czerwony sztandar-, pomijał oczywiście milczeniem te fakty. Społeczeństwo polskie, było jednak dobrze poinformowane.

Posiadacze lampowych odbiorników lampowych, odbierali audycje radiowe w języku polskim z Paryża i Londynu. Pocztą pantoflową, wiadomości rozchodziły się szybko wśród polskiego społeczeństwa.

Polska poniosła klęskę, ale pozostała przecież w stanie wojny z Niemcami, mocarstwowe Francja i Anglia. To przecież najsilniejsze państwa w Europie. To nie, że prasa sowiecka podaje tendencyjne wiadomości o słabości zachodnich aliantów. To nie, że zapewnia swoich obywateli o nie naruszalności porozumienia z hitlerowskimi Niemcami. To dla mieszkańców Lwowa a tym samym prusaków jest rzeczą drugo planową. Tam na zachodzie nasza nadzieja, pozwalająca na optymistyczną ocenę najbliższej przyszłości. Z ideałami tegoż zachodu, łączy się naród polski. Nieszczęścia, które spadły nań, powodują bezprzykładną jego integrację. Dotychczasowy pesymizm ustępuje i jak w kalejdoskopie, przemienia się w pewność rychłego zwycięstwa.

Tego przekonania nie zachwiały wiadomości o wypadkach w Finlandii. Doznając niepowodzeń w wojnie na Ładzie, sowieci przeszli do ataków powietrznych na miasta fińskie, dokonując nalotów terrorystycznych. Przy użyciu dużych formacji lotnictwa bombowego, dowództwo sowieckie postanowiło zmusić rząd fiński do kapitulacji. Prowadzone od wielu dni-naloty, spowodowały duże straty w ludności cywilnej, oraz zniszczenia w zabudowie miast. Dotyczyło to w szczególności stolicy Helsinki. Rząd fiński nie mogąc, w sposób skuteczny, przeciwstawić się niszczycielskiemu bombardowaniu, poprosił o pokój. Rząd sowiecki, skwapliwie przystał na tę prośbę. W ten sposób, na froncie fińskim, ustały działania wojenne. Szkoda dzielnego narodu fińskiego.

Wszystkie te wydarzenia, stanowiły podstawowe podłoże rozmów prusaków. Nie były to jednak jedyne atrakcje życia codziennego mieszkańców Prus. Częstymi gośćmi wsi, były nie duże oddziały jazdy, stacjonujące we Lwowie, które w celach ćwiczebnych a także propagandowych, wyruszały w teren. Do wioski wjeżdżały spokojnie. We wsi na komendę wydawaną gwizdem, lub przenikliwym krzykiem, wyrwała się z oddziału grupa jeźdźców i w szaleńczym galopie,

z szablami w dłoniach, mknęła po ośnieżonym gościńcu. Za grupą pierwszą, ruszała następna i taka kawalkada, kilku grup konnych, napełniała całą wieś wrzaskiem i gwizdami. Łomot kopyt końskich w galopie, pały śniegu spod kopyt, fruujące w powietrzu, sylwetki jeźdźców miotających się w siodłach, w prawo i w lewo, w zależności od tego, w którą stronę zadawane były cięcia szablami. Niesamowity zgiełk, przemieszczał się od początku wsi, do jej końca, wywabiał z poszczególnych domów, przede wszystkim dzieci, które biegiem pędziły uliczkami w kierunku gościńca. Tam dostrzegały hałaśliwą grupę Kozaków, znikającą za najbliższym zakrętem, aby natychmiast odwrócić głowy, w kierunku następnej, nadciągającej grupy, która jak gdyby w pościgu za znikającą za zakrętem, mknęła z hałasem, powodując ogromne larum w całej wsi. Wszystkie psy, jakie były we wsi, przyłączyły się do odgłosów na gościńcu i wspomagały je wściekłym ujadaniem. Powstawała z tego niesamowita kakafonia dźwięków, która przez kilka minut, opanowywała niepodzielnie, atmosferę na pruskim gościńcu.

Po pewnym czasie, połączony już oddział Kozaków w szyku marszowym, w budionnówkach na głowach, powracał stępą ze śpiewem-ku miastu. Ceremonia śpiewu, odbywała się w sposób nieznany dotychczas. Śpiew intonował t.zw. -zapiewajło-, który gromkim głosem odśpiewywał kilka strof pieśni-po czym podchwytywał pieśń cały otriad i melodia śpiewu leciała, wraz z posuwającym się oddziałem przez wieś. Propagandowy- w pewnym sensie cel, został osiągnięty, gdyż po kilku, tego typu-impresjach artystycznych-bojcow Krasnyj Armii-przedem wszystkim dzieci śpiewały po rosyjsku pieśni o katiuszcy, try tankisty, i inne, łatwo wpadające w uszy-pieśni. Mitingi w domu ludowym i imprezy typu opisanego powyżej, urozmaicały czas mieszkańcom Prus- nie licząc aresztowań i deportację oparowców.

Już pięć tygodni upłynęło, od czasu wywózki oparowców, gdy nadeszły pierwsze listy od tych nieszczęśników. Listy o treści wręcz rozpaczliwej, opowiadały o gghennie podróży-najpierw wagonami, następnie samochodami ciężarowymi, wreszcie saniami i pieszo przez tajgę. Wyliczały tych, którzy pozostali na szlaku, okrutnej podróży, nie wytrzymujących nieludzkich warunków transportu.

Dotyczyło to przede wszystkim osób starszych. po przybyciu na miejsce, zesłańcy zostali rozmieszczeni w pustych, drewnianych barakach. Pierwsza noc w tychże barakach, to nowy koszmar. Tysiące wygłodniałych pluskw, wychodziły ze wszystkich szczelin i atakowały śpiących. Cała noc nie przespana, spędzona

w beznadziejnej walce z pasożytami. Od rana poszukiwania naczyń, napełnianie śniegiem, grzanie wody. Następnie parzenie ukropem drewnianych wnętrz baraków. Porządkowanie i urządzenie tychże wnętrz, w stopniu umożliwiającym wegetację. Następna noc względnie przespana. Parzenie ścian dało zadawalające rezultaty. Baraki rozmieszczone w głębokiej tajdze. Dokoła żadnych osiedli. Najbliższy punkt pocztowy, przy stacji kolejki wąskotorowej, służącej do transportu drzewa z wyrębu w tajdze. ~~Skazańcy~~ Stacja odległa o 80km. Miejsce odosobnienia, gdzieś w jakimś punkcie Obłasti Świerdłowskiej-na pograniczu Europy z Azją. Wszyscy znajdują się pod nadzorem NKWD. Zdolni do pracy są pędzeni do wyrębu tajgi. Warunki pracy-koszmarne. W głębokim ponad metr śniegu, przy temperaturze poniżej minus 20 stopni, katorżnicza praca. Wynagrodzenie to cienka zupka i 200 gramów czarnego, gliniastego chleba. Warunek: wykonanie wyznaczonej normy. Wykonanie przez wygłodzonych i wycieńczonych zesłańców-nieemożliwe. Ludzie umierają i ciała grzebie się w śniegu, gdyż wykopanie grobu w skutej mroźnej ziemi nieosiągalne. Można to będzie zrobić u schyłku lata, gdy ziemia roztaje na głębokość pozwalającą na wykopanie grobu. Tak informują enkawudysci. Przyszłość beznadziejna, ludzie otępiali i nie wrażliwi na otaczającą rzeczywistość. Jedyna nadzieja, to wy kochani, szczęśliwi przez to, że zostaliście na ziemi ojczystej. Nam tego brak najbardziej. Pomóżcie nam w miarę swoich możliwości, oraz możliwości stworzonych przez obowiązujące przepisy. W oddalonych od nas o kilkaset metrów, barakach przebywają jacyś skazańcy. Istnieje zakaz NKWD, kontaktowania się z nimi. W warunkach pracy w tajdze, zakaz jest nie do dotrzymania. Czasami stykamy się z nimi, ale oni nie przejawiają ochoty do rozmowy. Na pytania kierowane do nich, nie odpowiadają-kierując nieprzyjazne, wręcz wrogie spojrzenia na pytającego.

Taka była treść pierwszych listów, od zesłańców z Prus.

WE wsi zawrzało. Wszyscy mieszkańcy, zaintrygowani odnalezieniem się wywiezionych oparowców, szukali na mapach miejsca ich odosobnienia a po odnalezieniu, biadali nad przestrzenią oddzielającą ich, od ziemi ojczystej.

Trzeba przyznać, że nikt we wsi nieprzyjął tej wiadomości obojętnie. Wszyscy krewni i nie tylko oni-natychmiast przystąpili do sporządzania paczek. Dozwolona waga wysyłanej paczki wynosiła 8kg.

Oczekiwane produkty, to przede wszystkim żywność. Z tym we Lwowie już trochę lepiej. Makę można kupić bez problemów. W pierwszej

kolejności pojawiła się wódka. Można też kupić smalec i olej, oraz ~~g~~ ~~kl~~ ~~er~~. Dały wyniki Protesty robotników. Przewycieczają do protestów

i manifestacji, przed wojną-spróbowali tej broni w -swoim państwie- w prawdzie nie w takiej postaci, ale w formie zarzutów w stosunku do agitatorów na mitingach. W rezultacie-co bardziej śmiało, zniknęli w sposób tajemniczy, wywiezieni w głąb nie nasyconego sojuza. Ogólne jednak niezadowolenie społeczeństwa, spowodowało napływ towarów z głębokiego zaplecza ZSRR. Półki sklepów zapełniano skokami. Jako-najważniejszy- artykuł-pojawiła się wódka. Następnie nastąpiły kolejne dostawy:mąki, cukru, tłuszczu, mięso, mydło. Nieco później pojawiły się: tytoń i papierosy. Oczywiście wszystkie zakupy, trzeba było odstać w kolejkach, ale cierpliwi zawsze zdążyli coś kupić. Z sytuacji, skorzystali też prusacy i już po kilku dniach, pierwsze paczki powędrowały na pocztę do Lwowa. Zawierały przede wszystkim: żywność a w szczególności: smalec w pojemnikach blaszanych z wtopioną kiełbasą, olej słonecznikowy, mąka i cukier.

Niektórzy zdobyli ciepłą odzież i buciki dla dzieci i inne rzeczy których brak było na rynku. Inni wkładali również butelki z wódką. Spotkało się to z potępieniem dużej części społeczności pruskiej, argumentującej sprzeciw tym, że jest to najmniej oczekiwana forma pomocy przez wygnańców. Przyszłość wykazała, że nie mieli racji. Wódka była towarem, najbardziej przydatnym, na rynku sowieckim. Za wódkę można było załatwić wszystko, nawet tam w pustkowiu bezkresnej tajgi-łącznie z przywilejami w NKWD.

Wykazały to listy, które nadeszły w kilka tygodni po wysłaniu paczek.

Pisał Stefan Drozd-brat mojego szwagra:dziękuję serdecznie za paczkę. Jest to pierwszy i jedyny promyk nadziei naszej na przetrwanie. Z paczką były problemy. Po otrzymaniu awiza wzywającego do odebrania paczki z punktu pocztowego, poszedł do NKWD-Noworolski. Komandir przajął go niechętnie i powiedział, że go to nie nie obchodzi i nie daje żadnego zwolnienia, po jakiejś tam-barachłoboczu co innego i od kogo mogło nadejść dla wrogów naroda. Zmartwiony Noworolski, wrócił do baraku i opowiedział o wyniku rozmowy -domownikom. Po chwili, odezwała się babcia, której nakaz pracy nie obowiązywał: Franek <sup>ja</sup> poczłapię i przy Bożej pomocy przytaszczę paczkę. W pierwszej chwili Noworolski zaprotestował, ale po namyśle, wyraził zgodę.

Następnego dnia wyszła starowina w tajgę, zaopatrzona w torebkę sucharów i kociołek kaszy jęczmiennej-bo ~~to~~ tylko to można było dla niej zdobyć. Wróciła po pięciu dniach, ledwie żywa ze zmęczenia i głodu. Paczkę owiniętą w płachtę, przytaszczyła *jednak*

Noworolski wyrzucał babci, że nie rozpakowała paczki i nie posiliła się w drodze. Babcia umęczona, ale uradowana z pomyselnego powrotu - powiedziała: Frank - miałam chwile zwątpienia i prosiłam Boga o pomoc. Prośby mej, Bóg wysłuchał i w najmniej spodziewanym momencie, trafiły mi się sanki. Litościwy woźnica zatrzymał się i podwiózł mnie kilkadziesiąt kilometrów. Wtedy uwierzyłam w pomoc Boską i już wiedziałam, że wrócę do was. Chciałam, aby paczka była otwierana w obecności wszystkich domowników. Tak się też stało. Wyjmowanie zawartości paczki stworzyło świąteczną atmosferę i już następnego dnia, babcia podała placki kartoflane, usmażone na słonecznikowym oleju.

Byłem w dobrej komitywie z Frankiem i poprosiłem go o pożyczanie jednej butelki wódki - na co dosyć chętnie przystał - bo w paczce były dwie butelki. Odkroił mi też kawałeczek kiełbasy. Mając takie specjały, skorzystałem z okazji i zaprosiłem na kieliszek enkawudzistę, pełniącego nadzór nad wyrębem drzewa w tajdze. Enkawudzista przyjął moje <sup>zaproszenie</sup> z niedowierzaniem, które przemieniło się w oburzenie. Opryskliwie odmówił i odszedł rozgniewany w kierunku swojej siedziby. Zewiedziony, wróciłem do baraku i rozgoryczony poddałem się rozmyśleniu, nad beznadziejnym położeniem. Żona z córką wyszły do sąsiadów. Nagle usłyszałem skrzywienie drzwi wejściowych - odwróciłem się i zobaczyłem enkawudzistę. Wszedł do środka i zapytał: kłamiesz, czy mówisz prawdę? - jeśli prawdę to skąd ta wódka? Nie odpowiedziałem nic. Podszedłem do regału, odsłoniłem zasłonę, wyjąłem butelkę wódki i dwa kieliszki. Kieliszki napełniłem wódką, jeden podniosłem do góry ze słowami: na zdrowie. Zaintrygowany enkawudzista z namysłem wziął drugi kieliszek do ręki i ciągle jeszcze nie dowierzając, podniósł do ust i z wolna wypił. Zdumiony, że mówiłem prawdę - zapytał: skąd ta wódka? Nie zareagowałem na pytanie, lecz znowu podszedłem do regału i wyjąłem talerz. Na talerzu, kromki posmarowane smalcem, z krążkami kiełbasy na wierzchu. Eto zakuska - powiedziałem. Zdumiony enkawudzista, wziął kromkę i przegryzł bez słowa, następnie w milczeniu, wypił drugi kieliszek. Więcej pić nie będę - mruknął. Nie szkodzi - odpowiedziałem. Więcej wódki jest na stacji - dodałem.

Następnego dnia przed wymarszem w tajgę, enkawudzista kazał zostać: mnie, Wolańskiemu i Dorociakowi. Po wymarszu pozostałej grupy - powiedział: bierzcie konie i sanie i jedźcie po paczki.

Rozradowani - szybko uwinęliśmy się ze sformowaniem zaprzęgu i po dwa dniach przywieźliśmy kilkadziesiąt paczek.

Zapanował świąteczny nastrój. Po raz pierwszy od pamiętnego

10 lutego-oglądałem uśmiechy oparowców.Wszyscy odczuwali więc z ziemią ojczystą, w praktycznym jej wyrazie.Serdecznie wam dziękuję i pozdrawiam wszystkich prusaków-Stefan.

Rozważając treść listu.przypomniałem sobie, że w czasie pakowania zgromadzonych wiktuałów do paczki nie zauważyłem tam wódki.

Więc zapytałem, w jaki sposób Stefan zwróci Noworolskiemu butelkę wódki? Przecież przy pakowaniu, na stole jej nie było.

Szwagier roześmiał się i odpowiedział:dwie butelki wódki wetknąłem w tajemnicy do paczki tak, aby nikt nie widział.Bałam się, że kobiety nie zgodzą się na to. No i tak sprawa została wyjaśniona.

Łączność z wygnaneccami z Prus i eskapada z paczkami, była tematem, który nie ~~nie~~ schodził ze sfery rozmów i dyskusji mieszkańców przez wiele dni. Zresztą łączność ta nigdy nie zeszła na boczny tor wydarzeń w Prusach. Wysyłka paczek na Ural, jak się powszechnie mówiło,

stała się ogniwem ciągłym.Zaraz po wysyłce paczki  $\chi$  podejmowano starania celem skompletowania następnej.Trwało to nieprzerwanie aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

#### - VI -

W toku tych wydarzeń, sposób życia mieszkańców Prus, przebiegał starym utartym trybem.W polu rozpoczęto prace wiosenne.Na błotach, czyli torfowiskach, w dolinie Kanału Rządowego, rozpoczęto kopanie torfu. Wprawdzie urzędowo ogłoszono, że złoża torfowe stanowią własność państwa, ale prusacy zignorowali ten fakt i gromadnie torf kopali.Jak dotychczas, nie było z tego powodu interwencji władz.Natomiast, pod nadzorem władz administracyjnych, rozpoczęto ~~ek~~ eksploatację złóż torfu, na gruntach będących własnością kolchozów i sowchozów.Brano przy tym  $\chi$  pod uwagę potrzeby Lwowa.

Kryzys opałowy, jaki przeżyło miasto w ostatnią zimę, spowodował dewastację lasów-parków w Brzechowicach i innych małych kompleksów leśnych  $\chi$ okoła Lwowa.Spowodowało to powszechną krytykę ze strony społeczeństwa.

Normalny tok pracy  $\chi$  został naruszony przez wydarzenia, na które  $\chi$  wszyscy Polacy ~~cz~~czekali.

Otóż pod koniec pierwszej dekady kwietnia  $\chi$  rozpoczęły się działania wojenne. Przy ogólnym zaskoczeniu  $\chi$  działania zaczepne zainicjowali Niemcy, a nie, jak oczekiwano, alianci.

Wojska niemieckie przekroczyły granice Danii i równocześnie rozpoczęły wysadzać desanty morskie i powietrzne w Norwegii.

Dania skapitulowała bez walki-natomiast Norwegia stawiała opór.

i zaapelowała do aliantów o pomoc. Tej pomocy alianci odmówić nie mogli. Zanim jednak pomoc z ich strony nadeszła, Niemcy przy użyciu desantów morskich i powietrznych, zajęli wszystkie ważniejsze porty i miasta w południowej części Norwegii. Aliantom pozostała mniej ważna część północna, z jedynym ważnym nie zamarzającym portem, jakim był Narwik. Znaczenie Narwiku było spowodowane tym, że był on portem przeładunkowym rudy żelaznej z szwedzkiego rejonu Kiruny. Z tego rejonu prowadziła linia kolejowa do Narwiku, gdzie przeładowywano rudę na statki.

Przewagę na morzu mieli alianci, ale w powietrzu panowali Niemcy. Działalność bojowa niemieckiego lotnictwa przysparzała flocie alianckiej dotkliwych strat. W składzie floty alianckiej, działała również flota polska, ponosząc bolesne straty. We fiordzie narwickim, od bomb niemieckich zatonął nowoczesny niszczyciel - Grom -, natomiast na norweskich wodach przybrzeżnych, równie nowy i nowoczesny statek pasażerski - Chrobry -.

Wiadomości, które dotarły do kraju, były przykrą niespodzianką. Świadczyły one o niepowodzeniu działań alianckich w Norwegii. Częściowo łagodziła pesymistyczny nastrój w kraju wiadomość o uczestnictwie w walkach na lądzie polskiej brygady strzelców podhalańskich, która spisywała się bardzo dzielnie w walkach o Narwik. Brygada była uczestnikiem, jedynej zwycięskiej operacji alianckiej, zakończonej zajęciem Narwiku. Było to jednak zwycięstwo - pyrrusowe -. Po kilku dniach, po zniszczeniu urządzeń portowych i kolejowych, zwycięskie wojska opuściły miasto i port w Narwiku i zostały przewiezione do baz wyjściowych we Francji. Kilkutygodniowa kampania norweska została zakończona. Niemcy zostali panami Norwegii.

Była to gozka pigułka dla Polaków w kraju.

Nasuwała ona przykre refleksje odnośnie dalszych losów wojny. Tak myśleli realisci. Ogólne jednak przekonanie Polaków o zwycięskim ostatecznym zakończeniu wojny i to w nie odległym terminie było dominujące.

Sprawdziły się jednak prognozy realistów. Jeszcze w trakcie kampanii norweskiej następuje ofensywa niemiecka na zachodzie.

W dniu 10 maja Niemcy uderzają na Holandię i Belgię, oraz równocześnie na Francję. Niemiecki korpus pancerny, przekłamuje front i w dniu 21 maja wychodzi nad kanał La Manche. W ten sposób odcięte zostały od reszty frontu, cały korpus ekspedycyjny angielski, znaczną część dywizji francuskich i całość belgijskich. Naczelne dowództwo wojsk francuskich obejmuje gen. Weygand.

Próby odcięcia niemieckiego korpusu pancernego od głównych sił nie powiodły się i ostatecznie odcięte na północy wojska angielskie i część francuskich ewakuowano do Anglii. Wojska belgijskie-skapitulowały.

Wojskom francuskim nie udało się zamknąć luki we froncie w miejscu odciętych na północy dywizji. Niemcy ruszają na Paryż.

Rząd francuski w dniu 20 czerwca prosi Niemców o zawieszenie broni. To już koniec wojny na kontynencie.

Z osłupieniem obserwują Polacy wydarzenia na froncie zachodnim.

Pryskają zarzeka o szybkim pokonaniu Niemców.

Zaskoczona jest cała Europa.

Zaskoczony jest również Sowietcki Sojuz. Przecież błyskawiczna walka kompania we Francji wytraciła z kręgu realnego przeciwnika Niemców - Francję. Pozostała na kontynencie jedna siła, oprócz hitlerowskiej Niemiec. Tym krajem jest Stalinowska Rosja Sowiecka.

Sytuacja Polaków stała się wręcz tragiczna. W Europie, panami sytuacji, zostały dwa państwa - wrogo nastawione do polskiej państwowości. Jak potoczą się dalsze losy wojny i jakie miejsce zajmie w nich naród polski? Prawyłoczeni nieoczekiwania, z tym rozwojem sytuacji, Polacy są zalanani. Poważne, natroskane i wytworzone dyskutujących na temat katastrofalnego położenia Polski, są zewnętrzny odzwierciedlenie nowej - złowieszcznej rzeczywistości.

Ogólnie pesymistyczne nastroje, udzielają się i mnie.

Rok minął od czasu opuszczenia murów szkolnych. Perspektywiczna przyszłość - żadne. Życie w takich warunkach - beznadziejne. Młoda osobowość buntuje się przeciw ogólnym nastrojom. Jakos trzeba żyć. Trzeba coś robić. W stanie wojny z Niemcami, pozostała samotna Anglia. Przenikają wiadomości o ewakuacji polskiego rządu do Anglii. Po raz kolejny na obczyźnie, formuje się od nowa wojsko polskie. Wiadomości te nie od razu przekłamują wszechwładnie panujący pesymizm.

Rowerem jedę do Lwowa. Miasto odrieniło częściowo swój wygląd. Tłok na ulicach, jak poprzednio, ale pojawiły się masowe kolejki przed sklepami. Stają w kolejce na wódkę. Są wódki gatunkowe, a ja na wódcę się nie mam. Prysłuchuję się rozmowom. Przede mną młode kobiety - treści rozmowy wnioskują, że to zawodowe - stójkowe - w kolejce. Wódkę kupują celam odsprzedania z zyskiem. Dyskutują na temat, która wódka jest najlepsza i na której można najlepiej zarobić. Komentarze dotyczą wódek gatunkowych z wytwórni J.A. Paczewskego. Jedna kolejkowiczka stwierdza z zawodową bananówką - już nie ma



Kolejka posuwa się szybko, bo sprzedaż wódki idzie sprawnie. Jestem nie daleko-głowy-kolejki, już we wnętrzu sklepu. Nagle jejmość z przodu pochyła się do towarzyszki i szepce do ucha: jest gruszkowa to bardzo dobra wódka, ale te durnie jeszcze o tym nie wiedzą. Zadowolony z podsłyszanej rozmowy no i ze sprawności swoich uszu, postanawiam kupić likier gruszkowy. Moja kolejka-więc proszę o butelkę gruszkowej-bo więcej nie dają. Po otrzymaniu butelki, płacę 20 rubli i wychodzę ze sklepu. Jedna butelka to za mało. Muszę kupić jeszcze jedną-myszę. Z rozmów w kolejce, zapamiętałem, że wódka ma być w sklepie przy ul. Batorego. To nie bardzo daleko. Z daleka widzę kolejkę i jako ostatni zajmuję miejsce. Czas w kolejce, dłuży się nie nadaje się do tego-myszę.. i w tej chwili, kolejka rozpływa się wódki ~~zabrakło~~<sup>zabrakło</sup>.

Zawracam w kierunku Placu Halickiego, a tu nowa kolejka. Okazuje się, że przywieźli papierosy i tytoń. Zajmuję miejsce w kolejce i czekam. Kolejka posuwa się dosyć szybko. Jestem już wewnątrz sklepu.

W pewnej chwili, do chłopca-mniej więcej w moim wieku, podchodzi starszy pan ki mówi: kawalerze, papierosy sprzedaje się dorosłym i proszę wyjść ze sklepu. Chłopak bez słowa, opuścił kolejkę i wyszedł. Zrezygnowany, już chciałem wyjść z kolejki, ale przypomniałem sobie, że w legitymacji szkolnej, w hacie urodzenia -rok 1924-ostatnia cyfra, bardziej przypomina jedynkę, aniżeli czwórkę.

A tu poważny pan, już przy mnie i pyta: ile masz lat? dziewiętnaście-odpowiadam. Ejże, chłopcze, według mnie masz najwyżej piętnaście. Sięgnąłem ręką do kieszeni marynarki i wyjąłem legitymację gimnazjalną. Nieznajomy pan popatrzył na legitymację, podniósł oczy na mnie i z niedowierzaniem pyta. Jak nazywał się dyrektor gimnazjum? Dr. Buzat-odpowiadam. a jak nazywał się wychowawca klasy?

Dr. Lewicki-mówię. No..tto się gada-ależ ty, chłopcze, w żadnym wypadku nie wyglądasz na tyle lat. Z namysłem, popatrzył jeszcze raz na mnie i na legitymację i ze słowami: nie kłamiesz kawalerze-co? Zwrócił mi legitymację, a ja, zadowolony, kupiłem paczkę-tractorystów-dla ojca. Ojciec będzie zadowolony z tych 100szt -tractorystów-za dwa ruble. To taniocha a ojciec lubi papierosy mocne. Czuję się zażenowany, zająścier w sklepie. Ukończyłem szesnasto lat i do dziewiętnastu to jeszcze kawał czasu-myszę. Ten pan, to na pewno jakiś profesor,

profesor,

Halicką idę w kierunku Rynku. Pod koniec ul. Halickiej, znowu kolejka-sprzedają wódkę. Staję do kolejki i kupuję butelkę likieru pomarańczowego. Z rynku ul. Krakowską, dochodzę do Placu Krakowskiego.

Dochodzę do przystanku tramwajowego dziewiątki. Wsiadam do tramwaju i jadę, prawie dwa kilometry. Na zakręcie, przed skrzyżowaniem z ul. Wołyńską-wysiadam. Stąd pieszo, obok wytwórni wódek i likierów Baczewskiego, dochodzę do podwórza zajazdu, gdzie pozostawiłem na przechowanie rower. Wsiadam na rower i po upływie niespeł-

na pół godziny jestem w domu. W domu jest siostra Stasia.

Zorientowawszy się, że kupiłem wódkę, z miejsca wyraża chęć odkupienia jednej butelki. Ale ja chciałem coś zarobić-mówię.

że

Na siostrze zarabiać nie będziesz-mówi ze śmiechem. To którą butelkę chcesz-mówię. Wezmę, chyba pomarańczową, bo gruszkową widzę po raz pierwszy-ma taki podejrzany fioletowy kolor, niczym denaturat. Spekulantki, w kolejce mówiły, że to jest doskonała wódka i tylko durnie o tym nie wiedzą-informuję siostrę. Dobrze już dobrze- biorę gruszkową.

Po dwu dniach, przychodzi Stasia i mówi: ta twoja gruszkowa to nie prawdę doskonała wódka. Miały rację, te twoje spekulantki. Jeśli tylko w sklepie ~~gruszkowa~~ <sup>bedzie gruszkowa</sup>, to koniecznie kup dla mnie. Dobrze-obiecuje. Moje eskapady do Lwowa są coraz częstrze. Pod koniec lata, prawie codziennie jestem w mieście. System komunikacji-różny. Najczęściej jadę rowerem, ale brat Staszek też nabrał ochoty do c.dwidzania miasta i od czasu, coraz częściej korzysta z roweru. Muszę ustąpić, bo to starszy brat i uważa, że rower jest jego. Nie bardzo się tym godzę, bo pamiętam, że szwagier Herski, darując rower powiedział: macie to jest wasz rower i jeźdźcie sobie. Starszeństwo jednak na swoją wymowę i młodszy musi skapitulować. Korzystam okazjnie z furmanek pruskich, udających się codziennie do Lwowa. Przywożę wódkę, papierosy, tytoń a nawet piwo. Odsprzedaję zyskiem te moje zakupy. Zysk nie wielki, ale pozwala mi dawać ojcu-traktorysty-darmo i jeszcze coś tam rubli zostaje. Siostra Stasia doraźnie kupuje butelkę likieru, czy paczkę papierosów, ale wódki gruszkowej nie napotkałem już nigdy, pomimo moich starań.

W ostatnim tygodniu, odwiedziła nas siostra Krystyna z moim małym siostrzeńcem Edziem. Przez kilka dni pobytu byłem całkowicie zajęty. Edzik upodobał sobie moje towarzystwo i od rana do nocy musiałem całymi godzinami obwozić go rowerem po bliższej i dalszej okolicy. Pokochałem malca, a maluch wyczuł to i ani na moment nie dawał mi spokoju.

Siostra Krystia przywiezła wieści o swoim mężu Władysławie Herskim, poruczniku Wojska Polskiego, przebywającego w obozie jeńnickim w Starobielsku.

Opowiadała Kryśka: w pierwszej dekadzie czerwca, otrzymałam od Dziunka kolejną kartkę, napisaną datą z ostatniej dekady kwietnia. Napisał w niej, że od dłuższego czasu, z obozu są wywożone pociągami grupy jeńców w nieznanym kierunku. Spodziewam się w każdej chwili wywózki. Jeżeli nie otrzymasz odpowiedzi na swój list, będzie to oznaczało, że mnie już w obozie nie ma. Z chwilą dotarcia do nowego miejsca pobytu, natychmiast napiszę i podam ci nowy adres. Zaniepokojona tą wiadomością, oraz tym, że kartkę otrzymałam po siedmiu tygodniach od daty napisania, wysłałam natychmiast telegram. Po upływie prawie dwu tygodni, telegram wrócił z dopiskiem - adresat nieznanym. Jestem bardzo zaniepokojona, ale nie pozostaje mi nic innego, jak tylko czekać na wiadomość od Dziunka.

-VII-

Matka zdobyła onegdaj polską bluzę wojskową, z naramiennikami i guzikami z polskim orzełkiem. Bluzę trzeba przerobić - powiedziała. Powyrastaliście z odzieży, a ta, która pozostała, to już powycierana z dziurami. Z odzieży nie kupić nie można, ani w mieście, ani tu w pruskiej koperatywie.

Ubrałam bluzę i patrzę przed lustrem. Bardzo mi ta bluza przypadła do gustu. Bluza wojskowa z naramiennikami, dodaje powagi a ja chcę jak najprędzej wydorosnąć. Pozapinałam guziki i mówię: nie chcę żadnej przeróbki i ta bluza mi się podoba. Matka protestowała, ale skapitulowała na moje argumenty, że przecież ja nie mam w czym wyjść. To nic, że bluza trochę za obszerna. Ja szybko rosnę i za parę miesięcy, będzie w sam raz. Jeszcze cię bolszewicy rozbiórą z tej bluzy. To bluza wojskowa a co wojskowe to - trofiejne - dodaje śmiejąc się.

Zignorowałam tę uwagę matki, tym bardziej, że w takich bluzach chodzi wielu mężczyzn. Wszyscy, którzy wrócili z wojny, dochadzają wojskowe mundury, tak przydatne w pracy na wsi - rozumuję. Teraz paraduję od wielu tygodni w tej bluzie i jestem z niej bardzo zadowolony.

Pewnego dnia stoję w towarzystwie kolegów nastolatków, na gościncu. Oprócz mnie stoją: Wojtek Lewicki, Janek Piotrowski i Wojtek Koziarski. Byliśmy świadkami stereotypowych - derbów - konnych krasnoarmiejców, którzy w łonocie kopyt końskich, gwizdów i popisów szermierki, pogalopowali w drugi koniec wsi. Rozmawialiśmy, między innymi na temat tychże popisów.

Po pewnym czasie rozległy się odgłosy śpiewu powracających

-bojcow-. Przy wylotach uliczek na gościńcu, grupki różnych ludzi. Hałas kozackiego podjazdu, wywabił ich z domów.

Kozacy zbliżyli się już do naszej grupy. Że śpiowem podążali ku miastu. Z ostatniej czwórki, oderwał się jakiś starszyna i podjechał ku do nas. Zszedł z konia i zbliżył się do mnie. Zaintrygowany zachowaniem bojca, uczułem strach. Co ten kaczap chce ode mnie? A ten tymczasem, poszperawszy po kieszeniach, wydobycł prymitywny kozik i ze słowami: -eto wojennaja bluza, burżuwijnaj Polski iz pagonami-takich pagon pagonow nosit nie nada- odciął mi naranienniki, Następnie a następnie wszystkie guziki z orzełkami, ze słowami: -etich knopok z kuricami toże nosit nie lzia- i rozrzucił je po chaszczach pobliskiego ogrodu. Po czym wsiadł na konia i wydektawszy się na gościniec, wspiął konia śtrozami i w opęta, czyr galopie podwalaował, ku oddalonej, rozśpiewanej grupie krasnoarmiejców.

Ja tymczasem, wystraszony a równocześnie wściekły, manrotałem pod nosem: naranienniki mu się nie podchały- odciął mi wszystkie guziki ... i nagle ogarnęła mnie wściekłość, gdy przyzomniałem sobie, że polskiego orzełka nazwał kuricą. Wrzasnąłem głośno: a twoja wyblakła, zafajdana gwiazda lepsza? Ty zachlapany czarnonazie. Naranienniki noszą wszystkie armie świata- tylko ty ich nie masz! ~~śsz~~ No właśnie- przytaknęli moi kałedzy- zdenerwowani nie mniej ode mnie. Po czym zwolna zachmurzeni- rozeszliśmy się do domów. Rozgoryczony, wszedłem do domu a w domu siostra Stasia z odwiedzinami. Popatrzyła na mnie i zobaczywszy moją minę zapytała: co ty taki rozdygotany? Zobacz jak mnie bolszewik urządził i rozpostarłem wszerez bluzę bez guzików.

Stasia wypruła mi resztki naranienników i zczyła bluzę na rano-nach. Następnie wyszperała jakieś guziki i przyszyła w miejsce odciętych. No i w ten sposób, została dokonana, dzięki sowieckiemu żołdatowi przeróbka mojej wapaniakiej bluzy wojskowej.

Wiece spustoszała. Na gościńcu prawie nie widać ludzi. Nic dziwnego- rozpoczęły się żniwa.

Wczesnym rankiem, gromady żniwiarzy wychodzą w pole na pola. Trzeba wykorzystać poranny chłód. Przed południem, nadchodzi skwar. Zmęczeni żniwiarze, spoceni opadają z sił. Trzeba wracać do domu- posilić się i odpocząć w cieniu domowej strzechy. Kiedy słońce wyraźnie przechyli się ku zachodowi- gromady żniwiarzy ciżną spowrotem na pola, aby w znacznym trudzie wypełnić swoją rolę. Tym razem zejda z pól dopiero o zmierzchu. Część z nich odchodzi

z pól wcześniej, bo przecież trzeba wydoić krowy i przygotować wie-  
czerzę dla pracujących jeszcze na polu.

Wyczerpujące prace żniwne wykonywane przy użyciu sierpów, mimo wszyst-  
ko nie przesłaniały wydarzeń, na europejskiej wojennej arenie.

Po klęsce Francji, działania na polach bitewnych jak gdyby-zamarły.  
Złamane społeczeństwo polskie, nie otrząsnęło się jeszcze z szoku  
spowodowanego <sup>totalnym</sup> ~~totalnym~~ niepowodzeniem zachodnich aliantów.

Odór pesymizmu ustępował powoli a dotychczasowe doświadczenia,  
skłaniały do ostrożności w optymistycznej ocenie nowo powstałej  
sytuacji.

Ja też przeżywam kryzys. Uczucie beznadziejności, nasuwa pesymistyczne  
refleksje. Jeżdżę jeszcze do Lwowa, ale już znacznie rzadziej. Coraz  
częściej myślę o przyszłości.

Przed kilku dniami, konfidenci NKWD, Barszczewski i Pawlaczek, przech-  
wycili młodego Kosteckiego-ukrywającego się od pamiętnego lutego.  
Odstawili go do Sielradzy a stamtąd furmanką do rejonowego NKWD  
w Jaryczowie Nowym. Tam, jak zwykle ślad po nim zaginał i nikt już  
nigdy Kosteckiego nie widział.

W Brusach powstała komórka Komsomołu. Do organizacji tej, zgłosiło  
swoją akces około dwudziestu młodych prusaków. Zaskakującym był fakt  
przystąpienia kilku, których nikt o sympatie do komunizmu nie posą-  
dzał.

W czasie wiosennego poboru, odeszło do czerwonej armii kilkudziesięci-  
młodych prusaków z rocznika 1918.

Staraniem kierownika szkoły, Czakina, powstała szkoła niepełno-śred-  
nia. Podjąłem decyzję-zapiszę się do tej szkoły. Czas uciekał stęsk-  
niłem się za nauką. Uczyniłem to wbrew opinii sióstr, Stasi i Krysi.

Nie miałem przychylnego mniemania odnośnie bolszewickiej szkoły, ale  
żywiłem nadzieję, że czegoś się ~~w~~ więcej nauczę. lub przynajmniej utrwa-  
lę to, czego nauczyłem się w polskim gimnazjum.

Póki co-jeżdżę do Lwowa i obserwuję rytm jego życia.

Trzysto pięćdziesiąt tysięcy miasto, przed wojną-zatłoczone.

Mówią lwowiaczy, że obecnie Lwów liczy pełny milion mieszkańców.

Nie zatem dziwnego, że taki tłok. Sklepy spożywcze, stosunkowo dobrze  
zaopatrzone. W ostatnim czasie pojawiły się materiały tekstylne.

Liche bo liche tkaniny bawełniane, ale gdzie się pojawiają-tworzą  
się natychmiast kolejki sięgające stu metrów długości.

2 Cała Rosja Sowiecka przesyła swoje towary, które znikają błyskawicz-  
nie. Pociągi z Kijowa, przyjeżdżają załadowane pasażerami z całej  
Ukrainy. Cała ta hurma atakuje sklepy. Podobno tam z zaopatrzeniem

k.  
iepsko.

Kraj bogaty-wojny nie prowadzi a takie trudności...Takie myśli snują się po całej głowie. Na ulicach wiele kobiet rosyjskich. Oficerowie z żonami spacerują chodnikami. Coś jednak zmieniło się w ich wyglądzie. Z nóg zniknęły męskie półbuty, znikły też girnaścierki, granatowe spódnice i białe baweźniane pończochy. Utrane w jedwabne sukienki i pończochy-na nogach zgrabne buciki na wysokim obcasie. Berety też noszą tylko niektóre. Mimo totalnego potępienia burżuazyjnego stylu życia, ruskie elegantki ignorują ton partyjnej propagandy. Ubierają się jak noszą, można zdobyć na czarnym rynku. Oficerowie, dobrze płatni, na taki zbytek mogą sobie pozwolić. Zachodnia Ukraina, stała się oknem wystawowym Rosji sowieckiej. W Prusach życie toczy się utartym od dawna zwyczajem i potrzebami aktualnymi. Apatia panująca wszędzie, powoli ustępuje. Pocztą pantoflową, czyli ustnym przekazem, pojawiły się pogłoski o wielkiej <sup>ofensywie</sup> powietrznej niemieckiej-Luftwaffe-na Anglię. Pod niebem angielskim, toczą się walki powietrzne angielskich ryśliwców z potężną armadą bombowców atakujących miasta angielskie. Pogłoski te okazują się prawdziwe. Potwierdzają to lwowski Czerwony Sztandar i kijowski Głos Radziecki. Ton prasy sowieckiej uległ metamorfozie. Komunikaty mówią o ogromnych rozmiarach toczących się walk a komentarze do tych walk, świadczą o pewnej sympatii dla strony angielskiej. Zainteresowanie wojną, powraca na arenę dyskusji. Zainteresowanie obroną angielskiego nieba wzmaga się, gdy nie sprawdzalne pogłoski, przynoszą wieści o udziale polskich myśliwców, w tych powietrznych zmaganiach. Prasa sowiecka nie zawiera żadnej wzmianki na ten temat.

W Prusach następują nowe wydarzenia, poszerzające płaszczyznę zainteresowań społeczeństwa. Prace przy modernizacji szosy Lwów-Kijów, w rejonie Lwowa, znajdują się w stadium końcowym. Na poszerzonej podbudowie, ułożono nawierzchnię asfaltową. Przy pracach tych byli zatrudnieni polscy jeńcy. Do wsi nadeszły transporty przesiedleńców z okolic Krystynopola, nad Bugiem. Transporty te mają związek z zapoczątkowaniem prac przy budowie umocnień nad Bugiem. W związku z powyższym, wysiedla się ludność ze wsi położonych w pasie projektowanych umocnień. Przesiedleńców umieszcza się w domach deportowanych w głąb Rosji Sowieckiej-oparowców. Nadchodzą zarządzenia nakazujące ludności udział przy budowie wojskowego lotniska polowego w Kapytowie. Rozpoczyna się wędrówka wozów wraz z posyłanymi do roboty młodymi mieszkańcami wsi na teren projektowanego lotniska.

W niedługim czasie, doszła nowa powinność. Z polecenia władz sowieckich, Sielrada posyła kolumnę wozów z ludźmi, do budowy linii obronnej nad Bugiem, w okolicy Krystynopola. Wyznaczone fumanki wyjeżdżają już w niedzielę i pracują wraz z wyznaczonymi do pracy ludźmi, przez cały tydzień. Powracają w następną niedzielę. Na budowę wyrusza natychmiast następna partia robotnicza. Korowód z oddziałami robotniczymi trwa odtąd nieurzerwanie. Nie hamuje go nawet zima.

Na mitingach zwoływanych ustalonym trybem, pojawia się nowy temat. Tym tematem jest ewentualne zaatakowanie sowieckiego Sojuza przez jakiejkolwiek wrogie siły. Agitatorzy mówią o miłującym pokój narodzie sowieckim, który nie pragnie obcej ziemi. W razie jednak agresji, niezwyciężona Czerwona Armia, wyposażona w najwspanialsze zdobycze techniki, odeprze każdego wroga i rozgromi jego siły na jego własnym terytorium. Hasło, że każdy napastnik zostanie pokonany na jego własnym terytorium, jest kanonem obowiązującym, wszystkie środki propagandy.

Nadchodzi jesień, a z nią prace przy jesiennych zasiewach i zbiorach okopowych. Utrudzeni mieszkańcy, nie tracą z pola widza zainteresowań, wydarzeń wojennych. Dotyczy to w szczególności obrony angielskiego obszaru powietrznego przed niemiecką Luftwaffe<sup>k</sup>.

Zacięta bitwa powietrzna trwa, ale szala zwycięstwa przechyla się na korzyść Anglików. Poniósłszy ogromne straty w lotnictwie bombowym, Niemcy przechodzą na ataki nocne. Następuje terrorystyczny, nocny nalot na miasto Cowentry. Nalot powoduje ogromne straty w zabudowie miasta i duże ofiary wśród ludności cywilnej.

Mimo wszystko, Luftwaffe traci impet. Straty Niemców w nalotach nocnych, na krótko maleją, ale w każdym następnym, wykazują niepokojąco dużą tendencję zwyżkową.

Pojawiają się pogłoski o nowych urządzeniach technicznych, zainstalowanych przy bateriach przeciwlotniczych, wzmacniających w zdumiewający sposób skuteczność ognia artylerii przeciwlotniczej w największych ciemnościach nocy.

Głos Radziecki - pisze o wizycie korespondenta moskiewskich Izwiestii na stanowiskach artylerii przeciwlotniczej, pod Londynem. W czasie tej wizyty, widział on tajemnicze szafki zainstalowane przy stanowiskach artylerii. Anglicy nie taili, że są to urządzenia bardzo ważne, ale w pobliżu tychże szafek, korespondent nie został dopuszczony.

Nadchodzą wiadomości o wspaniałej postawie lotników polskich w bitwie

powietrznej, nazwanej - bitwa o Anglię.

-Luftwaffe- zaprzestała nalotów powietrznych na Anglię.

Była to pierwsza, przegrana przez Niemców operacja w tej wojnie.

Jestem uczniem siódmej klasy, szkoły niepełno-średniej w Prusach

Pomimo zupełnego innego sentymentu dla tej szkoły, w porównaniu do polskiego gimnazjum, przed wojną - jestem zadowolony. W klasie jest zgrupowana młodzież, uczęszczająca przed wojną do szkół średnich w Lwowie, ~~xxxxx~~ ~~xxxxx~~. Do nauki podchodziliśmy, w sposób trochę rozluźniony, ale staraliśmy się sprawiać wrażenie, że naukę traktujemy poważnie. Chodziło nam o dyrektora Czakina, który cieszył się wśród młodzieży stosunkowo dużym autorytetem. Jego to steraniem powstała ta szkoła. Ważne były dla nas, wspólne rozmowy. Już ponad rok dorastaliśmy obok siebie w intelektualnym - można tak powiedzieć, próżniactwie. Teraz przebywając w grupie, odczuwaliśmy zaistniałą, jak gdyby lukę, wymagającą uzupełnienia poprzez wymianę myśli i poglądów. Tematy początkowych dyskusji były wysuwane dosyć niezdarnie, nie potrafiliśmy wybierać wątków najbardziej istotnych.

rok

Z biegiem czasu, wygładzaliśmy te niedociągnięcia i czasami łączyły nam wychodzić całkiem zgrabne dysputy.

Z uwagi na to, że dyskusje dotyczyły w większości przypadków ~~xxxxx~~ ~~xxxxx~~ Makpokożenia Polski w aktualnej sytuacji, musieliśmy się liczyć z zakonspirowaniem naszych poczynąć.

Z uwagi na to, że w myśl postanowień Kromla, Polska znikła raz na zawsze z mapy Europy, a nasze dyskusje nie mogły w żaden sposób ~~tego~~ ~~tematu~~ ~~tematu~~ pominąć, musieliśmy się liczyć z konsekwencjami, w przypadku dekonspiracji. Postanowiliśmy swoje spotkania odbywać w szkole.

Dla uzyskania zgody na korzystanie z sali szkolnej, zażyczyliśmy kółko mandolinistów.

Dyrektor wyraził zgodę i od tego czasu spotykaliśmy się w umówionych dniach na terenie szkoły.

Z zapamiętaniem, graliśmy na mandolinach. Repertuar tworzyły polskie przedwojenne przeboje, ale nie mogliśmy pominąć sztandarowych utworów sowieckich, jak również przebojów w rodzaju nieśmiertelnej katuszy itp.

W przerwach, dyskutowaliśmy, bo przecież był to zasadniczy cel naszych spotkań. Grupa nastolatków, wyrażała swe poglądy żarliwie, i na ich poparcie przedkładała, coraz zgrabniejsze argumenty.

W przypadku pojawienia się w szkole osób spoza naszej grupy, w ruch szły niezawodne mandoliny. Obserwacje aktualnej rzeczywistości a nawet tematy filozoficzne, po raz pierwszy znajdowały



ujście w wymianie myśli i ~~ich~~ słów z równorzędnymi partnerami. Była to być może największa korzyść, jaką wynieśliśmy z tej szkoły.

Obok tych moich osobistych problemów, toczyło się życie wsi ze swoimi problemami. Wśród tęża zajęć w gospodarstwie, używał dzień za dniem, Problemy życia codziennego, nie przesłaniały wydarzeń na arenie działań wojennych.

Po zakończeniu bitwy o Anglię, nastąpił w tym rejonie spokój. Do aktywnych działań wojennych, przystąpili Włosi. W Afryce północnej w Libii, nastąpiła ofensywa wojsk włoskich na Egipt.

W wyniku ofensywy, nieliczne oddziały angielskie, cofnęły się w głąb Egiptu. Wojska włoskie, po przejściu kilkudziesięciu kilometrów, zatrzymały się - dość nieoczekiwanie. Powodem powstrzymania ofensywy był zły stan dróg, utrudniający zaopatrzenie nacierających wojsk. Taka była przyczyna, podana przez dowództwo włoskie.

Atak na Grecję, po dwu dniach pomalowanego natarcia, został przez Greków powstrzymany. Natychmiastowa kontrofensywa grecka przynosi natychmiastowy skutek, część dywizji włoskich otoczonych - kapitulują. Pozostałe w pośpiechu wycofują się na teren Albanii.

Niefortunnie układa się sytuacja dla Włochów.

Od przystąpienia do wojny u boku hitlerowskich Niemców - same niepowodzenia. Flota wojenna, flota faszystowskich Włoch, poniosła już ciężkie straty. Działania na lądzie, przynoszą również przykre niespodzianki. Zaniary wskrzeszenia Imperium Rzymskiego, ulatują w mroczną, złowieszczą dal. ~~Wskazana~~ Anglia ma powody do optymistycznej oceny, osiągnięć dokonanych w ~~wskazaniu~~ samotnej walce.

#### -VIII-

W listopadzie przy spożywaniu obiadu, został zaskoczony i aresztowany oparcwianin Kłosowski. Wydarzenie to zostało zainspirowane przez jednego z pruskich konfidentów. Fakt ten, boleśnie odczuła wieś. Społeczność pruska czuła się odpowiedzialna, za bezpieczeństwo ukrywających się. W tym przypadku, opieka okazała się bezsilna. Na chwilę przed aresztowaniem, niespodziewanie wszedł do mieszkania Kłosowskich, goniec z Sielrady. Zobaczywszy Kłosowskich, wycofał się bez słowa z ~~z~~ izby. Kłosowska niespokojna wstała nie ukończywszy obiadu i nakłaniała męża do natychmiastowego wyjścia z domu. Kłosowski zbagatelizował naleganie żony. To tylko Chemicz - co on nam może zrobić? Do Sielrady prawie dwa kilometry. Zanim tam dojdzie - sporo czasu upłynie. Jeżeli się boisz, to idź - ja zaraz do

ciebie dołączę. Kłosowska wyszła. Logika rozumowania zawiodła. Po ~~przejściu~~ upływie kilku minut, do kuchni wpadło trzech enkawudystów z bronią—no i stało się. Jak do tego doszło?—Konspiracyjne śledztwo prusaków ustaliło:

Do Prus przyjechała bryka z enkawudystami. Wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, enkawudyści nie wstąpili do Sielrady, ale pominąwszy jej siedzibę, pojechali na wieś. U styku uliczki z gościńcem, prowadzącej do mieszkania Kłosowskich, spotkali Chomicza, który brykę zatrzymał i poinformował o tym, co przed chwilą widział. Woznica natychmiast skręcił w uliczkę i galopem podjechał pod dom. Enkawudyści w biegu zeskoczyli z bryczki i pędem udali się do wnętrza. W taki oto sposób doszło do jeszcze jednej tragedii.

Kłosowskiego odwieziono do rejonu w Jaryczowie. Tam zginął po nim ślad. Nikt nigdy więcej nie widział go, ani o nim nie słyszał.

W Prusach została zrozpaczona i samotna już żona, której przyszło prowadzić żywot ściganej w pojedynkę.

Nadchodzi grudzień 1940r. Trzeba pomyśleć o oparowcach „żyjących hen daleko w uralskiej tajdze. Już od listopada trwa kompletowanie paczek. Były to paczki szczególne, boć to przecież pierwsze święta Bożego Narodzenia, spędzane na zesłaniu przez oparowców.

Trzeba pomyśleć o zwiększonej porcji maki pszennej i w ogóle innych wiktuałach łącznie z wódką. No ale, jak podołać chęciom, kiedy dozwolona waga paczki nie pozwala na umieszczenie zwiększonych racji. Nie ma rady—trzeba szykować drugą paczkę albo... albo wsunąć w łapę haracz rublowy, za przyknięcie oka na nadwagę—na poczcie. Faktem stała się gromadna wysyłka paczek do Świerdłowskiego Obwodu, gdzieś na pograniczu Euro-Azji.

Niech nie zapominają zesłańcy o tradycji, w te tak uroczyste święta, Niech ta paczkowa łączność, pomoże im w przetrwaniu.

Oprócz tych czynności, prusacy myśleli też o godnym przywotowaniu się do świąt we własnym domu. Przyszłość—niewiadoma. W perspektywie przewidziana jest likwidacja kościołów. Być może, że tegoroczna pasterka będzie ostatnią. Takie myśli krążą pod jej głowie, ale nie tylko. Inni myślą podobnie. Harazie obłożyli kościół podatkiem. Fama głosi, że podatek będzie wzrastał rok rocznie do czasu, gdy wai nie będzie stać na uiszczenie opłat. W ten sposób zlikwidowano cerkwie w Śowieckim Sojusie.

To prognozy na przyszłość. Dziś trzeba się przygotowywać do świąt. Tak też czynią prusacy.

~~Nadchodzi~~

Radio podaje komunikat o niespodziewanej ofensywie wojsk angielskich w Egipcie. Po kilkuniedniowych walkach, Włosi rozpoczęli odwrót. Wojska angielskie, parły naprzód. Miła to wiadomość. Będzie temat do dyskusji w okresie świąt.

Od wielu tygodni, krążą po Prusach niewiarygodne pogłoski. W sposób zakonspirowany, na ucho - ludziska szepczą, że jeszcze we wrześniu, powrócił do Prus., Piotr Dorociak, oparowianin wywieziony w lutym i od marca tego roku przebywający wraz z rodziną na wygnaniu w obwodzie świerdżowskim. Przez dłuższy czas, nikt nie dawał wiary tym sensacyjnym wieściom. Pogłoski powracały jednak uporeczywie, wraz ze szczegółami uwiarygodniającymi prawdziwość szeptanego przekazu. Zdumiewająca nowina - jak dotychczas, z deportowanych w głąb Rosji nikt jeszcze nie uciekł. Były próby ucieczki, ale wszystkie nie udane. Beznadziejność tych prób, zapewniły odludne miejsca, w których osadzano zesłańców. Ciągły nadzór NKWD. Nie przebyte bagna i bezdroża tajg, oddzielające ich od cywilizowanych, zamieszkałych wysepek z rzadka porozrzucanych, po bezkresnej złowrogiej pustce. Współdziałanie miejscowej ludności, w tropieniu i wydawaniu zbiegów w ręce NKWD. Surowy klimat i brak możliwości zgromadzenia żywności na wielo-tygodniową, wyczerpującą podróż. Były to przeszkody wręcz nie do pokonania dla istoty ludzkiej. Ciągłe dochodzące wiadomości - upewniły wreszcie prusaków o ich prawdziwości. Podziw dla uciekiniera i intrygująca ciekawość były zaspokajane stopniowo. Po pewnym czasie nowe wiadomości przestały napływać, a na podstawie dotychczas zgromadzonych, powstała taka relacja:

Piotr Dorociak, po przybyciu na miejsce zesłania, był całkowicie załamany. Beznadziejność sytuacji spowodowała głęboką depresję. Stał się milczący, unikał jakichkolwiek rozmów. W pracy stronił od ludzi. Roboty starał się wykonywać w samotności. Pierwsza dostrzegła jego stan, żona, a zaraz potem towarzysze niedoli. Starali się mieć go na oku, aby nie popełnił jakiegoś głupstwa. Żona przypominała mu o obowiązku, względem dzieci. Słuchał jej przymówek bez słowa, ale też bez przekonania o ich słuszności. Czuł, że pogłębiająca się apatia, doprowadzi go do obłądzenia. Nosił się zamiarem samobójstwa. Niewiele brakowało, bo już utwierdził się w przekonaniu, że pozostała mu tylko śmierć. Bezwzględne postanowienie o samobójstwie, umacniało się i wypełniało wszechwładnie jego świadomość.

Pewnego razu, pokazała mu żona jakąś karteczkę. Obojętnie spojrzawszy na świstek papieru i milcząc, wpatrywał się w kąt izby.

Trwało to jakiś czas...gdy żona powie\_działa do dzieci-ale kto i kiedy będzie mógł przywieźć tę paczkę ze stacji? Coś drgnęło mą w świadomości i już nie odeszło.Przecież ten światek papieru.to awizo-domyslił się-awizo o nadejściu przesyłki. a jeżeli tak .to przesyłka mogła nadejść tylko z Prus.Wstał od stołu i zaczął chodzić po izbie.Paczka z Prus to nadzieja.Jak by z oddali,dochodziły słowa żony,-Noworolski poszedł do komandira z prośbą o zwolnienie z pracy,ale ten nie zgodził się.Babka Noworolska,wybiera się jutro po paczkę.Po raz pierwszy od wielu tygodni,myśl o śmierci odeszła z ~~jego~~ świadomości.Oczekiwanie na powrót babki Noworolskiej,dłużyło się w nieskończoność.Po szczęśliwym powrocie babki,wydarzenia potoczyły się tak,jak opisał to w liście Stefan Drozd.Każdy następny wyjazd odbywał się z reguły,przy udziale Dorociaka.Stało się to jego hobby,z którym ~~wp~~ oparowcy pogodzili się bez zastrzeżeń-paniętając o niedawnym jego-~~o~~ stanie psychicznym.Myśli o śmierci opuściły go zupełnie.Pojawiła się natomiast tęsknota za krajem rodzinnym.Na każdym kroku przypominał sobie wygląd Prus.Widział wieś rodzinną upięk-szoną marzeniami,szeroki horyzont nieograniczony lasami. Tajnę znienawidził za jej ogrom i monotonię widoku.Tylko drzewa ze wszystkich stron i ani kawałka wolnej przestrzeni. Ani się spo-ształ kiedy pojawiła się myśl o ucieczce. Początkowo nieśmiała, <sup>powracająca</sup> lecz ~~pojawiająca~~ z biegiem czasu,coraz częściej.~~Wzrostła~~ Myśl o ucieczce przemieniła się w twarde postanowienie,którego żadna siła powstrzymać nie zdoła.

Ze swego stanu nie zdradzał się przed nikim-nawet przed żoną. SSkrupuły nad położeniem rodziny,pozostawionej własnemu losowi, rozplýwały się stopniowo a po długich medytacjach,zeszły ze świadomości.Muszę uciekać za wszelką cenę,póki jeszcze ciepło.

Przy okazji wyjazdów po paczki,nawiązał znajomość z obsadą loko-motywy wąskotorówki.Przy spotkaniach ,częstował maszynistę i pala-cza-wódką.Znajomość przemieniła się w zażyłość. Zaczął gromadzić żywność-cukier,smalec i wódkę. Zateęsknił za sucharami,które musiała żona wypiekać i które zabie-rał rzekomo do pracy.W rzeczywistości,napełnił nimi spory woreczek. W paczkach były przesyłane ruble-mało przydatne w tajdze.Wszystkie ruble gromadził w sobie tylko wiadomym schowku.Wreszcie ~~przekłóci~~ przy którymś z kolei wyjeździe po paczki,zabrał z sobą przygotowa-ne zapasy.Po przyjeździe na stację,zbadał,że załadowany kłocami skład pociągu,przewodzony przez znajomą obsługę,ma wyjechać nie-długo

do Swierdłowska. Wlazł do wagoniku. Wyszukał niewidoczną wnękę pomiędzy kłocami i czekał.

Pociąg niebawem ruszył. Dzień cały przejechał w schowku a wieczorem ujawnił się załódze lokomotywy. Ci zaskoczeni i przerażeni, długo zastanawiali się co mają z nim zrobić, ale wreszcie po dyskusji zakrapianej wódką i gryzieniem sucharów, postanowili mu pomóc.

Po przyjeździe do Swierdłowska, skontaktowali go z obsadą pociągu towarowego, odchodzącego do Moskwy. Drogę do Moskwy przebył już w lokomotywie, jako pomocnik maszynisty. W Moskwie przy pomocy wódki i rubli, które tu miały już wymierną wartość - nowy kontakt z obsadą jadącą do Kijowa. Jako pomocnik maszynisty, dotarł do Kijowa a stamtąd podobny skok do Lwowa. We Lwowie, pociąg zatrzymał się na dworcu Podzamecze. Umorusany palacz wylazł z parowozu i po przejściu przez tory, znalazł się na ul. Nowozniesieńskiej a stamtąd spacerem do Prus. W Prusach sensacja, podziw dla śmiałości... ogólne potępienie.

Jak można było zostawić żonę i dzieci na pastwę losu? Taka była konspiracyjna ocena pruskiej społeczności. Z taką oceną przyszło żyć ściganemu Piotrowi Dorociakowi, z przeświadczeniem, że z konieczności, społeczność ta będzie go chronić wszelkimi sposobami tak, jak czyniła to i czyni w stosunku do wszystkich zakonspirowanych i ściganych, związanych wspólną dolą - uciekinierów.

..... Pewnego jesiennego dnia, przyjechały do Prus trzy wojskowe ciężarówki. Na samochodach jakieś skrzynie, okryte plandekami. Samochody zatrzymały się przy starym sadzie dworskim. Następnie przez przepust, wjechały na teren, zakupiony przed wojną przez kółko rolnicze, w czasie parcelacji majątku p. Krzeczunowicza. Zakupiony teren o powierzchni 5ha ziemi, miał służyć dla planowanej budowy nowej szkoły, piekarni i innych, jeszcze nie sprecyzowanych zamierzeń. Do wybuchu wojny zakupiono i zwieziono kamień pod fundamenty projektowanej szkoły i piekarni. Nowa sowiecka administracja upaństwowiła wszystkie budynki użyteczności publicznej, a problem szkoły rozwiązała, przeznaczając część administracyjnego budynku mleczarskiego, na sale szkolne. Przygotowany na fundamenty kamień został użyty do naprawy nawierzchni drogi.

Po wjeździe na omawiana powyżej działkę, samochody skierowały się na północną część stoku terenowego, na którym położona była działka. Z uwagi na to, że droga polna, prowadząca pod górę, biegła przez grunt gliniasty, podjazd pod górę, okazał się bardzo uciążliwym. Koła samochodów buksowały, obracając się dookoła osi, a samochód nie posuwał się do przodu ani o cal. Zwołani przez żołnierzy-

mieszkańcy, pomagali popychając pierwszy samochód ze wszystkich stron. Z wielkim trudem, samochód wspomagany przez ludzi wyostał się na górę. Następne dwa, po podobnych perturbacjach, również udało się przeprowadzić śladem pierwszego.

Rozładowano skrzynie i po zdjęciu plandek, okazało się, że na działkę zostały przywiezione: Aparat podsłuchowy i reflektor, dla celów obrony przeciwlotniczej. Energię do obsługi przywiezionego sprzętu, zapewniał agregat prądowórczy, ustawiony obok. Obsługa zamieszkała w ziemiance, wykopanej przez żołnierzy.

Oskłonę przed opadami zapewniała plandeka, rozpostarta w formie daszku, nad dołem ziemianki.

W ziemiance ustawiono prawdopodobnie jakiś piecyk, czy też kuchenkę, gdyż z wystającej ponad daszek rury blaszanej, kilka razy dziennie wydobywał się dym. Obsługa sprzętu prawdopodobnie, samodzielnie przygotowywała posiłki dla siebie.

Dostęp w pobliże sprzętu został zabroniony. Dowódca obsługi sprzętu - lejtnant, zamieszkał w jednej izbie w domu Grzeckiego, położonego nieopodal. Obsługa sprzętu nie naprzykszała się prusakom.

Przez dłuższy czas żołnierze nie oddalali się od swojej bazy. Rankiem wychodzili z ziemianki i pod komendą starszyny Aloszy odprawiali gimnastykę poranną, oraz biegali dokoła ziemianki.

Był to rytuał niezmienny przez cały okres ich pobytu. Nie zmieniał się w strugach jesiennej szarugi, w zadymkach śnieżnych i w czasie dwudziestostopniowych mrozów. Po marszobiegu każdy z żołnierzy dostawał suszoną rybę, którą spożywali chodząc dokoła ziemianki, przez dłuższy czas, zanim uporali się z tą kłopotliwą zagryzką.

Mieszkańcy ze współczuciem, obserwowali tę grupkę żołnierzy, żyjących ich zdaniem w nieludzkich warunkach. W całkowitej izolacji od otoczenia i w surowym rygorze dyscyplinarnym.

Izolację tę próbowali przełamać dzieci - nie bacząc na to, że Alosza, to wysokie chłopisko, odpędzał je głośnym krzykiem - nie lzia zdieś padchadit, paszli od tuda riebiata-.

Zbiegiem czasu Alosza jak gdyby ucichł i ostatecznie żołnierze toczyli w wolnych chwilach, ożywione dysputy z gromadą ciekawej dzieciarni. Prawdopodobnie za sprawą lejtnanta - dyscyplina po pewnym czasie, została złagodzona. Żołnierze mogli już wychodzić na wieś. Korzystali z tego ochoczo i przystawali nawet na krótką rozmowę. Zapraszani do mieszkań na szklankę gorącego mleka - stanowczo odmawiali. Widocznie obowiązywał surowy zakaz wchodzenia do mieszkań. Pewnego razu, młody żołnierz skorzystał z zaproszenia, lecz zanim

zdażył wypić mleko, do mieszkania wpał Alosza i z wrzaskiem rozkazał mu wracać do ziemianki. Po kilku dniach, żołnierz znikł z oddziału i nikt więcej go nie widział. Od tego czasu nie słyszałem, aby zakaz został przez któregoś ~~szkuta~~ żołdaka naruszony.

Pewnego dnia u schyłku zimy, odwiedziłem Zygmunta i Staszka Grzeckich w ich domu. Opowiadali mi oni o lejtnancie, który w charakterze lokatora zamieszkał w jednym pokoju ich domu.

Do wiedziałem się od nich, że lejtnant ma ordynans. Bardzo się zdziwiłem, bo regulamin sowieckiej armii nie przewidywał takiej funkcji. Zanim zdażyłem zapytać o szczegóły do tej informacji, drzwi od wynajmowanego <sup>pokoju</sup> otwały się, a w nich stanął żołnierz. Zobaczywszy naszą trójkę - zaprosił nas do pokoju. Aczkolwiek niechętnie, skorzystałem jednak z zaproszenia. Andriej - bo tak się nazywał sowiecki ordynans z miejsca rozpoczął mówić w stylu agitatora, zachwalając system komunistyczny, ujawniając wielkie osiągnięcia nauki i techniki w ~~na~~ sowieckim sojuszu. Słuchałem tyrady Andrieja z rozdrażnieniem, bo był to stereotypowy monolog każdego agitatora partyjnego, czy nie partyjnego, jakim był niewątpliwie Andriej. Z żadnym z nich nie sposób było nawiązać normalnej rozmowy chociaż by w minimalnym ~~was~~ stopniu - dyskusyjnej. Każdy Rosjanin, podejmując rozmowę recytował identyczne strofy z jakiegoś poradnika agitatora a podważanie logiczności przytaczanych twierdzeń, było sprawą niebezpieczną. Prostu nie było sensu jakakolwiek rozmowę podejmować, a cierpliwe słuchanie stawało się irytujące - nawet dla szesnastoletniego chłopca, którym byłem wówczas.

Andriej spostrzegłszy, prawdopodobnie, obojętność słuchaczy, ni stąd ni zowąd zapytał: słuchajcie - kiedy wam było lepiej, teraz czy przed wojną? ... Zacząłem mówić: każda ulica w ~~W~~ wowie zapełniona była sklepami, różnorodnych branż. W każdym sklepie był towar od rana do wieczora. W każdej chwili można było kupić wszystko, dosłownie od ~~z~~ igły do autobusu. Z mowy Andrieja, zorientowałem się, że mi nie wierzy. Zaskoczony, trochę zbity z tropu, zapytał ni stąd ni z owąd: a do cerkwi ty chodzisz? Tak chodzę, ale nie do cerkwi, tylko do kościoła. Widzisz jakiś ty głupi - słuchasz popa - a co on ci może mądrego powiedzieć. Przecież on nawet nie potrafi dobrze czytać, ani pisać. Zdumiony takimi bredniami powiedziałem: może tak było z waszym popem, bo u nas każdy ksiądz posiada wyższe wykształcenie. Z kolei żołdat zakłopotany... chwilę milczał, ale jakoś pozbiierał się i odpalił: ksiądz z wyższym wykształceniem? Oczywiście tak, aby mógł lepiej otumaniać ludzi.

U was można było kupić wszystko, ale był was kto tylko chciał. Nas zawsze każdy był? Zaraz zobaczymy.

Kto oberwał pod Orszą, pod Pskowem, pod Kłuszynem, pod Ochmatowem, kto powyciągał waszych carów Szujskich z Kremla i przywiózł ich do Warszawy, przekazując ich polskiemu królowi, jeśli nie hetman Żółkiewski. W przeciągu dwustu lat, kolejni carowie, ponosili klęski w swej ekspansji na ziemie litewskie. Już miałem na języku wojnę w 1920r, ale intuicyjnie, ugryzłem się w język. Na wspomnienie marszałka Piłsudskiego, rosjanie dostawali białej gorączki a wytknięcie im klęski w 1920r mogło spowodować w skutkach, groźne konsekwencje.

Andriej już z lekka zdenerwowany powiedział: jakąś czortową historię ty czytałeś, bo to wszystko nieprawda. Odpowiedziałem: albo w waszej historii te fakty oczywiście zostały pominięte, albo ty się źle uczyłeś. Ciągnąłem dalej: wielkie wrażenie zrobiła na mnie Krasnaja Armia, przy wkraczeniu do Lwowa. Piechota zmotoryzowana, potężna artyleria, największe wrażenie zrobiły na mnie czołgi. Takich czołgów w życiu jeszcze nie widziałem. Na to moje stwierdzenie, twarz Andrieja rozjaśniła się a on sam zapytał: a co polska armia takich tankow nie miała? Oczywiście, że nie. W czasie manewrów przed wojną widziałem tankietki z dwuosobową załogą, z karabinkiem maszynowym. Na defiladzie we Lwowie, z okazji powrotu wojska z manewrów, widziałem kilkanaście większych czołgów, wyposażonych w działko, ale przy waszych bojowych maszynach, ten czołg wyglądał by jak zabawka.

Po tych słowach twarz Andrieja rozgnodziła się całkowicie.

Widzisz jaka to potęga ta nasza krasnaja armia? Potężnego przemysłu potrzeba, aby takie czołgi produkować i to w takiej ilości dodał Andriej.

Nie chciałem całkowicie kapitulować, więc powiedziałem: tak czerwona armia to potężna siła, tysiące samochodów ciężarowych, tysiące armat i czołgów, ale dlaczego w mieście nie można kupić igły?

Na to Andriej po namyśle odpalił: bo my takim gawronem nie zanimajemy <sup>emisia</sup> ~~nasza~~. I pogardliwie machnął ręką. Tak, to argument nie do odparcia - pomyślałem.

Rozpoczęła się druga połowa marca 1941r. Dzień wydkużył się znacznie. Słońce przygrzewało przyjemnie a śnieg <sup>leć</sup> zniknął prawie zupełnie. Zalegał jeszcze w wąwozach dróg i w zagłębieniach terenowych. Stamtąd wypływały jeszcze strużki wody i lśniąc w słońcu, spływały po stokach pagórków i drążkach do Rudki na polach, względnie do Malec chówki na łąkach.

Uczęszczałem nadal do szkoły. Wasze kółko mandolinistów działało



nadal/ale spotkania nie były już tak częste, chociaż dyskusje nie mniej gorące, od tych początkowych. Przy wydłużającym się/niem, czas na wieczorne dyskusje skracał się.

Pewnego dnia, zebrałiśmy się w szkole w zmniejszanej liczbie. Na mandolinach nie graliśmy, ponieważ mandoliniści nie dopisali.

Niedawny pobór do wojska, zabrał znowu kilkudziesięciu młodych chłopców z Prus, którzy porozrzucani po różnych garnizonach, zaczęli pełnić służbę w szeregach krasnej armii. Rozmawialiśmy właśnie na ten temat, gdy w drzwiach stanął Broniek Kowalkowski. Twarz poszarzała, zupełnie odmieniona. Wszyscy zgodnie wyczuli, że stało się coś szczególnego. Co się stało Broniek?... Przed dwoma godzinami NKWD pochwytyło Marcina. Jak to się stało?... W godzinach południowych, Marcin wyszedł z domu i poszedł do kuzyna Józka Serwaczaka. Ten siedział w kuchni przy jakiejś robocie szewskiej. Przy okazji gawędzili z ożywieniem na temat wojny z Libii. Trwało to kilka godzin. Marcin już wybierał się do odejścia, gdy z sieni wpadła do kuchni, żona Serwaczaka z krzykiem - na podwórzu enkawudyści -. Marcin przysnął przez ~~okno~~ uchylone okno na dwór i pędem pomiędzy zabudowaniami w kierunku zagumienka. Wypadł spoza stodoł i koło Noworolskich spostrzekł kopiec z bursakami pastewnymi, z którego przez wykonany otwór wybierano buraki dla krów. Otwór zatkały wiązką słomy, dla osłony przed przymrozkami. Szybko skierował się do kopca, wlaźł do środka a następnie wciągnął wiązkę zasłoniwszy otwór. Enkawudyści tymczasem, nie zastawszy ofiary u Serwaczaka, wsiadli na wóz i skierowali się uliczką w kierunku zagumienka. Dojechawszy doń, skręcili w prawo, przejechali obok kopca, nie zwróciwszy nań uwagi. Nieco dalej, skręcili w uliczkę. Po paru minutach wrócili pieszo i skierowali się wprost do zignorowanego przed chwilą kopca. Jeden z nich odciągnął wiązkę i skierował lufę karabinu do otworu kopca, z krzykiem - wychań swołocz -. Marcin wyszedł, podniósł ręce do góry. Enkawudyści obszukali go i poprowadzili w kierunku pozostawionego wozu. Potem do rejonu, z rejonu do Lwowa i tam ślad zginął. W domu została żona z małym synkiem.

Przecież to jaskrawy przykład roboty konfidenckiej. Przyjazd wozem wprost pod drzwi Serwaczaków, a potem powrót do kopca. Kto skierował do kopca, to wiemy prawie na pewno. Ale co z tego - Marcin przepadł - powiedział Broniek.

Załamani zupełnie, opuściliśmy szkołę i podążyliśmy do domów.

Było to ostatnie spotkanie mandolinistów w sowieckiej szkole w Prusach.

Dzień za dniem upływał, w monotonii uciekającego czasu.

Nadszedł kwiecień a z nim nowe wydarzenia na teatrze wojennym. Niemcy uderzyli na Jugosławię i Grecję. Kampania toczyła się błyskawicznie. Jugosławię prawie nie stawiała oporu. W Grecji zmotoryzowane pancerne dywizje, toczyły się dolinami rzek w kierunku wybrzeża morskigo, miazdząc wszelkie próby oporu. Potężna Luftwaffe, wspomagała wojska lądowe, panując wszechwładnie w powietrzu.

Nie pomógł udział angielskiego korpusu ekspedycyjnego. Wprawdzie z chwilą wejścia korpusu do walki, opór oddziałów Grecko-Angielskich wzógł się. Przewaga niemiecka była jednak przygniatająca a osłona powietrzna angielskich Hurricane'ów, zbyt słaba, aby ograniczyć skuteczność lotnictwa niemieckiego.

Ostatecznie Anglicy ewakuowali część wojsk do Afryki Północnej i na Kretę a reszta dostała się do niewoli, lub kontynuowała walkę w partyzantce greckiej.

W trzeciej dekadzie maja dywizja spadochronowa ~~paraszutkowiek~~ ~~przewodzeni~~ dokonała desantu na wyspę grecką, Kretę. Po początkowych niepowodzeniach, ostatecznie do końca maja, wyspa została przez Niemców opanowana.

#### -IX-

W Prusach życie toczy się dalej. Każdego tygodnia, formacja wozów z robotnikami, wyjeżdża do wsi Parchacz koło Krystynopola nad Bugiem. Uczestnicy prac fortyfikacyjnych, opowiadają, że pierwsza linia umocnień jest już gotowa. Bunkry żelbetowe z pancernymi kopułami, ze stanowiskami dla karabinów maszynowych, oraz większe bunkry, są przygotowane <sup>do</sup> zamontowania dział artyleryjskich.

Na drugiej linii roboty znajdują się w stadium początkowym.

Na linii robót, masa ludzi i wozów zatrudnionych od rana do wieczora.

W Zapytowie, przy budowie lotniska polowego, niwelacja płyty lotniska na ukończeniu. Wszędzie ludzie i konie, popędzani do pośpiechu przez uzbrojonych krasnoarmiejców.

Nad Lwowem daje się odczuć wzmożona aktywność lotnictwa, szczególnie myśliwskiego. Eskadry myśliwców w szyku bojowym dokonują lotów ćwiczebnych. Samoloty te, nazywane przez Polaków iszakami i czajkami, latają na dużych wysokościach. W końcowej fazie lotów, nurkują gwałtownie i mknąc nisko nad płaską doliną Pełtwi zakłócają ciszę panującą na wsi, hukiem silników aż drżą szyby w oknach, pędzą na lwowskie lotnisko.

Porównują te myśliwce z polskimi P-11. Pomimo sentymentu dla

wozie

polskiego pułaszczaka, wypada dla nie/ nie korzystnie. Kształt pułaszczaka trochę już archaiczny w locie. Górnopłat z zastrzałami-  
wysunięte w czasie lotu-w sumie sylwetka niezbyt piękna.

Iszaki i Czajki, mają podwozie składane, krótkie i pękate w sumie jednak sylwetka zgrabna. Te walory, robią wrażenie większej prędkości w locie, aniżeli jest to prędkość faktyczna, chociaż zdecydowanie większa od P-11. Od połowy 1940r. w powietrzu pojawiły się nowe myśliwce. Były to Migi-3. Sylwetką zbliżone do Messerschmitta. Szybkość Migów-3. zbliżona do najlepszych konstrukcji światowych. Samolotów tych jest mało. Niebo nad Lwowem jest opanowane przez Iszaki i Czajki. Bombowce o sylwetce nowoczesnej, z rzadka pokazują się tle nieba.

W drugiej połowie kwietnia, przeleciała przez wieś złowieszczą nowina. Niespodziewanie wpadła ekipa NKWD i zabrała celem deportacji rodziny Krzyszczyków i Noworolskich. Deportacja była dalszym ciągiem historii z wykryciem granatów u Kawiaków. Z rodziny Janka Krzyszczyka zabrano matkę starszą, siostrę i brata. Brat Staszek, kaleka, chory na guzlicę, w ostatnim stadium, prosił ekipę enkawudystów o pozostawienie go w domu, bo tu chce leżeć u boku niedawno zmarłego ojca. Nic to nie pomogło. Władza sowiecka sprawiedliwa i konsekwentna- zwłaszcza do polskich buntowczyków- nieubłagana. Staszek zmarł w drodze, po kilku dniach podróży.

Broniek Serwaczak. od dwu lat żonaty z Zosia Noworolską- zamieszkał w jej domu. W nie długim czasie po ślubie, wydarzył się incydent z granatami. Bronkowi szczęśliwie udało się uniknąć aresztowania i ukrywał się już półtora roku.

Wiadomość o przybyciu ekipy NKWD dotarła zarówno do Janka, jak i Bronka w czas. Obydwaj ukryli się, a tu taka niespodzianka, której nikt nie brał pod uwagę. Oba uciekinierzy, dowiedzieli się o ~~zab~~ <sup>depor-</sup> ~~razu~~ <sup>tacji</sup> ~~rodzin~~, już po zabranii ~~rodzin~~ <sup>ich z Prus</sup>. Chcieli się zgłosić na NKWD, ale sąsiedzi wyperswadowali im ten zamiar. To już za późno. sami przepadnięcie a wywiezienia rodzin swoich już nie cofnieć- mówili. Od Noworolskich zabrano rodziców żony, kabrata kalekę, oraz żonę Bronka-Zosię.

Przez parę dni, ta nowa tragedia była tematem dominującym w rozmowach prusaków.

Ta zaraza nie widzi, co nad nim wisi- mówił Piotr Preis. Przecież każdy kiej widzi, że nie- długo, przyjdzie mu się zmierzyć z niemiecką potęgą. W razie konfliktu z Niemcami, Polacy chcąc nie chcąc, staną się jego sprzymierzeńcem.

Ej Piotrze-Piotrze-włączył się Karol Koziarski-z tym sojuszem to marzenie świętej głowy.Przecież w przebiegu całej naszej historii nie ma ani jednego przypadku,w którym Polacy i Rosjanie, stali w jednym szeregu,z bronią w rękę,przeciw wspólnemu wrogowi. Przez całe wieki naród polski walczył z imperialistycznymi roszczeniami carskiej Rosji.Dziś jest tak samo-tylko kolor wroga się zmienił.

My tu mówimy o bliskiej wojnie,a zobaczcie,co jedzie na torze od strony Barszczowic?Rzeczywiście torowiskiem kolejowym,w kierunku Lwowa posuwa się transport kolejowy złożony z długiego węża cystern. Mówią kolejarze,z Prus, że te wszystkie cysterny z paliwem, idą do Niemiec. Od ponad roku, podobne transporty, toczą się codziennie do Reichu.Skrupulatnie dotrzymują sowieci umów z Hitlerem.

Na sowieckiej benzynie Niemcy rozwalili Francję. Ależ była by to heca,gdyby na ich własnej benzynie własny bombowce niemieckie, zamieniały w ruiny sowieckie miasta.To co widzimy na torze bardzo uprawdopodobnia taką ewentualność-zakończył Preis.

Przysłuchując się tej rozmowie przypomniałem sobie, że już południe i czas na obiad.Przychodzę do domu, a tu właśnie matka przyjechała i z ożywieniem opowiada:byłam w mieście,bo to trzeba kupić do kuchni i tłuszczu,cukru,chleba, a także nafty do lampy.Po załatwieniu zakupów wracam do zajazdu, do Wolańskich, z którymi zabrałam się do Lwowa. Przechodząc koło Wassersteina, słyszę głos:ciociu-ciociu!Patrzę w kierunku głosu i widzę obcego furmana, obok którego siedzi jakiś umundurowany z tyłu na słomie,znajoma twarz Stacha Drozda. Ostrożnie podchodzę do wozu.Soldat zajęty rozmową z woźnicą. Co tu robisz, Stachu, pytam półgłosem:~~o co chodzi~~ Ciociu, ja aresztowany, dajcie znać do domu.Szybko wyjęłam z koszyka bochen chleba i pęto kiełbasy-pożyłam przy Stachu.Dziękuję-nie spodziewałem się aresztowania i nie mam nic do jedzenia.Pozdrowcie moich i znajomych.Więcej nie można było mówić,bo ze sklepu wyszło dwu żołdatów z karabinami i skierowało się do wozu.To i tak cud, że ten zagadany żołdat na wozie nie zwrócił uwagi na to,co się za siedzeniem dzieje.

Po obiedzie poszła matka do żony Stacha i opowiedziała o niecodziennym spotkaniu z jej mężem we Lwowie.Magda Drozd, zaskoczona tą wiadomością, opowiedziała, że mąż <sup>dość</sup> wezwane z rejonu w Jaryczowie.Stach poszedł spokojny,bo niczego na sumieniu nie miał.Fakt aresztowania spadł na nią jak grom z jasnego nieba.Poszła Magda do NKWD w rejonie,zapytała o przyczynę aresztowania i usłyszała od enkawydysty:

-eto wrag naroda-. W domu pozostaje Magda z trójką dzieci. Pod koniec pierwszej dekady maja, rozeszły się pogłoski o groźbie NKWD, aresztowania rodzin-wszystkich ukrywających się prusaków. Nikt -nawet nie próbował podważać prawdopodobieństwa tych pogłosek, mając w pamięci niedawną deportację Krzyszczyków i Noworolskich. Wszystkie rodziny, które nigdy w swym gronie-ściganych, przeżywały swoje dni grozy. Szwagier Drozd-kiedy pogłoski dotarły do niego-powiedział:nie ma rady trzeba się przygotować. Nie mam zamiaru narażać nikogo z bliskich na takie niebezpieczeństwo.To jest mój problem i ja sam muszę go rozwiązać. Jutro idę do NKWD.Nie śpiesz się-mówi matka.Najpierw dowiemy się,coinni ukrywający się o tym myślą.

Tego dnia, odwiedził nas były wójt gminy w Prusach-również ścigany. W ostatnich miesiącach, zaprzyjaźnił się on z Piotrem Dorociakiem. W ustronnych miejscach, gawędzili sobie, pogrywali w karty a czasem wypili kielicha. W ostatnim czasie, zauważyłem zaktywizowanie się konfidentów w Prusach. Tropią w szczególności mnie. Z ukrycia zauważyłem, że dwu z nich, na zmianę, kręcą się koło mojego domu, prawie codziennie. Teraz Muszę się mieć na baczności. Muszę też pilnować Mietka, bo młode to i lekkomyślne, zapomina czasem o swym położeniu. To samo zauważył Piotr Dorociak. Jego też zaczynają tropić ze zwiększonym natężeniem.

Włączył się do tego, szwagier Drozd. Tej wiosny dwukrotnie, onal nie wpadł. Pierwszy raz, było to gdzieś około dwudziestego marca. Był piękny słoneczny dzień. Nabrałem ochoty na dłuższą przechadzkę. Najlepiej-myślę-będzie pójść kawałek w pole. Zwierzyłem się ze swego zamiaru żonie-Zosi. Zosia podchwyciła ten pomysł z zachwytem, nie mamy przecież okazji do dalszych spacerów.

Więc naszerujemy przez zagumienek na drogę-kawałeczek pod górę. Tam widać już wioski już nie widać. Natomiast rozciąga się przed nami rozległy widok na pola. Widoczność doskonała, wykluczająca jakiekolwiek zaskoczenie. W rozległej perspektywie nie widać żywego ducha. Idziemy z przyjemnością. Dochodzimy do Rudki. Koło Rudki, postanawiamy przedłużyć naszą przechadzkę aż do toru kolejowego. Puste pola dają poczucie bezpieczeństwa. Przy samej Rudce, widoczność ogranicza się tylko do kotlinki tego strumyka. Postanawiamy szybko wyjść z kotlinki, gdyż przy zawężonej widoczności, czujemy się nie swobodnie. Wychodzimy na krawędź stoku kotlinki. Z lewa w odległości kilkuset metrów, spostrzegamy jakąś postać jadącą rowerem, po drodze równoległej do naszej. Chyba zignorujemy rowerzystę-jedzie w dość dużym oddaleniu-przejedzie i pojedzie. Idziemy dalej. Zerkam na rowerzystę ten zatrzymał rower, schodzi z roweru i zaczyna kroczyć ku nam, na przekąj.

Zatrzymuję się i zastanawiam, jak nastąpić - zawrócić <sup>887</sup> i spojrzeć na nieznanego. Józku - mówi Zosia, wydaje mi się, że to jakiś żołdat w mundurze. Tego nie można lekceważyć - Zosia ma oczy jak sokół. Wracamy Zosia - mówię. Zawracamy i normalnym krokiem idziemy. Zerkam na rowerzystę a ten pomimo, że z rowerem i przez zaorane pole, przyspiesza kroku. Żarty się skończyły - przyspieszamy i my, wchodzimy w kotlinkę Rudki. Rowerzysta znika nam z oczu. Teraz Zosiu biegiem - mówię. Truchtem dobiegamy do Rudki. Skracam w lewo. Dlaczego Józku? pyta Zosia. Nie możemy iść drogą prowadzącą warost do naszego domu, bo jeżeli to enkawudzista, to domyśli się, kto ucieka przed nim. Pędem dobiegamy do dróżki równoległej do naszej, ale jej koniec ma wylot koło Raszczyńskich i Koziarskich. Pędzimy pod górkę kotlinki. Dobiegamy na górę stoku - oglądam się i widzę rowerzystę, który w prawdzie nie zbliżył się do nas, ale już nie pieszo, ale rowerem zjeżdża nasną dróżką w kotlinkę Rudki i ginie nam z oczu. Zosiu biegiem - mówię, bo ten diabeł na rowerze, może nas dopędzić. Już mocno zmęczeni, ale dopingowani strachem, pędzimy ku nie dalekim zabudowaniom. Józku ja już nie mogę - mówi zdyszczonym głosem Zosia. Wytrwaj jeszcze kawałeczek - mówię... i już jesteśmy koło stodoły Koziarskich. Obok stodoły, Magda Koziarska. Magdziu pomóż - mówi zdyszczonym głosem Zosia. Natychmiast do stodoły - krzyczy Magda i otwiera bramkę. Wbiegamy do stodoły - do zasieku, przystawiona drabina. Zosia na górę - mówię przytkumionym głosem. Pomagam jej i sam wchodzę na górę. Błyskawicznie wciągamy drabinę i kładę <sup>na</sup> snopki. Na krawędzi zasieku, odrzucam snopki i mówię półgłosem - kładź się tu a następnie przykrywam Zosię snopkami. Sam idę do naroża stodoły i wciskam się pomiędzy snopki a drewnianą dylinę ściany. Jest dosyć luzno, więc zjeżdżam prawie do samej ziemi. Przytykam głowę do dyliny i przez szparę obserwuję otoczenie. Aż wzdrygam się... - kilka metrów od ściany, stoi nieznanomy w mundurze i rozgląda się. Z za węgła chałupy, wychodzi babka Raszczyńska. Nieznajomy żołdat, wraz z rowerem, kieruje się w stronę babki i pyta po polsku: babciu, czy nie widzieliście mężczyzny i kobiety uciekających z pola? Coby dziś w polu robił mężczyzny z kobietą?... Chyba na amory im się zebrało a ty głupi, spłoszyłeś ich i jeszcze za nimi gonisz. Nie żartujcie sobie babciu, musieliście ich przecież widzieć. Tak widziałam. I co? i schowałam ich. Gdzie? O tu - klepnęła się babka ręką po tyłku. Pokazać ci? I babka łapie od tyłu spódnice i z lekka unosi do góry. Pokazać ci więcej? - pyta. Umundurowany męro - cze coś.

Jak gdyby kłął. Zawraca, jak by z zamiarem powrotu. Znowu zawraca-  
idzie wolnym krokiem a następnie wsiada na rower i zjeżdża uliczką  
w stronę gościńca. Po chwili nadchodzi Magda Koziarska i woła:  
Zosia...Zosia-wychodźcie! Gramolę się z kryjówki odkrywam Zosię,  
opuszczam drabinę i schodzimy na klepisko. To był Staszyński-mówi  
Magda.Odjechał już w kierunku Sielrady. Staszyński? Zosia, jaki to  
honor.Uciekaliśmy przed samym szefem konfidentów. Otrzepujemy się  
ze słomy i jeszcze rozdygotani-powracamy do domu.

Opowiadała ni o tym Magda-a co ci się przydarzyło drugim razem?

Zapytał Preis.

Było to niespełna dwa tygodnie temu. Ojciec wyrzucił resztki snopków  
jęczmienia i zaczął cepem młócić. Wylazłem z kryjówki, wzięłem drugi  
cep do ręki i pomagam. Snopków było niewiele, więc uwinęliśmy się w  
w tryniga. Z sąsiedztwa nadszedł Broniek Lewicki i usiadł na podwa-  
linie przy bramie. Tato-mówię, przyniesiemy młynek od Lewickich  
i szybko oczyścimy ziarno. Nie trzeba-mówi ojciec, ziarna niewiele,  
przewieję je rzeszotem, na wietrze. Z przyzwyczajenia -przezorny,  
wyłażę na zasiek ze snopkami i zaczynam rozmawiać z Bronkiem.

W pewnej chwili widzę, że Broniek siedząc przekręca się w kierunku  
na dwór i patrzy jakby wystraszony. Podciągam nogi do góry i leżąc,  
przetaczam ciało po snopkach dalej, od krawędzi zasieku.

Słyszę głos po polsku. Czy Bronisław Lewicki? Tak -odpowiada Broniek.  
...Przez chwilę cisza...a później ten sam głos-ales się przestraszył-  
serce bije ci, jak młot...słyszę śmiech. Podobno masz prawo jazdy  
a my w rejonie potrzebujemy kierowcę. Tak-prawo jazdy mam, ale  
gorzej z dojazdem do pracy .Głos przyciszony-domyslałam się, że  
Broniek wstał i odchodzi z interesantami ze stodoły.

Chwilę jeszcze leżę....słyszę głos ojca-już odeszli. Siadam, ale  
nie schodzę jeszczej myślę. Szczęściem, nie dźwigaliśmy do stodoły  
młynka-chwycili by mnie przy czyszczeniu jęczmienia.

Wrócił Broniek i mówi: już poszli, możesz schodzić. Kto to był?  
pytam. To był Staszyński z Barszczewskim-odpowiada Broniek.

Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, jak łatwo można wpaść i to zupeł-  
nie przypadkowo.

Tak, tak, naszym życiem rządzą przypadki-mówi Preis. Ale do rzeczy.  
Przyszedłem do ciebie, jako najbliższego sąsiada, którego los jest  
taki sam, jak mój. Ostatnie wydarzenia, że znaleźliśmy się w pułapce.  
Teraz pozostaje nam tylko ujawnienie się. Jeżeli tego nie zrobimy,  
to narazimy większy krąg, bliskich nam ludzi. Nie możemy mówić

O jakiegokolwiek taktyce ujawniania się, ale jak pokornie baranki też nie pójdziemy. Jeżeli pójdziemy to z pełną świadomością, że innego wyjścia nie ma. Szkoda, że problem ten wyłonił się właśnie teraz. Sytuacja polityczna wskazuje na to, że w niedługim czasie nasze położenie uległo by samo-rozwiązaniu. Chodzi mi o prawdopodobieństwo wybuchu wojny i to w najbliższym czasie. Rozmawiałem na ten temat z Dorociakiem Piotrem. Byłem zdziwiony, że Piotr nie okazuje żadnego zaniepokojenia spowodowanego pogorszeniem naszej sytuacji. Podejrzewałem, że on nie wie o groźbie NKWD, i próbowałem go uświadomić, ale przerwał mi i powiedział: ja wszystko wiem. No i co nie przejmuje się? Nie przejmuję się i podjąłem decyzję. Jaka ona jest? pytam. Pojutrze zgłaszam się do NKWD. Wiesz, Janek spadł mi wielki ciężar z piersi, od wielu tygodni nosiłem się z tym zamiarem a to zagrożenie, pomogło mi w podjęciu postanowienia. Oddawna tęsknię za dziećmi i moją Kaśką. Nie zwierzałem się z tym nikomu - z jakiej przyczyny, to wiadomo. Czas spędzony w Prusach, od mojego powrotu, pozwolił mi osądzić mój postęp. Nigdy w życiu nie zdawałem sobie sprawy z tego, czym jest dla mnie moja rodzina. Dopiero teraz wiem, jak jest mi drogą. Ale czy jesteś pewny, że sowieci pozwolą ci wrócić tam na miejsce? Być może, że wsadzą mnie do więzienia. Wszystko mi jedno, zasłużyłem na karę. Lżej mi będzie w więzieniu, jak tutaj. Więzienie będę traktował, jak zasłużoną pokutę za popełnioną winę. Szkoda, bo zanosi się na wojnę - mówię. Wojna nie była by wybawieniem dla mnie. Jeżeli Niemcy uderzą, to z pewnością pójdą naprzód - i wtedy mur oddzielający mnie od najbliższych będzie nie do przebycia. Milcząco przyznałem mu rację. Ponieważ nasza rozmowa miała miejsce wczoraj, to ujawnienie się Piotra nastąpi jutro. W zależności od reakcji NKWD zdecydujemy o naszej decyzji jutro. Ciągle mam nadzieję na pomyslnie rozwiązanie naszej sytuacji - zakończył Preis.

Następnego dnia przyjechał do Sielrady naczelnik NKWD, Majorow, ze świtą. Skorzystał z tego Dorociak i wzięwszy przygotowany węzełek, pośpieszył do sielrady, aby zaoszczędzić sobie marszu do rejonu w Jaryczowie. Wszedł do Sielrady, a asysta mieszkańców wsi śledziła wejście. Czekali dość długo - prawie godzinę.

Wreszcie otwierają się drzwi wejściowe a w nich ukazuje się postać Dorociaka z węzełkiem - bez asysty NKWD. Piotr wychodzi na gościniec i kieruje się w stronę domu.

Po godzinie cała wieś już wie, że po zgłoszeniu się Dorociaka, nastąpiło coś w rodzaju przesłuchania, z czego sporządzono protokół.



który enkawudzista/podsunał Piotrowi do podpisania, na wskazanym palcem miejscu. Następnie kazali zabierać węzełek i odejść do domu. W ciągu trzech dni ma podjąć pracę w kółchozie w Pikułowicach. Równocześnie zobowiązali Piotra do powiadomienia wszystkich ukrywających się, że od jutra będzie urzędował w Sielradzie funkcjonariusz NKWD, do którego wszyscy powinni się zgłosić. Zavrzało w Prusach. Toż sam coś zdumiewającego. Jest to pierwszy przypadek, aby NKWD wypuściło ze swoich łap ofiarę. Dorociak przez swą ucieczkę z Uralu, stał się przecież podwójnym przestępcą. To szatański podstęp. Czekają aż się zgłoszą wszyscy pozostali. Takie przeważnie opinie, padały z ust dyskutantów w pruskich domach i na gościńcu. Do naszego domu przyszedł znówu Jan Preis. Wraz ze szwagrem, z poważnymi twarzami rozważali zowstałą sytuację. Po bolszewikach można się wszystkiego spodziewać - mówił Preis. Wszystko o czym się mówi może się sprawdzić. Jedno jest pewne a mianowicie to, że groźba deportacji naszych rodzin, ulegnie zwłóce na pewien czas. Nie wierzę enkawudzistom. Prawdopodobnie sytuacja polityczna sowietów skłoniła ich do takiego kroku. W obliczu konfliktu zbrojnego, niewygodną okolicznością byłoby istnienie zakonspirowanej, walczącej z desperacją o życie, grupy obywateli. Chcąc skończyć z tą sytuacją przed wybuchem konfliktu. Optymistyczną okolicznością, jest fakt nakazu pracy dla Dorociaka. Moim zdaniem, zgłosić się musimy, ale według następującej taktyki: Do NKWD, będziemy się zgłaszali pojedynczo. Każdy następny z nas będzie wchodził do Sielrady, po opuszczeniu jej przez poprzednika. Sposób postępowania w dalszej przyszłości, omówimy po jutrzejszym, oby pomyślnym eksperymencie. Ten sposób ujawniania się, został zaakceptowany przez wszystkich ściganych.

Następnego dnia, wszyscy ukrywający się, wyruszyli do sielrady. Do środka wchodził tylko jeden, a następny oczekiwał, na wyjście poprzednika. Do południa wyszli wszyscy, każdy z nakazem pracy. Pierwszy etap zakończył się pomyślnie. W najgorszym nastroju był Dorociak, którego plany połączenia się z rodziną, zawisły w próżni. Ponieważ praca w kółchozie, była w społeczności pruskiej nie popularna, a nawet, poniżająca - ujawnieni prusacy podjęli starania w rejonie o zamianę na pracę w Torftręście, przy wydobyciu torfu na błotach. Rejon wyraził na to zgodę i po kilku dniach, jako wolni obywatele sowieckiego sojuza, w nocie czoła wydobywali torf na potrzeby gospodarki sowieckiej.

Przy okazji przyznawania torfu na błotach, odwiedzałem brygadę

kopaczy. W składzie brygady był również Piotr Dorociak. Przy okazji kolejnej wizyty, byłem świadkiem jego relacji. Jeszcze z okresu jego pobytu w tajdze Otóż mój szwagier Drozd, zapytał Piotra o tajemniczych zesłańcach w obozie w tajdze-wrogo usposobionych, do oparowców. Ano tak, podjął podsunięty temat Dorociak. Rzeczywiście już w pierwszych dniach pracy w tajdze, zobaczyliśmy nieznanymi robotników, zatrudnionych przy wyrębie tajgi w odległości kilkuset metrów. W pierwszych dniach po odbyciu norderczej podróży, byliśmy zupełnie obojętni. Po tygodniu pomimo ciężkiej pracy i głodowego wyżywienia przyszliśmy trochę do siebie. Dożywieliśmy się trochę w barakach z przywiezionych resztek żywności. Z domu każdy wziął z sobą chleb, trochę cukru, kaszy, tłuszczu, mąki, i wędlin, które posiadali niektórzy szczęśliwcy w domu, w chwili deportacji. Chleb, smalec i wędliny, zużyliśmy w czasie podróży. Trochę cukru, mąki i kaszy, dowieźliśmy na miejsce. Wolański skombinował, coś w rodzaju piecyka, więc z mąki razowej piekliśmy podplomyki, z pozostałych resztek wiktuałów, każdy kombinował posiłki według własnej recepty. Liche to były posiłki, ale znacznie pożywniejsze od otrzymanywanych w obozowej kuchni. Wraz z polepszonym samopoczuciem, nadeszło zainteresowanie miejscem pobytu i pracy.

Najwcześniej przystosował się do zaistniałych warunków, twój brat Stefan. Z natury to wesoły i pogodny człowiek. W pierwszym okresie jego rola była wprost nieoceniona. On jeden potrafił się jeszcze śmiać. W najbardziej pesymistycznej sytuacji, do powiezienia jakimś kawałkiem, potrafił wyszukać komiczny element w naszym położeniu do powiedzenia jakiegoś kawału. Klęliśmy na tajgę a on mówił, że to park narodowy sowieckiego sojuza. Każdy nadzorujący enkawudzista otrzymał od niego przydomek. Był lejtnant-kaczka, starszyna-hipopotam, bojec-bocian, drugi bojec-mrówkojad itp. inne przydomki.

Do czasu mojej ucieczki, wszyscy oparowcy określali poszczególnych enkawudzistów, przydomkami nadanymi im przez Stefana. Równocześnie bardzo prędko opanował język rosyjski. Trzepał po rosyjsku niczym rodowity Rosjanin a kłął jeszcze lepiej. Doskonale radził sobie z enkawudzistami. Doszło do tego, że wszyscy nadzorujący enkawudziści podchodzili do nas z minami pomurymi niczym podrażnione jeże-przy zetknięciu się ze Stefanem, rozjaśniali gęby a gdy rabnął po rosyjsku jakiś kawał-rechotali niczym żaby w stawie.

Ale powracając do tajemniczych robotników.

Zapytał kiedyś enkawudzistę Bednarski Janek-co to za ludzie pracują nieopodal nas? Enkawudzista odburknął: nie tobie do tego-nie lizia

k nim padchadit i z nimi razgawariwat-. Głupi na t.zw. obiad, scho-  
dziliśmy z roboty razem i w kolejce musieliśmy się z nimi stykać.  
Pierwsza próba nawiązania rozmowy-nieudana. Tylko surowe, niechętnie  
spojrzenie i odwrócenie głowy-bez słowa.

Tak było przez sporo dni. Spróbował kiedyś Stefan-z takim samym  
skutkiem. Ale Stefan nie dał za wygraną i ciągnął po rosyjsku,  
-izwinitie nienia, wy nawierno nie z etoj ziemi, no wy iz Marsa  
zdiesz popali--My takie sameje ludzi, kak wy- odburknał zarosnię-  
brodacz. Tak to co innego-roześmiał się Stefan i najbliżej stoją-  
cy oparowcy. Było to pierwsze przełamanie lodów. Nasi towarzysze  
nie doli, odzyskali głos. Płynął dzień za dniem i z biegiem czasu  
coraz więcej niemowów, ujawniało posiadanie głosu.

Były to jednak wymiany pojedynczych słów, czasami jedno zdanie.  
Próby nawiązania dłuższej rozmowy, nie dawały rezultatu.

Na pytania w jaki sposób znaleźli się w tajdze odpowiadali: my  
zdiesznyje-. Przyjęliśmy to bez komentarzy, chociaż nasuwały się wa-  
pliwości, dotyczące prawie zupełnego braku, wśród nich dzieci i mło-  
dzieży.

W międzyczasie zaczęliśmy otrzymywać paczki. Prawie każda paczka  
zawierała papierosy i tytoń. Przy okazji, dochodziło do poczęstunku  
traktorystem, lub tytoniem. Ze zdumieniem przyjmowali fakt, że przy  
częstowaniu tytoniem, dostawali również specjalną bibułkę, do wyko-  
nania skręta. Takich bibulek-większość z nich w życiu nie widzia-  
ła. Tu w tajdze do wykonania skręta, rarytasem było zdobycie kawał-  
ka gazety.

Minęło sporo tygodni, zanim jeden z tajemniczych towarzyszy nie-  
doli oświadczył: my kozacy z Kubania.

Nastąpiła dramatyczna opowieść:

Po wybuchu rewolucji, Kozacy kubańscy stanęli w obronie caratu,  
przeciwko rewolucji komunistycznej. Konsekwentnie walczyli z czer-  
wonymi do końca, t.zn. do zwycięstwa rewolucji.

Niebawem zaczęły się masowe deportacje w nieznanym kierunku.  
Wieś ich została wysiedlona w 1922r. Po przyjeździe na miejsce  
zesłania, część z nich, była pędzona do wyrębu tajgi, część budował  
baraki, które przetrwały do dzisiaj. W barakach mieściło się  
cztery tysiące zesłańców. Nieludzkie warunki bytowe i klimat  
północnego Uralu, powodowały ogromną śmiertelność zesłańców, po-  
chodzących z południa Rosji, z upalnego, urodzajnego Kubania.  
Już w nie długim czasie, nie będzie po nas żadnego śladu-mówili.  
Do dzisiejszych dni, pozostało przy życiu niespełna 400 osób.

Pogodziliśmy się z naszym losem. Wy dostajecie listy i paczki. My od początku naszego pobytu w obozie, nie otrzymaliśmy, ani jednego listu a tym bardziej paczki. Nasz los jest przesądzony. Wy możecie przeżyć, bo macie swoich, którzy o was pamiętają i wyzwolą, gdy świat się zmieni.

Dlaczego nie chcieliście z nami rozmawiać i tak wrogo odnosiliście się do nas? - zapytał Stefan.

Jeszcze przed waszym przybyciem, NKWD zrobiło miting, na którym, poinformowano nas, że w niedługim czasie przyjadą do obozu folsacy burżuje i kułacy, którzy mordowali robotników i chłonów. Nie wolno z tymi wrogami narodu nawiązywać żadnych kontaktów.

Myśmy uwierzyli enkawudystom.

Jednakże obserwując was i stykając się z wami, stopniowo pozbywaliśmy się uprzedzeń a wasz przyjazny stosunek do nas, utwierdził nas w przekonaniu, że wy nie jesteście złymi ludźmi.

Noż i zobacz Pior, co komuniści zrobili ze swoim narodem - powiedział szwagier Drozd. Branie solą w oko stają im te paczki,

które wysyłamy oparowcom. Od kilku miesięcy poczta we Lwowie nie przyjmuje paczek. Wyznaczyli nam zastępczą szl w Równem a to przecież prawie 200km jazdy pociągiem. Mało tego, że daleko, ale zdobyć miejsce w wagonie, to wyczyn godny akrobaty cyrkowego. Wszystkie pociągi są tak załadowane, że igły nie wścibisz. Do Równego można dojechać tylko na schodach i to jeszcze za łapówkę dla konduktora. Za łapówki grozi surowa kara, ale to nie odstrasza łapowników. Szybko zwęszyli sowiecy kolejarze okazję wyciągnięcia haraczu od ludzi i wykorzystują ją bezlitośnie. Pomimo zaradności prusaków, podejrzewam, że obecnie wyjeżdża mniej paczek, niż w roku ubiegłym. Przecież im o to chodziło - zakończył Dorociak.

Odszedłem od kopaczy ciężkim sercem. Od półtora roku jestem świadkiem nie wyobrażalnej, ludzkiej tragedii. Propaganda płynąca z fal radiowych literatury i prasy. Arogancko-nachalny ton propagatki, grzytający w uszach prostą monotonią. To zbyt duże obciążenie dla młodszej duszy. Czuję, że przedwcześnie dojrzewam. Ukończyłem właśnie siedemnaście lat. Być może zmiany w mej psychice, wiążą się z procesem dorastania. Instynktownie czuję jednak, że przyczyną jest atmosfera wszechobecnej niepewności. W trzeciej dekadzie maja na Lwowskim niebie pojawiła się duża formacja samolotów myśliwskich, patrolująca przestrzeń powietrzną przez cały dzień. Odtąd, codziennie, huk silników lotniczych nie milkł, ani na chwilę. Tak, mówili prusacy - sowieci wyciągnęli wnioski z dotychczasowych doświadczeń wojennych. W obawie przed nie

spodziewanym nalotem, utrzymują patrole lotnicze, mające zabezpieczyć przed niespodziewanym atakiem. Atmosfera stawała się gorąca. Wyczuwało się bliski moment wybuchu wojny. Tylko sowieci zachowywali się, jak gdyby nic się nie zmieniło w stosunkach z Niemcami. Przedsięwzięcia fortyfikacyjne na granicy i ostatnio wprowadzone patrole powietrzne nad Lwowem, były w niezgodzie z oficjalnym milczeniem. Faktem jest, że ani prasa, ani radio nie przynosiły żadnej wzmianki o jakimkolwiek zagrożeniu. Szawetne mitingi zwoływane w dalszym ciągu, nie odbiegały od tonu, pozostałych środków informacji. Agitatorzy obsługujący te mitingi, uparczywie podkreślali istnienie dobro-sąsiedzkich stosunków z Niemcami, oraz obustronne przestrzeganie postanowień układu sowiecko-niemieckiego z 1939r.

W atmosferze narastającego prawdopodobieństwa wybuchu konfliktu sowiecko-niemieckiego życie w Prusach toczy się wraz z normalnymi wydarzeniami dnia powszedniego.

W ostatnich dniach zainteresowanie mieszkańców absorbowana sprawa wezwania proboszcza parafii pruskiej, ks. Pawła Penara, do wojskowego sądu we Lwowie w charakterze świadka.

Sprawa dotyczyła incydentu, jaki wydarzył się w Prusach, jeszcze w miesiącu marcu.

Mianowicie: w pierwszej połowie marca, na plebanię probostwa w Prusach weszło trzech umundurowanych żołnierzy i rozkazali księdzu Penarowi wziąć klucze od kościoła i kasy kościelnej, oraz udać się z nimi do kościoła. Ksiądz proboszcz wykonał wszystkie polecenia bez słowa protestu. Otworzył kościół i kościelną kasę, z której umundurowani zabrali pieniądze, jakie znajdowały się w kasie. Następnie wsiadli do samochodu i odjechali. Niewiele pieniędzy było w kasie i ksiądz proboszcz wahał się przed zgłoszeniem tego faktu władzom. Ale tego rodzaju incydent nie mógł przejść bez <sup>ocho!</sup> na wsi. Poczta pantoflowa wiadomość dotarła do NKWD i w konsekwencji na plebani nastąpiła wizyta funkcjonariuszy NKWD, celem zbadania sprawy. Ksiądz proboszcz zrelacjonował przebieg wypadków. Na podstawie tejże relacji funkcjonariusze sporządzili protokół i odjechali. Dalszy ciąg nastąpił przed kilku dniami. Odbyła się rozprawa, w wyniku której oskarżeni otrzymali wyrok opiewający na pięć lat pobytu w obozie pracy, kara drakońska, w stosunku do sumy zarobowanej, która wynosiła kilkaset rubli. Władza sowiecka sprawiedliwa i chociaż nieufna Kościołowi, konstytucyjną powinność spełnia zgodnie z postanowieniami tejże konstytucji. Tak w przybliżeniu brzmiała sentencja wyroku.

Nastąpiły upalne dni czerwca. Nadeszły ostatnie dni roku szkolnego. Wiosna 1941r. była chłodna i bogata w opady. Wzrostacja roślin została opóźniona. Narzekali na pogodę prusacy - snując pesymistyczne prognozy dotyczące niezbyt dobrze zapowiadającego się urodzaju.

Radio nadało przemówienie komisarza spraw zagranicznych Władysława Mołotowa. Treść przemówienia była zgodna z tezą głoszoną przez agitatorów na mitingach. Mówił komisarz o pogłoskach rozsiewanych przez wrogie siły o pogorszeniu stosunków sowiecko-niemieckich.

Nie ma żadnych podstaw ku temu, aby te pogłoski były prawdziwe. Postanowienia układu z roku 1939, są przestrzegane przez Sowiecki Sojuz, jak i niemieckiego partnera i nie ma żadnych przesłanek ku temu, aby nastąpiła jakiegokolwiek zmiana w tym względzie. ~~W zaskakującym~~ ~~niezrozumiałym~~ ~~niezrozumiałym~~. Po zakończeniu roku szkolnego, miałem trochę więcej czasu. Wykorzystywałem go, do prawy codziennych <sup>wędrowek</sup> na błota. Ciepły, słoneczny czerwiec, chciał jak gdyby wyrównać bilans mokrej i chłodnej wiosny. Wędruję więc na błota i układam torf w przynny i przy okazji zażywam kąpeli w Kanale Rządowym. Przy kąpeli następują spotkania z kolegami, rówieśnikami i oczywiście - rozmowy.

Temat aktualny, to zbliżająca się niechybnie wojna sowiecko-niemiecka. W trakcie ożywionej rozmowy, od strony Zapytowa zbliżył się jakiś żołnierz. Spostrzegłszy naszą rozmawiającą grupę, podszedł do nas ze słowami - zdrastwujcie. Zdrastwujcie - odpowiedzieliśmy. O czym rozmawiacie - zapytał krasnoarmiejec. Rozmawiamy o marnotrawstwie benzyny przez wasze lotnictwo. Już trzeci tydzień, duża formacja lotnicza nieprzerwanie znajduje się w powietrzu i zużywa bezcelowo benzynę - powiedziałem. Nic bezcelowego się nie dzieje. Loty prowadzone są celem uniknięcia niespodziewanego ataku z powietrza - odpowiedział krasnoarmiejec. Z kim w takim razie przewidziany jest konflikt? Jak to z kim, jeżeli nie z czortowym Niemcem. A to coś nowego - przecież nie dawno jeszcze komisarz Mołotow wykluczył jakiegokolwiek konflikt z Niemcami. My, żołnierze, podlegamy komisarzowi obrony i od niego otrzymujemy rozkazy. Komisarz obrony najlepiej orientuje się w sytuacji. To w wojsku mówi się o wojnie? Już od pewnego czasu jesteście przygotowywani do działań wojennych. No jak wy, przewidujecie rozwój wydarzeń, na wypadek wybuchu konfliktu? Ja przewiduję, szybkie rozgromienie Niemca.

Jak dotychczas, to Niemiec gromi wszystko, co mu na przeszkodzie staje.

Z nami tak łatwo mu nie pójdzie. Zresztą w 1939r. my się z nim już spotkali w boju.

A gdzie miało to miejsce?

Wiesz, gdzie są Wirmiki?

Oczywiście że wiem.

Tam w 1939r. Niemiec zaczepił naszą armię i oberwał tak, że na pewno do dzisiaj tego nie zapomnieli.

Zdziwiony-zapytałem-a skąd ci o tym wiadomo?

W naszym batalionie są żołnierze, którzy brali udział w tym boju.

Winniki nie daleko od nas, a my nic o tym nie słyszeliśmy.

Sołdat odszedł, a ja dalej myślałem o tej rozmowie.

Pamiętam artykuł w Głosie Radzieckim na temat dzielnej postawy żołnierzy sowieckich przy podejściu w 1939r. pod Lwów, o następującej treści:

Nasz oddział zwiadowczy wszedł pomiędzy pierwsze domy na przedmieściu Lwowa. Ulica pusta i nic nie wskazuje na obecność wroga. Ostrożnie idą żołnierze, bacznie obserwując teren przed sobą. Parterowe donki, ustępują miejsca budynkom piętrowym. Kilkaset metrów przed nami widoczna wieża kościoła. Podchodzimy bliżej i nagle ciszę przerywa ostra seria karabinowa maszynowego. Padamy na trawnik pod osłonę drzew rosnących pomiędzy płytami chodnika a krawężnikiem jezdni. Od czasu do czasu, powietrze przecinają serie broni maszynowej. Z tyłu słychać warkot silnika-to czołg BT-7. Dojeżdża do nas i mija nasze stanowisko. Podjeżdża kilkadziesiąt metrów do przodu i otwiera ogień z karabinu maszynowego. Widzimy odpadający tynk z wieży a także kawałki cechy wyłamywane przez pociski karabinowe. Nienrzyjaciecki karabin maszynowy strzela nadal. Słyszemy huk wystrzału działa czołgowego a następnie drugi. Stanowisko karabinu maszynowego wroga zniszczone. Wstajemy i idziemy do przodu.

Opisana potyczka nie mogła dotyczyć starcia z Niemcami, gdyż dotyczyła ona dzielnicy Łyczaków. Wymieniona ulica, to Ulica Łyczakowska a kościół to kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej. Do końca obrony Lwowa ~~w tym kierunku~~ noga niemieckiego żołnierza do tego rejonu nie doszła. Wymieniony w artykule wróg, mógł dotyczyć tylko żołnierza polskiego.

We Lwowie byłem następnego dnia po kapitulacji t. zn. 23 września 1939r. Byłem w centrum miasta-dotarłem też do ulicy Łyczakowskiej na jej początku od ul. Czarnieckiego.

Tam zobaczyłem ekipy żołnierzy sowieckich kopiących groby i chowających zwłoki żołnierzy sowieckich poległych w starciu z wojskiem polskim. Zwłoki leżały po obu stronach ulicy Łyczakowskiej na całej długości, będącej w zasięgu wzroku. Za następnym moim pobylem na miejscu grobów, pojawiły się drewniane słupki z czerwoną gwiazdą na górze słupka i napisem na przybitej tabliczce-pagib za oswożdżenie zachodniej Ukrainy-.

Takie same groby znajdowały się również na ul. Piekarskiej i Kurkowej. Ten widok-bez żadnej wątpliwości, był rezultatem boju z żołnierzem polskim a nie niemieckim, jak to próbowali sugerować struktury propagandowe sowieckiego sojuza w 1941r.

Przejeżdżając przez podlowską wieś Laszki Murwane, jesienią 1939r., zauważyłem na łące dużą mogiłę ze słupkiem z czerwoną gwiazdą i tabliczką z napisem. Z uwagi na to, że mogiła była oddalona od gościńca o ponad 100m, nie zainteresowałem się nią.

Uczyliłem to dopiero w roku 1940, kiedy to w miejsce prowizorycznej mogiły, pojawił się okazały nagrobek. Grób otrzymał ogrodzenie z elementów stalowych, oraz ~~z~~ kamienny obelisk. Podeszedłem do grobu i zobaczyłem spis poległych. XX Spis zawierał ponad trzydzieści nazwisk wyłącznie oficerów w randze od kapitana do pułkownika. Na końcu spisu stereotypowy napis- pogibli za oswobodzenie zachodniej Ukrainy. Zapytałem przypadkowo przechodzącego mieszkańca Laszek, w jaki sposób polegli ci oficerowie? Ten odpowiedział- to robota polskiej artylerii z wysokiego zamku ze Lwowa. Przypomniałem sobie ubiegłoroczny rajd formacji pancerniej przez pruskie pola, przed którym zwykłem ~~być~~ być w strachu, do wawozu. Rajd ten miał swój początek w Laszkach i, być może, został spowodowany tym ostrzałem artylerii polskiej.

-X-

W piękny niedzielny poranek 22 czerwca 1941r, obudziłem się przed godziną szóstą.

Trzeba wstać i przynieść mieszankę traw dla krów. Krowy to podstawa naszego bytu. Trzeba o nie dbać. Kilka przysiadów, następnie zimna woda do mycia w miednicy. Myję ręce i twarz. Czuję jak opary snu ulatują z mego ciała. Wychodzę na dwór- słońce wysoko, ale powietrze po chłodnej noc, jeszcze rześkie. Na wsi cisza, wczesnego niedzielnego poranka. Gdzieś wysoko huczy samolót. Leci na dużej wysokości, niewidoczny. Biorę do ręki płócienną płachtę i kieruję się na drózkę prowadzącą na pola. Skoszona mieszanka znajduje się na pagórku na samym szczycie zbocza, opadającego w kierunku wsi. Słyszę głucho wystrzały armatnie. Nie dziwi mnie to, bo te wystrzały słychać już od paru dni i właściwie nikt nie zwraca na to uwagi. Jestem na miejscu- zbieram skoszoną trawę i układam na rozpostartą płachtę. Ugniata trawę i wiążę końce płachty. Nad głową, głucho warkot samolotu. Zadzieram głowę do góry i wypatruję... daremnie, zbyt wysoki pułap. Wciągam toból trawy na przydrożną miedzę- stąd łatwiej wciągnąć dość ciężki tłumok, na plecy. Słyszę nowy huk wystrzałów dział



i nagle...słyszę nad głową gwizd pocisku a w chwilę potem wybuch, gdzieś hen wysoko, skąd dochodzi warkot samolotu. Więc to nie ćwiczenia, to samolot obcy a te strzały armatnie od kilku dni, to strzały posyłane w kierunku realnego przeciwnika. Nad Lwowem, parasol ochronny eskadr iszaków i czajek. Patrząc na tę formację i myślę - to dla was robota a nie dla artylerii. Trafienie pociskiem artyleryjskim, samolotu lecącego na takiej wysokości, to loteria. Chyba...chyba, gdybyście mieli tajemniczą angielską skrzynkę. Ale to marzenie ściętej głowy. Sojusznik Hitlera nie dorósł do takiej wielkooduszności. Robię przysiad, wciągam tkunok z trawą na plecy, powstaję z trudem z ciężarem i podążam w kierunku domu. Wchodzę do stajni - krowy głodne, oczekują niespokojnie na rozdanie paszy. Rozdzielam sprawiedliwie porcje mieszanki i wychodzę na dwór. Przed domem stoi brat Staszek. Wiesz co? Artyleria sowiecka strzela do jakiegoś samolotu, ostrymi pociskami - mówię. Bo to już wojna. Mówili o tym w radiu i zapowiedzieli też przemówienie komisarza Mołotowa, które ma być wygłoszone za chwilę.

Wchodzę do domu i siadam przed tubą detektora. Z głośnika syczy się jakaś poważna melodia. Po chwili radio milknie a w głośniku rozlega się znajomy głos Geliny Nahlik - spikerki radiowej z rozgłośni lwowskiej. Za chwilę połączymy się z Moskwą, skąd transmitować będziemy przemówienie Komisarza ludowego spraw zagranicznych towarzysza Władysława Mołotowa. Rozlega się melodia sygnału radiostacji moskiewskiej - szeroka strona moja rodna ja -. Sygnał milknie... i odzywa się głos komisarza Mołotowa: - dziś, o godz. czwartej nad ranem, zdradziecki wróg germański w podstępny sposób zaatakował Związek Sowiecki niespodziewanie, bez wypowiedzenia wojny. Rozgorzały walki wzdłuż całej granicy zachodniej. Zbombardowanych zostało wiele sowieckich miast, jak: Białystok, Kowno, Wilno, Mińsk, Równe, Lwów i Kijów. Nie pierwszy raz wrogi wojska napadają na Rosję. W roku 1812, Napoleon również napadł na nasz kraj i został pokonany przez naszych wodzów Bagrationa i Kutuzowa. Tak będzie i tym razem. Nasza bohaterka czerwona armia, rozgromi wiarołomnego wroga - a pomoże jej w tym cały sowiecki naród -. Tak w skrócie, brzmieło to przemówienie. Jak groteskowo różna treść i ton tego przemówienia w porównaniu do oświadczenia z przed paru tygodni.

W Prusach zawrzało. Nawet Darmo oczekiwania wojna nareszcie wybuchła. Na podwórkach i gościńcu, grupki mieszkańców rozprawiają z ożywieniem. Niech już będzie ta wojna. Życie w niepewności w ciągłym napięciu, nie do wytrzymania. Prymitywna totalna propaganda irytująca.

zupełnie obca polakom mentalność, okupanta. Otumanione społeczeństwo odrodzone przez dwadzieścia lat, od cywilizacji europejskiej, zagrożone w niezmierniej biedzie a równocześnie przeswiadczone o czymś d. statnie życiu. Dominująca obecność mundurów na ulicach Lwowa, powodująca poczucie ciągłego zagrożenia. Armia konfidentów, wzbudzająca nieufność, nawet w stosunku do osób znajomych. Wrogi, eksterminacyjny stosunek do Polaków, dopełniając, zlecydowanie negatywnego obrazu Sowieckiego okupanta. Całkowicie panujące przeswiadczenie głosiło: niech już będzie okupacja hitlerowska. Przynajmniej przyjdzie żołnierz z kraju reprezentującego cywilizację europejską.

----- Nad Lwowem cisza przerywana okresowo przelotem formacji myśliwskiej. Dozorująca przestrzeń powietrzną w rejonie Lwowa. Granki prusaków przemieszczają się. Część odchodzi do domów, część udaje się tu nabożeństwo poranne do kościoła.

Idę i ja uliczką do gościńca, podkoczony zaistniała sytuacja. Tym razem, na pewno zobacze walki powietrzne - myślę. Te nieodczuwalne myśliwce wiszące nad miastem w powietrzu, to poważna siła.

Nie są to na pewno jedne myśliwce, w dyspozycji dowództwa obrony przeciwlotniczej. Na ziemi znajduje się <sup>ych</sup> przynajmniej znacznie więcej. Przypomnieli mi się Prusacy zatrudnieni, przy budowie umocnień nad Bugiem. Wczoraj wieczorem przyjechał stamtąd Kozior Wojtek z wiadomością, że Sowieci zatrzymali wszystkich pracujących na niedzielę, i w najbliższe Roboty miały być prowadzone nieprzerwanie przez niedzielę i w następnym dniu od świtu do nocy.

Jak przetrwali oni ogień artyleryjski, jaki niewątpliwie nastąpił, przed właściwym natarciem Niemców. Wśród tych rozrywał dźwiękiem do kościoła. Nabożeństwo nie trwało długo. Ksiądz kanonik ograniczył mocno kazanie. Przyczyną był prawdopodobnie ścisłe wydzierżenie. Poś. że w niebezpieczną godzinę, nasza skończyła się i wierni wrócili na gościniec i rozdzielając się na cztery strony świata, podążali do domów. Wyzdkiem i ja z kolegami. Wśród ogólnych rozmów kroczyliśmy w kierunku domów. Po przejściu kilkuset metrów, uważając zaprzętą głuchym odgłos dalekiego huków i szumu wielkiej ilości dużych pojazdów mechanicznych. Huk znajomy, ale czy ja to znam? Oczywiście dnia 20 września 1939 roku.

Taki sam huk spowodował moje przebudzenie w ten pamiętny poranek. Tylko kierunek odgłosów inny a wiadomości odgłosy niedzielnego poświecenia od strony Winnik. Ciekawość bierze górę. Cała grupa niedzielników, jak na komendę schodzi z gościńca i przez podwórko szkolne koło Grzeckiego przechodzi na Łakę. Przez Łakę przebiega wydeptana

ścieżka, prowadząca na skrót w kierunku Kamienopola. Szybkim krokiem podążamy wprost na most na Pełtwi. Kilka set metrów za Pełtwią, pierwsze zabudowania Kamienopola. Odgłosy nadciągającej kolumny, coraz donośniejsze. Spacerowym już krokiem idziemy w kierunku Kamienopola i widzimy trzy samochody pancerne. Samochody podjeżdżają i na kilkadziesiąt metrów przed nami, zatrzymują się. Włazy samochodów podnoszą się i z każdego samochodu wysiadają żołnierze i podchodzą do drewnianego mostku, przerzuczonego ponad dość szerokim korytem kanału melioracyjnego. Żołnierze dyskutując, oglądają konstrukcję mostku. Czołg właściwej kolumny zbliża się i kolejne maszyny zatrzymują się. Z czołgów wysiadają żołnierze i przyłączają się do oględzin mostku. Chwila dyskusji i decyzja: samochody pancerne mogą przejechać czołgi nie. Samochody pancerne ruszają i podążają w kierunku Prus. Od strony czołgów, zbliża się oddział piechurów z łopatami. Oficerowie decydują, że przeprawa czołgów odbędzie się przez koryto kanału. Należy tylko złagodzić skarpy przy zjeździe i wyjeździe z kanału. Żołnierze podzieleni na dwie grupy, przystąpili do ścinania skarpy i po pół godzinie przejazd był gotowy. Koryto kanału jest napełnione <sup>woda</sup> (wolno spływającą) w kierunku Pełtwi. Pierwszy czołg zapalił silnik i z potężnym hukiem skierował się ku przeprawie. Kierowca podniósł klapę włazu, celem lepszej obserwacji trasy przejazdu. Ostrożnie zjeżdżał po skarpie a przy wjeździe do koryta, dodał gazu i przez złagodzoną skarpy ~~wyskoczył~~ czołg wyskoczył nagle i skierował się na drogę. Ciekawi, jak zachowa się stalowy most na Pełtwi, podążyliśmy w kierunku mostu. Most posiada nośność 15t a ciężar czołgu jest dwukrotnie większy. Już za chwilę, pierwszy czołg podjechał na most. Pod naciskiem kolosa <sup>most</sup> (jakbyby stęknął, <sup>ale</sup> wytrzymał i nie widać było jakiegokolwiek śladu uszkodzenia. Kolejno przejeżdżały następne maszyny i podążały do pruskiego gościńca. Tam skręcały w lewo i podążały w kierunku Lwowa. W odległości dwu kilometrów od Prus, czołgi zatrzymały się. Zatrzymywały się czołgi dojeżdżające <sup>do</sup> stojących w bezruchu. Kolejka stojących czołgów szybko wydłużała się i cofała w kierunku Prus. Ogon kolejki już w Prusach. W unieruchomionych czołgach otwierają się włazy, przez które wychodzi załoga. Na korpusach czołgów napisy: -za Rodina-za Stalina-za pobiedu-itp.. Wśród żołnierzy, wielu politraków. Rozpoznać ich łatwo. Na rękawach, zamiast dystynkcji oficerskich mają pięcioramienną czerwoną gwiazdę. W pobliżu przelatuje formacja myśliwska. Być może, stanowi ona osłonę, dla zdążających w kierunku frontu oddziałów. Formacja lotnicza odlatuje

We Lwowie, rozlega się wycie syren fabrycznych, ogłaszających alarm lotniczy. W chwilę potem, <sup>rozlega</sup> się huk nadlatujących bombowców. Obsługa czołgów wchodzi przez otwarte włazy do czołgów. Rozlega się trzask zamkniętych włazów. Niemieckie bombowce w ilości około 30 szt. nadlatują nad Lwów i wyrzucają bomby w zachodniej części miasta, w okolicy dworca głównego i lotniska w Skniżowie. Nalot trwa krótko. Bombowce wyrzucają cały ładunek i odlatują na zachód. Artyleria przeciwlotnicza otworzyła intensywny ogień, ale bezskuteczny.

Tymczasem iszaki i czajki zniknęły w południowej części nieba, zalanej potokami promieni słonecznych. Coś nie bardzo funkcjonuje łączność dowództwa z eskadrami znajdującymi się w powietrzu? - pomyślałem sobie. Odgłos bombowców niemieckich zamilkł już zupełnie, gdy odpowiednio dobiegł pomruk formacji myśliwskiej. Nadleciały już po herbacie, mrużę pod nosem.

Pancerny zagon zakończył przeprawę, przez kanał melioracyjny i zaraz po nalocie ruszył w kierunku Lwowa.

Gościeńiec opuszcza i ja również podążyłem do domu.

Około godziny 16,00 powrócili pierwsi prusacy z Parchacza, zatrudnieni tam przy budowie umocnień nad Bugiem. Okazało się, że niektórzy, wyjechali do roboty, rowerami. 6i właśnie pierwsi powrócili do Prus. Z ożywieniem opisywali swe przygody w dzisiejszy, mroczny jeszcze poranek.

Opowiadał Staszek Piotrowski:

Przez sen usłyszałem odgłos burzy. Dziesiątki błysków i grzmotów, jeden po drugim, aż czułem kołysanie ziemi. Jeśli grzmoty tak bliskie, to dlaczego nie pada deszcz? Raptem, jak nie gruchnie bliski wybuch. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że grzmot wywołany uderzeniem pioruna, wydaje inny odgłos. Zrywam się na równe nogi. Budzą się też inni... To nie pioruny, to artyleria, woła Pietrek Chmielewski. Spaliliśmy na sianie w stodole. Czuby wojna? mówi napiętym głosem - Staszek Mochniak i... w tym momencie, rozlega się ostry trzask, eksplodujących w pobliżu granatów. Nie ma na co czekać - trzeba wiać obłopaki - woła jakiś głos. W stodole dosyć jasno. Na dole na klepisku stoją konie. Już, któryś z naszych skoczył na dół i wyprowadza konie. Chodźcie - woła, pomóżcie przędko założyć uprzęż. W kilka minut, pierwszy wóz wyjeżdża z podwórza na drogę. Dokoła ruch i okrzyki. Na pierwszym wozem wypadają następne. Wszystko to pędzi drogą polną w kierunku gościńca na Kamionkę Strumikowa. Rowerem jadę pomiędzy wozami. Konie wy poczęte, ciągną ostro. Oglądam się do tyłu i widzę wybuchy pocisków w Parchaczu. W kilku miejscach palą się zabudowania.

Ale co się dzieje tam dalej na północy. Tam huraganowy ogień. Bezustanny błysk dziesiątków wybuchów. Głuchy łomot, przemienia się w bezustanny huk, niczym trzęsienie ziemi. Widać wystrzeliwane różnokolorowe rakiety. Te wystrzeliwiają Niemcy, gdyż lecą w kierunku wschodnim. Wygląda na to, że Niemcy idą naprzód. Galop koni <sup>cichnie</sup> stopniowo. Konie zmęczone - zwalniają. Z tyłu nadjeżdżają inni prusacy na rowerach. Rozmawiamy z cywilem. Linia artyleryjskiego ognia, zostaje z tyłu w bezpiecznej już odległości, na północy. Rowerzyści porozumiewają się i wyprzedzamy wozy konne. Czy wszyscy nasi uszli cało? Nie jesteśmy tego pewni.

W ciągu dwu następnych godzin, przyjechały wszystkie wozy z Prus. Wszyscy prusacy żywi - żaden nie został nawet draśnięty. Szczęśliwie zakończył się pierwszy dzień wojny niemiecko-sowieckiej dla prusaków.

Następny dzień, 23 czerwca - stosunkowo spokojny. Żadnych ruchów wojsk. Tylko jeden, słaby nalot. Udział w nalocie wzięło 12 Heinkli.

Artyleria przeciwlotnicza, otworzyła gwałtowny ogień. Wybuchy pocisków, pokryły niebo, gęstą ostrokąciową kłębsów. Parasol powietrzny iszeków i czajek, zniknął z nad nieba lwowskiego. Rozczarowanie - nie z nich raczej o bitwach powietrznych. Na północy, głuche wybuchy pocisków artyleryjskich.

Wtorek 24 czerwca.

W gorze, wysoko - głuchy warkot silników lotniczych. Od czasu do czasu salwa dział przeciwlotniczych. Do samolotu na tak wysokim pułapie, strzelają tylko działa ciężkie. W południe znowu warkot samolotu obserwacyjnego. Artyleria otwiera gęsty ogień. Patrząc w górę i dostarczając sylwetkę samolotu. To specjalny samolot obserwacyjny o dwu kadłubach, dwu silnikowy. W środku gondola, cała oszklona. Z całą pewnością obserwator ma doskonałą widoczność. Ten samolot przetrwał w nie zmienionym kształcie, całą wojnę. Uzyskał nazwę - rama.

Ale dziś rama ~~w~~ opadła. Leci niżej niż w poprzednim dniu.

Artyleria bije z ogromnym nasileniem. Wybuchy pocisków układają się na dużej przestrzeni powietrznej. Połowa wybuchów daleko od samolotu. Wygląda na to, że część dział, strzela na wiat, bez korzystania z przyrządów celowniczych. Szacuję, że tylko 10% stanowi zagrożenie dla ramy. Ale nawet te 10% jest niebezpieczne. Rama kołysze się w unikach. W lewo w prawo - nadlatuje nad Prusy. Całe niebo usiane obłoczkami wybuchów. Uciekam pod okap dachu i za chwilę deszcz odłamków, spada na ziemię. Wiele ze zgrzytem, ślizga się po dachach krwitych blacha, ~~lub~~ dachówka. Tylko padające na dachy ze słowiańskich strzech, czynią to bez hałasu. ~~Cała~~

Część z szelastem spada na zieloną murawę, reszta uwięziona w snopkach słomy, pozostaje na dachu. Samolot leci na wschód. Wybuchów coraz mniej i gdzieś nad Baraszcovicami, rama wydostaje się z pod ostrzału i skręca na północ a później na zachód. Ogarnia mnie rozczarowanie. Ilość środków bojowych ogromna, ale skutek nie proporcjonalnie-niski. Oceniam, że ilość <sup>dział</sup> przeciwlotniczych, jest co najmniej, dziesięciokrotnie większa, od dział polskich we wrześniu 1939r.

Mam skrawną satysfakcję, bo te 10% dział polskich, wykazywały zdecydowanie większą celność. Już pod koniec wojny, widziałem w akcji niemiecką artylerię przeciwlotniczą, korzystającą przecież z urządzeń radarowych i ze wzruszeniem stwierdzałem, że polscy artylerzyści mogliby skutecznie konkurować również z niemieckimi artylerzystami.

Póki co jednak stwierdzam ubóstwo ilościowe sprzętu, jakim dysponował polski żołnierz w 1939r. Obecnie samoloty niemieckie w odległości ponad 15km od Lwowa lecą w otoczce gęstych obłoczków po wybuchach pocisków artyleryjskich.

Wieczorem, głuchy odgłos dział na północy, przesunął się wyraźnie na wschód. W zapadającym zmroku, widać błyski wybuchów. Są również pożary sygnalizowane przez łuny migające na nieboskronie.

środa 25 czerwca:

Od rana słychać warkot ramy. Nad Lwowem pojawiają się patrole myśliwskie. Nie są to jednak, ani iszaki ani czajki. Rozpoznaję sylwetki Migów, które z rzadka we dwójkę lub w szyku trójkowym, penetrują niebo. Późnym rankiem dostrzegam ramę. Leci dość wysoko od północnego zachodu. Kierunek lotu wskazuje, że za chwilę samolot będzie nad Prusami. Zaintrygowany patrzę w górę i nagle widzę w pobliżu trzy myśliwce. To już koniec rany-myślę. W spotkaniu z trzema myśliwcami, rana nie ma najmniejszych szans. Patrzę na atak pierwszego myśliwca. Wyraźnie szybko zbliża się do ramy i otwiera ogień. Widzę smugi pocisków. Strzela również strzelec z ramy. Z Migą sączy się cienka smuga dymu. Samolot zachybotał się i nagle piką kieruje się na ziemię. Coś odrywa się od samolotu a maszyną coraz bliżej ziemi-uderzenie i błysk wybuchu. Na niebie czarna spadochron. To pilot Mig.

A tymczasem przy rami już drugi Mig, otwiera ogień, strzela też rama. Żadnego skutku nie widzę. Mig w ataku wyminał ramę, leci ukosem w dół, coraz bliżej ziemi. Wyraźnie ląduje, bez wysuniętego podwozia, na łące w pobliżu Srok Lwowskich. Trzeci Mig, przerwał atak, ostrym skrętem odchodzi na wschód i niknie w poświacie słonecznej.

Rama zawraca i kieruje się na zachód.

Pała z taktyki dla Migów. Zamiast zaatakować ramę we trójkę razem

z różnych kierunków-wybrali się na wojnę w pojedynkę. Zamiast posiekać ramę na sito-ponieśli porażkę. Strzelca rany, czeka prawdopodobnie -Eiserne Kreuz<sup>x</sup>. Tak ocenilem wynik tej walki-ja. tzn. siedemastolatek Józef Berski z Prus koło Lwowa. ~~XXXXXXXXXX~~

W niespełną godzinę po tej powietrznej potyczce, następuje nalot bombowy. Sceneria podobna. Samoloty w chmurze wybuchów zrzucają bomby na miasto wylatują z zasięgu artylerii. Do wieczora jeszcze kilka podobnych nalotów. Nieco inny przebieg ma nalot ostatni przeprowadzony w blasku zachodzącego już słońca. W nalocie wzięło udział kilkadziesiąt samolotów. Lecą nad miastem i zrzucają bomby na dworzec kolejowy Lwów-Podzamcze, skąd biorą początek linie kolejowe biegnące na wschód. Artyleria grzmoci potężnie i w ~~w~~ pewnej chwili jej ogień koncentruje się na ostatniej piątce Dornierów. Samoloty otoczone orkanem wybuchów. Nerwy pilotów nie wytrzymują. Najpierw pierwszy w unikach obniża lot-pozostali idą jego śladem. Nadlatują nad pruską dolinę Pałtwi. Ryk motorów wypełnia całkowicie atmosferę okolicy, spod okapu dachu, śledzę ten fascynujący widok. Kątem oka widzę bieżącą w moim kierunku postać. Słyszę przeraźliwy krzyk. Patrzę Jasiek Koziański pochylony trzyma się za ~~z~~ <sup>z</sup> głowę. Zapominam o odłamkach trzepiących o ziemię i biegnę w kierunku Jaśka. Jasiek trzymając osłonkę krzyczy-koniec ze mną-koniec ze mną. Jestem przy Jaśku i obmacuję głowę. Nie drzyj się Jaśku, gdyby to był koniec to nie krzyczałbyś tak głośno. Nie ci nie będzie, chociaż na nakówie guz, jak pomidor. Patrzę na ziemię i widzę ~~Kawka~~ podłużny wąski kawałek postrzępionej stali, biorę do ręki-jeszcze ciepła, pokazuję Jaśkowi i mówię: całe szczęście że miałeś na ~~gł~~ <sup>gł</sup> głowie czapkę, bo in <sup>a</sup>teżej, mogło się gorzej skończyć. Na przyszłość, w czasie kanonady nie wychodź na wolną przestrzeń, bez osłony. Ale czaszka rwie, ze zbolełą miną namroczy Jasiek.

Sądząc po intensyfikacji nalotów, szykuje się jakaś odmiana w spektaklu dość monotonych wydarzeń, pierwszych dni wojny.

Nadchodzi wieczór a wraz z nim cisza. Odgłosy toczącej się wojny, w północnej stronie, przesunęły się zdecydowanie na wschód.

Żony pożarów i błyski wystrzałów artylerii, widoczne są już na kierunku Brodów.

Lwów pozostał znacznie w tyle od linii frontu, na kierunku głównego uderzenia.

x - żelazny krzyż

czwartek 26 czerwca.

Zniechęcony skąbością potęgi - postanawiam udać się na błota celem porządkowania torfu i ewentualnej kąpieli w kryształówce czystej wodzie Kanału Rządowego. Matka godzi się, ale pod warunkiem, że zabiorę z sobą krowy. Aczkolwiek niechętnie, ale ostatecznie wypędzam krowki ze stajni i wspólnie podążamy na błota.

Na polach pusto a w powietrzu cisza w przeciwieństwie dnia wczorajszego. Droga dosyć daleka, ponad dwa i pół kilometra. Wraz z trzódka jesteśmy już przy torze kolejowym linii Łuck-Kowel. Droga polną wzdłuż toru, podążamy do lisiej góry. Tam przejście przez tory i jeszcze z pięćset metrów do błot. Słyszę intensywny szum silników od niewidocznej jeszcze szosy asfaltowej, Lwów-Równe - Szeptówka-Żytomierz-Kijów. Dochodzimy do błot. Tu horyzont poszerza się w wyniku tego, że jesteśmy już w obrębie płaskiej, dość rozległej doliny Kanału Rządowego. Kieruję wzrok w lewo. Tam widoczny odcinek szosy pomiędzy Żydyczanami i Podliskami, długości w przybliżeniu 2 km. Odległość od mojego miejsca postoju, nieco ponad 1 km. Cała szosa zapełniona samochodami ciężarowymi, w ścieśnionym szyku, podążającymi na wschód. Na samochodach stłoczone, drobne z tej odległości sylwetki żołnierzy. Patrząc dalej, w prawo a tam w luce Podlisk i Zapytowa, ten sam obraz. Obracam głowę jeszcze bardziej w prawo, na koniec Zapytowa... i tam podobny widok, aż do Jaryczowa Starego. Poczuję się niezbyt pewnie. Na błotach, zupełnie pusto, ani żywego ducha - oczywiście oprócz mnie i mojej czworonożnej trójki. Podążam na składowisko torfu i próbuję pracować. Nadaremnie - wydarzenia na szosie, to zbyt frastrujący widok. Wiele samochodów ciągnie również działa. Wszystkie działa, obwiszone są, prawie do połowy długości luf, postaciami okrzakiem siedzących żołnierzy. Od czasu do czasu, pomiędzy samochodami, podaje czołg, lub wóz amunicyjny na gąsienicach. To chyba generalny odwrót - myślę. Aż dziw bierze, że Luftwaffe, zachowuje się tak biernie od rana. Czyżby odwrót nie był zbyt późny? Przecież już wczoraj, odłósowy wójny dochodziły z kierunku Brodów. Szosa, którą podaje ta nie kończąca się kolumna, przebiega również przez Brody. Szosa w kierunku Równego, nie jest jedyną ważną arterią wylotową ze Lwowa w kierunku na wschód. Równie ważną arterią jest szosa: Lwów-Złoczów-Tarnopol, z odgałęzieniem w Kurowicach, na Stanisławów. Ta trasa, prowadząca bardziej na południe, wydaje mi się, zdecydowanie bezpieczniejsza, uwzględniając aktualną sytuację na froncie. No tak, ale nie wiadomo, co się na niej w tej chwili dzieje. Być może, że tam ścieśnienie większe, aniżeli na tej obserwowanej przeze-



mnie. Zaskakującym jest fakt braku, jakiegokolwiek osłony lotniczej wycofujących się oddziałów. Z punktu obserwacyjnego, jaki sobie obrałem - miałem doskonały wgląd nie tylko na szosę, ale doskonale widziałem pole, przygotowane na lotnisko polowe w Zapytowie. Na lotnisko przygotowane w takim trudzie, przy znaczącym udziale prusaków - zupełna pustka. Ani śladu - jednego chociaż by człowieka a tym bardziej, jakiegos sprzętu lotniczego. Ścieśniony rząd pojazdów mechanicznych, oklejonych do granic możliwości, żołnierzami - sunie nieprzerwanie od kilgodzin na wschód. Słońce w najwyższym punkcie nieba. Przeniękny, lazuruowy błękit nie zakłócony przez chociażby jedną chmurkę, mam nad głową. Tylko groźna, hucząca lawina pojazdów sunących nieprzerwanie - koliduje wyraźnie z cudem przyrody tam na górze i krajobrazem przybrany w świeżą, soczystą zieleń tu na dole. Ta refleksja, tylko na moment przeminęła, wśród myśli, gdy... nagle rozlega się salwa artylerii przeciwlotniczej. Salwa oddana z kierunku niewidocznego dla mnie w chwili obecnej Lwowa. Widzę na niebie drobne obłoczki dymków, po wybuchach pocisków. Wśród ciemnych chmurków wybuchów, leci ognista kula. Co to może być? Czerwona kula leci w dół. W środku ciemniejsza plama... To przecież płonąca sylwetka samolotu. Wyraźny kształt kadłuba, dwa silniki, kadłub z gondolą załogi, stateczniki sterów na ogonie maszyny, szerokie płaty skrzydeł. Wszystko to wiruje dookoła osi samolotu, pionowo w dół, w czerwonym warkoczu, płonącej benzyny. Kula ginie za łanami zboża i... po chwili potężny gęzgar wybuchu a następnie potężnej eksplozji całego ładunku bomb. Gruchnął o ziemię, <sup>też</sup> razem z załogą. Jeżeli ktokolwiek z załogi próbowałby skoku ze spadochronem to i ftek spaliłby się żywcem - dodaję w myślach.

Słyszę huk obciążonych samolotów. Po natężeniu huków wnioskuję, że jest to duża formacja lotnicza. Horyzont na południe w kierunku Prus jest ograniczony pasmem pagórków, na styku torfowisk na błotach, z pruskimi polami uprawnymi. Nad ograniczonym horyzontem, dostrzegam czóło formacji, gdzieś w rejonie Winnik. Samoloty rozciągnięte w sznurerek jeden za drugim leca, jak oceniam nad szosą Lwów-Tarnopol. Słyszę wybuchy bomb. Po odgłosie wnioskuję, że kaliber bomb jest nie duży. Widocznie Niemcy wysłali specjalną formację do bombardowania wycofujących się wojsk - rozumię. Warkot samolotów, jakby narastał. Penetruję wzrokiem przestrzeń powietrzną i... nagle widzę w niedalekiej odległości, pierwszy samolot nadlatujący wprost na mnie. Czuję ciarki na plecach. Za chwilę będę świadkiem wydarzenia rozgrywającego się prawie w bezpośredniej bliskości. Boję się trochę o moją trójkę krówek, która niefrasobliwie, spokojnie gryzie trawkę na torfowej

łączone należącej do kolchozu. Ani myślę, wypędzać krówkę z cudzej łąki. zresztą w takiej chwili, boję się ruszyć z miejsca.

Pierwszy samolot nad moją głową w zakręcie, celuje w oś drogi. Oceniam, że osiągnie to gdzieś za Żydawczami. Szosa w tym rejonie jest dla mnie niewidoczną. Już drugi samolot przeleciał a tuż za nim trzeci. Za Żydawczami, wybuchy bomb. To ten pierwszy wysypał swoją zawartość. Odległość pomiędzy poszczególnymi samolotami, około 1 km. Obliczam, że przelot poszczególnych samolotów nad moją głową odbywa się co 10 sekund. Widzę, że samoloty w okolicy Laszek Kurowanych w zakręcie podążają w kierunku Winnik. Utworzył się ruchomy kształt samolotów w kształcie koka, po którego obwodzie, poruszały się poszczególne maszyny. Patrzę na przelatującą nad głową-poczwarę. Samolot pomalowany na kolor błękitny-prawie identyczny, jak kolor nieba. Na skrzydłach od spodu, żółtawo-czarne krzyże. Z gondoli ~~widzę~~ kabiny pilota, wystająca lufa ciężkiego karabinu maszynowego. Druga identyczna, wystaje z wieżyczki, ulokowanej w środku kadłuba. Na szosie, ruch samark. Zaraz na początku nalotu, wszystkie pojazdy, jak na komendę zatrzymały się. Ze skrzyń samochodów wyskakiwali żołnierze, uciekając jak najdalej od szosy po równej torfowej łące, ograniczającej możliwość ukrycia się. Nalot trwa już 10 minut. Za Żydawczami słychać wybuchy lekkich bomb. Natomiast z nad szosy Lwów-Tarnopol dochodzi terkot ciężkich karabinów maszynowych. To znaczy, że Heinklom zabrakło już bomb i niedługo tu zacznie się ostrzał szosy z broni pokładowej. Jak dotychczas, pojazdy będące w zasięgu mojego wzroku, nie były atakowane, ale nie myślę, aby Niemcy przerywali z ataku napierającą część kolumny.

W pewnej chwili z przelatującego nad głową Heinkla rozległy się ostre serie wystrzałów z dwu ciężkich karabinów maszynowych. Drganie zaskoczony niespodziewaną serią. Samolot w skręcie w lewo ostrzeliwał zagajnik przy wsi Zapytów. Miejsce ostrzału, doskonale widoczne, po smugach wystrzelanych pocisków. Następnie wraz z lotem, przenoszenie ognia, na pojazdy unieruchomione na szosie. Teraz co 10 sekund, następują krótkie ale częste serie pocisków bijących po szosie. Serie niecelne, wzniesają kurz na wysuszonym torfowisku. No narobią tam szwaby błosu-myślę sobie. Na razie jednak nie widzę efektu ostrzału. Pojazdy stoją nieruchome, ale żaden się jeszcze nie zapalił. Terkot serii trwa. Z napięciem oczekuję <sup>konca</sup> tego denerwującego kontrodamu. Nie trwa to już zbyt długo. Spoglądam na nadlatujące samoloty i widzę maszynę poza, którą następuje pustka. Żalga przyjmuje tę okoliczność. Ostatni samolot niknie w koniecznej powłacie gdy

kolumna pomiędzy Zapytówem a Jarwozowem Starym, rusza z miejsca. Na odcinku Podliski-Zapytów, samochody jeszcze w bezruchu, ale i one wkrótce ruszają. W krótkim czasie ruszają i te z odcinka Żydatyce-Podliski. Obserwuję i oczom nie wierzę. Jeszcze ani jeden samochód nie pozostał na szosie unieruchomiony. Na ostatnim, widocznym odcinku, ruszają po kolei wszystkie pojazdy. Waż nieruchomych już tylko, od mostu na Kanale Rządowym do Żydatycz. Ostatecznie ruszyły wszystkie. Ani jeden pojazd nie został zniszczony, czy też uszkodzony, w stopniu uniemożliwiającym uruchomienie.

Nie do wiary. Taki silny nalot, tyle bomb i ten ostrzał z karabinów maszynowych. W nalocie brało udział około sześćdziesięciu Heinkli-najcięższych bombowców Luftwaffe i taki wręcz zerowy skutek? Przecież to zabawa a nie wojna-konkluduję.

Najskrytniej wzywam nie spudnąć przewidywań zamierzonych skutków. Podnoszę się i stwierdzam, że jednak nalot spowodował pewien skutek-bo nogi się podę mną ugięły i cały jestem przedygotany. Jest to jednak skutek psychologiczny, bez materialnych konsekwencji.

Może by tak brać krówki i zmykać do domu? Nie wiadomo, co się tu jeszcze zdarzyło może.

Ostatnie nieruchome pojazdy ruszają, gdy w Podliskach w pobliżu cerkiewki, na rozstaju dróg, rozlega się seria karabinu maszynowego a potem pojedyncze strzały karabinowe. Kolumna pojazdów podaje na wachód, ale po nowej serii, widzę że samochody przed cerkiewką, zatrzymują się. Zatrzymują się też, po kolei-dojeżdżające. Po chwili sznur nieruchomych pojazdów cofnął się aż do mostu na Kanale Rządowym. Od strony Żydatycz, ukazują się sylwetka czołgu. Czołg podjeżdża do ostatniego w kolejce nieruchomych samochodów i również zatrzymuje się. Po chwili, rusza naprzód i wymija stojące w bezruchu pojazdy. Przejżdża przez most na Kanale Rządowym a po przejechaniu dalszych 200m zatrzymuje się.... Coś jakby wstrząsnęło czołgiem, u wylotu działa zadymnik, rozlega się huk wystrzału i równocześnie przy samej cerkiewce, wykwiła grzyb wybuchu pocisku. Odległość niespełna 1km, ale cerkiew to duży obiekt. Kiepski strzelec tkwi w czołgu-mruczę. Czołg podjeżdża jeszcze 100m do przodu i historia się powtarza. Tym razem jednak wybuchu nie widać. Pomyślałem się, że pocisk przebił drewnianą ścianę cerkwi i eksplodował wewnątrz. Jeszcze jeden wystrzał z działa-czołg rusza, podjeżdża pod samą cerkiew. Kilka serii karabinu maszynowego przecina powietrze i po chwili waż nieruchomych pojazdów rusza z miejsca. Z cerkwi wydobywa się cienka smułka dymu, która momentalnie grubnie. Po upływie niewielu sekund, pojawiają się płomienie. Płomienie przez

okna cerkwi wydostają się na zewnątrz. W mgnieniu oka wysuszone, drewniane ściany stanęły w płomieniach. W przeciągu następnych sekund cała cerkiew kryje się w płomieniach. Płomienie uformowane w wysoki warkocz, wspinają się ku niebu a w środku warkocza, przemiękną sylwetka cerkwi z uroczymi kopułkami wień rozstawiających styl bizantyjski. Wspaniała kompozycja dla artysty malarza - przemknęła mi myśl.

W sylwetce pojawiają się luki. Zaczyna się od dachu. Wypadają dachówki, ze ścian wypadają poszczególne deski. Wyłaniają się luki przezświetlające cerkiew na przestrzał. Dymu prawie wcale nie ma - tylko orgia szalejących płomieni. Nagle cały ten, fascynujący w swej grozie, a jednak czarodziejski, jak z bajki obraz, zapada się. Cerkiew znika z horyzontu i nie nie wskazuje na to, że przed chwilą jeszcze istniała tam piękna, zabytkowa cerkiew. Nie oprócz dymu, który w tej chwili wydobywa się obficie z bezładnego stosu, zwęglonych resztek drewna. Cały pożar trwał nie więcej, niż kilka minut.

Owoce dzisiejszego, czwartego dnia wojny, były następujące spostrzeżenia:

po mimo, że dziś widziałem pierwszy zestrzelony niemiecki samolot, ogólnie dużo się zauważyło, mniejsze natężenie ognia artylerii przeciwlotniczej nad Lwowem.

Sowieckie lotnictwo, znikło z horyzontu wydarzeń wojennych.

Obrona przeciwlotnicza, wycofujących się kolumn wojska niewidoczna, pomimo licznych dział przeciwlotniczych, znajdujących się w kolumnie, oraz poczwornie sprzężonych karabinów maszynowych zamontowanych na samochodach, które wogóle nie otworzyły ognia do samolotów atakujących z niskiego pułapu.

Admiewając słaba skuteczność nalotu bombowego, pomimo użycia dużej formacji lotniczej przez Niemców.

Tajemniczy pożar cerkiewki w Podliskach. Czyżby przyczyną było wystąpienie zbrojne organizacji ukraińskich nacjonalistów?

Paradoksalne porównanie:

W 1939r. całowanie czołgów z wdzięczności za oswobodzenie i strzelanie z za węgla do kolumn sowieckich, wycofujących się w roku 1941. Pomimo, że słońce jeszcze wysoko - spędzam swoją czworonożną trójkę z pastwiska. Trójka okazała się dzielną, przejawiając ograniczony niepokój spowodowany hałasliwą, pobliską batalią.

Popędzam krowki na drogę i podążamy, obok lisiej góry, w kierunku domu. W powietrzu słyszę szybko narastający warkot samolotów. Widzę dwa Messerschmitty, które lecą okrakiem nad linią kolejową do Łucka i Kowla. W rejonie przystanku kolejowego w Zapytowie.

zrzucają dwie bomby i zwracają na zachód. To już definitywny koniec mojej przygody na torowych łakach w dniu dzisiejszym.

Już w spokojnej atmosferze, powracamy spacerkiem do domu. Na podwórzu zatroskana matka. Bogu dzięki, że ci się nic nie stało. Słyszałam co się tam na szosie działo. To prawdziwe piekło. Nie mam, to nie było takie straszne, <sup>jak</sup> wyglądałom. Ale co to się dzieje na naszym gościńcu? pytam. Już od południa toczy się ta nawała na wschód—odpowiada matka. Wchodzę do <sup>domu</sup> — szybko zjadam wystygnięty obiad i wychodzę na dwór. Ciekawość jest silniejsza od zmęczenia. Instyktownie wyczuwam, że wychodzenie na gościniec, celem obserwacji, może się stać niebezpieczne. Pobity, zmęczony żołnierz, może szukać źródła swych niepowodzeń wśród obserwatorów swego niepowodzenia.

Wchodzę do sadu sąsiadów i z daleka widzę Staszka i Wojtka Lewickich. Sad położony jest wyżej od szosy i z tej przyczyny obserwacja jest ułatwiona. Potok pojazdów toczy się z hałasem na wschód. Rodzaj pojazdów, jest inny od tych na szosie, na Równie.

Gościniec w Prusach jest opanowany przez ciągniki gąsienicowe, różnych typów. Są to ciągniki rolnicze zmobilizowane dla celów wojskowych z kolchozów i sowchozów. Wszystkie bez wyjątku ciągną działa różnego kalibru— w zależności od mocy silnika i ciężaru własnego ciągnika. Wszystkie ciągniki oklejują przez piechurów. Jakakolwiek wystająca część konstrukcji, gdzie tylko można oprzeć nogi, zajęta jest przez nieprzewidzianego pasażera. Nawet dział, oraz lufy, są szczelnie obsadzone przez zmęczonych żołnierzy. Część z nich ~~siedzą~~, siedząc w równowadze chwiejnej na lufach—spi. Nie dla wszystkich starczy miejsca. Ci którym szczęście nie odmieszło, idąc trzymając się wystających fragmentów ciągnika, lub pod lufami dział, pochwycawszy jedną ręką, <sup>nogę</sup> szczęśliwca siedzącego okrzakiem na lufie. Nie do wiary—połowa idących pieczę—spi. W przerwach pomiędzy sznurami ciągników, jadą samochody z żołnierzami ścieśnionymi do granic możliwości. Na wielu samochodach zamontowany zestaw poczwórnio—sprzężonych karabinów maszynowych. Szybkość tej nietypowej karawany pojazdów ~~jest~~ dostosowana jest do idących pieczę żołnierzy. Ta nieruchawa masa pojazdów pełźnie powoli naszym gościniec—na wschód. Żołnierze potwornie zmęczeni, cępiali. W tym stanie nie zdolni do jakiegokolwiek wysiłku bojowego.

Na wszystkich drogach polnych, prowadzących na wschód pojawiają się podobne karawany, poprzedzielone oddziałami konnicy. Patrole konnych rozkłada się po drózkach dojazdowych do pól, poszukując wśród zbóż dywersantów, spadochroniarzy i szpiegów. Oddalanie się

od siedzib ludzkich, staje się niebezpieczne. Byli tacy odważni a raczej nierozważni. Odnajdowano ich potem martwych w miejscu pracy na własnym polu, podziurawionych kulami.

Odchodzę do domu z mieszanymi odczuciami. Jestem świadkiem wydarzeń historycznych. Odchodzi armia wrogiego Polakom systemu. W swym wrogin nastawieniu do Polaków i wszystkiego, co polskie, system ten oddalił możliwość poprawy wzajemnych stosunków w mroczną nieodgadnioną dal. Odchodzi armia z odczuciem poniesionej klęski wśród nie przyjaznej a w niektórych przypadkach <sup>wrogiej</sup> postawy miejscowej ludności. Dzieje się tak bez udziału Polaków. Polacy, pomimo tego, że eksterminacyjna polityka bolszewicka dotknęła <sup>ich</sup> w sposób szczególnie dotkliwy, nie wykazują zadowolenia z okazji rejtenty brutalnego prześladowcy.

Wrogosć okazują Ukraińcy, którzy za „dobrodrojstwo oswobodzenia” piacą obecnie strzałami z za węgla, do cofającego się żołnierza sowieckiego. Dzisiaj miałem okazję obserwować próbę podobnego wystąpienia 611 w Podlaskach. W czasie postępu wycofujących się kolumn, żołnierzy wchodzi pomiędzy domy. Na propozycję noczęstunku posiłkiem większość z nich korzysta z okazji, ale zdarzają się tacy, którzy z błąskiem zimności odmawiają. Pytani o przyczynę odwrótu odpowiadają: opór stawiany na starej granicy.

Ale poki co, totalny odwrót wojska sowieckiego, wygląda żałośnie. Olbrzymi potencjał wojskowy, toczący się polskimi drogami, użyty właściwie - nie powinien dopuścić do tak haniebnego odwrótu. Tenże potencjał, zamiast być źródłem siły, połączył odczucie beznadziejnej bezsiły. W domu ożywna rozmowa. To brat Staszek powrócił właśnie z Lwowa i opowiada o swych przygodach. We Lwowie - mówi Staszek OUN uderzyła na wycofujące się oddziały sowieckie.

W pewnej chwili w rozległej części miasta, jazgot karabinów maszynowych, opanował całkowicie atmosferę na ulicach. Ludzie zaczęli krzyczeć, że OUN atakuje Sowietów. Znalazłem się w środku, jakiegoś niewidzialnego frontu. Na skrzyżowaniach ulic, ustawione czołgi, strzelające do niewidzialnego przeciwnika. Oddziały wycofującego się w pośpiechu wojska. Zatoczono ulice z uciekającymi ludźmi to Sodoma i Gomora. Ludzie na ulicach, <sup>mówią</sup> że Ukraińcy strzelają do Sowietów z wień cerkwi. Uciekałem i ja, bocznymi uliczkami, przedzierałem się na Zniesienie. Z placu Krakowskiego widziałem pociski eksplodujące na kopule cerkwi przy ul. Rutowskiego. Zmęczony i zdenerwowany, przedarłem się na Zniesienie <sup>siemę</sup> i roworem czymprędzej, zmknąłem do domu. Widziałem też stracony bombowiec, który spadł w płomieniach na cmentarz Łyczakowski. Ten stracony bombowiec, widziałem również i ja - powiedziałem.

☞A to powstanie ukraińskie we Lwowie, jest podobne do powstania w Podliskach, którego dzisiaj byłem świadkiem. Był może, jakiś śmiały mołojec, puścił z ukrycia serię z karabinu maszynowego. Zmęczony, zdenerwowany żołnierz, jest podatny do paniki. Nie widząc przeciwnika, żołnierze strzelają na oślep. Ulegając panice, strzelają również czołgi. Mołojcy ze strachu, już dawno pochowali się po mysich norach a spanikowany żołnierz urządza kanonadę.

Jedynym realnym śladem tego mitycznego powstania, pozostały tylko bliźny na cerkwiach i kościołach po wybuchach pocisków z dział czołgowych. Czołgiści, zgodnie z propagandą, znaleźli źródło zagrożenia w obiektach kultu religijnego i pofolgowali sobie ostrzeliwując je.

Słońce już nisko nad zachodem. Na gościńcu bez zmian. Sznur pojazdów ciągnie na wschód. Na północ od Lwowa, gdzieś pomiędzy Zboiskami a Hołoskiem, pojawiają się wstęgi dymu. W kilku punktach, równocześnie wybuchają pożary. Kowaleki Józek mówił, że to Sowieci podpalili podziemne zbiorniki paliwa. Już od dawna mówili ludziska, o wielkich składach amunicji ukłokowanych również w tym rejonie. Narazie dymy z palących się zbiorników, wznosiły się wysoko i tan rozrzedzone, skądś wpychane lekkim wiatrem na północny wschód.

Po upływie pół godziny, powietrzem targnęła potężna eksplozja. W sąsiedztwie ognisk pożarów, pojawił się potężny grzyb wybuchu, wznoszący się na setki metrów w górę. Po chwili, nastąpił wybuch o podobnej sile. Z upływem czasu, wybuchy się coraz częściej, tworząc chwilami całą serię, następujących po sobie eksplozji. Ziemia drży, brzęczą w oknach szyby. Nocą nikną dymy a ich miejsce zajmują gęste płomienie. W powietrzu wirują rozszerzone kawałki metali. Rozsypaną się w przestworzach iskry, niczym na pokazie ogni bengalskich. W panującej ciszy nocnej, drżenie ziemi, jakby nabrawo mocy. Ta apokaliptyczna kakaofonia trwa prawie trzy doby. Zanika dopiero w niedzielę.

piątek 27 czerwca

W Prusach pojawił się Ludwik Mykicki z wiadomością, że w godzinach po południowych, w Brzuchowicach, sowieci powycołagali z domów kilkadziesiąt osób, które wystrzelali w pobliskim lesie. Wśród zabitych znalazła się siostra Ludwika - osiemnastoletnia Zosia Mykicka. W Brzuchowicach, Mykiccycy znaleźli schronienie, u dalszej rodziny jeszcze w lutym 1940r., dokąd uciekli przed wywózką na Sybir, jako że byli osadnikami w Oparowie.

Sowieci zastosowali zasadę odpowiedzialności zbiorowej. 24

jakichś strzelców oddanych do wycofujących się wojsk sowieckich, które miały paść w tym rejonie.

Z rana następuje nalot na szosę Lwów-Tarnopol. Z oddalenia paru kilometrów obserwuję ten nalot. Samoloty z dość niskiego pułapu ostrzeliwują wycofujące się kolumny wojska. Jeden z bombowców, ciągnąc za sobą smugę dymu obniżył lot, jakby z zamiarem lądowania, znikł za lasem. Za chwilę grzyb wybuchu zasignalizował jego los. Po południu, nad Prusami przelatuje duża formacja bombowców. Lecą Horniery. Przelatują nad Prusami bez żadnych konsekwencji, chociaż przez wieś ciągną kolumny ciągników z działkami. Ostatnie eskadry już na końcu wsi. Uff-oddycham głęboko a tu nagle... ostry trzask wybuchających bomb. Ktoś krzyczy to na górze, lub zagrodach. Pędzę na zakopy, bo tam lepsza widoczność. Ponad dachami domów, widać grzyby wybuchów. Jestem na zakopach i patrzę na wschód. Nie... bomby nie wybuchły w Prusach, lecz w Pikułowicach. Później, nadeszły wieści z Pikułowic.

Stało się, że bomby zostały zrzucone przez omyłkę. Mieszkańcy Pikułowic porozkładali na łakach płaty płótna konopnego, celem wybielenia, przez polewanie wodą na słońcu. Lotnicy potraktowali te białe płaty płócienne, jako obiekty wojskowe i uchronowali je serią bomb. Skończyło się na zniszczeniu kilku płócien i wygnieceniu szub w pobliskich domach.

Ogniska pożarów i gejzery wybuchów nie słabną.

sobota 28 czerwca

Sytuacja bez zmian.

Dzień pochmurny. Od biał słycał odgłos jadącego pociągu. Od kilku dni nie widać już żadnych pociągów. Więc odgłosy jadącego pociągu, budzą zainteresowanie.

Lokomotywa ciężko sapie, bo ciągnie skład wagonów pod górę.

Sapanie lokomotywy coraz słabsze, wreszcie milknie.

Pociąg zatrzymuje się. Po pewnym czasie, lokomotywa rusza i jedzie w kierunku Lwowa. Połowa wagonów, pozostawiona zał na torach, koło łełci góry. Pojawia się ogłoska, że w wagonach znajduje się mydło. Grupki młodych prusaków ciągną w kierunku torów.

Ulegam owczemu pędowi i spieszę tam również.

Okazuje się, że żadnego mydła nie ma. Wagony kryte stoja w pło-nieniach a na platformach, znajduje się sprzęt i narzędzia do robót kolejowych. Wracamy więc z powrotem. Chmury przerzedzają się.

Jesteśmy niedaleko domu. Pogwizduje sobie, jakąś piosenkę.



Raptem słyszę serie karabinów maszynowych. Koledzy pędzą pod osłonę łanu pszenicy, ja opóźniony kładę się w bruzdę pomiędzy miedzą a zagonem buraków pastewnych. Obracam głowę i widzę 3 Heinkle tuż nad ziemią, ostrzeliwujące pruski gościniec. Widzę kabinę pilota, a w niej twarz zwróconą w kierunku gościńca. Trzaski ostrych serii nad głową i smugi pocisków w kierunku gościńca. Samoloty odlatują a my podążamy do domu. Skutek ostrzału to potłuczone dachówki na domu Ponowicza i podziurawiona blacha na domu Koziarskich.

Na gościńcu tłok rozluźnia się, pomiędzy kolumnami długie przerwy. Im bliżej do wieczora, tym pojazdów coraz mniej.

Nad Zboiskami i Hołoskiem, wulkan wybuchów i płomieni-trwa.

niedziela 29 czerwca

Budzę się rankiem i stwierdzam, że na gościńcu panuje cisza.

Nad Zboiskami i Hołoskiem, odgłosy wybuchów znacznie słabsze.

Mniej też ognisk pożarów. W południe wybuchy milkną zupełnie - wygasają też pożary.

Ubieram się i wychodzę do kościoła. Gościniec pusty. Od czasu do czasu przejeżdżają pojedyncze pojazdy.

Ksiądz Penar odprawia cichą mszę, bez kazania i po pół godzinie, parafianie wychodzą z kościoła.

Wychodzę i ja. Kieruję się do domu. W atmosferze cisza aż w uszach nawykłych do wojennego zgiełku - dzwoni.

Słychać w oddali odgłos formacji lotniczych podążających na wschód. Obiekty bombardowania odsunęły się od Prus, ich obecność sygnalizowana jest głuchym odgłosem wybuchów, już w oddali.

Czas wlecze się dziwnie długo. Czy to już koniec? A gdzie front?

Różne myśli plączą się w głowie.

Nadchodzi pora obiadu. Jem obiad, ale myśli błądzą na temat bliższej i o dziwo tej dalszej przyszłości. Nie bardzo optymistycznie, układają mi się prognozy.

Wychodzę na dwór. Na trawie koło Lewickich, grupa karciarzy na kocu, gra w karty. Przyłączam się w charakterze kibica. Czas przepływa, nieco znośniej.

Od strony kościoła dochodzi charakterystyczny pomruk, pojazdu gąsienicowego. Pomruk milknie a po chwili słyszę huk wybuchu... i cisza. Nic ciekawego - od wielu dni, tego typu odgłosy stają się rzeczą powszednią - myślę. Takiego samego zdania są karciarze, bo gry nie przerywają i zapamiętale młócą kartami o koc.

W pewnej chwili ktoś krzyknie krzyczy - patrzcie, patrzcie - pali się.

Odwracam się i widzę kłęby dymu wznoszące się w górę, już ponad wieżą kościelną.

Biegnę na gościniec a potem w prawo w kierunku kościoła. Przede mną i za mną, grupki młodych, podążają w kierunku pożaru.

W połowie drogi po ścieżce na zakopach, grupa sześciu żołnierzy, podąża w przeciwnym kierunku t.zn. na wschód.

Z tyłu słychać turkot wozu konnego. Odwracam głowę i widzę wóz strażacki, ciągniony przez parę koni, podąża w stronę pożaru.

Na wozie członkowie ochotniczej straży pożarnej w Prusach.

Szybko się uwinęli chłopaki-myślę.

Od strony pożaru-trzaski, podobne do trzaskających krokwi w ostatniej fazie spalania.

Już widzę źródło pożaru. Jest to gąsienicowy ciągnik transportowy -Komintern-. Cały wóz przechylony, stoi w płomieniach.

Jedna gąsienica w rowie, a druga na poboczu drogi.

W ciągniku coś trzaska. To eksplodują naboje karabinowe.

Z wozu w chwilach eksplozji wyskakują na gościniec łuski od pocisków i jakieś żarzące się kawałki pakuł, czy coś w tym rodzaju.

Chata ciotki Szczepaniaczki o kilka metrów od płonącego pojazdu.

Dach to słomiana strzecha-nie do uratowania, myślę sobie.

Dziwne, że jeszcze nie płonie. Straż pożarna, szuka źródła wody.

Z organistówki wychodzi mój brat Józek i woła: bierzcie wodę

z sadzawki-tam jest źródło. Strażacy z węzłem ssącym biegną w kierunku sadzawki. Następna czwórka pędzi z motopompą.

Ustawiają motopompę i biegiem po zwinięte w koła węże.

Rzucają koła, które tocząc się, samistnie rozwijają się w pasy węży.

Do płonącego ciągnika, blisko 100m.

Węże rozwinięte-następuje łączenie na złączach.

Ostre rozkazy wydaje Wojciech Koziar-komendant. Zapalać pompę!

krzyczy. Kilka pociągnięć ręcznym rozrusznikiem i silnik zaskakuje.

Uwaga-woda naprzód!

Wolański Józef z prądnicą, schowany za węzłem domu ciotki

Szczepaniaczki, nerwowo patrzy na wąż. Dostrzega pęcznienie węża pod ciśnieniem pompowanej wody. Wysuwa prądnicę poza węzeł i kieruje strumień wody do skrzyni ciągnika.

W ciągniku, ciągłe wybuchy naboju karabinowych.

Coraz częściej zaczynają wybuchać granaty ręczne.

Krąg gapiów, pod wpływem wyrzucanych wybuchami przedmiotów, cofa się

dotyku. Z ciągnika wydobywają się kłęby dymu. Stalowa obudowa

ciągnika, rozpalona prawie do czerwoności-zaczyna ciemnieć.

Wolański od czasu do czasu, polewa strzechę chaty. Ostatni to

moment. Nagrzana strzecha, intensywnie paruje. Po kilku minutach.

pożar zaczął przygasać. Coraz mniej wybuchów.

Krąg gapiów zaczyna się ścieśniać. Stoję koło ogrodzenia kościelnego w odległości około 40m od płonącego ciągnika, obok szpaleru lip okalających dziedziniec kościelny. Nagle słyszę potężny huk, jaskrawy błysk. Cały horyzont w płomieniach. Zwrot głowy ku górze... widzę płonienie ponad lipami i wieżą kościelną. To jakiś kataklizm, przemknęło mi w głowie. Krąg ludzki rozbija się w popłochu, na wszystkie strony. Trzymający prądnicę Wolański, opuścił wszystko na ziemię i zmyka przez łączkę, niczym zając goniony przez sforę psów. Płomienie zniknęły a w ich miejsce zajęła potężna chmura gęstego, kłębiącego się dymu, sięgającego hen ku niebu.

Na moment zapanowała cisza. Słychać tylko warkot silnika pracującej motopompy. Pociski przestały eksplodować, ogień w ciągniku przygasał. Wolański zmienił kierunek biegu i równie żwawo, jak przed chwilą uciekał, powraca na stanowisko podnosi prądnicę z sikającą wodą i kieruje jej strumień do skrzyni ciągnika. Podniecony ambicją spowodu pośpiesznej - przed chwilą rejterady, wychodzi z za wężła i podchodzi do samego ciągnika. Jeszcze chwilę, polewa wodą wszystkie zakamarki w pudle ładunkowym i podnosi rękę do góry, na znak, że koniec pożaru i należy zatrzymać motopompę. Kozier wyłącza silnik i podchodzi do ciągnika.

Na podwórzu ciotki Szczepaniaczki tłok. Porozkładane sprzęty domowe, pościel i meble powynoszone w pośpiechu z zagrożonej chaty.

Ciotka zdenerwowana, ale już wesoła, mówi z przejęciem:

to cud Boży, że moja chatka ocalała. Dzięki Bogu i wam strażacy.

Gdzież bym ja się podzielała gdyby ta chacina spłonęła?

To ta beczka spowodowała ten fajerwerk pod niebiosami - mówi donośnym głosem, komendant Kozier. Całe szczęście, że wysokie ściany boczne ciągnika, nie przepuściły eksplodującej ropy, płasko na boki. Wówczas wasza chata ciotciu, była by stracona i chyba by się na tym nie skończyło. Gruba blacha beczki rozpruta, jakby nożycami przecięta.

To 250 litrów ropy, gruchnęło niczym dynamit. Ale dwie beczki uratowaliśmy. Zabierzemy je do młyna - zakończył Kozier.

Myslałem, że zostawili ten ciągnik z braku paliwa a przecież na tych trzech beczkach dojechali by do Moskwy - powiedział Wolański.

Zobacz ile granatów zostało w skrzyni, ile naboji karabinowych.

Jest jeszcze coś, ale nie wiem do czego to może służyć.

To chyba miny przeciw piechocie, stwierdził Gajda.

Od strony domu ludowego ukazał się oddział piechoty. Z daleka poznają, że to Sowieci. Maszerują szybko i są już wśród tłumu

dyskutujących prusaków. Instynktownie wyczuwam zagrożenie. Przecież spalony ciągnik, mogą ocenić, jako dzieło CUN.

Oddział w sile kompanii piechoty, podąża w czwórce w pośpiesznym krokiem. Karabiny na lewym ramieniu, przetrzymywane <sup>my</sup> ręką za narciany pas. W prawej ręce, każdy żołnierz trzyma granat. Obok mnie, z boku oddziału maszerują lejtnant i politruk.

Z pewnego oddalenia słyszę słowa jak gdyby:

-nada zadierżat otriad-to politruk.

-wriemia niet-to lejtnant.

-eta pogorielonnaja automaszyna-znowu politruk.

Lejtnant coś gorączkowo tłumaczy z czego dosłyszałem tylko:

eto paliaki. Zdrętwiałem z przerażenia. Rozglądam się po stojących sąsiadach i zdaję sobie sprawę, że nikt poza mną nie zwrócił uwagi <sup>na</sup> tę rozmowę. Przecież o tej sprzeczki powiało grozą.

Oddział żołnierzy oddala się. Już 100m za minutę 200, ostatnie szeregi bojcow, podbiegają nie mogąc dotrzymać tempa marszu.

oddycham głęboko. Taki tłum ludzi oj byłoby...byłoby to.

Słońce już zaszło-czas do domu.

-XI-

Dnia 30 czerwca 1941r. w godzinach rannych rozeszła się pogłoska, że w Prusach koło kościoła są już Niemcy.

Takiej okazji nie wolno przeoczyć. Właściwie w tej wojnie Niemców jeszcze nie widziałem - za wyjątkiem kilku jeńców we wrześniu 1939r. Schodzę uliczką na gościniec. Patrząc w prawo - nieopodal, czterech żołnierzy jedzie rowerami. Szaro-niebieskie mundury, na głowach charakterystyczne hełmy. Karabiny umocowane poziomo do ram rowerowych. Jada spacerkiem, szwargocząc coś pomiędzy sobą, z cygarami w zębach. To patrol - domyślałem się.

Dosyć niefrasobliwie poczyną sobie ten patrol - pomyślałem.

Ale wygląd mają bojowy. Idę w kierunku kościoła. Grunki młodych chłopców podążają w tym samym kierunku. Mijam kościół - tuż za kościołem, spalony wczoraj Komintern, po czym dom ludowy a nieco dalej, przy skrzyżowaniu z drogą do Kamienopola, na przyległej do drogi łące poruszają się grupy żołnierzy. Rękawy letnich bluz wojskowych, podwinięte do góry, po łokcie. Twarze opalone, roześmiane. Wygląd, rozmowy przeplatane śmiechem wskazują, że jest to żołnierz zwycięski. Na łące poustawiane w kozły karabiny. Część żołnierzy, rozkłada przybory do golenia i goli się. Szokująca dysproporcja w porównaniu do żołnierzy sowieckich. Przy każdym żołnierzu, woda kolońska.

Włosy elegancko przystrzyżone, samciśtnie układają się w loki.

Trzech żołnierzy, rozkłada na łące, dużą płócienną płachtę, z ogromnym Hackenkreuzem<sup>x</sup> na środku. To sygnalizacja dla lotników - domyślałem się.

Gdzieś na szosie na Tarnopol odgłosy salw armatnich. Widać wybuchy granatów i szrapneli eksplodujących nad ziemią. Z łąki podnosi się grupa żołnierzy i maszeruje w kierunku Kamienopola.

Przed mostem na Pełtwi, oddział skręca w lewo - pod osłoną wału przeciw powodziowego, maszeruje na wachód. Następnie żołnierze, kładą się na skarpie wału, w kilkumetrowych odstępach. Karabiny ustawiają na koronie wału. Domyślałem się, że jest to osłona od strony południowej. Z Kamienopola ktoś w pośpiechu podąża w stronę Prus.

To Ukrainiec Burbeła - właściciel młyna w Kamienopolu. Zatrzymuje się przy biwakujących żołnierzach i z ożywieniem rozmawia. <sup>xx</sup>

Podchodzę bliżej i słyszę: woher kennen sie so gut Deutsch?

- Ich habe drei Jahre Medizin studiert in Wien - odpowiada Burbeła. <sup>xxx</sup>

- Ach so ich verstehe - mówi żołnierz. <sup>xxxx</sup>

Z niechęcią odchodzę od rozmawiających. Oto zjawił się nowy przyjaciel Ukraińców. Nie tak dawno z entuzjazmem przyjmowali

x - swastyka

xx - skąd tak dobrze znacie niemiecki?

xxx - przez 3 lata studiowałem medycynę w Wiedniu.

xxxx - ach tak - rozumiem

czerwonoarmistów, aby pożegnać ich, strzałami z za węgla, teraz przerzucili swą sympatię na nowego pseudo-przyjaciela. Nie wzbudził we mnie entuzjazmu, nowy wyzwoliciel, chociaż przed kilku dniami, myślałem inaczej. Intuicyjnie wyczuwam, że pr ten przedstawiciel cywilizacji europejskiej, będzie poprostu okupantem i do tego okupantem bezwzględny. Narazie jednak stwierdzam, że niemiecki żołnierz ma wygląd, rzeczywiście europejski. Odchodzę w kierunku domu. Z domu ludowego wychodzi grupka żołnierzy z portretami wprawionymi w rany. Obrazy zawierają wizerunki: Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, oraz dodatkowo Woroszyłowa i Timoszenki. Żołnierze podchmieleni, śpiewają jakąś pieśń, w której najczęściej powtarzonym słowem, jest wyraz-internacjonale. Śpiew ustaje -demonstranci-podrzucają portrety do góry, następnie kopią je i po chwili z portretów pozostają tylko strzępy papieru. Patrzę na tych żołnierzy-i zatrzymuję wzrok na jednym z nich. Powodem jest jego uroda. Przystojny szatyn z oczyma jak węże, piękna twarz i cała postać. Ten jak by wyczuł mój wzrok, podchodzi do mnie ~~na krótko~~ i mówi po polsku: no i co dali wam w kość bolszewicy? Zaskoczony-anno tak dali mocno-mówię. A pan skąd?pytam. Ja z poznańskiego-odpowiada przystojniak. Zaskoczony i zaszokowany, gorączkowo myślę: Polak z Poznańskiego w niemieckim mundurze? No cóż, nie znałem realiów życia ziemi poznańskiej, w owym czasie. Na tym nie koniec. Podchodzi do mnie drugi żołnierz-widząc, że rozmawiam z żołnierzem niemieckim i na tej podstawie przekonany, że rozumie po niemiecku, mówi: wir ziehen gegen Bolschewismus mit Gott zusammen-schau hier<sup>x</sup> i wskazuje na blaszaną klemrę pasa, na której wytłoczony napis -Gott Mit Uns<sup>xx</sup> ja, ja ich sehe und verstehe-odpowiadam. Żołnierz roześmiał się szeroko, klepnął mnie po ramieniu i odszedł ku wesoło rozprawiającym kamratom. Poszedłem i ja. Na obszernym dziedzińcu, przy plebanii tłumy żołnierzy. Na ziemi beczki z piwem. Przy beczkach obsługa w białych marynarkach nalewa z syfonów piwo do kufli. kolejki żołnierzy podchodzą do beczek i odchodzą ~~z kufliami~~<sup>opiekami</sup>. Część pod batutą akordeonisty zaczyna śpiewać. Śpiewają marsze wojskowe. Muszę przyznać, że to najbardziej bojowe marsze, jakie kiedykolwiek słyszałem. Idę dalej i dochodzę do domu. Pojedynek artyleryjski trwa. W oddali nad szosą do Tarnopola, grzyby wybuchów i wybuchy w powietrzu-szrapneli. Nad Prusami od czasu do czasu, przelatuje pocisk, leci jakby ni to z jakim, chwilowo chlupcetem i kończy, swój lot w oddali, gdzieś koło Chałupek, gruchym wybuchem.

x - z Bogiem ciągniemy przeciw bolszewizmowi-patrz ty

xx - Bóg z nami

xxx - tak, tak widzę i rozumiem

Wchodzę do domu i w kuchni słyszę obcy kobiecy głos. Wchodzę do kuchni i poznaję Kłosowską.

Kłosowska opowiada:

raniutko poszłam do Lwowa. Tam usłyszałam od znajomych, że w więzieniu przy ul. Kazimierzowskiej, zwanym brygidki- wszyscy więźniowie zostali wymordowani. Szybko udałam się tam i już z daleka zobaczyłam tłumy ludzi. Z oddali słyszę krzyki i płacz. Podeszłam bliżej a tu Sódoma i Gonora. Przykry, nie do wytrzymania odór rozkładających się ciał, wyciąganych z piwnic więzienia. Ścisłk tłoczących i lamentujących w rozpacz ludzi. Wielu rozpoznało swoich bliskich, wśród zmasakrowanych ciał. Nie mogłam tego słuchać. Myślałam o swoim Jaśku i w myślach prosiłam Boga, aby był gdzieś daleko, nawet na Sybirze, byle nie tu we Lwowie. Nie mogłam czekać i petrzeć na rozpacz nieszczęśliwych ludzi. W tłumie pełno Niemców, którzy kierowali wydobywaniem zwłok. Pełno ich z aparatami fotograficznymi, bez przerwy fotografujących, szczególnie tych najbardziej rozpaczających. Spędzają z miasta grupy mężczyzn- przede wszystkim żydów. Brutalnie spychają ich do piwnic, biją kolbami i każą wyciągać zwłoki gołymi rękami. To nie do opisania. Za nic w świecie nie chciała bym w życiu oglądać jeszcze coś podobnego.

Chyba samo piekło nie byłoby straszniejsze. Uciekłam bliska omdlenia i wstyd mi się przyznać, że z ulgą odetchnęłam dopiero wtedy, gdy odgłosy lamentujących ludzi zanikły w oddali.

W ostatniej fazie opowiadania, z na dworu weszła matka. Po zakończeniu relacji Kłosowskiej zebrała głos mówiąc: ze Lwowa powrócił również Janek Barów, który widział również wymordowanych więźniów, ale w więzieniu przy ul. Zamarstynowskiej. Opowiadał również o tym, że więźniów NKWD wymordowało więźniów we wszystkich lwowskich więzieniach. Oprócz brygidki i tego na Zamarstynowie, są jeszcze więzienia przy ul. Łąckiego i Batorego. Wszędzie tam rozpacz i cierpienie ludzkie. Zostawiło nam NKWD jeszcze jedną pamiątkę swego okrucieństwa, w najbardziej zbrodniczym wydaniu- powiedziała matka. Tysiące bezbronnych ludzi, wymordowano w bestialski sposób.

Wczesnym popołudniem, ogień artyleryjski zamilkł. Wyczuwa się, że Niemcy poszli naprzód.

Robi się szaro- na ulicze od pola, rozlega się szum silników samochodowych. Wypadam na dwór i widzę pojazdy samochodowe jedące uliczką, obok naszego domu. W skrzyniach stłoczone postacie żołnierzy w hełmach na głowach. Samochody dojeżdżają do gościńca i skrę-

cają w lewo ku Pikułowicom. Skąd zjawiły się te samochody? Patrząc kolumna wylania się z za pagórka i jedzie naszą działką, zasadzoną ziemniakami. Włosy zjechały mi się na głowie. Jeżeli ta kolumna jedzie od Żydawcz naszym zagonem, to znaczy, że dłony na całym-ponad kilometrowej długości zagonie, należy uważać za stracone. Pszenica, żyto, jęczmień, owies, buraki pastewne, wszystkie jarzyny, proso, kukurydza, ziemniaki-te wszystkie plody rolne, stanowiące podstawę naszej egzystencji-zostały zniszczone. Na naszych oczach, nie kończący się wąż samochodów, niweczy plon całorocznej pracy. Myśli biegną ku dramatycznej przyszłości. Jaki będzie ten rok? Złowieszczy znak zapytania. W domu atmosfera całkowitej dezynwoltacji. Matka krząta się pokuchni pochlipując. Jest już noc a samochody i inne pojazdy ciągle suną z szumem silników. Po ~~sz~~ ponad dwu godzinach, zmotoryzowana kolumna kończy tragiczną dla nas defiladę. Huk silników milknie. W poświacie księżycowej ukazują się sylwetki zaprzęgów konnych. To artyleria ciągniona przez konie. Dzieła dojeżdżają do gościńca i tu zakręcają na wschód. Marsch, marsch, brzmią ostre słowa komendy-przeznaczone dla koni. Koła armat dudnią, podskakując po nie równej nawierzchni tłuczniowej. Zaprzęg za zaprzęgiem jedzie w jednostajnym, monotonnym rytmie. Wreszcie koniec tej konnej kawalkady. Po chwili jednak-ponowny szum silników samochodowych. Jadą samochody załadowane, prawdopodobnie amunicją i zaopatrzeniem dla wojska. Rospostarte plandeki, ukrywają rodzaj ładunku. Nie długo późno. Nie czekam końca tej prześlizgującej karawany i odchodzę z ciężkim sercem na spoczynek. Tak zakończył się dzień, po przejściu frontu, na którym wzięły się za bary dwie największe, militarne potęgi świata. Następnego dnia ojciec wyruszył, na przegląd szkół wyrządzonych przez przemarsz formacji wojskowej po naszym polu. Powrócił zreżanowany. Będziemy głodowali-oświadczył. W powietrzu głuchy pomruk bombowców lecących na wschód. Po południu rozeszła się pogłoska, że na Kleparowie znaleziono zwłoki Bronka Słomińskiego, zamordowanego przez bolszewików. Broniek Słomiński, kombatant wojny w 1939r, po powrocie z wojny, podjął pracę w nauczycielstwie, gdzieś we wiosce pod lwowskiej, po zachodniej stronie miasta. Według relacji mieszkańców wsi-nauczyciel Bronisław Słomiński, w czasie generalnego odwrotu wojsk sowieckich, wyszedł na drogę i tam żołnierze sowieccy, aresztowali go i kazali siadać do ciężarowego samochodu. Aresztowanie zostało dokonane bez żadnej przyczyny. W bezpośredniej bliskości areszto-



wania nie przebywał nikt z mieszkańców i z tej przyczyny nic więcej, nikt nie wiedział.

Zrozpaczony ojciec, przywiózł zwłoki syna do Prus.

Następnego dnia odbył się pogrzeb.

Pozostali samotni rodzice. Jeden syn <sup>Józef</sup> (znajduje się w niewoli niemieckiej. Drugi syn, Piotr, funkcjonariusz policji państwowej znajdował się w więzieniu, lub lagrze sowieckim. Trzeciego syna najmłodszego, pochowali właśnie Słomińscy, na pruskim cmentarzu.

Do domu rodzinnego nie powrócił żaden z synów do końca życia rodziców.

Codziennie wędruję z krowami na błota. Rola opiekuna krów została mi powierzona, ponieważ byłem najmłodszym w rodzinie. Krówki pasą się na wyeksploatowanym z torfu zagonie a ja składam podsuszony torf w przemy. Na nie wyeksploatowanej z torfu części działki jest mały zagon buraków pastewnych, ziemniaków, konopi i na największej części kapuste. Wyrzynam z działek uprawnych zielsko i trawy - uzupełniam odżywanymi liśćmi buraków pastewnych i wynoszę krowom, celem dokarmienia.

Codziennie zażywam kąpieli w pobliskim Kanale Rządowym. Kryształowo czysta woda, zachęca do kąpieli. w naktis Prawie codzinnie, wpędzam do kanału krówki. Krowy krocząc po wodzie, skubią trawę z nad brzegu a ja pryskam na nie wodą i wiązka zerwanych szuwarów, nyję je dokładnie. Krowy czysciutkie, wędrują do domu a matka jest zadowolona, że takie czyste zadbane. Błota stają się moim drugim domem. Na porę dzienną. Cały dzień cisza. Linia kolejowa na Łuck i Kowel nieczynna, a czas odmierza tylko słońce, niestrudzenie krocząc po swej orbicie. Monotonnie, wolno płynący czas, staram się urozmaicić w różny sposób. Biorę ze sobą książki i czytam. O książki w Prusach ciężko. Już prawie dwa lata, polskie książki nie są drukowane. Dużą część niezgodnych ideologicznie skonfiskowana przez władze kraju największej w świecie kultury. Po nowym okupancie, trudno się spodziewać, jakiegokolwiek tolerancji w tym względzie.

Jednak od czasu do czasu, udaje mi się zdobyć, coś do czytania.

Czytam więc: Noce i Dni - Dąbrowskiej, Piąty Etap i Kochanek Wielkiej Niedźwiedzi - Sergiusza Piaseckiego i inne, których zapamiętać nie sposób. Trafiły się również różnego rodzaju romansidła, które szybko uchodzą z pamięci, w nicosć zapomnienia.

Z braku książek brałem podręczniki szkolne, a więc :algebrę, geometrię, historię. Rozwiązywałem zadania i śledziłem losy Polski od zarania jej dziejów, lub dzieje narodów i bohaterów starożytności. Wyczuwałem, że jest to dla mnie bardzo ważne. Nie można tracić kontaktu z nauką, bo to, czego się dotychczas nauczyłem, należy uwzględnić w rozwoju swej świadomości. Odczuwałem to raczej intuicyjnie, jako niedorostek na ważnym etapie rozwoju, pozostawiony w zasadzie samemu sobie, w tych skomplikowanych czasach, w których przyszło mi dojrzewać.

Nie tylko te problemy, absorbowały moje myśli.

W większości-mimo wszystko -były to sprawy bardziej przyziemne. Zajmtrygowany byłem widokiem otoczenia szosy na Równie.

Wzdłuż szosy na odcinku Żydatycze-Podliski, zauważyłem pozostałości wiony w dużej ilości sprzęt wojskowy.

Po obu stronach szosy, widoczne były samochody ciężarowe, ciągniki, działa, a nawet czołgi. Nie było ich tutaj przecież, nawet po silnym nalocie lotniczym w dniu 26 czerwca.

To muszę-przy najbliższej okazji sprawdzić. Okazja wydarzyła się w lipcową niedzielę. Ze Staszkiem i Wojtkiem Lewickim udaliśmy się w kierunku stacji kolejowej Żydatycze, a stamtąd drogą polną w kierunku szosy. Celujemy tak, aby trafić na odcinek pomiędzy Malech chowem a Żydatyczami. Udało się nam to. W luce pomiędzy pagórkami zauważyliśmy <sup>szosę</sup> raczej samochody przejeżdżające po niej. Wkrótce widzimy wstęgę szosy, a uwagę naszą przyciągnął widok jakiegoś potężnego mpanstrum, o kształtach czołgu, tylko dwukrotnie większego, Zaciekawieni, podążamy na przelaj, przez pole buraczone ku fascynującemu kolosowi. Już jesteśmy u celu i stwierdzamy, że jest to czołg, ponieważ posiada gąsienice. Nie jest to jednak zwykły, znany nam czołg, ale po prostu ruchoma forteca, Kolos ma kilkanaście metrów długości. Uzbrojenie widoczne na zewnątrz, to trzy działa. W środkowej wieży zamontowana haubica o krótkiej lufie, kalibru według naszej oceny 100mm, oraz dwa działa przeciwpancerne. Jedno działo z przodu czołgu, przed wieżą z haubicą a drugie z tyłu. Czołg-wnioskując po ciemno zielonym kolorze-zupełnie nowy. W boju nie brał udziału, gdyż na lakierze nie ma żadnego śladu-choćby tylko rysy po trafieniu kuli karabinowej. Nurtuje nas ciekawość, co znajduje się wewnątrz czołgu. Boimy się Niemców, gdyż nie nie wiadomo, jakby się zachowali, znajdując nas wewnątrz czołgu. Ciekawość jednak przeważała nad strachem i po kolci wchodzimy na platformę, przy wieży środkowej. Rzut oka do środka i już

z pierwszy ciekawski już w środku a następni dwaj błyskawicznie idą jego śladem. W środku dość ciasno. Przy ściankach wieży regały ze stalowej blachy: o trzech etażach. Na każdym etażu ustawione pociski, ciasno jeden obok drugiego. Pociski lśnią świeżością, jakby prosto z fabryki. Nie brakuje ani jednego. W sumie na tej okrągłej etażerce, około 100 pocisków. W zapasie jeszcze dwa ogromne wiklinowe kosze wypełnione z czubem pociskami. Te właśnie kosze sprawiają wrażenie ciasnoty. Dojście do dział przeciwpancernych z przodu i z tyłu pozostawiane jakimś skrzynkami-utrudnione. Załoga składa się z siedmiu ludzi, bo tyle naliczyliśmy siodełek. Przyrządy celownicze lśnią nowością. Tylko wlaś paliwo i można jechać na wojnę-mówię. Czołg z całą pewnością pozostawiony z braku paliwa. Nawet go nie podpálili-mówi Wojtek. Rzeczywiście, że też Niemcy nie zainteresowali się tym potworem.

Wziąłem z kąta stalowy pręt i trach, trach..po przyrządach celowniczych. Posypały się szkła przyrządowe, metalowe elementy pogięte. Teraz z tej haubicy nikt nie wystrzeli celnie. Czas na nas, nic więcej tu nie zdziałamy. Przy każdym przejeżdżającym samochodem, cierpnie nam skóra, czy aby się który nie zatrzyma. Wyłazimy i patrzymy wzdłuż szosy. W kierunku na Malechów w rowach przydrożnych i na polach kilka samochodów ciężarowych, kilka dział i dwa czołgi. Tylko 2 samochody spalone. Idziemy w kierunku Żydów. Nie uszlismy więcej więcej, niż 200m a tu napoclu pod laskiem, w odległości niespełna 100m od szosy-stoi drugi kolos z trzema działami. Podchodzimy bliżej i widzimy, że czołg nie uszkodzony, w takim samym stanie, jak poprzedni. Na dzisiaj dosyć-mówię. Idziemy do domu. Staszek Lewicki zwany monterem z racji swych zdolności majsterkowicza-mówi. My tu jeszcze przyjdziemy, ale z kluczami i młotem.

Dotrzymał słowa Staszek. Przez całe tygodnie wędrował z Wojtkiem i innymi przygodnymi chłopakami do szosy na Równe, oraz na przemian na szosę tarnopolską. Przynosili codziennie, jakieś części z samochodów i czołgów. Pierwszą zdobyczą był iskrownik z czołgu olbrzyma. Na podstawie oględzin iskrownika, stwierdziliśmy, że czołg posiada silnik dwunasto cylindrowy.

Odtąd trzeba było uważać, przy odwiedzinach u montera w komórce warsztatowej. Przy pokręceniu palcami wałka iskrownika, z końcówki kabla wyskakiwała z trzaskiem iskra elektryczna o wysokim napięciu. Przy dotknięciu jakiej kolwiek części ciała, przeskakująca iskra powodowała wstrząs szokująco nie przyjemny. ~~Wstrząs~~

Najchętniej, przykładali nie świadomemu delikwentowi, kabel do tyłka i wywoływali przeskok iskry. Rasceją był przenikliwy krzyk i podskok w górę. Łobuzy śmiały się do rozpuku i klasyfikowały podskakiewdicy w zależności od wysokości podskoku.

Następnym razem przydźwigali prądnicę z tego samego czółka.

Prądnicą o wadze około 50kg .

W końcu ~~naprzemysł~~ przytaszczyli silnik dwusuwowy. Przy próbach uruchomienia silnika, omal nie spalili warsztatu. Silnik nie chciał zapalić a gdy zaskoczył-momentalnie stanął w płomieniach. Szczęściem-był przy tym starszy obserwator-Franek Worochański i przytomnie przykrył płonący silnik workami, skutecznie tłumiąc ogień. Silnik miał służyć do napędu prądnic, a uzyskaną w ten sposób energią elektryczną, zamierzali wykorzystać do celów oświetleniowych. Nataszczyli całą kupę najrozmaitszych detali.

Rezultatem, była wizyta policji przy asyście sołtysa i skonfiskowanie schomikowanych zdobyczy. Obydwaj wynalazcy, Staszek i Wojtek Lewiccy, musieli własnymi siłami odwieźć taczka ten cały majdan do siedziby Dorfschultze<sup>x</sup>.

W otoczeniu Prus euforia ukraińska-domy przystrojone flagami niebiesko-żółtymi, w oknach herby Ukrainy-stylizowany tryzub.

Ukazały się pierwsze gazety - w języku polskim gazeta lwowska-w języku ukraińskim wilna Ukraina. Ukraińcy tworzą władze administracyjne. Z urzędów i biur, wyrzucają Polaków. Tworzą policję, złożoną wyłącznie z Ukraińców.

Przebudowa torów kolejowych na linii Lwów-Tarnopol-zakończona.

W roku 1939, Sowieci zwiększyli rozstaw szyn, przystosowując tory do swoich norm. Obecnie Niemcy przebudowują tory, przystosowując je do norm europejskich. Już pierwsze transporty ruszyły z ładunkami wojskowymi.

Na froncie wschodnim, Niemcy prą do przodu. Zajęli nowe miasta: Witebsk, Borysów, Orszę, Mohylew, Bobrujsk, Żytomierz, Winnicę.-wychodzą na przedpola Kijowa. Do niewoli dostaje się codziennie, dziesiątki tysięcy jeńców. Ogromne kolumny pędzą Niemcy na zachód.

W rejonie miast: Zdołbunów, Żubno Równe-kilka sowieckich korpusów pancernych zostało prawie doszczętnie zniszczonych.

Wpadła mi do ręki niemiecka ulotka, skierowana do żołnierzy sowieckich służących w broni pancernej. Ulotka w języku rosyjskim, nawołuje do poddawania się, jeżeli chcą uniknąć losu ich towarzyszy spalonych w płonących czołgach, w bitwie jednostek pancernych na Wołyniu, w rejonie Równego. Na ulotce umieszczona fotografia pola bitwy.

na której widoczne wielkie ilości palących się czołgów.

Podobne apele kierują Niemcy przez radio, do żołnierzy wszystkich rodzajów wojsk.

Gazeta lwowska zamieszcza relacje z bojów na froncie, podkreślając wielką ilość poddających się do niewoli żołnierzy sowieckich, oraz ogromną ilość sprzętu różnego rodzaju, pozostawionego w odwrocie, lub zniszczone<sup>go</sup> w boju.

Z opisów zdobytego sprzętu dowiedziałem się, że czołg z trzema działkami, spenetrowany przez nas nie dawno na szosie, ~~to~~ to czołg KW /Kliment Woroszyłow/. Posiadanie tego czołgu, Sowieci trzymali w tajemnicy. Pod względem uzbrojenia i ciężaru, jest to największy i najsilniej uzbrojony czołg świata. Nikt na świecie nie produkuje jeszcze takiego czołgu, oprócz, oczywiście Sowieców.

Oprócz rewelacyjnego czołgu KW-ujawniono jeszcze jednego nastodonta w postaci transportera desantowego. Ciężar tego olbrzyma 110 t. Ładunek, to 70-cio osobowa załoga żołnierzy. Szybkość zaskakująco niska 10km/godz. Mała szybkość i ogromne zużycie paliwa sprawiły, zdobycie tej nowej niespodzianki, bez strat ze strony niemieckiej.

Rozeszła się wieść o wymordowaniu kilkadziesiąciu profesorów uniwersytetu i politechniki lwowskiej.

Profesorowie wyprowadzeni w nocy, zostali natychmiast zamordowani. Miejsce kaźni na razie nieznane. Mordu dokonał specjalny batalion eksterminacyjny-Nachtigall<sup>x</sup>, przy udziale jednostki ukraińskiej, pod dowództwem Stepana Bendery. Nachtigall, rozszerza swoją zbrodniczą działalność na całe kresy południowo-wschodnie, likwidując znane osobistości inteligencji polskiej w miastach, miasteczkach a także na wioskach kresów.

"Cywilizacja europejska" ujawniła swoje oblicze w najbardziej, barbarzyńskim hitlerowskim wydaniu.

Tymczasem niemiecki wał pancerny toczy się nie przerywając naprzód. Niemieckie -Oberkomando<sup>xx</sup>-podaje wiadomość o wzięciu<sup>o</sup> niewoli, syna Stalina Jakuba Dzugaszwilli. Wzięto do niewoli setki tysięcy jeńców, w kotłach pod Humaniem i Homlem. Wojska niemieckie dotarły na przedwola Kijowa i Smoleńska.

Pod koniec lipca, kresy południowo-wschodnie zostały włączone w skład Generalnego Gubernatorstwa/Generalgouvernement/, pod nazwą: Dystrykt Galicja/Distrikt Galizien/. Lwów został stolicą dystryktu. Zimny przysznic dla Ukraińców, którzy od kilku tygodni świętowali powstanie samostijnyj Ukrainy. Wszystko wraca do normy.

Uruchomienie radiostacji lwowskiej, oznajniają głosy spikerów

x - sędzina

xx - naczelne dowództwo

polских. Do urzędów powracają urzędnicy Polacy.

Niemcy nie kierują się w tym przypadku sentymentem. Niemcy to realiści. Sprawność administracji mogą zapewnić doświadczeni fachowcy i w tym względzie, Ukraińcy nie mogą konkurować z Polakami. W rękach Ukraińców pozostaje policja. Tu też decyduje niemiecki realizm.

Sowhozy i kołchozy przechodzą pod zarząd niemiecki i pod nazwą Liegenschaftów, mają służyć gospodarce niemieckiej.

Gospodarstwa indywidualne zostają obciążone dostawami obowiązkowymi. Wszystkie młyny o napędzie silnikami spalinowymi, zostają zamknięte. Pozostałe <sup>można</sup> dokonywać ściśle ewidencjonowanych przemianów zbóż i są nadzorowane przez Niemców. Niemcy konsekwentnie zaciskają pasy mieszkańcom Galicji. W mieście wprowadzili kartki żywnościowe. Przydziały żywności na kartki-głodowe.

Jest ciężko żyć a będzie jeszcze ciężiej. Przewidywany nieurodzaj-niestety sprawdza się. Trwające zniwa wskazują, znaczną obniżkę plonów.

Na froncie pewne niepowodzenie Niemców. Natarcie ich wojsk na Kijów i Smoleńsk, zostało powstrzymane. W tych rejonach front stoi w miejscu. Zaznaczył się wzmożony opór wojsk sowieckich.

Ja w dalszym ciągu wędruję z krówkami na błota. Czas na torfowiskach upływa utartym zwyczajem. Układam w pryzmy podsuszony torf. Od czasu do czasu, brat Staszek przyjeżdża wozem i ładujemy razem podsuszone cechy torfu. W domu torf składa się w specjalnie szopie i pod okapami dachów, celem dalszego dosuszenia.

Dla zabicia czasu i zaspokojenia głodu, rozniecam ogień z torfu. Po wypaleniu się torfu, w powstały żar wkładam ziemniaki wygrzebanym z zagonu i po pół godzinie <sup>nie</sup> tracę się gorącymi, spieczonymi w żarze kartofelkami.

Pojawiają się amatorzy przysmaku, więc muszę się podzielić z rówieśnikami i rówieśnikami-pasterzami. Nie wiele pozostało dla mnie, więc mówię: od jutra, każdy amator ziemniaków, przyniesie je ze swoich zagonów. Znacnie sytuację u mnie-te ziemniaki na błotach, będą znaczyły dla nas wiele w tym tak ciężko zapowiadającym się roku. Korzystając z upalego jeszcze sierpnia, <sup>in</sup> zażywamy kąpiele w Kanale Rzędowym. Choczo wchodzę do wody a za mną podążają samorzutnie moje krówki a ja, jak zawsze myję je w czystej, rzecznej wodzie. Od początku lipca czystość jej, została zakłócona, dużymi, tłustymi plamami oleju. Przy kąpiele uciekam od tych plam, widocznych z daleka. Jakiego pochodzenia są te plamy, dowiedziałem się przed kilku

dniami. Informatorem był opiekun stada krów, będących własnością ligenschaftu, czyli gospodarstwa rolnego w Żydyszczach. Ten starszy człowiek, zaprzyjaźnił się ze mną w nie codziennych okolicznościach. Pewnego dnia, zaczytałem się w jakiejś książce, do tego stopnia, że zapomniałem o Bożym świecie. Gdy ocknąłem się - z nawyku skierowałem wzrok ku miejscu, gdzie powinny się znajdować moje krowki i zobaczyłem pustą ~~minjusz~~ łąkę. Po mojej trójce, ani śladu.

Zdumiony i zaniepokojony, obracam głowę w prawo i w lewo, ale wszędzie pustka. Z tyłu słyszę głos: twoje krowy są tu. Odwracam głowę i widzę ligenschaftowego pasterza, wskazującego palcem na swoje ogromne stado na ligenschaftowej łące. Dlaczego pan nie zawołał na mnie? zapytałem. Dlatego, że się tak zaczytałeś. To rzadki widok, aby takie miodziki, tak zapamiętałe czytali, zwłaszcza na pastwisku. Tylko, jak ja teraz odszukam swoje krowki w stadzie? mówię. W takim razie ja dostanę nagrodę za darmowy nabyttek w stadzie - mówi, śmiejąc się pasterz.

Zbyteczne obawy - w stadzie rozległ się jakiś łomot - <sup>pierw</sup> najpierw jedno, potem drugie beknięcie i widzę uciekające krowy. Wewnątrz stada utworzyło się wolne koło, w środku którego pasą się moje krowki. To robota mojego barana - mówię. Jakiego barana? pyta pasterz. To ta młoda krowa, strasznie bojowa i agresywna - odpowiadam. Wchodzę pomiędzy krowy i wypędzam moją trójkę ze stada i z ligenschaftowej łąki. Jakie czyste te twoje krowy - mówi pasterz. Wyję je w Kanale, ale teraz z tym trochę gorzej, bo spływają tam jakieś tłuste plawy. Tak to z tego czołgu, co spadł z mostu do Kanału Rządowego. Jaki czołg i kiedy to się stało? pytam. To było w grudniu, lub trzecim dniu generalnego odrotu Sowietów. Było to w nocy. Sowietci poszli szosę, przebudowali mostki i przepusty a pozostawili mosty większe bez przebudowy. Również ten ~~na~~ kanał Rządowy. W nocy widoczność słaba, jeszcze bardziej z takiego stalowego grzmota. Ten jecheł krawędzią drogi i widocznie nie zauważył zawężonego mostu, wjechał na most. Prawa gąsienica ześliznęła się z krawędzi mostu i ten potężny potwór ~~kr~~rymnał z góry do wody i teraz leży tam gąsienicami do góry. A co z załogą czołgu? pytam. Nie wiadomo, ale chyba się potopili, bo nie widać żadnego otworu, przez który człowiek mógłby się wydostać. Przegrodził kolos Kanał na całej szerokości, a teraz po obu stronach woda wymyła ziemię i płynie po obu stronach czołgu. To już trzeci taki ogromny czołg, bo dwa stoja za Żydyszczami w kierunku na Malechów. Czołgi nowiutkie, tylko nalać benzyny i jechać, chociaż teraz już nie, bo majstrowały tam jakieś łobuzy - chyba na-

nawet z Prus. Powyciągali z nich jakieś części, bez których czołg nie ruszy. Nie przyznałem się, że tanta dwa już znam i na tym skończył się pierwszy dzień znajomości z żydatyckim pasterzem.

Spotkanie następne odbyło się po kilku dniach, w międzyczasie których, przeszła burza z ulewą. Kanał Rządowy wezbrał i miejscami pozalewał nawet pastwiska. Przywołał mnie pasterz z daleka do siebie i poinformował, że po ostatniej ulewie czołg KW przywrócił się do wyrwy i w tej chwili, wieże czołgu są na wierzchu. Ci, którzy byli przy czołgu, mówili, że w czołgu są zwłoki załogi. Ja to muszę zobaczyć - powiedziałem pasterzowi.

W najbliższą niedzielę, po nabożeństwie zebrałem się z kolegami i w czwartek ponaszerowaliśmy do Żydatycz.

Zaraz za torami kolejowymi, ogromne pole pomidorowe. Kilkanaście hektarów dojrzałych pomidorów wisi na krzakach. Zdziwieni, że jeszcze nikt tych pomidorów nie zbiera, zjedliśmy po kilka, co ładniejszych i ponaszerowaliśmy dalej. Przeszliśmy przez Żydatycze do szosy na Równe a potem po bocznej drogi do Kanału Rządowego jeszcze 1 km.

Dochodzimy do mostu... i rzeczywiście w poprzek Kanału stoi czołg KW, już na gasienicach, przechylony trochę na bok. Na prawym brzegu leży tylna wieża z działem. Widocznie urwała się po upadku z mostu.

Jak wejść na czołg, kiedy ze wszystkich stron jest otoczony wodą.

Wzrokiem przynierzałem odległość z brzegu do wystającej z wody gasienicy. Rozpędzam się i skaczę. Trafiam nogami na gasienicę-tracę rowcową, ale w czasie chwytam za poręcz stalowej balustrady, okalającej platformę czołgu. Wchodzę na platformę i podchodzę do środkowej wieży. Pokrywa wjazdu otwarta. Przez otwór spoglądam do wnętrza czołgu. Na dnie, poprzez przezroczystą wodę, widzę rozsypane pociski. W wodzie pełno małych rybek, bez troski pływających wewnątrz kabiny czołgu. Nie widzę śladu zwłok ludzkich. Albo załoga jednak uratowała się, albo woda zniosła ciała na przód czołgu, który zapadł w dół wyrwy i zalega znacznie niżej, aniżeli tył.

Wkładam głowę do wjazdu i obniżam prawie do poziomu wody. Na ścianach otwórki widzę poukładane pociski. Przy prawym oku, bliżej wody, coś mi przeszkadza w penetracji wnętrza. Podnoszę z lekką słowę i... dgnięciem z wrażenia. Tuż pod powierzchnią wody dostrzegam gołą stopę ludzką. To nie stopa, lecz raczej stópka, prawie dziecięcej wielkości. No tak, stopa tyle tygodni w wodzie, uległa skurczeniu. Czołgista to najprawdopodobniej młody człowiek - myślę. Coś tam zobaczyć? woła Wojtek Lewicki. Chodź, zobaczysz sam - odpowiadam. Czy są tam ludzie? tak. Po kolei skaczą moi koledzy i oglądają przyczynę



do historii, w postaci tragedii w wodzie Kanału Rządowego. Coś nie spotykanego dotychczas pojawiło się w Prusach. Codziennie pojawiają się mieszkańcy miasta z przeróżnymi rzeczami. celem wymiany ich na żywność. Z każdym dniem liczba oferujących towar wymienny zwiększa się. Urodzaj w tym roku nie dopisał. Prusacy zagrożeni niedoborem żywności, ostrożnie przystępują do zawierania transakcji wymiennych. Niemcy wywożą plony z Ligenschaftów, jak również z obowiązkowych dostaw od rolników indywidualnych do Reichu. Mieszkańcom miast wydzielają na kartki, głodowe racje. Miasto broni się, wyzbywając się z konieczności resztek posiadanych, zbędnych rzeczy. Interes idzie z trudem, jak z kamienia. Codziennie przetacza się przez wieś fala żebraków. A wieś jest biedna. Zdecydowana większość gospodarstw, to gospodarstwa karłowate, które wogetują jeszcze dzięki stosunkowo dobrze rozwiniętej hodowli bydła mlecznego. Wieś obciążona dostawami obowiązkowymi płodów rolnych, posiada nie wielkie łach nadwyżki, które może przeznaczyć na sprzedaż, lub wymianę. W przeważającej części gospodarstw, zarysowuje się również widmo głodu. Nastawiając się na hodowlę bydła mlecznego, część <sup>plonów</sup> musi być przeznaczona na wykarmienie tegoż bydła. Na wyhodowanie chociażby jednej świnki, nie starcza paszy. Obowiązkowe dostawy mięsa, zmuszają jednak do tego, więc rolnik odejmuje sobie od ust i karni tą jedynaczkę do wagi wyznaczonej przez okupanta, dostawy, bo inaczej grozi Straflager<sup>x</sup>. Cukier i mięso zniknęły ze stołu. Zamiast cukru używa się sacharyny, której na rynku nie brakuje. Ta wstrętna używka, powoduje skurecz gardła, przy picciu herbaty, czy też kawy zbożowej. Tłuszczu używa się tyle, ile zawiera spożyte mleko. Młyn motorowy w Prusach, zamknięty na cztery smasty. Materiały pędne są przeznaczone, wyłącznie dla potrzeb frontu. Front ten wspomogły nawet te dwie beczki oleju napędowego, uratowane przez straż nocną, przy okazji ugaszenia ognia na Kominternie. Niemcy natychmiast skonfiskowali to paliwo a młyn kazali zamknąć. Wieś broni się, jak może. Z różnych zakamarków, wyciągają prusacy okrągłe kamienie, przezornie zachowane od czasu pierwszej wojny światowej i kompletują żarna do ręcznego mielenia zboża. Jest to oczywiście zabronione i mielenie na żarnach odbywa się w sposób zakonspirowany. W mieście żaren nie ma, lecz problem mielenia zdobytej w jakiś sposób pszenicy, mieszkańcy miasta rozwiązali mielać pszenicę w młynkach do kawy. Każdy sposób jest dobry, jeżeli pomaga do przeżycia. Jest to problem podstawowy, spychający na margines wszelkie inne wydarzenia, nawet o znaczeniu światowym.

x - chóz karny

Moja matka Mieszkańcy w większości zrezygnowali z pieczenia chleba w piecach, do tego celu przeznaczonych. Moja matka codziennie wypieka podpłomyki, w przy kuchennym piekarniku. Dla każdego domownika przypada jeden podpłomyk ograniczonej wielkości, który ma wystarczyć na cały dzień. Zaczynam odczuwać głód. Odczucie to rośnie w miarę mijających dni. W krótkie jesienno-zimowe dni, odczucie głodu opanowało mnie już nie podzielnie. Nie zanika przy robotach przydomowych, czytaniu książek, słuchaniu radia. Cały jestem zaabsorbowany jedną myślą - co by można skombinować do jedzenia. Nadchodzą czasy, że odczucie głodu przemienia się w cierpienie. Twarz skurczona grymasem ciągłego niedosytu. W lustrze widzę młoda twarz, jakby pastarzałą, trapioną przez jakąś nie znaną chorobę. Przy tym czas wleczę się nie zwykle wolno, potęgując cierpienie. Najgorsze jest to, że po desperackim zjedzeniu całego podpłomyka, natychmiast po otrzymaniu, odczucie głodu odchodzi na krótko. Po dwu godzinach, odczucie głodu powraca, jak bumerang i wierci we wnętrzu nie bacząc na to, że zjadłem już bezpowrotnie porcję przeznaczoną na cały dzień. Nie obchodzi mnie nic i nikt. Cały jestem pochłonięty chorobą głodową. Stan ten mija dopiero w następnym roku, kiedy to matka spiecze chleb z nowego, nie zupełnie jeszcze dojrzałego zboża.

Zanim do tego doszło, na świecie wydarzyło się wiele.

Niemcy forsują Dniepr na północ i ~~południe~~ południe od Kijowa i uderzają zbieżnie na południowy wschód i północ, zamykając kilka armii w t.zw. Żuku Dniepru. Według komunikatu - das Oberkommando der Wehrmacht<sup>x</sup> - w kotle okrążenia znalazło się pięćset sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Zdobył w sprzęcie to tysiące dział, czołgów i dziesiątki tysięcy samochodów i innego sprzętu wojennego.

Pada Kijów i Połtawa.

Na froncie centralnym, w ostatnich dniach września, Niemcy zdobyli Smoleńsk i w pierwszych dniach października rozpoczęli ofensywę. Zmotoryzowane i pancerne dywizje, przerwały front, zdobyły Wicznę i szybko rozwinęły uderzenie na Moskwę.

Już po kilku dniach od chwili wkroczenia Niemców do Prus, rozbudziła się we mnie niechęć do tego zadufanego w swej bucie i arogancji, nowego okupanta. Wogóle na kresach wschodnich, po pierwszych dniach pewnej fascynacji zwycięskimi wojskami, następuje spontaniczne ochłodzenie nastrojów. Obecnie, po kilku miesiącach, ani śladu przyjaznych odruchów. Po odejściu okupanta sowieckiego, przyszedł nowy, znacznie groźniejszy w chwili obecnej wróg. Bezprzykładne zwycięstwa na wschodzie, są nie zgodne z interesem aliantów, a tym sa-  
x - naczelne dowództwo armii

mym i Holcki. Zwrot w poglądach był intuicyjny, nie poparty, żadną działalnością propagandową. Po ktoż mógł zresztą taką propagandę prowadzić. Działalność organizacji podziemnych była mało znana ogółowi społeczności polskiej. Zresztą członkowie organizacji ponieśli dotkliwie straty, na skutek braku doświadczenia i totalnej infiltracji konfidentów wszelkiej maści. Lekceważony w swym powierzchownym prymitywizmie okupant sowiecki miał doskonale zorganizowane służby wywiadowcze, wspomagane przez wielką liczbę konfidentów działających często bezinteresownie, jak na przykład komuniści polscy.

Pomimo to, zmiana w poglądach ludności polskiej stała się faktem i obecnie Polacy uczuciowo sprzyjali sowietom.

Bezprzykładne zwycięstwa Niemców i zdobycze wszelkiego rodzaju z tym związane, przyspieszały tylko proces reorientacji.

Latotnie walec dywizji pancernych i zmotoryzowanych, po dłuższej przerwie pod Kijowem i Smoleńskiem, toczy się nie powstrzymanie na wschód, niezdolne wszelkie próby oporu. Pod Briańskiem otoczyli Niemcy kilka armii. Nowy kociąg, największy w tej kampanii i największy w przeciągu całej wojny, a być może największy w historii ludzkości. Według niemieckiego-Nachrichtendienst<sup>x</sup> w kotle zamknięto sześćset pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy i proporcjonalnie do tego wielkie ilości sprzętu w postaci tysięcy czołgów, dział, karabinów maszynowych i dziesiątków tysięcy pojazdów mechanicznych.

Na południu Niemcy zajęli Charków i szereg dużych miast w zagłębiu donieckim.

W Afryce na froncie libijskim, nastąpiło pewne nienowodzenie.

Afrikakorps i oddziały włoskie, po niespodziewanym ataku wojsk angielskich, opuściły Egipt i utraciły prawie cały obszar Cyrenajki.

W Prusach bez zmian za wyjątkiem pojawienia się grup jeńców, zwalnianych przez Niemców z obozów jenieckich.

Od października, po pruskim gościeńcu snują się wynędzniałe, wygłodzone postacie często oborych jeńców, poruszających się na wschód.

Sołtys kieruje ich na krząkół noclegi, po poszczególnych domach.

Stanowi to znaczące obciążenie dla mieszkańców. Oprócz noclegu,

Trzeba przecieżyć tych nieszczęśliwych nakarmić.

Wiesz staję na wysokości zadania. pomimo ciężkiej sytuacji nieszczęśliwy przyjmują jeńców ze zrozumieniem ich sytuacji. Z reguły życzliwie.

Przy stole dzielą się z nimi ostatnim kęsem chleba. Po koszmarnych

tygodniach spędzonych w nieludzkich warunkach obozów jenieckich, osłabieni jeńcy odbywają swą wędrówkę do domów rodzinnych.

Droga to daleka, sięgająca częstokroć wielu setek kilometrów.

x - służba informacyjna

Stosunek ludności kresów, do tych nieszczęśliwych, ma dla nich wielkie znaczenie. Opuszczając gościnne domy-dziękują i odchodzą powolnym krokiem, z kawałkiem chleba w kieszeni. Ten exodus ludzki trwa, gdzieś do połowy grudnia.

Niemcy prą na Moskwę. Na przedpolach miasta trwają nie zwykle zacięte boje z nie spotykanym natężeniem od początku wojny. Na południu trwa również zwycięska passa niemieckiego oręta. Okrążony Leningrad, przeżywa okres bombardowania lotniczego i ostrzału artyleryjskiego.

Najważniejszy jednak kierunek uderzenia to Moskwa. Tu decydują się losy całej kampanii wojennej. Niemcy koniecznie chcą opanować stolicę ZSRR jeszcze przed nadejściem zimy. Ostatnie dni listopada to pod Moskwa już zima. Przebieg bojów, zda się zwiastować upadek Moskwy. Środki przekazu donoszą, że przednie oddziały niemieckie, atakujące od północnego zachodu widzą już mury Kremļa.

Najbliższe dni nie przynoszą rozstrzygnięcia.

Komunikaty nie przynoszą wiadomości o nowych zdobyciach-podkreślają natomiast, toczenie się walk z dużym natężeniem. Następuje, jak gdyby zastój w walkach. Gdzieś około 10 grudnia, komunikat "das Oberkommando" der Wehrmacht" ogłasza, że powodu ciężkich warunków atmosferycznych, dowództwo niemieckie wydało rozkaz wycofania wojsk spod Moskwy, na stanowiska zimowe.

Działania wojenne zostaną wznowione na wiosnę i wtedy nie uchroni Rosji sowieckiej od ostatecznej klęski.

Spółeczeństwo polskie przyjrzy te wydarzenia z ulgą. Nareszcie cywilizowany najeźdźca oberwał pierwszemu chyba nieostatnie cięgi.

Rezultatem kontrofensywy sowieckiej, wojska niemieckie zostały odrzucone, średnio o 150km od Moskwy.

To jednak nie wszystko. Na południu Niemcy opuszczają Rostów nad Donem.

Przez Prusy od wczesnej jesieni-wędrówka ludów-. Grupy ludzi ciągną od południa, z podkarpacia ciągną na północ, celem zdobycia zboża. Nie zdobędą w okolicach Iwowa nic. Więc podążają dalej na północ, w kierunku Wołynia. Tam podobno jest lepiej.

Po ustanowieniu nowych władz administracyjnych we Iwowie-na tranwajach pojawiły się tabliczki z napisem:-nur für Arier<sup>x</sup> i nur für Juden<sup>xx</sup>

Pierwszy wóz przeznaczony jest dla aryjczyków a drugi dla żydów. Obecnie tablice z napisem -nur für Juden- zostały zdjęte a pojawiły się nowe z napisem-nur für Deutsche<sup>xxx</sup>. Kilka rzędów siedzeń, na przedzie tranwaju przy motorniczym, przeznaczone są dla Niemców. Pozostała część przedniego wagonu i przyczepa-dla aryjczyków. Żydom zabroniono

x - tylko dla aryjczyków  
xx - tylko dla żydów  
xxx - tylko dla Niemców

korzystania ze środków komunikacji miejskiej.

Powstały też sklepy z napisem -nur für Deutsche-. Do sklepów tych oprócz Niemców, nikt nie ma prawa wstępu. Z biegiem czasu napis nad niemieckimi sklepami wydłużono i teraz brzmi on-nur für Deutsche und Verbundene<sup>x</sup>.

Żydzi pod nadzorem policjantów są pędzeni d robót. Obserwuję szeregi wynędaniskich, zmęczonych mężczyźni powracających z pracy.

To odrzucający obrez cywilizacji niemieckiej. Paranoidalna nienawiść do narodu żydowskiego<sup>x</sup> znajduje swój wyraz w eksterminacji tegoż narodu<sup>x</sup> prowadzonej systematycznie w sposób barbarzyński przez jego podkomendnych zbirów.

Dnia 7 grudnia<sup>x</sup> Japończycy zaatakowali amerykańską bazę marynarki wojennej w Pearl Harbor na Hawajach. Nalot japońskiego lotnictwa spowodował ogromne straty w okrętach floty Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku. Na skutek tego nalotu, japończycy uzyskali zdecydowaną przewagę na olbrzymich składowach całego Oceanu Spokojnego.

W ten sposób sposób Ameryka została wciągnięta w nią wojnę, najpierw na Pacyfiku w rejonach ekspansji japońskiej a następnie, po wypowiedzeniu wojny przez Niemcy i Włochy w dniu 11 grudnia 1941r w wojnę europejską.

Nastąpił nowy okres w dziejach wojny już przy udziale największej potęgi przeryskowej świata. Odtąd wojna europejska, przemieniła się faktycznie w wojnę światową.

### -XIII-

W Prusach trwa przygotowanie do świąt.

Na śarnach wiele się piecze. Będą to pierwsze święta z ciemną bułką. U mnie w domu pieczenie nie ma już od dawna. Z resztek żyta mielonego na śarnach, matka piecze podłomyki i gotuje od czasu do czasu pierogi. Po raz pierwszy, ugotowane pierogi nie chcą przejść przez gardło. Przy każdym następnym, coraz zmniejsza się i w końcu musi matka tłumić apetyty. Pewnego dnia, jeszcze nie kontrolowany, zmłóciłem 20 pierogów z razowej maki żytniej, zmielonej na śarnach. Była to największa jednorazowa porcja pierogów w moim życiu. Po takiej uczcie, pozostaje pewne uczucie sytości. Nie na długo, bo po trzech godzinach mam wrażenie pustki w żołądku. Czas płynie ciężko, leniwie niczym ołów.

Brat Józef-organista-roznośi opłatki świąteczne, po domach pruskiej parafii. Za opłatki-parafianie dają przeważnie zboże. Na gości brat Staszek odbiera te datki i wysypuje zboże, do przygotowanych worków. Roznoszenie opłatków trwa kilka dni. Ostatni raz, Staszek przy-  
*x-tylko dla Niemców i sprzymierzonych.*

jeżdża do domu, wozem z workami zawierającymi zboże.

Przychodzi do domu i mówi: tato trzeba wyładować worki ze zbożem, które podarowali nam brat Józek z żoną Stefanią.

Wszyscy z pośpiechem wychodzą na podwórze i z uczuciem radości wnosimy pośpiesznie worki do komory. Zapłakana matka, mówi przez łzy. Dzięki Bogu-teraz już nie zginiemy z głodu.

Chłopcy, zaraz przygotujecie pszenicę a wy zmielcie ją na żarnach. Będzie-  
my mieli na święta pszenne bułki.

Tak się też stało. Święta były skromne, ale spędziliśmy je we względnej sytości. Od rozdziału posiłków matka nie odstąpiła, ale upływające dni, nie wzbudzały niepokoju o przeżyciu do zimy.

Po niepowodzeniach Niemców na froncie wschodnim, ogólne poruszenie. Niemcy zobowiązują posiadaczy nart do dostarczenia ich do władz administracyjnych. Apelują również do oddawania sań i ciepłej odzieży dla potrzeb wojska. Zbyt wiele obiecują sobie po ludności kresów. Chwilowa fascynacja, minęła bez powrotnie. Nikt dobrowolnie nie odda niczego armii niemieckiej.

W radiu i prasie, nie ma już entuzjastycznych zachwyty nad wspaniałymi zwycięstwami na froncie. Front ustabilizował się i działania wojenne ograniczają się do potyczek o znaczeniu lokalnym. Nikt nie ma wątpliwości o nadejściu ciężkich czasów, dla żołnierza niemieckiego, w warunkach śnieżnej i mroźnej rosyjskiej zimy. Ta perspektywa nie powoduje współczucia dla narodu panów.

Przewidywania Oberkomando<sup>x</sup> nie ziściły się. Wydarzenia na froncie, w pierwszych tygodniach i miesiącach wojny wskazywały, na duże prawdopodobieństwo zwycięskiego zakończenia kampanii wojennej, jeszcze przed nadejściem zimy. W swej pewności zwycięstwa, przed nadejściem pory zimowej, Niemcy nie poczynali żadnych przygotowań, na tę ewentualność. Niepowodzenie przyniosło drastyczny wstrząs dla Niemców.

W Prusach nikt nie zareagował na zarządzenia i apele Niemców.

Młodzi właściciele nart, skrzętnie pochowali je w różnych zakamarkach. Przez kilka tygodni, narciarze poznikali ze wzgórz. Po pewnym czasie, bez ograniczeń, jawnie korzystali ochoczo z tego sprzętu, tak było również ze mną.

1942r.  
W ostatniej dekadzie stycznia, wojska niemiecko-włoskie, podjęły kolejną ofensywę w Libii. Przełamały obronę oddziałów angielskich i w uciążliwych walkach, wkroczyły na teren Egiptu. Sukces Niemców-na otarcie krez, na podrzędnym afrykańskim froncie.

Przez Prusy przetacza się dramatyczna-wędrówka ludów-, za chlebem.

Ostra zima pogłębia ten dramat niedoli ludzkiej. Chmara żebraków dobija  
ja

się do domów. Mieszkańcy żyjący w niedostatku, zaczynają zamykać drzwi, przed natrętami. Ci zdesperowani, przemarznięci nie chcą od drzwi odchodzić. Matka codziennie gotuje garniec zupy i stawia w talerzu na stoł, każdemu nieszczęśnikowi. Nie mam sumienia odmawiać tym ludziom - mów. Niech się posilą i ogrzeją chociaż, bo na więcej nas nie stać. Zapraszeni, siadają i z zadowoleniem zjadają cienką zupę z kawałeczkiem podkłomyka. Zapraszeni do pozostania i ogrzania się, skwapliwie z tego korzystają. Wychodząc, wyawnie dziękuję. Niechętnie patrzę na tych ludzi, ale w perspektywie upływającego czasu, jestem wdzięczny matce za tą lekcję poglądową humanitaryzmu ludzkiego. Moje odczucia niechęci są dla mnie zrozumiałe. Zdecydowana większość żebrzących, to Ukraińcy. Matka nie robiła wyjątków - za co do dziś czuję wdzięczność dla niej i postać jej pozostała w mej pamięci, jako wzór mądrej polki, patriotki.

Nadeszła wiosna a z nią prace w polu. Wybierali ludziska ziemniaki z kopców. Segregowali je na sadzeniaki i do snożycia. Musieli się spieszyć, bo zdarzały się częste kradzieże nocne. Otwarty kopiec kuśiłodująca, miejscowa biedota. Część prusaków wędruje za żywnością na Wołyn. Wzdłuż toru kolejowego, widoczne są grupki męczozn, wędrujących na północ, oraz zabiedzonych, zmordowanych z ciężarem na plecach, powracających z bezcenną zdobyczą, jaką było trochę zboża, czy nawet ziemniaków.

Pamiętam dzień sadzenia ziemniaków. W sadzeniu brała udział cała rodzina. W połowie sadzenia, od strony toru kolejowego na Łuck-Kowel, zbliżył się powolnym krokiem, nieznanym mężczyzna. Szcześć Boże! Szcześć Boże - odpowiedziałem. Skąd i dokąd pan idzie? zapytała matka. Idę z Wołynia do Lwowa, na Zniesienie. Na Wołyni chodził pan? To chyba po żywność? Ale nie pan nie niesie. Taka moja dola. Już trzeci dzień kołyszę się na nogach, ledwie żywy. Do domu nie mam ochoty wracać. Ale co się panu wydarzyło? pyta matka.

Pozbierałem trochę maneli do wymiany na żywność. W domu żona i dwoje dzieci. Kartki żywnościowe, to przwodziły słodowe. Żona wybrała trochę bielizny a ja trochę śrub i gwoździ. Wziąłem urlop na pięć dni i wyruszyłem na Wołyn. Pociągi na tej linii jeszcze nie kursują, więc jedyna możliwość, to piesza wędrówka. Nie jestem przyzwyczajony do dalekich marszów, ale dowlokłem się w okolice Radziechowa.

Wymiana poszła dosyć sprawnie. Zdobyłem trochę pszenicy, kaszy a nawet kawałek słoniny. Plecak ciężki, ale jego zawartość cieszy, więc drepezę ochoczo do domu. Minałem Kamionkę Strumiłową i oddaliłem się o jakieś 10km. Zatrzymała mnie policja ukraińska i zabrała na

Trzecia grupa, po zdobyciu Rostowa, kieruje się na południe w kierunku Kaukazu.

Po tych wydarzeniach na froncie, stało się jasnym, że próby przejęcia inicjatywy przez dowództwo sowieckie w poszczególnych operacjach zaczepnych na froncie południowym, w okresie wiosennym nie powiodły się. Niemcy po odparciu, w ciężkich walkach, działań zaczepnych wojsk sowieckich, konsolidują front i po krótkiej przerwie w działaniach, rozpoczynają ofensywę.

Nie mają wprawdzie sił do rozwinięcia działań zaczepnych na całej szerokości olbrzymiego frontu, i ograniczają je do odcinka na południu, na jednak natychmiast osiągnęły powodzenie i sytuacja na froncie południowym rozwija się pod ich dyktando, wykazując cechy wojny błyskawicznej, który to styl zapewniał Niemcom dotychczas bez przykładne zwycięstwa. W stylu wojny błyskawicznej Niemcy w sierpniu dochodzą do Kaukazu i wdzierają się do Stalingradu nad Wołgą.

Stalinowska sabercza polityka, w porozumieniu z Hitlerem powoduje, że obecnie u boku niemieców, walczą armie: rumuńska, węgierska, fińska. W ramach powiązań sojuszniczych, walczą na froncie armie włoska, oraz ~~francuska~~ dywizje słowackie. Walczą też ochotnicze dywizje z krajów europejskich, jak: błękitna dywizja hiszpańska, dywizja belgijsko-holandzka -SS Viking-, dywizja składająca się z ochotników krajów bałtyckich -SS Letland-.

Rola, jaką spełniają te siły, na gigantycznym froncie, jest ogromnie ważna - co przesądzą podkreślają Niemcy w środkach przekazu.

We Lwowie stacjonują w koszarach: żołnierze włoscy, węgierscy, słowacy i rumuńscy. Żołnierze ci stwarzają w mieście pewną atmosferę życia i wrażeń. Wrażeń niejako w tętno życia miejskiego starając pozytywnie uzupełnienie szarego, przerywanego społeczeństwa. Nie izolują się od tego społeczeństwa i wrastają w nurt jego życia.

Pewnego dnia, jestem we Lwowie. Przechodzę chodnikiem ul. Legionów. Szerokim chodnikiem płynie tłum ludzi w obu kierunkach. W śród tłumem przechodniów, przemieszczają się również postacie w mundurach. Przechodzą w grupkach, lub przeważnie parami. Niemcy, Włosi i rzadziej Węgrzy, Rumuni czy też Słowacy. Ulica Legionów i równoległa promienada spacerowa na walcach hetrafskich, były przed wojną centralnym punktem skupiającym środowiska miejskie. Teraz ruch pieszcy toczy się z równym przed wojennym natężeniem, ale kolorystyka tłumy jest inna. W intensywny szmer poruszającego się w rozprawca tłumy, wlatują się dźwięki, jakiejś przyjemnie brzmiącej melodii. Tłum zwalnia, głowy przechodniów odwracają się, w poszukiwaniu źródła nie codziennych



Przecia grupa, po zdobyciu Kostowa, kieruje się na południe w kierunku Kaukazu.

Te tych wydarzeniach na froncie, stało się jasnym, że próby przejęcia inicjatywy przez dowództwo sowieckie w poszczególnych operacjach zaczepnych na froncie południowym, w okresie wiosennym nie powiodły się. Niemcy po odparciu, w ciężkich walkach, działań zaczepnych wojsk sowieckich, konsolidują front i po krótkiej przerwie w działaniach, rozpoczynają ofensywę.

Nie mają wprawdzie sił do rozwinięcia działań zaczepnych na całej szerokości olbrzymiego frontu, i ograniczają je do odcinka na południu, na jednak natychmiast osiągnęły powodzenie i sytuacja na froncie południowym rozwija się pod ich dyktando, wykazując cechy wojny błyskawicznej, który to styl zapewniał Niemcom dotychczas bezprzykładne zwycięstwa. W stylu wojny błyskawicznej Niemcy w sierpniu dochodzą do Kaukazu i wdzierają się do Stalingradu nad Wołgą.

Stalinowska zabereza polityka, w porozumieniu z Hitlerem powoduje, że obecnie u boku niemców, walczą armie: rumuńska, węgierska, fińska. W ramach powiązań sojuszniczych, walczą na froncie także włoska, oraz ~~dywizje~~ dywizje słoweckie. Walczą też ochotnicze dywizje z krajów europejskich, jak: białą dywizja hiszpańska, dywizja belgijsko-holandzka -SS Viking-, dywizje składające się z ochotników krajów bałtyckich -SS Letland-.

Rola, jaką spełniają te siły, na gigantycznym froncie, jest ogromnie ważna - co wreszcie podkreślają Niemcy w środkach przekazu.

We Lwowie stacjonują w koszarach: żołnierze włoscy, węgierscy, słowaccy i rumuńscy. Żołnierze ci stwarzają w mieście pewną atmosferę życia i wrażeń. Wrażeń niejako w tętno życia miejskiego stanowiąc pozytywną uzupełnienie szarego, zrezygnowanego społeczeństwa. Nie izolują się od tego społeczeństwa i wrażeń, w nurt jego życia.

Pewnego dnia, jestem we Lwowie. Przechodzę chodnikiem ul. Legionów. Szerokim chodnikiem płynie tłum ludzi w obu kierunkach. W śród tłumem przechodniów, przemieszczają się również postacie w mundurach. Przechodzą w grupkach, lub przeważnie parami. Niemcy, Włosi i rzadziej Węgrzy, Rumuni czy też Słowacy. Ulica Legionów i równoległa promienista spacerowa na walech hetmańskich, była przed wojną centralnym punktem skupiającym środowiska miejskie. Teraz ruch pieszy toczy się z równym przed wojennym natężeniem, ale kolorystyka tłum jest inny. W intensywny czerń poruszającego się w rozmawiającym tłumie, wpłatają się dźwięki, jakiejś przyjemnie brzmiącej melodii. Tłum zwalnia, głowy przechodniów odwracają się, w poszukiwaniu źródła niecodziennych

odgłosów. Pojawia się autobus, pełen żołnierzy włoskich. Szyby w oknach opuszczone a z wnętrza autobusu płynie przepiękna melodia neapolitańskiej piosenki. Młode głosy ~~zobacz~~ śpiewają piosenkę z uczuciem, właściwym tylko Włochom. Śpiew przy akompaniamencie gitar i akordeonów wyożywa przez okna kaskadami dźwięków, wspaniale z synchronizowanym brzmieniem instrumentów i pięknymi głosami śpiewaków. Gwar tęszącej się ciżby przechodniów cichnie. Tym chwilie chłonie czarodziejskie dźwięki emitowane z autobusu. Autobus odjeżdża, dźwięki piosenki cichną i wreszcie zanikają zupełnie. Coś jednak pozostaje we wnętrzu. Pozostaje ~~wrażenie~~ wdzięczność zainspirowana przez synów słonecznej Italii.

Ulicą Legionów dochodzę do Placu Krakowskiego. Na placu kłębiący się tłum sprzedających i kupujących. Przedziwny to handel. Nie ma żadnych budek, czy stolików. Sprzedawcy oferują towar, który noszą przy sobie, w kieszeniach, lub w trzymanej w ręce torbie. Cały plac zdominowany jest przez dzieci, w wieku od 12-tu do 15-tu lat.

Przyczyną są Żapanki, które już kilka krotknie urządzili Niemcy, wychwytyjąc ~~zobacz~~ <sup>zobacz</sup> męzczyzn, celem wywózki na roboty do Niemiec. W tej sytuacji, obecność dorosłych męzczyzn na placu, jest ryzykowna. Oferowany przez dzieciarnię towar jest nader skromny.

Ogranicza się on do :sacharyny, naftaliny, kamyczków do zapalniczek, papierosów, tytoniu, oraz tego typu innych drobiazgów.

Przechodzę obok parterowego bazarowego pawilonu<sup>w</sup>, którego wnętrzu nieściły się stanowiska handlowe różnych branż. Było to jednak przed wojną. Obecnie stoiska są puste i zdevastowane.

Przechodzę już pod koniec bazarowego budynku, gdyż słyszę znajomy głos: cośś Józek, co ty tu robisz? Patrząc a to Tadek Lenartowski, kolega z drugiego gimnazjum. Co słychać? No cośś żyję i nie zamierzam się poddawać. Chodź tam na podest bazaru- mówi Tadek- porozmawiamy i popatrzymy na krakideły. Wchodzimy po schodkach i opieramy się o balustradę podestu. Opowiadamy swoje przeżycia, s ponad dwuletniej przerwy w naszej znajomości. Nie spodziewanie dołącza do nas Godowski- również kolega z gimnazjum.

Opieram o balustradę, rozmawiamy i obserwujemy krakideły.

Grupki młodych chłopaków i dziewcząt, poruszają się po placu, jak żywe srebro, oferując towar niezbyt donośnym głosem: papierosy, sacharynę, naftalinę itp.. Obok nas stoi, również oparty o balustradę, żołnierz słowacki. Jest to chłopiec bardzo młody- obserwuje z uśmiechem, grupkę dziewcząt, stojących na dole pod balustradą i szebiszczących z cęwieniem. Od czasu do czasu zerkają na żołnierza. Ten cośś powi-

x - popularna, gwarowa nazwa placu Krakowskiego

dziewczęta odpowiadają, lub wybuchają <sup>o</sup>prilistym śmiechem. Chłopiec zachwalający przed chwilą swój towar, przechodzi pod nami i słowami bomba, bomba, ostrzega handlujących. Rzeczywiście, chodnikiem naszerują dwaj policjanci niemieccy. <sup>o</sup>W hełmach z przewieszonymi na plecach empi, wyglądają groźnie. Solidarna dzieciarnia cofa się przezornie <sup>x</sup>wystrafała się w głąb placu. Szupowcy <sup>xx</sup>wolnym krokiem przesuwają <sup>o</sup>gdzieś wzdłuż obrzeży tłumu z minami marsowymi, wreszcie przechodzą <sup>o</sup>nastron przeciwną stronę jezdni i skręcają w wąski tunel ulicy Krakowskiej. Dzieciarnia wyłania się s pośród tłumu, wraca na swoje stanowiska i handel toczy się dalej. Patrząc na ten młodociany tłumek i bezwiednie uśmiecham się, gdy konstatuje, że prawie wszyscy młodociani ludzie interesu, prowadzą go na bosaka. Tragikomiczny to widok, ale ten tłumek jest szczęśliwy. Twarze uśmiechnięte, usta otwarte w nie przerwanej paplaninie. Spostrzegam, że stan bez troski udziela się i mnie. Dobrze się tu czuję, pomimo pełnej świadomości, że nie jest to miejsce bezpieczne.

Razem z kolegami, nadal obserwujemy ruchome mrowisko ludzkie na krakidałach.

Uwagę moją skupiam na chłopcu, który wykazuje szczególną ruchliwość. Bez przerwy meandruje, pomiędzy handlującymi, szgrabnie niczym wie-wiórka. Gołe nóżka przebłyskują w centrum ciżby ludzkiej, by za chwilę wypłynąć na samym jego skraju, przy chodniku.

W pewnym momencie, zorientowałem się, że nie tylko moja osoba, śledzi poruszenia chłopca. Na chodniku, na skraju placu targowego stoi żołnierz niemiecki w mundurze Luftwaffe, wpatrzony w postać chłopca. Słową wodni za drobna, ruchoma postacią, Chłopiec przechodzi obok i zaczyna się oddalać od obserwującego go żołnierza. Wtedy ten rusza w ślad za nim. Wzrok żołnierza ostry, agresywny. Koniecznie trzeba chłopca ostrzec. Płonna obawa-orientuję się, że chłopiec już go widzi. Przestaje meandrować w tłumie, podnosi rękę do góry opierając ją na głowie i spod uniesionego łokcia, rzuca spojrzenie na prześladowcę. Przyspiesza kroku, chcąc się od niego oddalić- przyspiesza również żołnierz-wydłuża krok. Dystans zmniejsza się i chłopak rusza galopen. Pędem rusza żołnierz. Powietrze zapełnia się przenikliwym dopingiem dzieciarni, szczególnie dziewcząt: Gieniek gazu! Gieniek gazu! A tymczasem Gieniek, w szaleńczym galopie znika za narożem kamienicy, stanowiącej początek zwartej zabudowy ulicy Żółkiewskiej. Zbiegamy po schodkach podestu i po kilku susach, widzimy panoramę ul. Żółkiewskiej a w niej postać ~~nikną~~ Niemca skręcającego w bramę którejś z kamienic.

x - skrót słów: Maschinen pistole - pistolet maszynowy  
xx. skrót polizei - policja porządkowa.

Dopadnie go w klatce schodowej -mówi Tadek Lenartowski. Nie dopadnie-  
tam jest takie przejście w którym bombowiec całkiem zbaranieje,  
stwierdza stojąca obok perkata blondynka. Rzeczywiście rozwścieczony,  
czerwony niczym burak ówkiowy-Niemiec,wyłazi z bramy,przechodzi  
na przeciwną stronę ulicy i kieruje kroki w stronę ulicy Krakowskiej,  
aby za chwilę zniknąć za pierwszym narożem kamienicy.

Uff! rozpręgam się i czuję ogarniający mnie-i nie tylko mnie-przy-  
jemny dreszczyk zadowolenia,którego mimowolnym sprawcą był młodocia-  
ny,rezolutny lwowski batiar.

Powracamy do rozmowy.Okazuje się, że Godowski pracuje w jakiejś  
firmie budowlanej, jako nadzorca.Firma prowadzi roboty,gdzieś pod  
Kijowem. Godowski ma urlop i myśli jak się wypłatać z tej roboty.  
Tadek Lenartowski,pracuje w biurze w charakterze gońca.

A ja-mówię kolegom-od dzisiaj jestem uczniem szkoły zawodowej,bran-  
ży budowlanej.

Pożegnaliśmy się serdecznie i każdy udał się w swoją stronę.

Jestem więc uczniem szkoły zawodowej. Zajęcia odbywają się trzy  
razy w tygodniu. Wędruję do Lwowa,co drugi dzień.

Nowa sytuacja wnosi trochę urozmaicenia-w monotonię życia codziennie-  
go,zdominowanego przez siły,wyznaczające nam rolę podrzędną w orga-  
nizowanym przez siebie-świecie.

Niemcy zarządzili przesiedlenie ludności żydowskiej do getta.  
Getto umiejscowiono w obrębie peryferyjnej dzielnicy- Zemanstynów.  
Przeprowadzka,prowadzona jest dzielnicami.

Nadzór sprawuje policja niemiecka wspólnie z policją ukraińską.  
Wśród tej eskorty,znajduje się spora ilość młodocianych Niemców,  
członków Hitlerjugend<sup>K</sup>. Szokujący to widok.Mali chłopcy ubrani w mun-  
dury SS,z hełmami na głowach,uzbrojeni w broń palną,krótką,z pałka-  
mi w rękach,pokrzykują na ciągnących wózki ze skromnym dobytkiem.  
Od czasu do czasu biją pałkami,bez powodu.

W lepszej sytuacji są przewożący swój dobytek na wozach chłopskich,  
z uwagi na to, że barbarzyńskie małolaty, nie mogły osiągnąć siedzą-  
cych na wozach.

Szupowcy,na widok nie przewidzianej chłosty,rechoczą od czasu do  
czasu. Usłużnie wtórują im policjanci/Ukraińcy.

W przeprowadzce uczestniczą rolnicy z pobliskich wsi. Nie brak  
wśród nich mieszkańców Prus.

Przesiedlani Żydzi płacą za usługę przewozową przeważnie meblarzi.

Z uwagi na to, że przydzielane w getcie lokale są skandalicznie

x - młodzież hitlerowska

małe, część przesiedlanych wyzbywa się dużej części mebli i sprzętu, sprzedając je chętnym nabywcom.

Biedota żydowska nie ma tych problemów, więc przewozi swój dobytek na podręcznych wózkach.

Wracam do domu w ponurym nastroju. Odczuwam potrzebę przeciwdziałania panoszącemu się bestialstwu.

Oddawna wiem, że Związek Walki Zbrojnej został przemianowany na Armię Krajową. Ukończyłem już 18 lat i myślę ciągle o wstąpieniu w jej szeregi. Nie jest to takie proste. Rozmawiam na ten temat z kolegami, rówieśnikami. Doszliśmy do przekonania, że w Prusach na pewno istnieje oddawna komórka akowska. Przypuszczamy, że w jej szeregi wciągnięto przede wszystkim kombatanatów, a nam pozostaje oczekiwanie aż któryś z nich zainteresuje się naszym pokoleniem.

Co drugi dzień maszeruję do Lwowa i zgłębiaм nie znane dotychczas dziedziny materiałoznastwa, technologii robót i korespondencji handlowej. Do szkoły uczęszcza kilku osobowa grupa prusaków, moich rówieśników. Chodzący na piechotę. Jest to dosyć duży wysiłek, ale droga w rotprzewijającej grupce nie dłuży się i znoszę wysiłek dobrze.

Od pewnego już czasu problem głodu przeminął i nam nadzieję, że nie powroci nigdy w tak ostrej formie w jakiej do niedawna przyszło mi doświadczyć. Stwierdzam jednak, że niedosyt trwa nadal i nie minie do końca okupacji niemieckiej, jak potwierdził to czas z perspektyw już minionej.

Chodzę do zawodówki, ale ciągle nie mogę pogodzić się z tym, że nie mogę kontynuować nauki tam, gdzie bym chciał.

Docierają do mnie wieści o istnieniu tajnych kompletów. To jest coś dla mnie, ale jak na razie nie ma nadziei, abym tam trafił.

Na arenie działań wojennych zastój. Znosi się na to, że Niemcy tracą oddech. Opanowali ogromne przestrzenie i nie mają siły, aby nad nimi sprawować skuteczną kontrolę. W działaniach na lądzie zarysowuje się równowaga sił. W powietrzu Niemcy mają jeszcze przewagę na froncie wschodnim. Na zachodnim, przewaga w powietrzu przechyla się ku stronie angielskiej. Pierwszym sygnałem był majowy nalot na Kolonię, przy udziale 1000 bombowców.

Był to najsilniejszy <sup>jak dotychczas</sup> nalot powietrzny w dziejach światowego lotnictwa. Nalot spowodował potworne zniszczenia w zabudowie miejskiej. Zniszczeniu uległo wiele zakładów przemysłowych, oraz były ogromne straty w ludności cywilnej.

Anglicy rozpoczęli rozliczenie rachunków z okresu bitwy o Anglię potężnym akordem, a Niemcy nie byli w stanie odpowiedzieć pięknym za

nadobne, czyli nie byli w stanie zastosować odwetu z braku sił. Nalot powyższy, przekreślił przekonanie Niemców o niepodzielnym panowaniu w powietrzu.

Cios spadł nie oczekiwanie. Nie mogąc zastosować odwetu, przy użyciu Luftwaffe, odpowiedzieli wzmożeniem działań wojennych na morzu. Stąd łodzie podwodnych atakuje nie przerwanie, brytyjskie konwoje na Atlantyku. Z miesiąca na miesiąc straty angielskiej floty handlowej, rosła w zatrważającym tempie.

Co ~~wielu~~ dni audycje radiowe są przerywane a z eteru płyną komunikaty Kriegsmarine<sup>x</sup> o sukcesach floty podwodnej. Każdy komunikat kończy się triumfalnym marszem. Ofensywa na morzu zainicjowana przez Niemców, otrzymała nazwę-bitwy o Atlantyk- trwa od pół roku i nie traci na sile.

Działania wojenne na lądzie, jak by zamarły. Znosi się nam to, że na froncie wschodnim Niemcy uwikłali się w ciężkie walki pozycyjne i nic nie wroży szybkiej zmiany sytuacji. Jedno jest pewne-wojna nie zostanie zakończona w 1942 roku.

~~Nixwixntan~~ Takie same prognozy można zastosować, odnośnie położenia Anglików na froncie afrykańskim.

Jednak prognozy nie sprawdzają się.

W trzeciej dekadzie października, następuje niespodziewana ofensywa wojsk angielskich w Egipcie. Po kilku dniowych zaciętych bojach, Anglicy przekazują opór Afrikakorps i dywizji włoskich. Biorą do niewoli wielu jeńców. Rozbity Afrikakorps<sup>xx</sup> i resztki oddziałów włoskich, wycofują się pośpiesznie. Zdobyta, terytorialna nie ogranicza się tym razem do prowincji Cyrenaiki. ~~Osma~~ armia angielska naciera w dalszym ciągu z powodzeniem.

W pierwszej dekadzie listopada, nowa niespodzianka. Połączone siły angielsko-amerykańskie, dokonują desantu morskiego na kolonie francuskie w Maroku i Algierii. Francuskie wojska kolaboranckiego rządu w Vichy, stawiają zacięty opór. Kres walkom kładzie porozumienie dowództwa amerykańskiego z admirałem Darlanem, najbliższym współpracownikiem marszałka Petaina. W konsekwencji tego porozumienia, wojska angielsko-amerykańskie, stały się panami Maroka i Algierii. Na wieść o lądowaniu aliantów w Afryce, Hitler wydał rozkaz zajęcia południowej, dotychczas nie okupowanej części Francji.

Równocześnie wojska niemiecko-włoskie opanowały francuski Tunis, dokonując desantów powietrznych i morskich, jeszcze przed dotarciem, tam, inwazyjnych wojsk angielsko-amerykańskich.

Sytuacja państw osi, uległa pogorszeniu. W orbicie działań wojennych

x - marynarka wojenna.  
xx - korpus afrykański

pojawiła się armia amerykańska. Pomimo perturbacji w wojnie na Pacyfiku, Amerykanie wysłali duże siły lądowe na Europę i morskie do Europy. Lotnictwo amerykańskie bierze czynny udział w ofensywie powietrznej przeciwnym nad Niemcami.

Na tym nie kończy się seria niepowodzeń państw osi.

Dnia 19 listopada 1942r., Sowieci przechodzą do ofensywy, pod Stalingradem. Wojska dwu frontów atakują od północy i południowego wschodu. Po czterech dniach walk zamykają w kotle stalingradzkim, szóstą armię niemiecką.

Zawoję zabiły serca Polaków. Ta seria niemieckich niepowodzeń, niczego dobrego im nie wróży.

Hitler wierzy w możliwość odblokowania wojsk wtoczonych w rejonie Stalingradu. Odrzuca propozycję przebicia się przez stosunkowo cienką jeszcze przegrodę wojsk sowieckich. Zaopatrzenie okrążonych wojsk postanawia zapewnić drogą powietrzną.

Reichsmarszał Goering ściągą z całej Europy samoloty transportowe, aby wywiązać się skutecznie z obietnicy złożonej Hitlerowi, że Luftwaffe jest zdolna do skutecznego zaopatrywania zamkniętej w kotle armii we wszystko, co jest potrzebne w prowadzeniu działań bojowych.

Codziennie z lwowskiego lotniska startują transportowe Ju-52.

Do zadań zaopatrzeniowych, przeznaczono też ciężkie bombowce He-111.

Samoloty te ciągną za sobą specjalne szybowce transportowe.

Początkowo zaopatrzenie drogą powietrzną zdaje egzamin.

Jednak, ~~z każdym tygodniem~~ z każdym tygodniem a później z każdym dniem,

sytuacja pogarsza się. Krąg okrążenia, poszerza się i samoloty

transportowe ponoszą coraz cięższe straty od ognia artylerii

przeciwlotniczej. Gdy do akcji wkracza sowieckie lotnictwo,

Niemcy zmuszeni są wycofać transportowe Ju-52.

Próby przebicia się do Stalingradu, pancernych korpusów generała Hotha, zakończyły się nie powodzeniem.

Już nic nie uratuje uwięzionych w Stalingradzie dywizji niemieckich.

Dnia 3-go lutego 1943r., najwyższy komunikat Oberkomando, ogłasza trzydniową żałobę powodu kapitulacji Stalingradu.

Na całym południowym froncie, Niemcy są w odwrocie. Wycofują się wojska również z Kaukazu.

Sytuacja Niemców, wręcz tragiczna. W warunkach ciężkiej zimy, wojska w odwrocie. Po likwidacji szóstej armii w Stalingradzie, ogromna luka we froncie.

Uderzenie korpusów generała Hotha nie uwolniło szóstej armii

z okrajania, ale dany dowództwu niemieckiemu bezcenny czas, do wycofania armii kaukaskiej i zamknięcia luki we froncie, po utracie szóstej armii.

Nie mniej jednak, Niemcy stracili całą zdobytą terytorialną, ~~uzyskaną~~ uzyskaną w ciężkich bojach kampanii 1942r.

na skutek stalingradzkiej klęski, front ustabilizował się na linii z końca 1941r. - za wyjątkiem Krymu, który pozostał we władaniu Niemców.

Była to ciężka porażka - nie wróżąca nic dobrego, na bliższą i dalszą przyszłość.

Sowieci - w korzystniejszym już położeniu - chcą przejąć inicjatywę, atakują na różnych odcinkach frontu, z różnym skutkiem.

Przekonawszy się jednak, że Niemcy nie stracili czasu i odtworzyli silną obronę, na nowej linii frontu - zaprzestali ataków.

Działania na froncie zanierają i linia frontu wschodniego, zastaje w bezruchu na wiele miesięcy.

W Afryce natomiast, alianci rozpoczęli operacje mające na celu likwidację wojsk niemiecko-włoskich w Tunisie.

Sily alianców, zdecydowanie przewyższają siły państw osi. Od zachodu czyli Algierii, atakują wojska amerykańsko-angielskie z udziałem dywizji wronych Francuzów. Od południa nadciąga ósma armia angielska pod dowództwem marszałka Montgomery'ego, który przerwał wreszcie paszę gonitw po pustyni libijskiej i stał się obrońcą słynnego Afrikakorps generała Erwina Rommela i wojsk włoskich.

Ja tymczasem uczęszczałem do szkoły zawodowej.

Coraz częściej myślę o przeniesieniu się do szkoły technicznej. Szkoła ta o profilu szkoły średniej, daje szansę zdobycia tytułu technika. Warunkiem przyjęcia do tej szkoły, jest przepracowanie pewnego okresu w warsztacie rzemieślniczym.

Jak na razie takiego zaświadczenia nie mogę zdobyć a do terminu rzemieślniczego, nie mam ochoty wątpować.

Czasami po zakończeniu zajęć w szkole zawodowej, robię sobie przystanek na krakidałach, Koleców czy znajomych, nie spotykam, ale obserwuję handlujących z polotem, młodzieńskich lwowskich batierów, stanowi dla mnie interesującą rozrywkę. Pewnego dnia, przepycham się przez ciżbę, w kierunku punktu obserwacyjnego przy bazarze.

Na przeciw idzie dwa żołnierzy w mundurach SS. Na widok tych mundurów, zawsze opanowuje mnie odczucie zaniepokojenia. Próbuje zejść z drogi marszerującej. Przy mijaniu bezwiednie rzuca okiem na marszerujących i widzę dwie znajome twarze. Są to twarze dwu nie daw-



nych kolegów z drugiego gimnazjum. Nazwisko jednego z nich uleciało mi z pamięci, ale drugi, to na pewno Kunzendorf. Nazwisko zapamiętałem dobrze, z tego względu, że brat Kunzendorfa, był doskonałym pływakim wyczynowym, nie szczępnym się w czołówce polkich pływaków. Na zawodach międzynarodowych, reprezentował barwy polskie a ja byłem zapamiętany kibicem sportowym. Urok obserwacji krakideków przysk. Schodzę z hałasliwego placu i wsiedam do dziewiątki. Dziś wracam do domu samotnie. Koledzy nawalili i na zajęcia nie przyszli. Oddaję się więc rozmyśleniom, dla skrócenia niejako czasu mej wędrówki. Z Prus odeszło na roboty do Niemiec, kilkunastu młodych ludzi. Część po zimowej głodówce, poszło na ochotnika a część przymusowo, po otrzymaniu nakazu. Boję się tej ewentualności. Takie same obawy nurtują moich kolegów.

Pojawiają się pogłoski, że od 1 kwietnia powstanie w Prusach placówka Baudienst. Baudienstlager, znajdzie tymczasowe pomieszczenie w pruskim domu ludowym.

Zarządzeniem niemieckich władz administracyjnych, służba w Baudienście jest obowiązkowa. Młodzież roczników 1923 i 1924 podlega obowiązkowi odbycia służby, która ma trwać 1 rok.

Starsze roczniki, odbywały swój staż we Lwowie. Wszyscy unieszczeni w tych obozach, narzekali na ciężką pracę i liche wyżywienie. Pomimo czarnej rzeczywistości, po dyskusjach-młodzi kandydaci do służby budowlanej, dochodzą do wniosku, że należy skorzystać z okazji i zgłosić się do pracy na miejscu. Odpadnie przez to problem wyżywienia i niezbyt przyjemna perspektywa pobytu w lagrze. Okazuje się, że ma to być ukraiński obóz pracy.

Z uwagi na to, że dom ludowy ma pojemność ograniczoną-sprzyjająca okolicznością okolicznością, będzie przyjęcie do tego obozu młodzieży polskiej z Prus i najbliższej okolicy, gdyż będzie ona mogła dochodzić do pracy z domów rodzinnych.

Niepokojącą wiadomością jest fakt, że obozy służby pracy, są nadzorowane przez SS. Komendantem obozu jest z reguły oficer SS.

Jedyną sprzyjającą okolicznością jest to, że praca w Baudienście, będzie chronić przed wywózką na roboty do Reichu.

Wśród tego typu rozmyślań, upływa czas i nadchodzi dzień, w którym wraz z kolegami maszerujemy do domu ludowego, na pierwszą zbiórkę. Tam po sprawdzeniu obecności-otrzymujemy, sorty mundurowe składające się z bluzy i spodni, butów drewniaków i furaczerki z emblematem kilofa i młotka.

Następnie po ustawieniu się w szeregu, następuje instruktaż.

Zadania i obowiązki referuje Vorwekehr Krasucki-średniego wzros-

tu brumet-energiczny i ruchliwy, jak żywe srebro. Włada płynnie językiem niemieckim, oraz francuskim. Obok niego dżuki Vorwerkkehr-również Polak Kotarski.

Ukraińców szkoli Vorwerkkehr Kwasnycia-wysoki blondyn.

Jest też Baudienstinspektor Blaha-wysoki dryblas w mundurze SS-czeski Niemiec z Moraw.

Z informacji udzielonych przez Vorwerkkehr Krasuckiego dowiedzieliśmy się, że Baudienst spełnia rolę niejako banku siły roboczej. Z tego banku zainteresowane przedsiębiorstwa, będą wynajmowały potrzebną ilość Baudienstmannów do prowadzonych robót.

Tyle mniej więcej, dowiedzieliśmy się od Krasuckiego.

Następnego dnia t.zn. 2 kwietnia 1943r., po zgłoszeniu się na poranną zbiórkę, ustawiamy się w dwuszerogu. Vorwerkkehr Kotarski sprawdza obecność i całą grupę wysyła na Baustelle mieszczącą się przy stacji kolejowej w Barszczowicach. Po przemarszu 6km, jesteśmy na miejscu. Podchodzi ku nam gruby jegomość w wieku ponad emerytalnym i po niemiecku zaczyna rozdzielać zadania. Pokazuje na mnie i Janka Drozda i dość nie zrozumiałe szwargocze: zwei Mann, ein Wagen Sand ausladen. <sup>x</sup> Jawohl-<sup>xx</sup>odpowiadam i odchodzę z Jankiem do baraku z narzędziami. Wybieramy 2 szufle. Janek pyta, co mamy robić? Mamy wyładować wagon piasku. Skąd znasz niemiecki? pyta. Chodziłem do gimnazjum-wiesz przecież. Janek pokiwał głową z niedowierzaniem, ale nie mówi nic. Podchodzimy do wagonów podstawionych na bocznicę, a tam gruby Schachtmeister-jak się później okazało-pochodzący z Wrocławia o nazwisko Bauer-rozdziela robotę.

Jest kilka wagonów z drewnianymi elementami do składania baraków. Są też szyny i podkłady do kolejki wąskotorowej. Chłopcy wyznaczeni do rozładunku pokazują na migi, że potrzebne są rękawice.

Bauer podnosi, trzymany w ręku kij i potrząsając nim grozi, że słowami: ich gebe dir Handschuhe du bequeme Kerl. <sup>xxx</sup> Los an Wagen und schnell entladen. <sup>xxx</sup> Chłopców nie rozumieją słów, ale gest z kijem wystarczy. Takie buty z cholewami-mówi Janek Piotrowski. Rękawice na nam kij zastąpić. Może trzeba będzie jeszcze dziękować, że nie przejedzie kijem po grzbiecie.

Siedzimy z Jankiem już na wagonie z piaskiem i czekamy. Do wagonu podchodzi Bauer i kijem pokazuje na plac ładunkowy-ze słowami: hier werfen. <sup>xxxx</sup> Janek chce otwierać drzwi węglarki, ale powstrzymuję go, uzasadniając, że duża część piasku wysepie się w większości na tory, a wtedy Schachtmeister, każe nam wybierać piasek z międzytorza, choćby rękami. Janek zgadze się i zaczyna wyładować.

Zaczynamy wyrzucać piasek od drzwi i dość prędko dochodzimy do

- x - dwu ludzi - wyładować wagon piasku
- xx - tak jest
- xxx - ja ci dam rękawice, ty delikatny łobuzie. Dalej na wagon i szybko wyładować
- xxxx - tu rzucić

podłogi. Piasku pod drzwiami już nie ma, więc otwieramy drzwi. Po godzinie, ręce zaczynają boleć. Jestem nie przyzwyczajony do takiej roboty, bo dotychczas opiekowałem się przeważnie krowkami, ale ambicja nie pozwala się przyznać Jankowi. Spoglądam na słońce, ale do południa jeszcze daleko. Rzucamy więc piasek przez drzwi ze środka wagonu - niarowymi, monotonnymi ruchami rąk i tułowia. Usypaliśmy sporą piramidę piasku na placu a to dopiero trzecia część wagonu. Ręce pieką nie miłosiernie, więc oglądam je i widzę pęcherze. Przestraszony nie pokazuję rąk Jankowi i wyrzucam piasek wahadłowymi ruchami ciała ze swojej połowy wagonu. Uważam, żeby nie odstawać od Janka. Oddalam się od drzwi w głąb wagonu i przerzut piasku trzeba wydkużyć.

Rzynamy z wyrzutu przez drzwi i zaczynam przerzucać w górę, ponad ścianę węglarki. Czuję ogromne zmęczenie i osłabienie.

Słyszę głosy: obiad! Oddecham głęboko z ulgą.

Przywiezli zupę i miski, lecz nie ma łyżek. Dostaję zupę do miski, wyciągam z kieszeni chleb i biję zupę, przygryzając chlebem.

Apetyt nie bardzo dopisuje, ale zdaję sobie sprawę, że nie starczy mi sił do zakończenia wyładunku i zmuszam się do wypicia całej porcji otrzymanej zupy.

Obserwuję kolegów i stwierdzam, że wszyscy są zmęczeni, podobnie jak ja. Sprawia mi to satysfakcję, że nie tylko ja, czuję się podle. Po godzinnym odpoczynku, wchodzimy do wagonu i zaczynamy pracę. Kończymy wyładunek, kilka minut przed godz. szesnastą.

Podchodzimy do pompy i myjemy się do pasa. Chłodna woda, przynosi ulgę. Pomimo to dłonie z pęcherzami, pieką nie miłosiernie. Boleją też całe ręce, plecy i krzyż.

Janek Drozd przy myciu dłoni, syczy. Też ma pęcherze.

Podobnie czują się wszyscy koledzy.

Pracujący przy wyładunku szyn, oprócz pęcherzy na dłoniach, mają poświęconą do krwi skórę. Wyładowujący elementy baraków i podkładów pod tory syczą, wyciągając drzazgi z rąk.

Minał pierwszy dzień pracy, który stanowił przedsmak tego, co nas czeka w ciągu stojącego przed nami roku. Rozpoczął się on niezbyt przyjemnym dla nas akordem.

Następny dzień, podobny do poprzedniego - z tą różnicą, że w czwórkę wyładowujemy wagon cegły.

Itak dzień po dniu unżywa w monotonnym rytmie pracy.

Po tygodniu, otrzymujemy wypłatę, która wynosi 10 zł Danin Śmisyńskiego i 10 zł papierosów, w których zawartość tatoniu wynosi 20%.

Pozostała 80%, to chmiel. Pobieramy tą wypłatę i śmiejemy się ze

złości.

Powoli wdrażamy się do wykonywanej pracy. Skóra na dłońach grubnie, ból rąk, ramion i pleców z każdym dniem maleje. Pojawia się nadzieja, że nie będzie tak źle jak się zapowiadało no pierwszym dniu pracy. Przez cały czas pracujemy w firmie: Julius Berger Tiefbau A.G. Berlin Grunewald Strasse 10.

Prace nadzorują:

Schachtmeister- Bauer z Wrocławia.

Schachtmeister- Schmidt z Berlina

Oberschachtmeister- Georg Eggerer ze Stuttgartu

Eggerer zamieszkał w wynajętym pokoju w Prusach-dwaj pozostali, mieszkają w Barszczowicach.

U schyłku drugiego tygodnia pracy-niespodzianka. Na stacji w Barszczowicach stoi 7 wagonów cementu. Na dworze piękny, słoneczny dzień. Schachtmeister Bauer rozstawia po czterech chłopców koło każdego wagonu i rozkazuje: entladen-ein Mann, ein Sack<sup>x</sup>.

Nie mam rozczarowania co do swoich możliwości. Przecież jeszcze nigdy nie nosiłem 50-cio kilogramowych worków. To przecież ciężar tylko nieco mniejszy od wagi mojego ciała.

Wagony są podestawione naprzeciw baraku magazynowego o wymiarach 20x10m. Szpecuję okiem, odległość od wagonu do wewnętrznej ściany baraku i wychodzi mi co najmniej 15m. Wyczuwam, że będzie to zadanie ponad moje siły.

Przystawiamy do otwartych drzwi wagonu drewnianą płytę, która ma służyć za pomost do znoszenia cementu.

Janek Drozd bierze worek i zaczyna marsz do baraku. Widzę w jego oczach, ogromny wysiłek. Bierę następny worek-nogi uginają się pod mną i z ogromnym wysiłkiem idę do baraku. Kładę worek przy ścianie i oddycham głęboko. Serce łomocze mi w piersiach, ręce drżą.

W pojedynkę wykończymy się-mówi Janek. Potakująco kiwam głową.

Bierzeni we dwójkę-mówię. Co w pojedynkę nie dacie rady? pyta

Noworolski. Nie, bo się wykończymy. Dobra, zgadzają się chłopaki

z drugiej dwójki. Bierzeni worek we dwójkę i zanosimy do baraku.

Trochę nie wygodnie, ale wysiłek nieporównanie mniejszy.

W ten sposób mamy szansę dotrzeć do końca-mówię.

Cała czwórka solidarnie-zgadza się. Za naszym przykładem idzie, prawie cała ekipa wyładowcza.

Bauer widząc to wpada w złość. Potrząsa kijem i szwargocze bez przerwy jakims nie zrozumiałym żargonem, z którego wyłowilem wreszcie słowa: ein Mann, ein Sack habe ich doch gesagt.<sup>xx</sup>

Budzi się we mnie złość. Ta stu kilogramowa kupa, nie chce widzieć.

x- wytładować, jeden, człowiek, jeden worek.

\*x- jeden człowiek, jeden worek, przecież powiedziałem.

ani wiedzieć, że pracujący przy wyładunku, wyśłodzeni nie dorozwinięci fizycznie do swego wieku chłopcy. Od dwu lat żaden z nich nie widzi cukru. Jedzenie, skąpo kraszone namiastka śmietany. Mięso widzą, gdy w domu zachoruje kura. Poczucie solidarności, jest im jeszcze nie znane. Kilku z nich, tych silniejszych nosi worki w pojedynkę, rzucając zadowolone spojrzenie na Niemca. Mokry od potu, myślę o tym i zapominam, jak gdyby o wysiłku i zmęczeniu. To stara moja metoda -bardzo użyteczna. Patrzę na słofce i widzę, że ma się ku południowi. Oglądam cement w wagonie i oceniam, że wyładowaliśmy, nieco ponad połowę worków, ale sił coraz mniej. Z moimi spostrzeżeniami, dzielę się z kolegami. Spieszmy się, aby przed przerwą obiadową zrobić jak najwięcej.

Wreszcie pokazują się konik z wózkami. Baraszczewski przywozi baki z zupą. W zupie pływają ziemniaczane kostki i pęczak jęczmienny. Piję zupę i zagryzam chlebem zabranym z domu. Po uporaniu się z posiłkiem, kładę się w cieniu, rognące na łacie topoli i wypoczywam. Podobnie postępują moi koledzy.

Kończy się przerwa i słychać głos Bauera: aufstehen! aufstehen!<sup>x</sup> Podchodzimy do wagonów i rozpoczynamy wyładunek.

Do magazynu wchodzi Bauer, ogląda ułożone worki z cementem i nie oczekiwanie rozkazuje układać wyżej, na ułożone już worki. Pokazuje na opartą o ścianę baraku płytę zbitą z drewnianych desek i każe przystawić do warstwy już ułożonych worków. Rozpoczynają ci silniejsi... i z trudem, ale wychodzą, ślizgając się po płycie - na górę i zaczynają układanie nowej warstwy worków.

Podchodzą ci słabsi we dwójkę - zaczynają się wdrapywać pod górę. Ślizga się jeden, zaraz za nim drugi i... opuszczają worek na płytę. Interweniuje Bauer i każe brać worek jednemu z nich. Drugi kolega z parą, pomaga mu, popychając go z tyłu. Wychodzi to zachęcająco, ale Bauer nie zadowolony, chce swoistym żargonem: lass ihn<sup>xx</sup> - odpycha popychającego i sam popycha, niosącego worek kijem i wreszcie wali go kijem przez plecy. Chłopak resztką sił, wychodzi na worki, opuszcza worek i zaczyna płakać. Co ta beczka żoju wyrabia - słychać podniecony głos. Chłopaki nie dają się bić - woła głos z grupy.

Dobra jest chłopaki - mówi Janek Piotrowski, którego zaliczam do tych silniejszych. Z pomocą drugiego chłopaka, zarzuca worek na ramię i podtrzymując worek jedną ręką, zaczyna wspinaczkę po płycie. Dziwne... ale Janek ślizga się, raz... potem drugi. Bauer, swoim zwyczajem popycha, saturchając kijem. Majster zostaw! krzyczy Janek, będąc już prawie na górze. Bauer robi kijem zamach i wali nim w dupę Janka. Ten przegina się z bólu - worek zsłusza się z jego ramienia

x - wstawać, wstawać  
xx - zostań go

i leci wprost na Bauera-wali w jego łeb i pęka. Pył cementowy spływa z worka po całej postaci Niemca a ten oszołomiony, klęknął dupą na podłogę baraku. Następuje chwila ciszy...Która przerywa ryk-sobotę! sobotę! Szkop dźwiga swoje cielsko i podnosi się-szukając kiję. Podnosi go z podłogi i rusza w kierunku obserwującej.naszej grupy. Chłopaki wiać-woła któryś z grupy.

Jak na komendę.rzucający się do drzwi.

W drzwiach ścisk,ale przeciekamy się wszyscy.zanim dopadł nas Bauer.Biegł za barak-woła jakiś głos. Hurra chłopaków,pędzi na węgiel baraku. Chłopaki,choch na Łękę-woła Staszek Worochański. Odlegamy od baraku z 50m. Zatrzymujemy się...z za węgiel baraku wypełza Bauer. Wybuchowy śmiechem,bo postać Niemca podobna jest do popielatego niedźwiedzia,kroczącego niezdarnie w naszym kierunku. Bauer konsekwentnie,szuka bliższego kontaktu z naszą grupę.

Rozwścieczony i zdenerwowany,nie przewidywał takiego rozwoju wypadków. Podchodzi na odległość 30m,szwargocząc nie zrozumiałe jakieś słowa.Jakieś nie zdecydowanie uwiłdacznie się w jego ruchach.

Nie możemy dopuścić do dalszego zmniejszania się dystansu.

Wścikłość dominuje jeszcze nad innymi odczuciami u Niemca.

Zaczynamy dalszy odwrót w kierunku Hołodówki. Dystans zwiększa się do 50m i dopiero wtedy,Niemiec zatrzymuje się -zaczyna mówić coś,w sposób wskazujący na ton pojednawczy.

A my w dupie cię many-cedzi przez zęby Janek Piotrowski-centralna postać dzisiejszego incydentu.

Z postaci Niemca i jego zachowania,można wywnioskować konsternację. Prostu nie wie jak na postąpić.

Pochylił odwraca się i czknie ciężkim kaczkowatym chodem ku kantorkowi. Dochodzi do kantorka,otwiera drzwi i znika z naszych oczu.Napężenie,które opanowało nas niepodzielnie,wyperowuje z wolna z naszych głów. Stojmy,nie bardzo wiedząc jak many zareagował na powstała sytuację. Tak,tak chłopaki,ale co dalej?odzywają się ktoś z grupy. Nie wracamy do roboty i koniec-mówi któryś.

Stary dziad,ledwie sunie kaczkowatymi nogami a bierze się do bicia. Tak,bić się nie pozwolimy,ale trzeba pomyśleć o konsekwencjach,jakie mogą wynikać spowodu dzisiejszej draki-mówi Staszek Worochański. Mein zdaniem,robotę musimy zakończyć-dodaje.

A jak ten grubo antak powróci z kijem i zacznie rżnąć od nowa? Nie wierzę,aby miał na to ochotę,jeżeli jednak tak się stanie,to powtórzymy odwrót. Szkop nie zdzierży naszym nogom,to jest pewne-mówię.

Ostatecznie koledzy zgodzili się na powrót do pracy i mierowym

krokiem wracamy do wagonów.

Pierzemy worki i rozładujemy wagony, organizując robotę proporcjonalnie do naszych sił. Słabszy wypycha kolega na górę i robota pomimo ubytku sił, idzie sprawniej.

Spoglądam na kantorek i widzę drzwi otwarte. W drzwiach stoi Bauer i obserwuje pracującą gromadę. Po chwili, drzwi się zamykają - Bauer znika z pola widzenia - już do końca wyładunku.

Kończymy pracę i zamykamy drzwi wagonów, oraz magazynowe.

Podchodzimy do pompy i wyjemy się starannie z piekącego cementowego pyłu, który zamienił się w papkę na smoconych ciałach.

W drodze powrotnej do domu, dyskutujemy nad przebiegiem wypadków dnia dzisiejszego. Ustalamy, że katować się nie damy.

Najakuteczniejszy sposób obrony to nasze nóżki, szybkie nogi, którym żaden Niemiec nie sprosta. Będziemy pracowali pod hasłami nie dać się uderzyć i oddalić się od agresora na skuteczną odległość. Należy brać pod uwagę, że każdy Schachtmeister jest posiadaczem broni palnej, posiada broń palną i jej użycie przeciwko Polakom, pod byle pretekstem, jest bardzo prawdopodobne.

Przykładem, jest zachowanie Bauera, przy dzisiejszym incydencie, którego konstrukterem był on sam. Pierwszą reakcją jego był krzyk - sabotage - . To daje dużo do myślenia.

Nie możemy być pewni, że dzisiejszy przypadek, jest już zakończony - zauważył Staszek Worotański. Jak zareagują na to Eggerer i Schmidt jeżeli Bauer przedstawi in swoją wersję wydarzeń?

Z tej strony, nie powinna reakcja, będzie mało prawdopodobna - mówię. Kilka dni temu wczec, rozmawiał Eggerer ze Schmidtem.

Ujrzawszy zbliżającego się Bauera - Eggerer ze śmiechem powiedział: schau, schau - kommt dieser dicke Dummkopf. Z tego wniosek, że Bauer nie cieszy się ich sympatią i z tej strony, nie powinno być przykłej niespodzianki.

Po ciężkiej pracy, nogi nie bardzo chętnie nieśa ciężar ciała. Godzienny marsz do pracy trasą długości 6km i taka harówka, jak dzisiaj może spowodować złamanie a tu jeszcze 6km powrotnej drogi.

Jednak rozważanie wspólne dzisiejszego przebiegu wypadków, nowo-  
duje niejako - skrócenie czasu przemarszu. Coś nowego pojawiło się w stosunkach między nami. Nie bardzo wiemy co - a to po prostu przeżyliśmy pierwszy akt solidarności, który już do końca, będzie nam towarzyszył, przynosząc ulgę, przez świadomość, że niepowodzenie jednego kolegi, nie może się spotkać z obojętnością towarzyszy niedoli.

x - patrz, patrz - idzie ten gruby elureń.

Powróciłem myślami do wydarzeń dzisiejszego dnia. Zwróciłem się z pytaniem do Janka Piotrowskiego: Janek, czy operację z tym workiem, to ty sobie obmysliłeś, czy to był przypadek? Złość mnie porwała, gdy szkop uderzył Dorociaka—odpowiedział Janek. Trochę pochopnie postanowiłem odpłacić szwabowi, ale gdy już miałem worek na ramieniu—zaczynałem się zastanawiać, jak mam to zrobić. Dla uzyskania czasu, udawałem ślizganie na płycie. Ale jak mi szkop przyłożył łapę w dupę, to już miałem tylko jedno pragnienie, aby mu ten worek zwalić na łeb.

- XIV -

W połowie kwietnia niemieckie środki przekazu podały wstrząsającą wiadomość o odkryciu masowych grobów w pobliżu wioski Katyń, pod Smoleńskiem.

W grobach zidentyfikowano zwłoki oficerów polskich przebywających w obozach jenieckich, zlokalizowanych w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. W obozach tych przebywało, ponad dziesięć tysięcy oficerów.

Trwają prace ekshumacyjne. Niemcy wyrażają zgodę na udział w pracach ekshumacyjnych przedstawiciele Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, jak również, wyrażają zgodę na przyjazd delegacji polskiej z Anglii, gwarantując jej całkowite bezpieczeństwo.

Alianci i NCK w Genewie, odrzucili propozycje niemieckie.

Przybyli na miejsce kaźni, przedstawiciele państw znajdujących się w orbicie wpływów Rzeszy.

Byli wśród nich profesorowie z Czech, Węgier, Rumunii i Bułgarii.

Wyjechała też delegacja Polskiego Czerwonego Krzyża z Krakowa.

Gazeta Lwowska, codziennie zamieszcza listę zidentyfikowanych oficerów. Sledzę pilnie te listy. Chodzi mi przecież o mojego szwagra Władysława Hermana. Sledzą te listy Polacy z całej Polski. W obozach tych znajdowali się oficerowie z całego terytorium przedwojennej Polski.

Gazety zamieszczają zdjęcia z prac ekshumacyjnych, kopie znalezionych dokumentów, listów i różnych przedmiotów osobistego użytku.

Prasa donosi, że data ostatnich listów nie przekracza m-ca maja 1940r. Drzewa porastające nogiły porzucanych, według oceny ekspertów, wskazują na trzy-letni okres ich wegetacji.

Przekazywane informacje są zgodne z dokumentami, będącymi w posiadaniu rodzin w kraju. Dotyczy to w szczególności korespondencji.

Rząd Polski zwraca się do NCK z prośbą o wysłanie delegacji,

celem wzięcia udziału w pracach ekshumacyjnych. Prasa polska uka-



zujęca się w Anglii, zamieszcza artykuły atakujące rząd sowiecki. Sowieci reagują gwałtownie. Najpierw anulują porozumienie zawarte z Rządem Polskim w 1941r, a następnie zrywają stosunki dyplomatyczne z tymże Rządem. Sytuacja polityczna Polski powróciła do stanu sprzed 1941 roku.

Ekshumacja zwłok oficerów polskich trwa nadal. Lista zidentyfikowanych ciał narasta z każdym dniem. Jak na razie dotyczy to zwłok polskich oficerów przebywających - wyłącznie w obozie w Kozielsku. Brak nazwisk z obozów w Ostaszkowie i w Starobielsku.

Prace przerwano w czerwcu 1943r.

Wprowadzić nie znalazłem w wykazie nazwiska mego szwagra, ale złeżność jego losów, przed czerwcem 1940 rokiem, z pomordowanymi, nie pozwala na optymistyczną prognozę.

Ostateczne rozstrzygnięcie wątpliwości, miało nastąpić dopiero po upływie pół wieku.

Ja tymczasem, w dalszym ciągu odbywam codzienną wędrowkę wraz z kolegami na Baustelle w Barszczowicach.

Pracujemy przede wszystkim przy wyładunku wagonów. Wdrożyliśmy się do tej pracy. Każdy z chłopców okrzepł i zahartował się w tej specjalności. Bauer, w dalszym ciągu nadzoruje prace wyładunkowe. Chodzi pośpiesznie i naburmuszony, niczym chmura gradowa, ale kij zostawił w kantorku. Z przebiegu upływających dni wynika, że o incydencie przy wyładunku cementu nie poinformował swoich kolegów.

Fakt ten spowodował pewne złagodzenie stosunków pomiędzy nami.

W gruncie rzeczy, jesteśmy zadowoleni z takiego obrotu sprawy i postanawiamy tolerować Nienca, bez okazywania urazy.

Następują przerwy w dostawach wagonów, a z czasem zmniejsza się ich ilość.

Wtedy Bauer odkomenderowuje wolnych Baudienstmannów do budowy kolejki wąskotorowej. Z zadowoleniem przyjmujemy tę odmianę.

Układamy torę na podkładzie z żużla, który to podkład na długości ponad 1km, wykonał Baudienst ukraiński, pod nadzorem oberschack - meistra Eggerera.

Pewnym elementem, wprowadzającym nutę niepokoju był fakt, że z ~~ur~~ z odcinka wykonywanych przez Ukraińców robót, często dochodził do nas donośny krzyk Eggerera, przy którym wściekły szarżon Bauera, ~~wyciskał~~ z konkurencji. Uspokajał nas trochę, brak skarg Ukraińców na Nienca. Pracowaliśmy oddzielnie, ale warunki pracy sprawiały, że stykaliśmy się z nimi codziennie. Odruchów wrogości nie było, a z biegiem czasu, nasze kontakty ustabilizowały się w duchu wzajem-

mej tolerancji, w ramach statusu pracy przymusowej, wykonywanej w analogicznych warunkach.

Z ich zdawkowych wypowiedzi wynikało, że Eggerer ryczy, ale nie bije, a Schmidta nie słycał, ale już kilkunastu z nich miało kontakt z jego kijem. Jakież echa incydentu z Bauerem musiały w jakiś sposób do nich dotrzeć, bo kilkakrotnie próbowali się czegoś od nas dowiedzieć. Nic nie wskórali, ponieważ wy postanowiliśmy tej sprawy nie rozgłaszać, tym bardziej, że Bauer zanicał w stosunku do nas taktyki z pozycji kija.

W rezultacie, przy następnej próbie pociągnięcia nas za język - Staszek Worotański odpalił: nie spodziewamy się żadnego głaskania ze strony Niemców i nie zabiegamy o jakies wzgledy u nich. Jesteśmy członkami przymusowej służby budowlanej i odruchy agresji ze strony Niemców <sup>W / y / sa nam</sup> zresumiało, ale wy jesteście szeregowymi ukraińskiej służby batkiwsczymi i zbieranie batów w imię tej służby od Niemców musi być dla was bardziej przykre, aniżeli dla nas.

Podniesiony głos jednego z Ukraińców: naj szlag trafił taku batkiwsczymu - był dla nas dostateczną satysfakcją.

Przez cały czas pracy na Baustelle w Barszczowicach nie doszło do żadnego znaczącego zadrażnienia pomiędzy Ukraińcami i Polakami nie doszło.

Pewnego dnia, pod koniec kwietnia, podczas zbiórki na rościńcu, przed domem ludowym w Prusach, do szeregu polskiego oddziału, podchodzi Oberschachtmeister Eggerer i pyta: wer versteht Deutsch? Vorverkehr Krasucki towarzyszący Niemcowi - tłumaczy pytanie po polsku. Nie mam najmniejszej ochoty przyznawać się do umiarkowanej znajomości tego języka. Przyzwyczaiłem się do pracy w szerepie kolegów i nie mam zamiaru zmienić swojego statusu.

Jednak, któryś z kolegów wskazuje na mnie. Eggerer, bez pytania, mówi do mnie: von Morgen wirst du mein Laufjungge<sup>xx</sup>-i odchodzi.

Krasucki tłumaczy mi, że moje sąsiedztwo nie będzie łatwe, gdyż Eggerer posługuje się dialektem najtrudniejszym, z jakim <sup>sie spotkał</sup> dotychczas. Niemieciami posługują się swobodnie, ale w rozmowie z Eggererem, napotyka na trudności - dodaje. Nie ma problemu - mówię. Czuję, że długo przy tej funkcji nie wytrwam. Nie mam zamiaru studiować języka niemieckiego, aby dogodzić Eggererowi.

Eggerer, jako jedyny z pośród majstrów, nosi mundur organizacji Todta i do tego z Hackenkreuzem na rękawie. W butach z cholewanami i z nadętą miną, przypomina raczej Baßmanna a nie zwyczajnego majstra budowy. Z obserwacji moich wynika, że przyjaśni się z Baudieninspektorem Blehą. Prognozy raczej minorowe.

x- kto rozumie po niemiecku?  
xx- od jutra będziesz moim gońcem.

Z ciężkim sercem idę w szeregu,razem z kolegami,chyba ostatni raz na Baustelle w Baranowicach.

Nie mam jednak racji. Następnego dnia Eggerer rozkazuje mi udać się na baustelle i czekać na siebie w kantorku. Siedzę stłumiony. Nadjeżdża rowerem Eggerer-wyciąga z szuflady jakieś druki i zaczyna je wypełniać. Idzie mu to z trudnością. Ze sposobu pisania,orientuję się,że ręka Niemca nie bardzo wprawna w pisaniu. Zakończył wypełnienie jednego formularza-wyjmuje następny i pyta: Könnst du Deutsch schreiben? ja ich könne schreiben besser,wie sprachen-odpowiadam. Wo hast du gelernt? Ich besuchte drei Jahre Polnisches Gymnasium,vor dem Krieg-odpowiadam. Ich so-mówi niemiec i patrzy na mnie,jak gdyby z uznaniem. Przesuwa do mnie formularz i mówi: schreibe. Wypełniam poszczególne rubryki pod dyktando majstra. W trakcie pisania domyślam się,że jest to coś w rodzaju raportu budowy.Po wypełnieniu części cyfrowej raportu,następuje część opisowa,coś w rodzaju komentarza do części cyfrowej. Eggerer dyktuje a ja piszę. Wreszcie niemiec mówi koniec. Chcę wstać od stołu,ale ten,powstrzymuje mnie słowami: es ist noch nicht ganz Ende i dyktuje:

mit Deutschen Gruss Heil Hitler

XXXXXXXXXX

Eggerer

W życiu nie spodziewałem się,że będę coś takiego pisał. W prawdzie pod dyktando,ale jest to dla mnie odczucie szokujące. Ta końcowa sentencję.przyszło mi pisać przez cały czas sprawowania funkcji przy Eggererze.

Mogłem jeszcze zrozumieć,umieszczenie tej formuły w pismach urzędowych. Eggerer umieścił ją jednak,również w korespondencji prywatnej do znajomych urzędników w biurze Juliusa Bergera we Lwowie. Zanim doszło do tego-narazie do Lwowa nie jeżdżę,bo jestem jak gdyby na okresie próbnym.

Vorwerker Krasucki miał rację z dialektem Eggerera. Z potoku słów kierowanych do mnie,wykawianem co czwarty,lub piąty wyraz.

Czasami udaje mi się na podstawie pojedynczych słów,ustalić sens zdania,ale po tygodniu mam dosyć tej szaradowej zabawy i oczekuję z nadzieją,że Niemcowi znudzą się próby konwersacji ze mną po niemiecku. Widzę w jego oczach oznaki rozdrażnienia.

Czasami pojawia się w nich wyraz uznania,sdy po jego wypowiedziach,odpowiadam całkiem zgrabnym zdaniem. To wiązanie, nie zniechęca go całkowicie do mojej osoby. Przy Eggererze,czuję się jednak źle. Brak mi kontaktu z kolegami. Przy robocie,było ciężko,ale czas przebiegał szybciej,we wzajemnych rozmowach i po-

X- umiesz pisać po niemiecku? XXXX- ach tak, XXXX- pisz, -verte- →  
XX- tak, pisać umiem lepiej, niż mówić.  
XXX- gdzie się nauczyłeś?  
XXXX- Przez trzy lata chodziłem do Relskiego gimnazjum, przed wojną.

nino ciężkich chwil-na żartach, czy figlach.

Tu w Kantorku, czas wlecze się, jak smoła. Korzytetem z okazji, gdy Niemiec wychodzi skontrolować prace przy wykładaniu wagonów, lub na pogawędkę do Bahnschutzów<sup>x</sup> na stacji. Zadowolony, że nie każe mi się wlec za sobą-wypadać do kolegów na bardzo potrzebną pogawędkę. A czas płynie z dnia na dzień. Mija tydzień, dwa-i wreszcie po miesiącu konstatuję, że właściwie nie mam trudności z porozumieniem się z Eggererem.

Awansowałem, bo od pewnego dnia, Niemiec zwraca się do mnie: Ordonans. Laufjunge poszedł w odstawkę a pojawił się Ordonans.

Piszę właściwie wszystko, co ma do napisania Eggerer.

Wszystkie raporty z budowy, kartki do znajomych w biurze i od pewnego czasu-pod dyktando listy do domu w Stuttgarcie.

Kaligrafuję adres: Zentha Eggerer-Stuttgart-König Karlstrasse 66.

Przy okazji pisania listów, dowiaduję się, że małaletnia córka przebywa w internacie pod Stuttgartem. W obawie przed bombardowaniem, Niemcy wysyłają dzieci poza obręb miast. Więcej piszę też listy do córki Annelise Eggerer, przebywającej w Bad Canstadt, pod Stuttgartem.

W wyobraźni porównuję tę miejscowość z Brzuchowicami pod Lwowem.

W czasie rozmów z Eggererem spostrzegam, że wtraca on często w zdaniach wyrazy francuskie-a compri, umieszcza po każdym, trzecim wyrazie niemieckim.

Z opowiadań, które coraz częściej snuje przede mną, dowiaduję się, że firma Julius Berger, od drugiej połowy 1941r. do końca zimy 1943r.-na zlecenie niemieckiej marynarki wojennej, wykonywała żelbetowe schrony dla niemieckich łodzi podwodnych na francuskim wybrzeżu Atlantyku, w rejonie portu St. Nazaire. Przez cały okres budowy przebywał tam również Eggerer. Stąd te ciągoty do języka francuskiego. Dowiaduję się też, że to co wykonuje Baudienst, są to roboty przygotowawcze do budowy cztero-torowej linii kolejowej od Krakowa, przez Lwów do Kijowa. Odcinek wykonywany przez firmę nacierzystą Eggerera, na stanowiskach obejście Lwowa, po jego północnej stronie.

W najbliższym czasie mają powstać 3 bazy. Jedna na łąkach w Pikułowicach-druga w centrum Prus a trzecia pomiędzy Laszkami Murowanymi a Dublanami. Kolej wąskotorowa budowana przez chłopców z Prus ma służyć do transportu materiałów budowlanych na budowę bazy w Pikułowicach.

Zastanawiam się, jaki sens widzą Niemcy w budowie tej linii, czy wierzą oni w zwycięstwo?

Wprawdzie na froncie wschodnim, od wczesnej wiosny, działania wojenne zamarły i front trwa w bezruchu od dwu miesięcy, ale w Afryce na

*x - policja kolejowa.*

frontie tunezyjskiej, alianci rozpoczęli ofensywę mającą na celu likwidację armii niemiecko-włoskiej w Tunisie.

Lotnictwo Anglo-Amerykańskie przeprowadza naloty na miasta niemieckie dzień i nocą z natężeniem nie spotykanym dotychczas w historii. Potężne formacje lotnicze w sposób potworny pustoszą niemieckie miasta. Bitwa o Atlantyk przynosi Niemcom coraz cięższe straty we flocie podwodnej, przy malejących zdecydowanie stratach floty transportowej aliantów.

Wydarzenia na froncie wschodnim - w ostatnich miesiącach 1942r. i początkowych miesiącach 1943r. spowodowały utratę inicjatywy przez Niemców. Ciężka na froncie, potwierdza ten fakt. Upływający czas działa na niekorzyść Niemców. Pomimo tego Niemcy nie mogą się zdobyć na aktywne działania na froncie.

Oceniając położenie na arenach toczącej się wojny - rozpoczęcie budowy tej strategicznej linii kolejowej może mieć tylko propagandowy efekt na użytek Niemców i ich sprzymierzeńców.

Jednak Niemcy coś kują. Przez Baraszcowice ciągną transporty wojskowe. Ruch na tej bardzo ważnej linii jest bardzo intensywny. Na wachód transportowane są czołgi - w tym oglądane przez nas poraz pierwszy, sławetne Tygrysy. Na platformach kolejowych jedzie artyleria, oraz ciągle nowe formacje wojskowe.

Czasami transporty z wojskiem zatrzymują się w Baraszcowicach. Wykorzystuje to Eggerer i toczy rozmowy z żołnierzami. Następnie tłumaczy mi, jak to na skutek odrotu spod Stalingradu - poprawiła się sytuacja strategiczna na froncie. Wytłumaczył mi to - mówi - bardzo mądry lejtnant. Z politowaniem słucham tych wywodów.

Naivność Niemca nie zna granic. Z każdym tygodniem zwierza się przede mną coraz częściej z intymnych spraw osobistych, oraz swego stanu ducha.

Któregoś dnia wyprowadza rower i oświadcza mi, że jest to mój rower służbowy. Od tego czasu muszę im towarzyszyć w codziennej drodze na Baustelle. Zle czuję się w jego towarzystwie. Jadę przy tej napuszonej postaci w mundurze z Hackenkreuzem na rękawie. Przejazdzą przez Fikułowice. Mieszkańcy przytoczali się do codziennych przemarszów chłopków z Baustanu i tego Niemca w mundurze. Niektórzy przy mijaniu mówią: dzień dobry, lub dobryj dzień. Szokująca jest odpowiedź Niemca, który bez żenady odpowiada: Heil Hitler!. Po kilku dniach pyta mnie, co znaczą słowa przechodniów przy mijaniu. Guten Tag<sup>x</sup> - odpowiadam.

Następnego dnia<sup>x</sup> w odpowiedzi na pozdrowienie - słyszę odpowiedź Niemca: ceñ toply. Wyczuwa różnicę w brzmieniu pozdrowienia  
*x - dzień dobry*

i pyta o przyczynę. Tłumaczy, że pozdrawiają go Polacy i Ukraińcy. Eggerer jest wyraźnie zadowolony. Następnego dnia skraca odpowiedź na pozdrowienia i mówi samo: topla, topla. Dzień jest dla Niemca nie do ~~wyznaczenia~~ przeskokiem. To topla, topla-pozostaje już do końca jego pobytu na budowie.

Po wielu dniach przebywania z Niemcem, staje się dla niego pewnym autorytetem. Pyta mnie o sytuację na froncie-jak daleko jeszcze ze Lwowa do linii frontu itp. Chociaż nosi Hackenkreutz, to ze swoich wodzów zna: Fuhrera, Goebela i Br Leya. Gdy wymieniam nazwisko Ribentropa-nie zna jego funkcji a na moją informację, że jest Aussenminister<sup>x</sup>-robi zdziwioną minę i mówi: du hast viel Kopf-Ordnung<sup>xx</sup>. Nie odczuwam zadowolenia z tej pochwały, bo uważam Niemca za tępego młota.

W czasie dyskusji o sytuacji na froncie informuję go, że odległość linii frontu od Lwowa wynosi około 300km-jest zachwycony, że to tak daleko i zaczyna snuć optymistyczne prognozy, przetaczając argument, że od dwu miesięcy Sowieci nie posunęli się ani o krok do przodu. Tłumaczy mi, że taka sytuacja nie jest pomyslna dla Niemców, ponieważ dotychczasowe sukcesy armii niemieckiej wynikały z jej ruchliwości i niespodziewanych szybkich atakach uniemożliwiających zorganizowanie skutecznej obrony.

Brak bezruchu na froncie jest korzystniejszy dla Sowieców, którzy wykorzystując rezerwy ludzkie mogą zgromadzić większe siły w przeciwieństwie do Niemców, którzy mają ograniczone możliwości pod tym względem.

Eggerera ogarnia depresja w wyniku czego oświadcza: Deutschland hat Krieg verspielt.<sup>xxx</sup>

Następnego dnia w Barszczowicach zatrzymuje się pociąg z podążającą na front formacją SS.

Eggerer jest już przy transporcie i rozmawia z ożywieniem z cesmanami.

Wraca po dwu godzinach rozpromieniony i gorączkowo tłumaczy mi, jaka wspaniała jest sytuacja na froncie. Fuhrer szykuje sowietom wielką niespodziankę w postaci potężnej ofensywy, która powali ostatecznie Sowiety. To wszystko się zdarza-nówi, bo przecież te transporty wojskowe, to widoczny znak szykującej się niespodzianki. Taka lustawka nastrojów nurtuje ostatecznie Eggerera.

Zaskakuje mnie jego życzliwy stosunek do polskiej grupy pracującej na budowie. Codziennie zabiera polski zespół do pracy na swojej Baustelle. Chwali chłopców za pomysłowość i spryt w przeciwieństwie do Ukraińców, których na budowie widzi niechętnie.

x - minister spraw zagranicznych  
xx - jesteś mądry - ordynans  
xxx - Niemcy przegrały wojnę

Jest zachwycony Stefkiem Gamotą, którego traktuje, jako faktycznego, bezkonkurencyjnego Vorarbeitersa-nazywając go der schwarze Pole<sup>x</sup>. Rzeczywiście, Stefan Gamota to przystojny, ruchliwy, jak żywe srebro chłopak. Czarnowłosy, opalony, zgrabny w ruchach komenduje głośno i energicznie a chłopaki słuchają go i śwawo kładą na platformy wózków-przęsła szyn i podkłady pod torę wykonywanej kolejki. Śwawo popychają wózki a następnie zgrabnie wskakują na ułożone przęsła, lub podkłady a wózki toczą się samoistnie po stoku wzniesienia w dół. Eggerer z uśmiechem aprobaty, obserwuje poczynania chłopców i mówi: prima Kerle.<sup>xx</sup>

Wiem, że chłopcy robią ten cyrk-pod Eggerera. Wiedzą, że jest on nastawiony do nich przychylnie i chcą podtrzymać tę łyczliwą opinię.

Rozmawiam z chłopakami na ten temat a oni potwierdzają, że Eggerer wydziera się niemikosiernie, ale kija nie nosi i nie bije.

Jest on najważniejszym majstrem na budowie i pierwsze kroki Bauführerów, Bauleiterów, Oberintendantów, kierowane są do niego.

Wyższy nadzór budowlany ocenia go, jako majstra o najwyższym autorytecie spośród wszystkich majstrów znajdujących się na budowie. Powoli odkrywam skąd bierze się taka hierarchia ocen.

Konstatuję, że wśród majstrów, panuje rywalizacja. W dążeniu do zdobycia uznania u władz kontrolnych, prześcigają się w podkreślaniu dobrej organizacji robót, ich dobremu postępowi i trafności podejmowanych decyzji. Żaden z nich nie pomija okazji do skrzytykowania swego kolegi-konkurenta. W mojej obecności dostarczają nadzorującym wiadomości szkalujących kolegów i obniżających ich kompetencje. W sumie jest to, niskie donosicielstwo.

Odczuwam niechęć do tych ludzi, a równocześnie satysfakcję z poziomu moralnego- Übermenschów.<sup>xxx</sup>

W tej konfrontacji, najwyżej oceniam Eggerera, bo ten dostarcza najmniej informacji swoim władzom zwierzchnim.

Być może, wpływa to na ich ocenę personelu, bezpośredniego nadzoru, traktując ~~jak~~ donosy Eggerera, jako bardziej wiarygodne, od innych.

..... W Afryce Północnej a konkretnie na froncie tunezyjskim, wojska sprzymierzone rozpoczęły operację mającą na celu likwidację armii niemiecko-włoskiej w Tunisie.

W początkowych dniach drugiej dekady maja, wojska niemiecko-włoskie kapitulują. Do niewoli dostaje się dwadzieścia pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy niemieckich i włoskich.

Likwidacja tego silnego zerupowania, odbyła się przy zdecydowanej przewadze sprzymierzonych na lądzie, morzu i w powietrzu.

x- czarny Polak,  
xx- pierwszorzędne łobuzy,  
xxx- naaludzi

Od pewnego czasu, jeżdżę do Lwowa prawie codziennie. Jeżdżę prze-  
ważnie do biura, mającego swą siedzibę przy ul. Kraszewskiego - obec-  
nie nosząca nazwę Parkstrasse, z tej prawdopodobnie przyczyny, że  
przebiega ona południowym skrajem parku zwanego popularnie ceto-  
dem jezuitkim. Jazda rowerem nie wygodna, gdyż przebiega dużymi  
odcinkami przez ulice mające jezdnie o nawierzchni z kostki  
brukowniczej. Po kilku przejazdach, rezygnuję z jazdy rowerem.  
Rower zostawiam w przechowalni gospody przy ul. Żółkiewskiej  
a sam idę tramwajem. Od pewnego czasu posiadam Bescheinigung,<sup>X</sup>  
wypisane przez Krasuckiego, uprawniające mnie do czynienia usku-  
pów w sklepach nur für Deutsche, dla personelu niemieckiego pra-  
cującego na Baustelle. Praktycznie robię zakupy dla Eggerera.  
Dorabiam korzystając z tego Blaha. Dostają od Eggerera kartki żywno-  
ściowe i kupuję to, co mi poleci. Przydziały na te kartki nie są  
imponujące, ale znacznie lepsze od Polaków. Niemiec na miesięczny  
przydział papierosów w ilości 200 szt., 2 kg mięsa i proporcjonalnie  
do tego pewne ilości chleba, kaszy, maki i jeszcze dodatkowe kupony  
na nie określony dodatek, jak np. wódka. Ponieważ Eggerer je posiłki  
w stołówce Baudienstu, jego sytuacja pod względem wyżywienia jest  
dobra. Papierosy, na jego życzenie kupuję w pełnej ilości przydzia-  
łu, czyli 200 szt. Na przydział mięsny kupuję prawie wyłącznie kiełb-  
basę w ilości 200g każdorazowo, dopóki steroszy odcinków w kartce.  
Pewnego dnia wchodzę do sklepu a w sklepie kolejka. W kolejce  
wielu Polaków. Prawdopodobnie wdypują od Niemców kartki.  
Obsługa w sklepie składa się również z Polaków.  
Wchodzi jakiś cywil w tyrolskim kapeluszu. Ustawia się w kolejce  
i zaczyna namrotać po niemiecku. Odrzuca głowę i widzę w kłęb-  
ie odznakę NSDAP. Niemiec słyszy rozmowy prowadzone po polsku i wpa-  
da w furję. Krzyczy: das ist ein Geschäft, nur für Deutsche und Ver-  
bündete - alle andere raus.<sup>XX</sup> Członek kolejkowiczy z ociąganiem wycho-  
dzi. Niemiec zaczyna sprawdzać dokumenty. Dochodzi do mnie - pokazu-  
ję mój Bescheinigung, a ten ze słowami - raus, pokazuje na drzwi.  
Poirytowany idę w kierunku drzwi i mruczę: ty nadęty konspikowanie  
jeszcze nie wyparowało ci z głowy to twoje "über alles"?  
Staję na chodniku - po chwili Parteigenosse<sup>XXX</sup> wychodzi a ja wchodzę  
spowrotem i kupuję 300g Kochkäse, bo takie żywienie miał Eggerer.  
Jadę tramwajem koło getta przy ul. Zamarynowskiej. Dostęp do  
getta jest całkowicie zablokowany. Od strony ul. Zamarynowskiej  
widok na getto przegradza wysoki mur. Na chodniku stoi wózek  
z platformą. Czterech wnądźnielnych Żydów, pod eskortą policjanta  
żydowskiego z pałką u boku, zbiera zwłoki latające przy murze

X - zaświadczenie  
XX - to jest sklep tylko dla Niemców i sprzymierzonych, wszyscy inni - przez.  
XXX - towarzyszy partyni.



i układają je na platformie wózka. Tramwaj skręca w ul. Balonowa, w kierunku ul. Żółkiewskiej, ale widok oglądany przez chwilę tkwi w moim umyśle. Wojna dobiega do czwartej rocznicy jej wybuchu. Widziałem już wiele przypadków okrucieństwa. Obruchy humanitarysty są przytępione, ale ten widok robi na mnie każdorazowo wstrząsające wrażenia. Wiem, że w getcie panują głód i choroby. Oddzielony od świata teren getta, jest pełen wygłodzonych, wędrownych ludzi. W desperacji za wszelką cenę próbują się ratować. Nocą przekradają przez mury w nadziei zdobycia, jakiegokolwiek pożywienia na przetrwanie. Za murami czekają oprawcy a raczej bestie w ludzkim ciele polujące na te bezbronne istoty ludzkie. Strzelają do nich, zaspokajając swe zbrodnicze instynkty. Oddawane regularnie czytelnikowi Biuletynu Informacyjnego. Prawie w każdym numerze są opisy dotyczące do udzielania pomocy Żydom w jakikolwiek sposób: między innymi przez umożliwienie im wyjazdu na roboty do Niemiec, włącznie kierowanie chętnych do losnych oddziałów partyzanckich.

Opisywane są zbrodnicze przypadki, wydawania w ręce gestapo ukrywających się Żydów. Pod pretekstem ukrywania ich, różno hienny w ludzkim ciele, wkludzają resztki pieniędzy a kiedy tych, nieczęsto, w końcu zabraknie, wydają ich w ręce oprawców.

Z niezadowolonym czytelnikiem komunikaty o wykonanych operacjach śmierci na tych bestiach w ludzkim ciele. Jednak zdaje sobie sprawę, że jest to kropla w morzu potrzeb.

Biuletyn Informacyjny zawiera wiadomości o zbrodniach dokonywanych w obozach koncentracyjnych i innych miejscach odosobnienia, jak również zbrodniach dokonywanych na narodzie żydowski.

Zamieszczane są informacje o wyróżniających się oprawcach, którzy są opisywani na specjalnych listach, które są przysyłane kwaterami Armii Krajowej do wiadomości sprzymierzonych.

Z ciężkim sercem powracam do domu a po godz. 15-tej jadę na kwaterę Eggerera. Opowiem co i jak zażyczyłem w biurze.

Niemiec pyta co słychać we Lwowie, więc mówię mu o tym, co widziałem przy ul. Zamartynowskiej.

Eggerer jest przejęty moją relacją. Mówi nawet, verfluchter gestapo, ale po paru minutach stwierdza: aber das sind doch nur die Juden! Aber das sind doch die Leute! - replikuję.

Ot taka to mentalność niemiecka - wysię zresygnowany.

W trzeciej dekadzie maja w niedzielę, spotykam się z kolegami pod kościołem. Jest z nami Józek Drozd. Uczęszcza on do szkoły technicznej we Lwowie. Rozmawiamy na różne aktualne tematy.

x - ale to są tylko Żydzi

vx - ale to są przecież ludzie.

W pewnej chwili, Józek odwołuje mnie na bok i mówi: Chcesz wstąpić do AK? Wiesz przecież, że od dawna o tym marzę—odpowiadam.

Dobrze za 2 dni skontaktuję się z tobą.

Dziękuję ci, że o mnie nie zapomnieli—odpowiadam.

Po dwu dniach, Józek powiada mi, że jutro tj. w środę, masz czekać na pierwszym przystanku przy ul. Wołyńskiej, tuż przy ul. Żółkiewskiej. Będzie tam również Broniek Szczepaniak i Staszek Lewicki. Będę też i ja—kończy Józek.

Aby tylko Eggerer nie nawalił i nie chciał pozostawić mnie w tym toroku na Baustelle—myślę. Nigdy jeszcze tego nie robiłem, ale tym razem będę zmuszony prosić Niemca o zwolnienie. Stopień zażyłości, pozwala sądzić o pomyślnym rezultacie.

Nano o godz. 6-tej, jestem na zbiórce przy domu ludowym.

Z polecenia Eggerera idę do biura. Lepiej nie mogło się skończyć. Do godz. 9-tej, powinienem wszystko załatwić. Trochę popatrzę na krakidła i tramwajem zdążę w sam raz.

Wszelkie inne sprawy odchodzą na boczny tor. Nie ma ważniejszego wydarzenia od tego, które ma się rozegrać w dniu dzisiejszym.

Wszystko układa się po mojej myśli.

Siedzę do tramwaju przy placu Krakowskim i dojeżdżam do przystanku przy ul. Wołyńskiej, gdzie wysiadam. Na przystanku czekają już Staszek Lewicki i Broniek Szczepaniak.

Po chwili pojawia się Józek Drozd i mówi: zaraz przyjdzie tu dziewczyna—gdzie zacznie odchodzić w głąb ul. Wołyńskiej, podążycie za nią w odległości 20-30m.... Już idzie—mówi Józek. To ta w apaszce na głowie.

Dziewczyna podchodzi bliżej i w odległości 20m od nas zwraca, jakby czegoś zapomnieli w domu. Idźcie za nią—mówi Józek i odchodzi od nas. Ruszamy w ślad za dziewczyną.

Przechodzimy około 200m i dziewczyna skręca w jakąś bramę.

To jeszcze nie koniec, to jest brama przejściowa, z której wychodzą między uprawne ogrody. Wydeptana ścieżka prowadzi przez plantację słoneczników. Dziewczyna maniuje wśród drótek i ścieżek. Apaszkę zdjęła z głowy zaraz po wyjściu z bramy.

Po przejściu około 300m, wchodzimy do sadu owocowego i widzimy wietrzną willę. Schodami wchodzimy na piętro a tam idzie naczelniczka, przy otwartych drzwiach, wprost zaprasza nas do środka.

Wchodzimy do pokoju pozostając w korytarzu zaraz za nami drzwi.

W pokoju jest 3-ech młodych ludzi, którzy siedzą przy stołach.

Na stołach rozpięte kartony z rysunkami technicznymi. Obok przybory kreślarskie.

Jeden z młodych podchodzi do nas i zaczyna krótką pogawędkę na

temat sytuacji w kraju okupowanego przez bezwzględnego wroga, który odebrał nam wolność i z którym o tę wolność, nasze pokolenie musi walczyć. Po tej, jakby prolekcji, nasz rówieśnik odkrywa szufladę stołu. W szufladzie widzę krzyżyk z wizerunkiem Chrystusa. Każe nam przyłożyć palce do krzyżyka ~~rzecz~~ ~~wzruszyć~~ i powtarzać słowa przysięgi. Powtarzam płynnie po kolei słowa. Uczucie szacunku. Wspominam o obecnych w pokoju. Czuję drżenie nóg, rozprzestrzeniające się po wszystkich zakamarkach mego ciała. Ostatnie słowa, stanowiące akord przysięgi: nagroda będzie wolna Polska. Zbrodnia karana będzie śmiercią, dopełniły stanu mego wnętrza. Jestem dorosłym człowiekiem, który swoje życie rzucił na szalę, w imię sprzeciwu zła i obrodni. Boję się, czy poddam w chwili potrzeby, podjętym zobowiązaniu.

Jeszcze tak nie dawno chciałem być dorosłym. Status człowieka dojrzałego miał mi zapewnić niezależność w podejmowaniu decyzji, które to przywileje, wydawały mi się proste i atrakcyjne.

Dzisiaj mam pierwszą próbę mojej dojrzałości i pierwszy przebłysk prawdy życiowej. Przywileje stanu dojrzałego, są ~~związane~~ ~~niezwykle~~ ~~rozległe~~ powiązane z odpowiedzialnością za podjęte decyzje. Słyszam słowa nie znajomego rówieśnika: od tej pory jesteście żołnierzami Armii Krajowej, co oznacza bezwzględne podporządkowanie rozkazom jej dowódców. Wybierzcie sobie pseudonimy, pod którymi będziecie zarejestrowani w szeregach tejże Armii. W stosunkach służbowych, będziecie się posługiwali, wyłącznie obranymi przez siebie pseudonimami. Należy bezwzględnie tego żołnierskiego obowiązku przestrzegać. Dotrzymywanie tajemnicy dotyczących spraw służbowych, będzie miarodajnym wskaźnikiem wartości i warunkiem waszego osobistego bezpieczeństwa, jak również bezpieczeństwa waszych kolegów.

Jeszcze kilka zdawkowych słów i jeden z nie znajomych rówieśników schodzi z nami po schodach i pokazuje ścieżkę, która nas wyprowadzi na ulicę miasta.

Jeszcze czuję drżenie nóg. Świerzan się ze swojego stanu Szczepanikowi a ten w sposób bezpośredni mówi: u mnie to samo.

Tylko Staszek Lewicki wydaje mi się zupełnie obojętny. Zapytany o samopoczucie - odpowiada: mam mokre plecy od potu.

Dochodzimy do jakiejś nieznannej uliczki i według mojej orientacji, kierujemy się w stronę ulicy Żółkiewskiej.

Tam drogi nasze się rozchodzą i oddzielnie wracamy do Prus.

Od dwa tygodni Eggerer zmienia miejsce robot.

Obecnie ze zbiórki pod domem ludowym, chłopcy nie maszerują do Bareszowic, lecz na odcinaku projektowanej linii kolejowej pomiędzy Prusami a Srokami lwowskimi. Tu rozpoczynają się roboty ziemne, polegające na usunięciu warstwy ziemi roślinnej z trasy linii. Roboty wykonywane są ręcznie. Część chłopców, kopie szpadlami wierzchnią warstwę gruntu, wrzucając odpojoną ziemię do taczek. Druga grupa obsługuje taczki, wywołując ziemię poza obręb trasy. Szerokość pasa robot wynosi około 18m. Ziemia z nadkładu jest zdjęta na długości kilkuset metrów a nasypy uformowane z dziewięć sionego gruntu, po obu stronach odkrytki, wywołują z daleka efekt wykonanej przez chłopców pracy.

Obserwuję pracującą grupę i myślę. Tyle niepuszonych przedziałek szkopów o nie doścignionej technice niemieckiej a tu wykonywanie robót przy pomocy rąk ludzkich, najprostszą - można by rzec prymitywną technologią. Wszak dla nich mogli by być Polacy.

Wykonywany i zakończony na kilka lat przed wojną system odwadniająco-odwadniającej pruskiej żak był wykonywany przy pomocy ludzkich rąk, ale transport ziemi odbywał się przy pomocy - wyłącznie wózków z wyrotnymi skrajnikami popychanymi po stalowych szynach.

Ten efektowny w wyglądzie i efektywny w skutkach kompleks hydrotechniczny, został wykonany w w przeciągu trzech lat.

Od chwili wykonania w roku 1937 do dnia dzisiejszego jest w praktycznym użytkowaniu. Ten skomplikowany system budowli wodnych, stał się podstawą bazy paszowej. Ma być mlecznego prusaków.

Ważna żaka z lekką trawą, zmieniła się w wysoko wartościowy użytk rolny, zwłaszcza w wysoka gatunkowe trawy szlachetne.

Je inwestycja ewolucjonizowała budowlę bydła mlecznego w Prusach i sąsiednich wioskach. Stała się ona znaczącym elementem, polepszenia bytu ich mieszkańców, jeszcze przed wojną.

Należy tu podkreślić, że znaczna część robót ziemnych, została wykonana przez mieszkańców zainteresowanych wsi.

Pewnego razu znalazłem się na żakach w towarzystwie Eggerera.

Niemiec zainteresował się obiektami hydrotechnicznymi, widocznymi w postaci grobli przy rowach, żelbetowych zastawek ze stalowymi zaworami i innymi elementami systemu.

Pobieżne oglądnięcie jakim breńowego niemieckiego fachowca spowodowały jego zaniepokojenie i pytanie: wer hatt das gemacht?<sup>x</sup>

Polnische Wasser Wirtschaftsamt - odpowiedziałem. Zaskoczony Eggerer ze zdumieniem na chwilę i z naciskiem powiedział: ungläublich.<sup>xxx</sup>

Wygląd budowli i ich stan był jednak najlepszym świadectwem nie

\* - kto to wykonał?  
xx - Polski Urząd Gospodarki Wodnej  
xxx - nie do wiary.

całemu sztyt powstania tego efektownego systemu a tabliczki znamionowe umieszczone na elementach stalowych, wykonanych w Zakładach Konstrukcji Stalowych Ferrus we Lwowie, musiały rozwiązać wszelkie wątpliwości. Nachmurzony Eggerer, więcej pytań nie zadawał. Podrażniony rozważałem w myślach: nadzór sprawowali młodzi technicy i majstrowie, zawsze pogodni i znacznie mądrzejsi od siebie ty napuszczony bufonie.

Cała różnica polegała na tym, że polskiej gospodarki nie stałoby na poważekne finansowanie tego typu obiektów. Jednak co było wykonywane przez polskiego inżyniera, technika, czy majstra, odznaczało się dobrą jakością. Niczego nie marnowano.

Ta chwila dygresji, sprawiła mi przyjemność. Wyobraziłem sobie naszą pracę dla Polski pod polskim nadzorem.

Serce zabiło mi szybciej, ale na razie musiałem się podporządkować nadzorowi niemieckiemu razem z jego atrybutami w postaci niouzasadnionej buty jego majstrów.

Eggerer nawiązał kontakt z kierownictwem Liegenschaftu w Pilukowicach. Często występował do tego Liegenschaftu a ja dalszą drogę odbywałem samotnie rowerem, lub pieszo z kolegami.

Od paru dni zostaliśmy skierowani spowrotem na Baustelle w Barszczowicach. Roboty ziemne pod Srokami Lwowskimi zostały wstrzymane. Od pewnego czasu Eggerer przyznawał sobie o rodzinie i teraz corocz listów, zaczyna wysyłać paczki. Są to jaja, które zdobywa, jak przypuszczam w Liegenschaftie w Pilukowicach.

Corocz jajek, wysyła również masło. Co tygodniu wiozę na bagażniku paczkę i nadaję ją na poczcie głównej. Corocz listów, które piszę pod dyktando Eggerera, dochodzi dodatkowo pisanie adresów na paczce. Dziś trwa przygotowanie paczek paczki.

Piszę list, który Eggerer wkłada do paczki. Jutro mam nadać paczkę do Stuttgartu. A jutro jest święto Bożego Ciała. Prawie od przebywania na kwaterze Eggerera. Od pewnego czasu Eggerer posiada radio-detektor, ofiarowany mu do użytku przez Piotra Worozańskiego, Baudienstmanna mieszkającego w sąsiedztwie kwatery Niemca. Słucha uważnie komunikatów Oberkomando i jestem mu potrzebny do komentowania komunikatów z frontu. Interesują go też komunikaty o bombardowaniu niemieckich miast. Naloty są coraz intensywniejsze. Brujnowany jest Hamburg i szereg miast w Zagłębiu Ruhry. Otrzymaliśmy już swoją porcję Monachium i Berlin a Stuttgart dziwnym trafem nie zaznał jeszcze nocnego nalotu, które Niemcy określają Terrorangriff<sup>x</sup>. Próbuję go pocieszać przyrównaniem, że Stuttgart nie posiada znaczących obiektów przemysłu zbro-

*x - nalot terrorystyczny*

jeniowego. Ten gwałtownie zaprzecza i wymienia Daimler-Benz Werke, produkujące masowo czołgi, oraz jeszcze kilka innych zakładów. Nie komentuję tej informacji Niemca, ale w myślach stwierdzam, że na Stuttgart też niebawem przyjdzie czas.

Na następny dzień w święto Bożego Ciała, jadę na zbiórkę pod dom ludowy. Tam niespodzianka. Ustawiają się Ukraińcy a Polaków nie ma, za wyjątkiem kilku żonatyh, których wprawdzie służba w Baudienstie nie obowiązuje, ale w obawie przed wywózką do na roboty do Niemiec, zgłosili się dobrowolnie do Baudienstu.

Nerwowo chodzi Vorwerker Kotarski. Pytam stojących obok, Stefana Drozda i Piotra Worożańskiego, czy nie znają przyczyny nieobecności pozostałych. Stefan odpowiada: chłopcy umówili się, że na Boże Ciało nie przyjdą do roboty.

Z mieszanymi uczuciami pojechałem do Lwowa z paczką Eggerera przeznaczoną do Stuttgartu.

W biurze Juliusa Bergera oddałem raporty, a na poczcie nadałem paczkę.

Następnego dnia jestem na zbiórce przy domu ludowym.

Jest też polski Baudienst w komplecie.

Przed wejściem stoi Blaha, ze złowieszczym wyrazem twarzy.

Pochodzi z Czech i rozumie dobrze tak po polsku, jak i po ukraińsku, ale nigdy nie daje poznać po sobie o tej umiejętności.

Dziś przyjął pozę typowego esesmana. Stoi na rozkraczonych nogach - palce obu rąk wetknął za pas bluzy munduru i z nadętą powagą czeka. Z kancelarii wychodzi czterech, ukraińskich policjantów - podchodzą do stojących w szeregu Polaków. Wychodzi Vorwerker Kotarski i podaje komendę w prawo zwrot - naprzód marsz. Dwu policjantów na przodzie oddziału a dwu z tyłu.

Chłopcy maszerują w kierunku Lwowa, ale po przejściu 300m, oddział skręca na drogę w kierunku Kamienopola.

Nadchodzi Eggerer - więc pytam o co tu chodzi. Niemiec z poważnym, zafrasowanym wyrazem twarzy mówi: alle sind zum Baudienstlager in Lemberg abgeschickt.

Następnego dnia Eggerer informuje, że chłopcy: haben drei Wochen Straflager bekommen.<sup>xx</sup>

Obóz mieści się na Błoniach Janowskich we Lwowie.

Po wstąpieniu w szeregi Armii Krajowej otrzymałem polecenie przewożenia i rozprowadzania biuletynu informacyjnego.

Jedną z przyczyn decydujących o tym poleceniu było to, że ~~xx~~ jestem umundurowany, jeżdżę rowerem i posiadam mocny Bescheinigung.

Przyjmuję ten rozkaz spokojnie a nawet z zadowoleniem.

*x - wszyscy zostali odesłani do baudiensowskiego obozu pracy we Lwowie.*  
*est to pierwszy xx - otrzymali trzy tygodnie obozu karnego.*

To już jest jakiś praktyczny wkład w staż szeregowego żołnierza Armii Krajowej.

W którąś czerwcową niedzielę dochodzi na Wołyniu do czynnego wystąpienia nacjonalistycznych bojówek ukraińskich.

To czynne wystąpienie ujawnia się w bestialskim mordowaniu ludności polskiej w miasteczkach i wioskach. Biuletyn Informacyjny donosi, że w tą krwawą czerwcową niedzielę zamordowano ponad sto tysięcy Polaków. Mordy dokonywane są przy czynnym udziale ukraińskiej policji i biernej postawie Niemców. Mienie pomordowanych, jest grabione przez napastników-przy czynnym udziale ukraińskich kobiet.

W Biuletynie są apele do ludności polskiej, zalecające opuszczanie wiosek o ludności mieszanej z przewagą ludności ukraińskiej i przechodzenie do polskich wiosek tworząc silne skupiska polskie.

W skupiskach tych należy organizować oddziały samoobrony. Kierowanie tą akcją mają przejąć miejscowe komórki AK.

W takiej atmosferze upływa dzień za dniem.

Front na wschodzie trwa w bezczynności. Jest już lipiec i wielokrotne pogłoski o przygotowywanej ofensywie niemieckiej nie sprawdzają się.

Dnia 5-tego lipca 1943r. rankiem, po zbiórce pod domem ludowym, jestem na kwaterze u Eggerera. Z detektora radiowego rozlega się głos niemieckiego spikera: das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt. Aus dem Fuhrer Hauptquartier.<sup>x</sup>

Komunikat podaje o rozpoczęciu gigantycznej operacji wojsk niemieckich mającej rozstrzygnąć losy wojny na wschodzie. Dywizje pancerne i zmotoryzowane rozpoczęły atak na tak zwanym Żuku kurskim z dwu kierunków. Na północy z rejonu miasta Orzeł a na południu z odcinka Biełgorod-Charków. Trwają zacięte walki na obu kierunkach.

Eggerer rozpromieniony, tłumaczy mi, jaki będzie wynik. Wojska niemieckie w natarciu są nie do pokonania. Teraz pójdą na Moskwę i będzie po wojnie-ciągnie uradowany.

Tak było dotychczas-myszę, ale czy tak będzie teraz? No cóż, najbliższe dni pokażą, czy Niemcy są jeszcze zdolni do Blitzkriegu.

Po pierwszym dniu natarcia, linia frontu została przełamana na południu, gdzie wojska niemieckie posunęły się naprzód o kilkanaście km.

Na północy o kilka kilometrów.

Rzecz przez kilka dni trwają mordercze walki z nasileniem dotychczas nie spotykanym. Na południu, Niemcy posunęli się do przodu o ponad 30km. Na północy trwają walki w miejscu.

To już koniec Blitzkriegu-myszę. Jeszcze w ubiegłym roku, już po pierwszym dniu natarcia wojska niemieckie parły naprzód nie napo-  
*x - najwyższe dowództwo armii. Z głównej kwatery wojska.*

tykając prawie na opór. teraz po kilku dniach morderczych walk terytorialna zdobycz nader mizerna, zażarte walki trwają a do przełamania frontu-daleko.

Z każdym dniem komunikaty z frontu coraz bardziej oszczędne.

Dnia 13 lipca Hitler wydaje rozkaz o wstrzymaniu natarcia.

Przyczyną było prawdopodobnie wysadzenie przez zachodnich aliantów desantu na Sycylię.

Zrezygnowany Eggerer opuścił nos na kwintę. Ma jakieś dolegliwości żołądkowe, z której to przyczyny ciągle narzeka.

Stosunki z Baudienstinspektorem uległy ochłodzeniu. Jednym z powodów było prawdopodobnie osadzenie pruskich chłopców w obozie karnym.

Interesuje się losem chłopaków. Liczy dni do ich powrotu, bo polubił tych: lustige Kerle.<sup>x</sup>

Ostatnio Eggerer jest w dobrej komitywie z Bauern. Ze śmiechem opowiada, że Bauer ma w kantorku dziewczynę, która odwiedza go sporadycznie. Bauer jest o nią bardzo zazdrosny i w dniach wizyty zamyka dziewczynę w kantorku na klucz.

W najbliższą sobotę Bauer wybiera się w gościnę do tej dziewczyny, która mieszka gdzieś daleko na wsi. Przy okazji chce kupić trochę jajek i masła. Mnie jajka i masło, bardzo są potrzebne i chcę, abyś ty pojechał z Bauern. Zgodziłem się na ten wyjazd, chociaż szkoda mi niedzieli. Jest to przecież jedyny dzień, w którym nie stykam się z Niemcami a jedyny to dzień, w którym mogę rozmawiać nie skrępowany z kolegami. Zawsze omawiamy wydarzenia minionego tygodnia, snując prognozy na najbliższą przyszłość.

Decyzja została obustronnie podjęta i w sobotę o godzinie 14-tej, jadę rowerem do Barszczowic. Tam na stacji czeka już Bauer, równie z rowerem. Kupujemy bilety dla siebie i na przewóz rowerów. Do Krasnego około 30km jazdą pociągiem a z Krasnego czeka nas jazda rowerami, której ~~nie~~ <sup>jak i</sup> kierunek ~~nie~~ <sup>sa</sup> odległość ~~nie~~ <sup>nie</sup> dla mnie zagadką.

Nadjeżdża pociąg-dajemy rowery do wagonu bagażowego a sami podążamy do wagonu osobowego. Bauer wsiada do przedziału-nur für Deutsche<sup>xx</sup> a ja podążam do wagonu normalnego. Bauer ryczy: Ordonans komm hier!<sup>xxx</sup> Zły zawracam i ruszam za Bauern. Wagon prawie zupełnie pusty. Oj brakuje już tych Deutsche-myślę sobie. Nie cierpię rozmowy składającej się ze zdawkowych słów. Mrukowaty Bauer nie wykazuje chęci do konwersacji, więc z zadowoleniem oddaję się obserwacji przesuwającego się za oknem krajobrazu i kolejnych stacji, na których zatrzymuje się pociąg. A więc kolejne stacje: Połonice, Zadwórze- z mogiłą młodzieży lwowskiej walczącej w ochotniczym

x - wesote tobuzy,  
xx - tylko dla niemców  
xxx - ordynans, chodź tu



batalionie studenckim z Kozakami Budionnego w 1920r, następne stacje to: Kutkorz, Pełtew i ostatnia stacja docelowa Krasne.

Jest to stacja węzłowa, na której tory rozchodzą się w lewo na Równe a w prawo na Tarnopol.

Wysiadamy z wagonu, odbieramy z bagażówki rowery i po opuszczeniu terenu stacji, wsiadamy na rowery i jedziemy. Bauer prowadzi pewnie bez wahania. Dochodzę do wniosku, że drogę do celu odbywa nie pierwszy raz. Pytam sapiącego Niemca, jak daleko pojedziemy? Fast drei Stunden Fahrt<sup>x</sup> słyszę odpowiedź. Takie określenie świadczy o tym, że Niemiec nie bardzo orientuje się w odległości. Wyliczam w myślach, że nawet przy mizernych możliwościach Bauera czeka nas trasa długości około 50km. Jedziemy na północ -kierunek w przybliżeniu na Radziechów a to przecież już pogranicze Wołynia. Na Wołyniu trwa ukraińska eksterminacja Polaków. Ogarnia mnie niepokój. Chyba wróć -rozważam w myślach. Dla kaprysu szkopa mam jechać prawie 100km po jajka w niebezpieczny teren? Przecież Niemcy mają nie ograniczone możliwości, w tym względzie na miejscu. Wpadam w złość i ciągle jeszcze waham się....Nagle ni stąd ni z owąd nadchodzi zimne postanowienie. Nie mogę okazać strachu przed tym grubym bawołem jadącym przede mną. Jestem przecież żołnierzem AK. Z determinacją postanawiam jechać, bez względu na konsekwencje. Po ukraińsku mówić nie umiem i nie chcę, chociaż język ten rozumiem. Już opanowany, jadę z postanowieniem, że strachu w moich oczach nikt nie ujrzy.

Dojeżdżamy do Buska. Ni to wieś, ni miasteczko, chociaż zdaje się prawa miejskie posiada. Miasteczko położone nad Bugiem. Przejeżdżamy przez most. Rzeka Bug płynie tu jeszcze dość wąską wstęgą - nic dziwnego, jest to jeszcze jego górny bieg. Widzę wieżę kościoła i zaraz przekraczamy szosę biegnącą w kierunku Brodów i Równego. Wjeżdżamy na drogę polną, pomiędzy żany zboż. Krajobraz płaski, dość monotony. Wydeptana na poboczu ścieżka, wygodna do jazdy rowerem. Po ponad godzinnej jeździe, zbliżamy się do jakiejś dużej wsi. Z daleka sygnalizuje jej obecność wysoka, strzelista wieża kościoła. Świadczy to o dużym skupisku Polaków. Podjeżdżamy pod pierwsze zabudowania i widzę tablicę miejscowości z napisem-Toporów-. Czyżby to ten Sienkiewiczowski Toporów?...Chwila zastanowienia...ależ tak-tędy w roku 1649 król Jan Kazimierz ciągnął na czele polskiego rycerstwa, na odsiecz Zbaraża. Tu na plebanii, zatrzymał się dla odpoczynku wraz z dworem. Oczami szukam plebanii...Jest! i to dosyć okazała-godna gościć polskiego króla. Nie jestem jednak pewny, czy w obecnej postaci mogła ona przetrwać od 1649 roku.

Przez wieś-droga utwardzona. W środku drogowskaz: w prawo z napi-

x- prawie trzy godziny jazdy

sem: Brody- 30km, w lewo: Łopatyn-15km. Wiś duża, ale kończy się i znowu wjeżdżamy pomiędzy żany kołyszących się zbóż. Droga polna pusta od czasu do czasu, mijamy pojedyncze wozy konne. Ludzi na polach nie widać. Nic dziwnego-zboża zasłaniają widok. Pojawiają się zagajniki. Lipcowe słońce doskwiera: upałem i Bauer ściga marynarkę. Z marynarki wyjmuje pistolet i wkłada do kieszonki kamizelki. Pistoolecik, kaliber 6mm-oceniam. Damska zabawka, nadaje się do straszenia piesków-. Po pewnym czasie wjeżdżamy w las. Tu chłodniej i Bauer nieco mocniej naciska na pedały. Czas płynie a na drodze nie napotykamy nikogo. Bauer, jakby zaniepokojony, rozgląda się. Musiał jednak coś słyszeć o wypadkach na Wołyniu. Ciebie ukraińskie bandy nie ruszą-rozmyślam. Uważają siebie za pół Verbündete w stosunku do Niemców. Niemcy nimi pogardzają, ale do wykonywania brudnej roboty-wykorzystują. Zresztą to, co teraz dzieje się na Wołyniu, odbywa się przy ich aprobacie-konkluduję w myślach.

Po ponad dwu i pół godzinnej jeździe wyjeżdżamy z lasu. W odległości paru kilometrów ukazują się kopuły cerkwi. Bauer informuje, że jesteśmy u kresu naszej podróży. Wiś, której nazwa wyparowała z pamięci, położona jest nad Styrem, w początkowym jego biegu. Drogowskaz z napisem-Beresteczko-8km, czytam osłupiały. Już tylko po to, aby zobaczyć ten napis-opłacała się ta moja eskapada. Jestem przecież w okolicy, gdzie w 1651 roku, połączone siły kozacko-tatarskie poniosły straszliwą klęskę z rąk polskiego rycerstwa, po której Chmielnicki już ziem polskich nie najeżdżał.

Jest już wieczór. Wchodzimy z Bauerem do ukraińskiej izby. Rolę gospodyni pełni przyjaciółka Niemca- młoda, dosyć zgrabna Ukrainka o brzydkiej wulgarniej twarzy. Ksenia-tak ją nazywa Bauer-mówi doskonale po polsku. Z ożywieniem rozmawia ze mną, rzucając zdawkowe, pojedyncze słowa niemieckie, na próby Bauera w kierunku nawiązania rozmowy. Szczęściem robi się późno, więc udajemy się z nachmurzonym Bauerem na nocleg w stodołę na sianie. Po drabinie wchodzimy na siano. Żadnej obawy nie czuję, ale Bauer wyciąga pistolet i kładzie na kocu, obok siebie. Ten gest budzi we mnie uczucie przezorności. Wyciągam drabinę na siano i na wszelki wypadek rozglądam się za ewentualnym schowkiem. Najlepszym miejscem wydaje mi się naroże stodoły, gdzie metodą kreta, mógłbym liczyć na przemieszczenie się pomiędzy drewnianą dyliną stodoły a sianem. Kładę się na sianie i szybko usypiam snem dziewiętnastolatka. Budzę się w chwili, gdy Bauer stękając, zaczyna się ubierać. Dla mnie pierwszą rzeczą, to opuszczenie drabiny na klepisko, co

niezwłocznie czynię. Szybko ubieram się w Baudienstowski mundur, tylko furażerkę przezornie chowam do kieszeni. Na furażerce mam emblemat w postaci dwu skrzyżowanych kilofów a ukraiński emblemat, to tryzub. Wchodzimy do chaty a tam Ksenia szykuje śniadanie składające się z jajecznicy i kubka gorącego mleka. Posiliłem się solidnie i właściwie nie wiem, jak przystąpić do zamierzonego zakupu jajek i masła. Problem usuwa Ksenia mówiąc, że dla Bauera wszystko już przygotowała a ja muszę przejść osobiście po domach w towarzystwie jej małego brata Stiepanka. Rezulutny chłopak, już rezyduje przy mnie i zapewnia, że załatwi wszystko a ja mam się odzywać tylko po niemiecku, bo inaczej nie kupimy nic. Ze śmiechem zadowolonia przystaję na tą propozycję i rozpoczynamy wędrówkę po chałupach. Stiepanek przeprowadza transakcje kupna a ja ograniczam się do guten Tag, danke schon i auf wiedersehen. Czasami dorzucam : ein schönes Mädchen<sup>xx</sup>, jeżeli pieniądze odbiera młoda dziewczyna. Po godzinie jest po zakupach. Z ulgą i zadowoleniem powracam do bazy. Jestem gotowy do wyjazdu, ale Bauuer sunie z karesami do Kseni. Ta z wyraźną rezerwą traktuje Niemca- dogadując mu szpetnie po ukraińsku. Wreszcie proponuje spacer na wolnym powietrzu. Nie jestem tą propozycją zachwycony, a nabarmuszony Bauer mówi, że woli sobie wypocząć na sianie. Ostatecznie pozostaję ja i mały Stiepan. Ksenia akceptuje nasze towarzystwo, więc idziemy nad Styr. Koryto Styru upoważniało by raczej do mianowania go strumieniem a nie rzeką. Widać wyraźnie, że źródła dające początek tej rzece znajdują się w nie dalekiej odległości. Nieopodal koryta Styru, znajduje się spory staw. Obchodzimy staw dokoła. Mam dosyć spaceru, chociaż Ksenia jest rozmowna i z własnej inicjatywy mówi mi o nie dalekim Beresteczku, gdzie przed wiekami rozegrała się batalia polskiego rycerstwa z Kozacko-tatarskimi zastępami. Po godzinnym spacerze powracamy do domu. Stiepan na polecenie Kseni idzie po Bauera. Nadchodzi niemiec i Ksenia z przychylnym nastawieniem, zaczyna konwersację z Bauerem, ukraińsko-niemieckim żargonem. Umawia się z Niemcem na wizytę w kantorku w Barszczowicach. Bauer odzyskuje humor. Ksenia stawia na stół posiłek, który spożywamy szybko. Następuje pożegnanie i wsiadamy na rowery. Droga powrotna przebiega bez zakłóceń i jakby szybciej. Przejedźdżamy przez Toporów. Na drodze grupy mieszkańców ubranych odświętnie, bo to przecież niedziela. Z zaciekawieniem przypatrują się groteskowemu kolarzom. Czuję się już, jakby w domu. Z Krasnego do Barszczowic, to tylko mały fragment. Bauer wysiada i kieruje się w stronę kantorku a ja kręcę pedałami jeszcze 6km do Prus. Pomimo długiej

x - dzień dobry, dziękuję pięknie, do widzenia  
xx - piękna dziewczyna

jazdy rowerem, nie czuję zmęczenia. To zasługa Bauera, który nadawał tempo spacerowe, chociaż sam unęczył się setnie.

W poniedziałek odwożę na kwaterę Eggerera jajka i dwie osetki masła. Niemiec <sup>zaczyna</sup> natychmiast pakowanie do przygotowanej paczki. Paczkę mam nadać następnego dnia. Dziś jadę z Eggererem do Barszczowic. Po drodze Niemiec wstępuje z jakimś interesem do Liegenschaftu w Pikułowicach. Po załatwieniu sprawy wyruszamy do Barszczowic. Po godzinie pojawia się wóz konny z Pikułowic i Eggerer każe załadować węgiel. Wągiel będący własnością firmy Julius Berger, leżący na składowisku. Wóz po załadowaniu odjeżdża. Eggerer prowadzi handel, coraz bardziej ożywiony. Niedawno kazał wydać z magazynu tonę cementu. Dzieje się to w porozumieniu z kierownikiem budowy bazy w Bikułowicach. Mój szef jest sprytny. Handluje wtedy kiedy na budowie nie ma Bauera. Cóż, nie moja to sprawa, ale odczuwam pewnego rodzaju satysfakcję. Niemiec z Hackenkreuzem na ramieniu, okrada Rzeszę Niemiecką.

Od dłuższego czasu krążą w Prusach pogłoski o tajemniczych ścieżkach, wydeptywanych przez nie znanych sprawców w zbożach na polach. Niektórzy z mieszkańców przypuszczają, że sprawcami są Żydzi uciekający z gett małych miast kresowych, gdzie getta nie zostały jeszcze zlikwidowane, jak również uciekający z getta lwowskiego.

Korzystając z upalnego lata i łanów zbóż zapewniających możliwość ukrycia się, nieszczęśliwcy podążają na wschód w kierunku frontu, który jeszcze daleko, ale po zapoczątkowanej przez sowietów przed kilku dniami ofensywy, rokuje nadzieję na ratunek z tej strony.

Po odsiedzeniu dyżuru przy radiu w kwaterze Eggerera, powracam do domu. Wprawdzie praca w Baudienście absorbuje mnie mocno, ale zadowolony jestem, jeżeli mogę być w czymś pomocny rodzicom.

Po południu zajmuję się z reguły krowkami. Jest to w dalszym ciągu moje etatowe zajęcie. Pędzę je w pole, dokarmiam liśmi buraków pastewnych. Krowki skubią trawę na przydrożnych miedzach, posuwając się do toru kolejowego pod Żydatyczami. Tam jest źródło, więc krowy piją wodę. Pasą się jeszcze na łączce przy źródle, a następnie samorzutnie kierują się w stronę domu. Mają wycucie, że zbliża się pora udoju - jak w zegarku. Po dotarciu do stajni przywiązuję je łańcuchami przez szyje, przy żłobach.

Matka i siostra Zosia wchodzi i zaczynają udoj.

Ja powracam do mieszkania i jem kolację.

Słyszę głosy kobiece za oknami, gdzieś koło stodoły. Wyglądam przez okno i widzę grupkę pięciu obcych kobiet a przy nich matkę.

Wychodzę na dwór i idę w stronę stodoły. Matka mówi: poczekajcie

tu, zaraz wam coś przyniosę. Jestem już przy kobietach. Te widząc, mnie ubranego w coś w rodzaju munduru, patrzą na mnie zaniepokojone. Domyślam się, że są to Żydówki, otwieram bramę stodoły i mówię: proszę wejść do stodoły- to zawsze bezpieczniej i można usiąść. Wstrząśnięty, patrzę na te zabiedzone i wystraszone postacie- zagubione wśród ludzkiej podłogi. Swoim zachowaniem, <sup>ra</sup>stam się je uspokoić. Wchodzi matka z bochnem chleba i kubkami-za matką Zosia z garnkiem mleka. Nalewają do <sup>(mleko)</sup>kubków i częstują pajdami chleba. Kobiety gryzą chleb, popijając mlekiem. Uspokojone, mówią, że w polu czekają inni, są wśród nich dzieci. Dobrze-~~mówi~~matka dostaniecie również dla nich. Do stodoły wchodzi sąsiadki. Skąd się dowiedziały- nie wiem. Przynoszą chleb, mleko a nawet ser. Kobiety mają barękę, która okazuje się za małą. Dostają słoiki, kończą jedzenie i pytają, jak daleko do Brodów? Nie wiem kochana-~~mówi~~matka, wiem że do Milatyna jest 30km. Kobiety wiedzą, gdzie jest Milatyn i wyliczają, że do Brodów będzie około 50km. Mogły byście prznocować tu pod dachem- na sianie-~~mówi~~matka. Nie możemy, bo idziemy tylko nocami-boimy się ludzi. Podtrzymane na duchu, dziękują za otrzymane jedzenie, oraz okazane serce, które to odruchy ludzkie są im od dawna nie znane. W ciągu następnych dni dochodzą wieści, że takie wizyty, miały miejsce również w innych rejonach Prus. Podobnego przyjęcia doznali wszędzie.

Rano wstaję i jadę na kwaterę do Eggerera. Ten podekscytowany opowiada, że w nocy miał gościa z wizytą. Obudziło go lekkie pukanie do drzwi. Patrzę i widzę-~~mówi~~ w okienku drzwi, jakiś cień. Cień pojedynczy, więc podchodzę do drzwi i pytam: wer da? Cień szybko znika, więc otwieram drzwi i w świetle księżyca widzę znikającą za węglem postać: mit so lange Bart-<sup>xx</sup>pokazuje. Powróciłem szybko do pokoju, chwyciłem rewolwer i wybiegłem z domu, ale po człowieku ani śladu. Das war bestimmt ein <sup>xxx</sup>Jude-~~stwierdza~~ z przejęciem.

Miał czekać na ciebie i twoje przyjęcie po nieniecku-myszę. Wyjeżdżam z paczką do Lwowa. Paczkę na poczcie nadaję. W biurze oddaję raporty. Zakatwiam zakupy i powracam na kwaterę do Eggerera. Tam codzienna szarżyzna. Rozmowa, którą mam już powyżej uszu, wysłuchanie wiadomości, potem komentowanie ich i wreszcie powrót do domu. Nazajutrz zbiórka pod domem ludowym. Na zbiórce są chłopaki z obozu. Twarze zczerniałe, zmizerowane. Głowy ostrzyżone na zero. Eggerer z uradowaną twarzą krąży przy chłopcach, pytając o przeżycia w obozie karnym. Wszystkich zabiera ze sobą na swoją Baustelle do Barszczowic.

x - kto tam?  
xx - z taką otulą drogą  
xxx - to był na pewno Żyd.

Teraz codziennie ,po przyjeździe ze Lwowa do Barszczowic, spotykam się z chłopakami. Opowiadają mi swoje przeżycia. Przez prawie całe trzy tygodnie, byli zatrudnieni przy koszeniu trawy na łące w obrębie obozu. W obozie są również Żydzi. Na apelu przegrywa orkiestra złożona przeważnie z Żydów. Komendant obozu Willhaus, przygląda się apelom z tarasu willi położonej w środku obozu. Na tarasie kazał ustawić karabin maszynowy. W ciągu dnia wychodzi na taras i obserwuje pracujące grupy więźniów. Jeżeli, któryś z więźniów według jego oceny, pracuje źle, strzela nie bacząc, że giną przy okazji inni więźniowie. Chłopcy byli świadkami jak w przystępie złego humoru Willhaus wystrzelał całą grupę, pracującą przy smołowaniu dachu. W przepływie dobrego humoru, każe orkiestrze grać walce Straussa, oraz arie z popularnych operetek: Straussa, Lehara, Kalmana i innych kompozytorów. Audytorium stanowią Willhaus z rodziną to znaczy z żoną i trójką dzieci, oraz zaufani esesmani. Na terenie obozu nie ma krematorium. Ciała zabitych więźniów na apelach, przy pracy, zmarłych z wycieńczenia i chorób, wywozi się na czartowską skałę, koło Lesienic, gdzie są palone na stosach przez specjalne żydowskie komando. Cyklicznie przyjeżdżają pociągi z likwidowanych gett w miastach i miasteczkach kresowych. Bocznicą kolejową doprowadzona jest do obozu. Tu nieszczęśnicy spędzani są z wagonów i przez łąkę kierowani przez esesmanów podążają w dół wyrobiska piaskowni, poczym rozlegają się serie broni maszynowej. Chłopcy byli świadkami jednego z tych wstrząsających spektakli esesmańskich. Ciała wymordowanych wywożone są na stok czartowskiej skały. Już od roku, dymy z tego prowizorycznego krematorium unoszą się z zalesionego stoku k czartowskiej skały i są z Prus dobrze widoczne. Przy koszeniu traw chłopcy znajdowali skrawki pieniędzy, przeważnie walut zagranicznych. To zdesperowani skazańcy niszczą wszystko co wartościowe, aby nie wpadło w ręce obradców. Z obozu chłopcy wyszli z nadszarpniętą kondycją fizyczną, ale morale nie poniosło uszczerbku. Znacznie lepiej czuję się, mając kontakt z kolegami. Pewnego lipcowego dnia, po załatwieniu spraw we Lwowie, powracam na Baustelle w Barszczowicach. Jest wczesna godzina po południowe Od strony Połonic słychać odgłos nadjeżdżającego pociągu-typowy dla składu towarowego. Chłopcy zajęci wyładunkiem płyt barakowych z platform wagonów. Część stoi na wagonach i podaje płyty pra-

ucującym naboże a ci odnoszą je na plac, układając w stosy. Przy wagonach stoi Eggerer. Coraz bliższy, głośny gang pędzącego pociągu przecina ostra seria pistoletu maszynowego. Zaraz po niej słychać kilka serii po sobie następujących. Chłopcy przystają w oczekiwaniu. Pociąg wpada na stację. Na dachach ~~parią~~ wagonów, postacie w mundurach SS z pistoletami w dłoniach, bujają się na lewą i prawą stronę wagonów i do czegoś strzelają seriami. Pociąg pędzi tuż przy wyładowywanych wagonach. Eggerer wydziera się w niebogłosy a następnie wygraża pięścią strzelającym. Stoje w niemym osłupieniu, podobnie, jak wszyscy pracujący chłopcy. Z małego okienka wagonu towarowego, wysuwa się jakiś toboł i spada na ziemię pomiędzy pędzącym pociągiem a wyładowywanymi wagonami. Postać na dachu pochyła się i strzela serią w kierunku upadku tobołu. Ostatni wagon mija naszą grupę. Któryś z chłopców stojących na platformie krzyczy: na ziemi kobieta. Podbiegamy poza wagony. Podchodzi również Eggerer. Pośród torów, bezwładny zarys ciała kobiecego. Chyba już nie żyje....ale strzęp ludzki porusza się i z wysiłkiem siada. Ukazuje się twarz młodzieńczej, pięknej dziewczyny. Ciemne włosy, śniada cera, czarne na półprzytomne oczy. Dziewczyna rozgląda się po stojących dokoła chłopcach. Eggerer z twarzą wykrzywioną wściekłością, patrzy na ten wstrząsający obraz. Oczy dziewczyny kierują się na Niemca. Zobaczywszy mundur ze swastyką i rozwścieczoną twarz...-jej postać, jakby nagle skurczyła się w niezmiernym przestachu. Zaczyna mówić: Herr Offizier ich bin keine Judin<sup>x</sup>. Meine Grossmutter war Katholisch und ich bin auch Katholisch.<sup>xx</sup> Eggerer milczy-jeszcze nie ochłonął. Dziewczyna pochyła się, jakby w zamiarze objęcia rękami butów Niemca. Z desperacją walczy o życie. Uprzedzam ten odruch i mówię: on pani nie złego nie zrobi, ale też nie pomoże. My jesteśmy Polakami i chcemy pani pomóc. Musi pani jednak, przy naszej pomocy ukryć się pomiędzy tymi płytami. Słyszą to chłopcy i dwu z nich bierze dziewczynę pod ręce. Z wysiłkiem podnoszą dziewczynę na nogi. Ta nie może ustać-co jest? Patrzą i widzą strużkę krwi spływającej z prawej nogi. Unoszą sukienkę do góry i widzą całą nogę, powyżej kolana-we krwi. W zakrwawionym udzie trzy ciemne plamki. To trzy pociski z serii esesmana, przeszły nogę. Osłupiały krąg chłopców stoi, jakby zrezygnowany. Trwa to chwilkę, bo zaraz chłopcy holują bezwładne ciało pomiędzy stosy płyt. Któryś z nich przynosi koszulę-drze w pasy i owija zakrwawioną nogę. Dziewczyna pojękuje z cicha-instynktownie przesuwając się w głąb osłoniętej wnęki, pomiędzy płytami, pojękując.

*x - panie oficerze ja nie jestem Żydówką.*

*xx - moja babcia była katoliczką, ja jestem także katoliczką.*

Gorączkowo dyskutujemy, jak ocalić dziewczynę. Och gdyby to było w Prusach. Eggerer znika z horyzontu. Chłopcy kończą wyładunek płyt. Zdajemy sobie sprawę, że jedyna szansa ratunku tkwi w nas. Dziewczynę trzeba zabrać do Prus. Któryś z chłopców pertraktuje z kolegami z Barszczowic, aby postarali się o wóz z koniem.

Ukryjemy dziewczynę na wozie i przetransportujemy do nas. Tylko taki sposób rokuje szanse powodzenia. Chłopcy z Barszczowic obiecują sprowadzić wóz. Już prawie godzina mija od budzącego grozę incydentu na stacji w Barszczowicach. W napięciu oczekujemy na obiecany wóz. Czas wlecze się, jak smoła.... Na gościńcu ukazuje się wóz z parą koni. To nie może być wóz oczekiwany. Chłopcy nie mogli załatwić tego tak szybko. Rzeczywiście - na wozie widzimy postacie w granatowych mundurach ukraińskiej policji. Wóz skręca na stację i zatrzymuje się przy płytach. Policjanci wyciągają dziewczynę z ukrycia i układają na wozie. Zobojętniała, osłabiona z upływu krwi - nawet nie jęczy. Wóz odjeżdża, odprowadzany złyimi oczami obserwujących chłopców.

Epizod z dziewczyną nie był jedynym dramatycznym przypadkiem z tego złowieszczonego transportu kolejowego. Łomot serii z broni automatycznej świadczył o desperackich próbach ucieczki wielu przewożonych skazańców. Z pędzącego pociągu rozlegały się serie strzałów przy nas a po minięciu naszej grupy brzmiały nadal z niesłabnącą nie milknąc do samego Lwowa. Wielu desperatom udało się przeżyć <sup>ciężki</sup> upadek na skarpy toru kolejowego. Już wieczorem tego samego dnia, część uratowanych dotarła do Prus. Tu otrzymali pomoc. Jakie były ich dalsze losy? Tego nie wie nikt. W każdym razie nie słyszałem o żadnym przypadku pochycenia któregoś z uciekinierów na terenie naszej wsi.

Powszechnie powtarzane wieści ustaliły, że był to transport z likwidowanego getta, miasta powiatowego Brody, położonego w granicach przed wojennego województwa tarnopolskiego.

Zatanawiałem się - po tych tragicznych wydarzeniach, kto zawiadomił ukraińską policję o rannej dziewczynie. Świadczeni wydarzenia ~~by~~ było kilkunastu chłopców - łącznie ze mną, oraz Eggerer.

Od podejrzeń wykluczam zdecydowanie chłopców z polskiego Baudienstu. Wszyscy byli ~~na miejscu~~ od początku do tragicznego zakończenia wydarzenia na miejscu. Odszedł tylko Eggerer.

Po przemyśleniu przebiegu wypadków, doszedłem do wniosku, że mógł to zrobić tylko Eggerer. Autentyczny szok, w jaki wpadł Niemiec ~~w~~ w toku bezpośrednich wydarzeń, okazał się złudnym.



Pewnego dnia ostatniej dekady lipca, po skończonej pracy siedzę, jak zwykle u Eggerera. W radio odbiornika, głos spikera oznajmia o nadawaniu ostatnich wiadomości. Za chwilę po wygłoszeniu zwykłych formuł wstępnych rozlegają się z odbiornika słowa: w dniu dzisiejszym amerykańskie lotnictwo dokonało terrorystycznego nalotu na miasto Stuttgart. Dalszy ciąg komunikatu zagłusza krzyk Eggerera. Niemiec chwyta się za głowę i klnie niczym przysłowiowy szewc. Nadszedł dzień, którego tak się obawiał. Ciągłe miał nadzieję, że nalotu nie będzie przed jego wyjazdem na urlop, co ma nastąpić w połowie sierpnia.

Ciężkie czasy nastały dla Niemców. Sycylia już dawno została zdobyta przez aliantów. Rząd Mussoliniego został obalony a sam Duce został aresztowany i osadzony w jakimś odesobnionym, nie znanym miejscu. Naloty lotnictwa alianckiego, zamieniają w ruinę przemysłowe miasta niemieckie. Bitwa o Atlantyk została przegrana z kretesem. Okres wilczych stad, czyli zespołów łodzi podwodnych atakujących alianckie konwoje, zakończył się bez powrotu.

Teraz jednostki marynarki wojennej i lotnictwo aliantów urządza sobie polowania na podwodnych piratów, zatapiając je nie miłośnicznie. Ostatnia próba przejęcia inicjatywy w żuku kurskim zakończyła się całkowitym fiaskiem. Potężny walec wojsk sowieckich zaczął się toczyć w kierunku granic Rzeszy.

A dni płyną. Nadchodzi połowa sierpnia i Eggerer wyjeżdża na urlop. Zanim jednak wyjechał musiał wysłuchać komunikatu o powtórnym bombardowaniu Stuttgartu.

Nie martwię się powodu wyjazdu Niemca. ~~Skierowany~~ ~~został~~ ~~skierowany~~ ~~do~~ ~~pracy~~ ~~na~~ ~~stację~~ ~~kolejową~~ ~~w~~ ~~Żydatyczach~~. Niemcom nie wyparował jeszcze bezsens budowy linii kolejowej mającej stanowić symbol wielkiej po Ural Rzeszy. Nasz oddział został skierowany do budowy linii wąskotorowej od stacji w Żydatyczach do projektowanej trasy linii szerokotorowej co w praktyce oznacza, że wąskotorówka będzie miała długość ponad dwa kilometry długości i sięgnie do gościńca pomiędzy Prusami i Srokami Lwowskimi.

Oddział został podzielony na trzy grupy, z których najliczniejsza ma wykonywać niwelację trasy wąskotorówki. Niwelacja ma polegać na ścinaniu zawyżeń terenowych oraz likwidację zaniżeń, czyli poprostu zasypywanie dołów na trasie kolejki.

Druga grupa ma przenosić i ustawiać drewniane podkłady pod szyny oraz dostarczać i układać na nich szyny.

Trzecia grupa, to już wyspecjalizowany zespół, mocujący szyny do

podkładów przy utrzymaniu pożądanej szerokości rozstawu szyn. Przez cały czas pobytu Eggerera na urlopie, pracuję w grupie niwelacyjnej. Czas w pracującej grupie płynie w dobrym nastroju. Pracując rozmawiamy—czasem robimy sobie wzajemne figle. Droga na nową Baustelle jest o połowę krótsza od tej do Barszczowic. Roboty nadzoruje Oberschachtmeister Weltze, Niemiec z Berlina o dobrodusznym wyglądzie.

Ledwie wdrożyłem się do nowych obowiązków a już powraca z urlopu Eggerer i zabiera mnie spowrotem do siebie. Opowiada mi o podróży i rodzinnym Stuttgarcie. Zniszczenia po nalotach ogromne, ale ludzie po nalotach, żyją i pracują prawie normalnie—twierdzi. W trosce o bezpieczeństwo, przywiózł ze sobą starszą córkę Bentę. Dostała pracę w biurze Juliusa Bergera.

Powracam w stary nurt pracy, który jest interesujący, ze względu na częsty kontakt z miastem. Czasu wolnego mam więcej, bo po załatwieniu spraw we Lwowie, Eggerer nie żąda już mego przejazdu ~~przejazdu~~ do Barszczowic. Przejawia troskę o mnie i upoważnia do pobierania z jego kartki 200g kiełbasy za każdym razem, gdy jestem głodny. Nigdy z tej oferty nie skorzystałem.

Eggerer pozbył się złudzeń, odnośnie dalszego przebiegu wojny. Dolegliwości żołądkowe świadczą o jakiejś poważnej chorobie. Pod koniec września, przywożę mu na dodatkowy przydział trzy butelki likieru. Wieczorem Niemiec zaprasza do kompanii Piotrka Worczańskiego i wypijają po kilka kieliszków.

Rano przyjeżdżam na kwaterę a Eggerer, jak z krzyża zdjęty. Skarży się, nie spał całą noc i czuje się podle. Muszę jechać do lekarzostwierdza.

Eggerer pojechał na badania lekarskie. Następnego dnia opowiada, że z żołądkiem źle i czeka go prawdopodobnie operacja. Przy okazji odwiedził biuro i otrzymał tam Bezugschein<sup>x</sup> na naprawę butów.

Naprawa ma polegać na nałożeniu zelówki na sfatygowaną podeszwę. Następnego dnia wiozę te buty do Lwowa. Warsztat naprawczy mieści się przy ul. Janowskiej w pobliżu rogatki.

Jestem na ulicy Janowskiej. Tramwaj przejechał już przez kawałek tej ulicy i zatrzymuje się na przystanku.

Z ulicy dochodzi odgłos śpiewu. Obok tramwaju pojawia się kobiety oddział w pasiakach. Jakiś głos w tramwaku oznajmia: to Żydówki z obozu. Młode, ładne dziewczęta maszerują pod eskortą esesmana, maszerującego chodnikiem, obok oddziału.

Jakaś gruba jejność zaczyna perorę: wasze ulice, nasze kamienice, mówili Żydzi. Teraz maszerują ulicami i nie mają nawet wstępu

<sup>x - przydział</sup>

do tramwaju—dobrze im tak. Jakiś młody mężczyzna o typowym wyglądzie lwowskiego batiara przerywa orację kobiety słowami: zatkała by się paniusia. Ilu z nich miało kamienice a ile było biedoty? Może pani wie? Ciekawe co by paniusia myślała, gdyby pani tam szła? W pasiakach chodzą przecież nie tylko Żydzi. Trzeba mieć szacunek dla ludzkiej tragedii. Nastaje cisza. Wszystkie oczy pasażerów zwrócone na maszerujące dziewczęta, z oznakami współczucia. Tramwaj rusza, po prawej stronie ulicy, przez szyby widzę mury cmentarza janowskiego. To już prawie koniec ulicy—stwierdzam i wysiadam. Po lewej stronie ulicy, ciągnie się zwarta zabudowa kamienic. Po numerach orientuję się, że warsztat mieści się jeszcze dalej. Idę w poszukiwaniu pracowni szewskiej. Po przeciwnej stronie ulicy mur cmentarza. Prawie na całej długości muru, widoczny napis: NUR FÜR DEUTSCHE. Litera napisu co najmniej metrowej wysokości. Kształt i rozmieszczenie liter, wskazują, że napis został wykonany przez fachowca. Takie napisy tego typu napisy pojawiają się od dawna, ale były one natychmiast usuwane przez służby porządkowe, ale tu tkwi nie naruszony i przechodnie ze znaczącymi uśmiechami, ~~którzy~~ kwitują jego obecność w tak prowokacyjnym dla Niemców miejscu. Na cmentarzu janowskim, jest wydzielona kwatera, na której są chowani niemieccy żołnierze zmarli w lwowskich szpitalach z ran odniesionych na froncie.

Odnajduję wreszcie zakład szewski i ~~zostawiam~~ zostawiam buty do reparacji. Po kilku dniach podzielowane buty zabieram. Na murze cmentarza janowskiego prowokacyjny napis tkwi nie naruszony. Oj dostali Niemcy zadyszki.

Władze niemieckie ogłosiły nabór do ochotniczej dywizji SS Halyczczyzna./Galizien/. Czytam porozwieszane plakaty z odezwą po ukraińsku i niemiecku—uśmiecham się z politowaniem. Niemcy szukają głupich. Trochę za późno się wybrali. Jaki rozsądny człowiek wiązał by nadzieje na stworzenie państwa ukraińskiego przez politycznego i wojskowego bankruta. Można by to było zrozumieć jeszcze w 1941 roku. Wtedy jednak Niemcy odrzucają tę możliwość. Pełni buty i upojeni błyskawicznymi zwycięstwami, nie mają zamiaru powiększać grona sprzymierzeńców do podziaku Żupów. Nie chcą sobie wiązać rąk zobowiązaniami wobec niepewnego, słabego żywiołu ukraińskiego w t.zw. zachodniej Ukrainie, bo tylko ta część mogła być brana pod uwagę. Dziś, po dwa lata, sytuacja się zmieniła. Walec sowieckich armii, dotarł do Dniepru. Niezłomny sojusznik Hitlera—Mussolini uwięziony. Włochy kapitulują a alianci lądują na wybrzeżu Włoch pod Salerno. Na wszystkich frontach zarysowuje się widmo klęski.

Niemcy podejmują rozpaczliwe próby łatania dziur na froncie wschodnim a tu doszedł jeszcze dodatkowy front we Włoszech. Sojusznik włoski wypadł z gry i w jego miejscu powstała luka.

Dlatego na murach te afisze ze schlebającymi apelami do Ukraińców. Zamiar i cel jasne, jak na dłoni.

Apele agitacyjne pojawiają się też wśród młodych Ukraińców zatrudnionych w ukraińskiej służbie batkiwskiej. Z oddziałów pracujących w styczności z nami, zgłasza się jeden ochotnik.

Patrzę na tego niepozornego, spokojnego chłopca, w chwili, gdy na zbiórce Baudienstinspektor Blaha, składa mu gratulacje i awansuje na Vorarbeitera. Patrzę na jego kolegów stojących w szeregu.

Niektórzy drwiąco ~~śmiają~~, uśmiechają się. Jestem pewny, że zamiar niemiecki zakończy się fiaskiem. Jednak pomyliłem się. Ochotnicy napływają. Pierwsze oddziały defilują na Wałach Hetmańskich we Lwowie. W defiladzie uczestniczą dziewczęta w ukraińskich strojach ludowych. W szeregach powiewają flagi o narodowych niebiesko-żółtych barwach z godłem tryzubą. W defiladzie uczestniczą oficerowie niemieccy w galowych mundurach. Pojawiają się hasła programowe, w imię których ochotnicy pójdą do walki. Hasła zawarte są w pieśni śpiewanej przez uczestników pochodu: smert, smert lacham smert. smert żydiwsko-bolszwickij komunie.

Drugiej części hasła dywizja nie zrealizowała, ale część pierwsza, której preludium trwa już na Wołyniu, zapisała się w pamięci Polaków na długie lata, chociaż bez konsekwencji. Natomiast za drugą nie zrealizowaną część-konsekwencje były i to bardzo bolesne dla narodu ukraińskiego.

Przed gmachem teatru wielkiego, część uczestników pochodu opuszcza szeregi i wchodzi do wnętrza teatru. Tam ma się odbyć uroczysta akademia na inaugurację formowania dywizji SS Halyczczyzna. Seria ważnych wydarzeń na arenach wojny spowodowały to, że moje zajęcia w Baudienście schodzą na dalszy plan zainteresowań. Ja nóki czas, asystuję jeszcze przy Eggererze.

----- Któregoś dnia drugiej połowy września rankiem, rozeszła się wieść, że z liegenschaftowego majątku w Kamienopolu nocą partyzanci sowieccy zabrali konie. Równocześnie w pobliżu stacji kolejowej w Żydaticzach, pociąg towarowy najechał na minę a lokomotywa z kilku wagonami wypadła z szyn. Pociąg jechał powoli i z tego powodu, konsekwencje wypadku były nie wielkie. Ze Lwowa przyjechał dźwig. Lokomotywę i wagony postawiono na szyny a uszkodzoną wybuchem szynę wymieniono na nową. Po paru godzinach, ruch został wznowiony. Te niespodziewane

wypadki łączyły się z sobą i świadczyły o tym, że miny założył ten sam oddział, który zabrał ~~zabrał~~ konie z Kamienopola. Jeżeli tak myślę, to partyzanci musieli być w Prusach. Ponieważ przemarsz odbywał się nocą i po partyzancko, czyli cichaczem. Z tej to przyczyny, nikt ich nie widział ani nie słyszał. Jednak ślady pozostały. W sadzie przy plebanii odbywał się postój. Świadczyły o tym ślady kół wozów konnych i świeżo wydeptana trawa. Ktoś znalazł również trochę naboju karabinowych, które potwierdzały tezę, że była to partyzantka sowiecka. Tego samego wieczorem, rozeszła się pogłoska, że do części wsi -zakościół-, nadciągnęła jakaś podejrzana jednostka zmotoryzowana. Jednostka posiada na wyposażeniu samosody pancerne. Jest też oddział z psami. Żołnierze w mundurach nieco różniących się od niemieckich, ale nowa nie jest niemiecka. Można się z nimi porozumieć po polsku. Niczego jednak nie można się od nich dowiedzieć, ani odnośnie pochodzenia wojska, ani celu w jakim przybyli. Zaniepokojenie we wsi rośnie. Rozprzestrzeniają się pogłoski, że są to żołnierze dywizji SS Hełyczczyna a cel ich przybycia, to pacyfikacja wsi. Członkowie rady wiejskiej telefonują do Lwowa, ale tam nikt nie wie o tajemniczym wojsku. Połowa wsi czuwa przez całą noc. Wczesnym rankiem, wyjeżdżam do pracy. Jadę zagumienkim a po wojsku już ani śladu. Tylko ślady kół samochodowych wskazują, że egzotyczna jednostka odjechała w niewiadomym kierunku. Dopiero po kilku dniach, sprawa wyjaśniła się. Była toż jednostka chorwacka ścigająca rozbite w Karpatach, oddziały partyzanckie generała Kowpaka. Chorwaci odjechali a ja docieram do kwatery Eggerera. Dziś mam zadanie nadać na poczcie jedną z ostatnich paczek do Stuttgartu i doręczyć list córce pracującej w biurze Juliusa Bergera. Na poczcie nadaję paczkę i kieruję się ku wyjściu. Uwagę moją absorbują plakaty umieszczone na ścianach holu pocztowego. Na plakacie informacja o bandyckim napadzie na korbój z pieniędzmi Banku Emisyjnego w Warszawie. Za wskazanie sprawców napadu jest wyznaczona nagroda w wysokości 5milj.zł. Za wskazanie miejsca gdzie znajdują worki o wyglądzie, jak na zamieszczonej fotografii-1milj.zł. Za wskazanie sprawcy ustawionego dwukołowego wózka w poprzek ulicy/fotografia wózka na plakacie/-1milj.zł. Nieco później czytałem w biuletynie informacyjnym przebieg tej brawurowej akcji oddziału AK w Warszawie na eskortowany transport,

przewożący ponad 100milj.zł. Samochody zostały zatrzymane i po walce ze zbrojną eskortą, samochód z pieniędzmi odjechał w bezpieczne ukrycie. Zdobyte pieniądze zostały użyte dla celów Armii Krajowej. Część tych pieniędzy trafiła również do Lwowa a postrzelane w walce górale, stały się rarytasem dla kolekcjonerów.

Po powrocie do Prus i razem z Eggererem słuchamy ostatnie wiadomości. Komunikat informuje o opuszczeniu przez wojska niemieckie Połtawy i natarciu wojsk sowieckich na Krzemieńczug. Eggerer porównuje na mapie rejon, na którym toczą się walki, ze Stalingradem najdaleszym punktem skąd Niemcy zaczęli planowe skracanie frontu. Jest to dla niego miernik w postępach armii sowieckiej.

Po wiadomościach wsiedlam na rower i jadę do domu, jak zwykle zagnienkiem. Na pewnym odcinku droga prowadzi wzdłuż sadu parafialnego ogrodzonego drewnianym płotem ze sztachet. W warunkach kilku letniej wojny, płot nadszarpięty działaniem czasu, <sup>spokrocy</sup> ~~w brzoju~~ trudności finansowych i materiałowych, nie naprawiany płot posiada luki. Jestem w połowie ogrodzenia, gdy przez lukę pomiędzy sztachetami w blasku promieni słonecznych, zaślniło mi coś w oczach.

Zatrzymuję rower i cofam <sup>go</sup> ~~rower~~ do tyłu. Przy płocie wysoka trawa poprzerastana kępami chwastów i pokrzyw. Przypatruję się miejscu skąd dotarł do mych oczu intrygujący odblask i niczego, oprócz trawy nie widzę. Już mam zamiar odejść, gdy.....oko natrafia na fragment wystającej z chwastów drewnianej kolby karabinu. Serce załomotało mi z emocji. Jestem żołnierzem, ale bez karabinu. Bandyckie wyczyny banderowców, zbliżają się coraz bardziej do Lwowa a tu wymarzona w snach broń? Przez najbliższą dziurę w płocie, wchodzę do sadu. Trawa w pewnej odległości od płotu wydeptana. Kilkanaście metrów dalej ślady po pojazdach. Czy to pozostałość po partyzantach, wczorajszej nocy, czy tajemniczej jednostce zmotywowanej- nocy dzisiejszej? Podchodzę do miejsca, gdzie zamajaczyła mi karabinowa kolba.....rzeczywiście coś jest! Ale to nie jest karabin. Czegóż takiego jeszcze nie widziałem. W ułamku przelatujących przez głowę myśli, wnioskuję, że jest to pistolet maszynowy. Szybko wsuwam go w gąszcz pokrzyw. W pełni dnia nie mogę go zabrać. Rozglądam się dokoła.....ani żywego ducha.

Odchodzę i następuję na coś co ~~zgrzyta~~ <sup>zgrzyta</sup>. Macam rękami po trawie i wyciągam ~~zakłóca~~ rozsypane naboje. Gorączkowo wybieram je z trawy i ładuję do kieszeni. Kończę, gdy pod rękami nie wyczuwam już nic. Z wrażenia i radości dostaję jakichś drgawek po całym ciele. Siadam na rower i jadę, rozmyślając gorączkowo. Wrócę tu o zmie-

rzehu-postanawiam.

Po zjedzeniu obiadu, wyruszam z krówkami w pole. Tu rządzą krowy. . . Dopóki same nie skierują się do domu, jestem tylko biernym opiekunem. Wreszcie moje stadko decyduje się na powrót. Jestem szczęśliwy i nie spokojny. Słońce tuż nad zachodem, ale to jeszcze za wcześnie. Jeszcze z pół godziny. Wyszukuję w komorze worek i kawałek sznura. Nikt nie może wiedzieć a tym bardziej widzieć. Kładę worek ze sznurkiem na bagażnik i jazda zagumienkiem do celu.

Wyciągam z pokrzyw drogocenną zdobycz. Wkładam do worka, owijam w rulon a następnie przywiązuję sznurem wzdłuż ramy i hops wsiadam na rower. Po paru minutach jestem w domu. Wprowadzam rower do stodoły uważając ciągle, aby nikt z domowników niczego nie zauważył. Wyszukuję jak najlepszą, tymczasową kryjówkę i wsuwam tam automat. przez pewien czas trzymam w niej swoją nie ocenioną zdobycz. Codziennie po południu wchodzę ukradkiem do stodoły i w górze na sianie przeglądam broń. Nie miałem z tym dotychczas żadnej styczności. Sam muszę badać tajniki mojej zdobyczy. Próbuję zdjąć magazynek. Udaje mi się już podczas pierwszego przeglądu. Trzymam w ręku płaski walec i próbuję go otworzyć. Po kilku próbach pokrywa zdjęta. Oglądam wnętrze magazynku. Magazynek pełny naboji. Liczę naboje- jest ich 72szt. To potęga- myślę sobie. Niepokoi mnie ich kształt. Ciężko je będzie zdobyć. Mój dyskretny kilku tygodniowy wywiad utwierdza mnie w przekonaniu, że jestem w posiadaniu sowieckiego pistoletu maszynowego. Jego popularną nazwę pepesza poznałem znacznie później.

----- Nadszedł listopad a w początkowych jego dniach nastąpiła ofensywa sowiecka na froncie południowym. Wojska sowieckie forsują Dniepr pod Krzemieńczugiem. Oskrzydlają Kijów z południa i północy. Niemcy opuszczają Kijów a następnie Żytomierz. Tam front zatrzymuje się. U mnie narazie bez zmian. Eggerer przeszedł badania lekarskie. Diagnoza brzmi: zabieg chirurgiczny nie uniknięty. Niemiec nie chce się operować we Lwowie. Chce wracać do Stuttgartu. Wiem, że to już ostatecznie dni mojego ordynansowania.

Jest późna jesień. Jeżdżę jeszcze do Lwowa. Po doręczeniu raportów, robię zakupy. Przejmuję Biuletyny Informacyjne. Wkładam je na dno plecaka i jadę ulicą Żółkiewską w kierunku Zboisk. Jestem nie daleko rogatki Żółkiewskiej. Na chodniku stoi niemiecki Szuno w towarzystwie ukraińskiego policjanta. Ukraińiec wyciąga rękę zatrzymując mnie. Skąd i dokąd jedziesz? Wyciągam Bescheinigung i podaję Niemcowi. Ukraińcowi tłumaczę,

że załatwiałem we Lwowie sprawy służbowe w biurze i przy okazji dokonałem zakupów na kartki dla majstra. Policjant rozkazuje otworzyć plecak. Dostaję gęsiej skórki. W plecaku mam biuletyny. Otwieram plecak - tam rzuca się w oczy chleb. Ukraińiec chce przeszukać cały plecak, ale wtrąca się nieniec słowami: lass ihn<sup>x</sup> oddając mi Bascheinigung. Danke schon<sup>xx</sup> mówię i wsiadam na rower. Ruszam z wolna, ale po przejechaniu 200m naciskam na pedały i mruczę: nie ma to, jak szczęście mieć. Pierwszy śnieg przykrył ziemię cieniutką warstwą. Przy jeździe rowerem nie odczuwam zmiany w warunkach jazdy. Zaraz za Pełtwią mam skręcić w prawo na drogę polną. Z fasonem wjeżdżam na most i z takim samym fasonem zakręcam w prawo i walę się razem z rowerem na ziemię a następnie niczym materac, zjeżdżam na plecał<sup>ch</sup> po skarpie nasypu drogowego z 10m. Wstaję, otrzepuję spodnie i bluzę na plecach. Wsiadam na rower i ruszam mrużąc: a jednak ten maleńki śnieżek, zdolny jest zmienić warunki ruchu w sposób zgoła nie oczekiwany.

Nadchodzi grudzień. Rower służbowy zdaniem już do magazynu biura Juliusa Bergera. Jutro odjeżdża Eggerer i życzy sobie, abym mu towarzyszył w drodze na dworzec główny we Lwowie.

Rankiem następnego dnia, pod kwaterę Eggerera zajechała bryka z liegenschaftu w Pikułowicach. Ładujemy tobołki na brykę i jedziemy niczym posiadacze ziemscy. Jazda na dworzec trwa ponad godzinę. Przed dworcem zdejmujemy toboły i idziemy do poczekalni. Następuje pożegnanie. Niemiec wydaje się być wzruszony. Auf wiedersehen<sup>xxx</sup> glückliche Reise<sup>xxx</sup> mówię. Wychodzę z dworca i wsiadam do bryki. Nie zupełnie wiem dlaczego odczuwam ulgę, że skończyła się moja zależność od Niemca, pomimo tego, że Eggerer był jedynym Niemcem z pośród tych, z którymi się stykałem - który okazał Polakom coś w rodzaju sentymentu. Może przez zmienność jego nastrojów. Może przez to, że do końca nosił Hackenkreuz na rękawie?

Ostatecznie jednak dochodzę do wniosku, że przez cały okres przebywania w jego towarzystwie znajdowałem się w fałszywej sytuacji i w rozmowach z nim musiałem uważać, aby nie powiedzieć czegoś o czym byłem przekonany, a czego Niemcowi powiedzieć nie mogłem.

-----Następnego dnia idę na zbiórkę do baraku w pańskim sadzie, czyli na przed wojenną działkę kółka rolniczego w Prusach.

Baudienst opuścił dom ludowy i wprowadził się od nie dawna do bazy - prawie ukończonej. Chłopcy mówią, że na zbiórce będzie chleb z marmoladą. Chleb rozdaje Vorarbeiter Farabasz - Ukraińiec z Pikułowic, a marmoladę nowy Werkmeister - Ukraińiec. Jest to pewna atrakcja, z uwagi na to, że przez cały czas okupacji niemieckiej,

x - zostaw go  
xx - dziękuję pięknie  
xxx - do widzenia - szczęśliwej podróży



cukru na rynku nie ma.

Obserwuję ceremoniał rozdawania tych specjałów. Chłopcy podtykają otrzymany chleb Werkmajstrowi a ten łyżką nakłada na chleb marmoladę. Obok mnie stoi Janek Piotrowski. Po otrzymaniu marmolady, Janek wychodzi z szeregu i przechodzi na koniec kolejki. Tam wysuwa rękę z chlebem i dostaje drugą porcję marmolady. Powraca na miejsce a ja pytam: gdzie schowałeś drugą porcję? Janek wysuwa obie ręce, z chlebem w każdej. Na obu porcjach ma marmoladę. Okazuje się, że sprytny chłopak wykoncyrował sobie ten sposób znacznie wcześniej. Mianowicie nosi z sobą nóż. Po otrzymaniu marmolady poraz pierwszy, kroi dość grubą kromkę wzdłuż i dolną jej część, już bez marmolady nadstawia po następną jej porcję. Werkmeister od wielu dni daje się na to nabierać.

Chleb z marmoladą smakuje, ale po pewnym czasie odczuwam w przewodzie pokarmowym pieczenie, z nadmiaru kwasu. Marmolada jest robiona z busek raków cukrowych i ten Ersatz - w produkcji, których wyspecjalizowali się Niemcy, ma zastąpić normalną marmoladę.

Przegryzając chleb z marmoladą, maszerujemy zagumienkiem na Baustelle pod Srokami Iwowskimi. Dziś mamy zupełnie nowe zajęcie. Mamy rozpocząć montaż baraku magazynowego, na łączce, nie opodal gościńca, prowadzącego w kierunku Iwowa. Drewniane elementy tegoż baraku, znajdują się na miejscu, złożone w stosy. Nadzoruje Oberschachtmeister Weltze. Pokazuje, które elementy mamy brać ze stosu. Elementy posiadają otwory, w które wpychane są śruby, mocujące ze sobą poszczególne płyty. Układamy płyty, dopasowując odpowiednio otworami.

Pomiędzy chłopcami trwa dialog: nie ma dziury - jest dziura.

Podchwytuje to Weltze i mówi nie ma jura - Blatt weg. Brzmi to bardzo komiesnie. Rozbawieni chłopcy podtykają mu specjalnie nie pasujące z zapytaniem, czy Blatt gut? Weltze poważnie przegląda płytę i mówi: Blatt weg - ni ma jura. Staszek Worochański mówi ze śmiechem: szwab powróci do Berlina i będzie przysięgał, że niemiecki Loch to polska jura. W takiej atmosferze montaż podłogi trwa kilka dni. Samo układanie idzie szybko. Znacznie więcej czasu zajmuje skręcanie płyt śrubami. Po sk<sup>o</sup>ńczeniu ostatniej płyty powstaje prostokąt o bokach 20x 10m. Janek Piotrowski bierze się <sup>z</sup> rękami pod boki i przytupując nogami, okręca się dokoła i mówi: majster, teraz musi być tloka. Niemiec pojmuje o co chodzi i odpowiada: ja, ja tloka mit Musik. Nazajutrz mamy rozpocząć montaż ścian. Na Baustelle pojawia się jakiś nowy nie znany majster z Dublin. Chodzi bez przerwy - pokr<sup>o</sup>ykując: Arbeit muss wie Musik vorwärtskommen<sup>xxx</sup>. Ustawiamy płyty ścienne pionowo i skręcamy na dole śrubami. Już ustawiony cały szereg

x - płytą na bok

xx - dziura

xxx - praca musi postępować naprzód, jak muzyka.

płyt i niemiec każe skręcać górę. Są dwie drabiny. Jedną bierze Dorociak a drugą ja. Skręcam pierwszą płytę i przenoszę drabinę do następnej. Koło Dorociaka szkop się wydziera i wreszcie wali kijem po plecach. Coś szwaba napadło i przyrzeczenia się do Mihała Koziańskiego. Robi zamach kijem, ale Michał nastawia rękę i powstrzymuje rękę Niemca poniżej łokcia. Niemcowi kij wypadł z ręki a Michał wyskakuje na zewnątrz baraku. Szwab chwytł z podłogi młotek i wyskakuje za Michałem. Ten zaczyna biec, ale za późno - młotek ląduje na plecach. Michał zgiął się z bólu a po wyprostowaniu - wściekły, naszeruje na gościniec i kieruje się w stronę domu. Przenoszę drabinę do trzeciej płyty i...zaczynają się kłopoty. Niemiec podchodzi i patrzy. Odchodzi a ja mam się na baczności, bo otwory nie pasują. Próbuje na wszystkie strony a śruba nie chce wejść. Janek podaj młotek-wołam, ale jest już za późno. Zapewzony mrówkojad, zbliża się szybkim krokiem - szczęściem, bez kija. Przewrotnie schodzę z drabiny a Niemiec już przy mnie. Robi ręką zamach w ułamku sekundy, uginam nogi w kolanach i odchylam w uniku głowę. Niemiec wali pięścią w drabinę. Drabina ślizga się po ścianie i z łoskotem pada na podłogę. Wściekły mrówkojad, rozgląda się za kijem, ale ja nie próbuję i śmigając nogami oddalam się na bezpieczną odległość a potem z wolna wychodzę na gościniec. Niemiec nie próbuje pościgu. Wchodzi do baraku. Jestem zdecydowany nie wracać do baraku i postanawiam udać się śladem Mihała, którego postać najaczej w oddali. Postanawiam jednak jeszcze chwilę poczekać. Z za ściany baraku wyłania się postać agresywnego szkopa, już o 200m od baraku. Kołyszę się w kierunku kantoru i znika nam z oczu. ~~Powracam do baraku.~~ Powracam do baraku, a tam podenerwowani chłopcy zastanawiają się, w jaki by to sposób szwaba osadzić. ~~Wskazują~~ Najlepiej - proponuje któryś - zwalić mu płytę na łeb, gdy tu nadejdzie. Niemiec już nie wrócił do nas. Nie było go również następnego dnia. Nie widzieliśmy go już do końca pobytu na Baustelle. Już w spokojnej atmosferze skręcamy niestrome płyty aż do fajrantu. Ponad dwa tygodni trwało montaż baraku rzeczywistego. Nadeszły śnieżyce a Weltze każe kłaść szyny dla podciągnięcia wąskotorówki do gościńca. Jest spory mróz a my pracujemy bez rękawic. Jedyną możliwością ogrzania rąk to wkładanie ich do kieszeni. Pomimo to pracujemy. Zmęczony organizm znosi pracę w warunkach zimowych. Szyny przenosimy całą rękami. Skóra na dłoniach jak podeszwa pozwala na to. Pracę nadzoruje najster Schneider. W czasie pierwszej wojny światowej przebywał w niewoli rosyjskiej i zna jeszcze trochę rosyjskich słów. Patrzy na grupę zatrudnioną

przy mocowaniu szyn do podkładów. Janek Piotrowski wyspecjalizowany w mocowaniu szyn wali młotem w główkę gwoździu mocującego szynę do podkładu. Schneider coś dogaduje. Janek nie lubi, gdy mu Niemiec patrzy na ręce przy pracy. Wali na przemian - raz w gwoździe, raz w szynę. Niemiec się wścieka. Podnosi kij do góry. Ale nie z Jankiem takie numery. Podsuwa rękę pod przegub Niemca i przetrzymuje ze słowami: majster daj spokój. Niemiec szarpie się wściekły. Janek uszcza rękę Niemca, równocześnie odskakując. Niemiec z rozmachem wali kijem w szynę i kij pęka. Rzuci się z kikutem kija na Janka, ale ten już w śniegu po nas brnie po stołu wzniesienia pod górę a za nim cały zastęp pracujących chłopców - jak na komendę. Jesteśmy na szczycie i siadamy na śniegu. Zapalamy papierosy i śmiejemy się. Samotny na dole Niemiec próbuje do nas dojść, ale po dziesięciu krokach kapituluje. Wzywa do roboty i klnie na przenian. A my cię w dupie mamy - odpowiada Janek Piotrowski.

Zrozwygowany Niemiec idzie do kantorka a na gościńcu pojawiają się sanki. To Barszczewski z Baudienstowej kuchni. Dostajemy kupa do misek i pijemy jeszcze cienką, przegrzając chlebem. Po posiłku schodzimy do roboty i pracujemy bez anióska stróża z kiejem.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. To już trzecie święta pod niemiecką okupacją. Nie zapowiadają się lepiej od poprzednich. Będą bułki ze zmielonej na żarnach maki. Jakieś ciastka z tejże maki. Syrop z buraków cukrowych zamiast cukru.

Niemcy nałożyli na każde gospodarstwo obowiązek uprawy buraka cukrowego. Przezorni prusacy nie oddają całego plonu, pozostawiając jego część do użytku domowego. Oczyszczone buraki, kroi się na cienkie plastry i gotuje. Proces gotowania powtarza się kilkakrotnie, aż w rynce zostanie kleisty płyn, coś w rodzaju syropu. Ten syrop służy do słodzenia kawy, herbaty a teraz do świątecznego piczywa. Czuć go trochę burakami cukrowymi, ale zawsze jest to produkt lepszy od przekłetej sacharyny. Święta upływają w dość porządnej atmosferze. Duży wpływ ma na to, sytuacja międzynarodowa. Czuje się zbliżający finał tej okrutnej wojny.

.....Po świętach podążamy do roboty. Na Baustelle zaskoczenie nową decyzją. Roboty w terenie zostają przerwane a nowe zadanie polega <sup>na załadunku</sup> ~~na załadunku~~ na placu podkładów i szyn na podstawione wagony. Roboty załadunkowe trwają do końca grudnia i pierwszych dni stycznia.

## Rozdz. XVI

Rok 1944

Na początku stycznia zostaliśmy przeniesieni do Baudienstlagru

w Dublanach. Załoga Baudienstlagru składa się z Ukraińców. W tej chwili, wszyscy wyjechali na święta Bożego Narodzenia, które to święta kościół Grecko-Katolicki obchodzi dwa tygodnie później od kościoła obrządku Szwabsko-Kukyrzajusko-Katolickiego. Majster prowadzi nas do Malachowa, trasą kolejki wąskotorowej, aż do głębokiego przekopu na trzecie tej kolejki. Dostajemy zadanie przersutu ziemi pochodzącej z wykopu a złożonej przy górnej części skarpy przekopu. Górna warstwa ziemi przemarnieta, więc przekłamyjemy ją kilofami. Pod spodem, ziemia luźna i można ją przerucać szpadlami i szuflami. Zastanawiamy się po co Niemcom potrzebne są te roboty. Chyba tylko po to, aby nam dać zajęcie. Podczas pracy, patrzę na Malachów. Wioska położona jest niżej od terenu, na którym pracujemy. Przez środek wioski, przebiega szosa Lwów-Róme-Kijów. Za szosą na wzórku stoi kościół. Nieopodal widać kopuły cerkwi. Ludność wioski polsko-ukraińska. W listopadzie ubiegłego już roku, na plebanii w Malachowie doszło do wypadki. Niemcy przy pomocy urządzeń radio-palengacyjnych, zlokalizowali stację nadawczo-odbiorczą Armii Krajowej. Aresztowali wszystkich mieszkańców plebanii, łącznie z obsługą radiostacji, którą zaskoczyli w czasie nadawania materiałów do Lódzku. Majster nadzorujący naszą robotę, to Ślązak mówiący po polsku. Wiedząc, że jesteśmy Polakami, stara się nam dokuczyć i mówi: tam na plebanii i w kościele wasz ferosz złożył sobie radiostację. W politykę się sabawiał-mówi. Nakryli ich jednak nasi i aresztowali. Teraz odpowiadzą za to. Milczymy, gdyż traktujemy słowa tego Niemca, jako prowokację. Ze Ślązakiemi, których kilku przewinęło się przy nas od początku robot łączą nas negatywne wspomnienia. Zachowywali się w stosunku do nas gorzej od rdzennych Niemców. Wyjątkiem był majster ciep-taj-tak go nazywaliśmy. Ten poczciwy człowiek, przez cały czas nadzorowania przy nas nie uczynił nic takiego co by nas mogło urazić. Przy robotach ziemnych mówił ~~szuflami~~ zawsze bez względu na stan ducha: ciep-taj-ta chłopaki, ciep-taj-ta. Pozostali chodzili z kijami i przy najmniejszej okazji, próbowali robić z nich użytek. Szczęście nasz kontakt wzajemny był krótkotrwały. Właśnie w cerkwi skończyło się nabożeństwo. Ludzie wychodzą z cerkwi i kierują się ku domostwom. Nasz Ślązak zwraca kolęty i rechocze głośno, w nadziei, że zostanie zaproszony w gościnę. Nie ma jednak szczęście, bo żadna Ukrainka nie ma ochoty wprowadzać go pod swój dach. Obserwujemy to z niedowoleniem. Po pracy, wracamy do baraku. Tu wszzechkędnie panuje zimno. Żad-

nego opału nie ma. Ale znajduje się na to rada. Na placu magazynowym jest duża przyzma węgla. Układkiem podchodzimy do przyzmy i każdy bierze jak największą <sup>brzytę</sup> w salach są piecyki żelazne. Zapalamy ogień i szybko w pomieszczeniach robi się ciepło. Całe szczęście, że jest ten węgiel. Nie jest on jednak przeznaczony dla nas. Firma Julius Berger posiada maszyny i lokomotywy poruszane wyłącznie parą. To dla nich przeznaczony jest ten węgiel. Mienia firmy strzegą strażnicy z karabinami. Z biegiem czasu, bierzemy węgiel bez przestrzegania ~~spodków~~ ostrożności.

Pewnego wieczoru, wpada do baraku Mietek Drozd i mówi: strzelił do mnie i chyba jestem ranny. Patrzymy na bluzę - śladów krwi nie widać. Zdejmuje Mietek bluzę mówi któryś z nas. Koledzy pomagają sciągnąć bluzę. Krwi nie ma, ale przez plecy ciągnie się sina pręga - ślad postrzału. Bluza przestrzelona w dwu miejscach. Ta sina pręga to dotyk śmierci Mietek - mówi Staszek Worochański. Wściekła bestia w postaci strażnika, strzela bez ostrzeżenia w obliczu widma niechybnej ~~szkwa~~ klęski.

Wogóle daje się zauważyć wzrost agresji u Niemców. Musimy zachować ostrożność. Przy pracy ostrzegamy się wzajemnie w przypadku pojawienia się amoku w oczach Niemca. Nie zawsze jest to skuteczne. Czasami kręcący się przy nas Niemiec bije niespodzianie. Jeden taki celuje w sadyżnię. Bije niespodziewanie w łydkę w chwili, gdy naprężone mięśnie dźwigają ciężar ciała i podkładu kolejowego na ramieniu. Wtedy ból jest potworny.

Przez cały styczeń wydłubujemy z gliniastego gruntu wykonanego nasypu projektowanej linii kolejowej. Ziemia nasypowa z wgniacionymi w nią podkładami zamarza. Podkłady z trudem można wykuskać przy pomocy łomów. Wydobyte w ten sposób podkłady przenosimy i układamy na platformy wózków, które po napełnieniu trzeba przepchnąć do toru szerokiego. Tam układamy je w stogi. Po nadejściu wagonów podkłady załadujemy na nie. Niemcy opróżniają też magazyny.

Nadchodzi luty. Słońce już nieco wyżej. Nocą mroz sięga 20°. W ~~dziennej~~ przy wyżowej pogodzie, mroz w świecącym słońcu nieco łżejszy, ale promienie słoneczne nagrzewają wierzchnią warstwę gruntu przemarzniętej gliny. Wykuskane z ziemi podkłady, pokryte są gliniastą papką. Bierzymy podkłady na ramię. Po godzinie mokre a glina pokrywa je g żółtym pancerzem. Stopniowo żółta papka sływa po rękawie, po bluzie, w końcu po spodniach. Katorżnicza to praca. Noszę te podkłady monotomnym rytmem. Człapię w kierunku wózka. Wtem piekielny ból łydki przenika całe ciało. Opuzczam podkład i bezwiednie klę k.....

twoja mać. Siadam na podkład. Niemiec zrozumiał moje przekleństwo. Rozbawiona twarz tężeje i przemienia się w grymas złości. Robi ruch, jak by chciał powtórzyć uderzenie. Przeniknięty bólem, wstaje szybko i mówię przez zęby: spróbuj tylko, spróbuj ty sukinyśnu. Musiał szkop zobaczyć w moich oczach dziką determinację, bo nie bije i odchodzi ze słowami: los, los arbeiten. Rozcieram obolałą łydkę, biorę podkład na ramię i sunę do wózka.

Chłopcy patrzą na mnie ze zdziwieniem a być może uznaniem. Kląć nie lubię a niezbyt imponującej budowy, nie mogę budzić respektu otoczenia. Co byś zrobił, gdyby ci jeszcze raz przyłożył? pyta któryś. W tym stanie ducha, wyrwał bym mu kij i przeciągnął po gnatach, mówię z zimnym przekonaniem.

.....Na froncie coś ruszyło, bo z lwowskiego lotniska, leżącego do nie dawna na głębokim zapleczu frontu od kilku dni startują bombowce z ładunkiem. Eskadry po 5 do 7-miu bombowców startują z rykiem silników i przelatują nie daleko od nas na wschód. po około godzinie powracają. Po pewnym czasie startują te same z nowym ładunkiem. Świadczy to, że front jest blisko. Czas przelotu wskazuje, że odległość, jaką dokonują samoloty nie może przekraczać 200km w jedną stronę. Denerwuje nas to, że jak dotychczas powracają wszystkie. Nadchodzi jednak dzień, kiedy to wylatuje 7 bombowców a powraca 5. Dobra passa dla bombowców kończy się i prawie codziennie notujemy jakiś ubytek w powracających naszych. Poprawia się nasze samopoczucie. Słyszemy daleki jeszcze huk silnika. W naszym kierunku nadlatuje samolot transportowy Ju-52. Jest to samolot z trzema silnikami. Spoglądam w górę - pracują tylko dwa boczne silniki. W środkowy silniku śmigło nie ruchome. W obudowie silnika duża dziura. Jednak tam na froncie strzelają do nich i to nawet skutecznie - mówimy pomiędzy sobą. W dalszym ciągu panuje pogoda wyżowa. W nocy mróz siarczysty a w dzień niebo błękitne i świeci słońce. Rankiem budzimy się i jazda biegiem na dwór, pod studnię. Mróz krzepki, zimna woda szczypie w twarz. Zmoczony włosy zamarzają przy powrocie do baraku. Jakoś nikt nie przeziębienie się - nie słychać kaszlu. Pewnego poranka, w połowie lutego, któryś z chłopców mówi: zbudziłem się w nocy i zobaczyłem na suficie odbłask żuny. Podeszedłem do okna i widzę na wschodzie żunę na dużej przestrzeni. To był jakiś duży pożar. Ognisko pożaru, gdzieś pomiędzy Barszczowicami a Jaryczowem. Może to Chałupki? mówi któryś z chłopców. Po kilku dniach powracamy na niedzielę do Prus. W Prusach atmosfera podniecenia. W środę w nocy, banderowcy wymordowali całą

ludność polską w Chałupkach. Mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, wymordowani w bestialski sposób. Wielu spalonych żywcem po wrzuceniu do płonących zabudowań. Hydra barbarzyństwa spłynęła z Wołynia i ujawniła się już u nas. Pogrzeb pomordowanych odbył się w sobotę w Barszczowicach. Pogrzeb przemienił się w manifestację ludności polskiej. Tłumnie wzięli udział w pogrzebie mieszkańcy Prus, Pikułowic, Barszczowic, Biłki Królewskie, Biłki Szlacheckiej, i wielu innych, pobliskich wiosek. Ukraińcy z Barszczowic i Pikułowic zapewniają, że nie mają nic wspólnego z tym mordem.

Pod wrażeniem tragedii w Chałupkach, pracujemy w Dublanach. Tam pracujemy przez luty i początek marca.

W drugiej dekadzie marca zostaliśmy przeniesieni spowrotem do Żydaticz. Pracujemy tu już w warunkach wczesnej wiosny. Znacznie łatwiej jest tu pracować. Codziennie powracamy do domu.

Nadchodzi wreszcie dzień, kiedy nadzorujący roboty majster oznajmia: jutro koniec robót.

W następnym dniu przechodzimy na Baustelle w dobrych humorach.

Mamy załadować resztę szyn wąskotorowych leżących na placu.

Od Dublan nadchodzi oddział jeńców. Są to Gruzini, którzy są traktowani przez Niemców w sposób szczególny. Posiadają niemieckie mundury. Na rękawach tarcze z napisem Georgien. Odznaczają się urodą i dbałością o wygląd zewnętrzny. Włosy czarne z reguły. Są chłopcy o budowie smukłej, ale silnej. Są też o budowie krępej mocnej jak dąb.

Kończymy załadunek szyn, gdy nadchodzi majster Słazek i mówi, że trzeba przynieść jeszcze jedną szynę. Idziemy w szóstkę.

Okazuje się, że pozostawiona szyna leży w odległości prawie pół kilometra od wagonu. Jesteśmy źli i dogadujemy majstrowi, że przecoczył szynę a teraz nam przyjdzie taszczyć ją taki kawał.

Majster podrażniony naszą krytyką mówi: nie gadajta, tylko bierta.

Podnosimy więc szynę na ramiona i niesiemy. Szyna gniecie w ramionach na nie miłosiernie. Po przejściu 100m, ból już nie do wytrzymania.

Opuszczamy szynę na ziemię i oddychamy ciężko. Bierzemy szynę na drugie ramię. Wytrzymujemy dalsze 100m. Po przerwie podnosimy szynę i z sykaniem bólu przechodzimy tylko 50m. Majster wściekły,

klnie i kopie w nogę któregoś z chłopaków. Tego było już dosyć.

Ty gnojku jeszcze kopiesz? Spróbuj sam, jak długo wytrzymasz.

Przez cały okres naszej pracy nie widzieliśmy jednej pary rękawiczek ochronnych. Gdzie są kleszcze do noszenia szyn. Taki jest ten

Deutsche Ordnung? Niemiec dostaje kopa w dupę - zaraz potem drugiego. Wymyka się przerażony z naszego kręgu i spiesźnie oddala

si. ~~si~~ x - niemiecki porządek

się ku kantorowi. Dotaszczyliśmy jakoś tą szynę na platformę wagonu. Załadunek zakończony. Palimy papierosy i szukamy oczami samolotu, który huczy gdzieś hen w przestworzach nad naszymi głowami. Od Lwowa rozlegają się wystrzały artyleryjskie. Pociski wybuchają nad nami w górze. Na niebie ukazuje się biała smuga na początku której dostrzegamy punkcik samolotu. Ten zatacza krąg i zawraca na wschód. Nie ulega wątpliwości, że jest to samolot sowiecki. Któryś z ochłopaków ze śmiechem pokazuje na barak, gdzie skuleni pod okapem dachu z przestwachem obserwują odlatujący samolot, majster Schneider i nasz Ślązak nieudacznik.

Schodzimy z wagonu, odnosimy do baraku łomy i bez auf wiedersehen odchodzimy poraz ostatni z Baudienstowskiego Baustelle.

..... Przed kilku dniami, późnym wieczorem, przyjeżdża do Prus zabłocona kolumna samochodowa. Samochody ciężarowe załadowane żołnierzami roboczej organizacji Todta. Przyjechali z Płoskirowa, po skomplikowanej podróży. Mając drogę na Tarnopol odciętą, musieli zmykać drogą okrężną przez Rumunię. Skąd przez Czerniowce, Stanisławów przyjechali do Lwowa. Tu skierowano ich do Prus. Zajęli baraki po nie istniejącym już Baudienscie.

Rozchodzą się pogłoski, że przez Prusy ma przebiegać linia obronna frontu, w związku z czym zjawia się ta formacja organizacji Todt. Pogłoski sprawdzają się, bo każdego dnia pojawiają się umundurowane postacie żołnierzy, którzy pod dowództwem lejtnanta z mapnikiem w rękę, chodzą po polach i wbijają paliki.

Po tygodniu przybywa duży oddział Uzbeków, czy też Kazachów, których ulokowano w nieczynnym młynie. Któregoś dnia przyjeżdża na inspekcję generał z czerwonymi lampasami na spodniach.

Uzbecy wychodzą codziennie do roboty. Mają swojego muezzina. Na jego sygnał, przerywają robotę i klękają, frontem w kierunku Mekki i odbywają swoje modły.

Uzbecy kopią rowy strzeleckie, których zakosy są już widoczne wśród pól. Wkrótce do Uzbeków dołączają mieszkańcy pobliskich wsi, w tym również prusacy. Z lokalizacji ~~maszyny~~ wynika, że przez sam środek Prus będzie przebiegała główna linia ~~skrajna~~ umocnień. Inwazja jednostek wojskowych na Prusy trwa. Na wypoczynek przybyła jednostka pancerna. Jej żołnierze w czarnych mundurach zakwaterowani zostali po mieszkaniach domów. Do nas przydzielono Oberfeldfebla, wysokiego dryblasę, młodego Austriaka z Wiednia o nazwisku Kick. W pokoju zainstalowano mu telefon, który dość często dzwoni.

Oberfeldfebel rozmawia a z rozmów tych wynika, że jest on szefem od czegoś tam ważnego. Chodzi zawsze z kijem i kiedy już trochę



przyzwyczajaliśmy się do siebie, zapytałem po co ma ten kij-odpowiedział, że to jest ~~Kaj~~<sup>x</sup> Stalingradstock. Skojarzenie Kicka ze Stalingradem nie dawało mi spokoju..i wreszcie bez ogródek ~~poruszyłem~~<sup>poruszyłem</sup> ten temat z Kickiem. Ten coś tłumaczył dosyć mętnie, ale na moje stwierdzenie, że gdyby był w Stalingradzkim kotle, to dzisiaj w obozie jenieckim jadł by kartoszkę i przegryzał kukurydzą -Kick zaczął opowiadać swoje przygody i z tego opowiadania wynikało, że brał on udział w operacji mającej na celu odblokowanie okrążonych w Stalingradzie wojsk niemieckich, czyli służył prosto w korusie pancernym generała Hooha. Mówię to Kickowi a ten zdziwiony pyta: woher wieśst du das?<sup>x</sup> Wiem to z komunikatu Oberkomando. ~~W 1939r dowódcą dywizji~~<sup>x</sup> ~~generała Reinherda~~<sup>x</sup> która na

Niezależnie od powyższych wydarzeń w Prusach organizowana jest samoobrona. Tragiczny los Chałupek spowodował działania zapobiegawcze. Dodatkowym dopingiem są żupy nożarów, które prawie codziennie w okresie nocnym sygnalizują żupy na nieboskłonie. Mężczyźni są obowiązani do pełnienia dyżurów w nocy. Cała wieś w przeciągu nocy jest otoczona kordonem straży.

Prusw, to typowa ulicówka ciągnąca się wzdłuż gościńca na przestrzeni dwu i pół kilometra. Straże rozstawione są co 200m. Przy każdej placówce-umocowany gong alarmowy.

Zorganizowano coś w rodzaju strażnic, gdzie przebywa załoga na podniane. Jedna zmiana pełni dyżur w terenie, podczas gdy druga wypoczywa na strażnicy. Zmiana straży następuje co 2 godziny. Nadzór sprawują kombatanci, po służbie wojskowej.

Jestem aktywnym uczestnikiem samoobrony. Dyżury pełnię razem z kolegą Staszkiem Lewickim, mieszkającym po sąsiedzku.

Miejsce naszego dyżurowania znajduje się przy stodole wysuniętej nieco dalej w pole w stosunku do linii zabudowy innych stodół. Pełnimy dyżury i rozmawiamy ze Staszkiem na temat tej naszej organizacji samoobrony. W razie nadejścia zagrożenia, straż ma obowiązek dokonać alarmu przez uderzenia w gong. Ale co dalej? Na instruktażu o tym nie mówiono. Po alarmie może, a nawet wynika z pewnością, wybuchnie panika. Kto ma kierować obroną? Kordon stojących dookoła wsi straży, nie będzie w stanie powstrzymać większej grupy napastników. Skuteczność obrony może zapewnić tylko uzbrojony oddział. Nic nie wiadomo o tym kto ma jakąkolwiek broń. Przy całej nowadze sytuacji, zasada konspiracji obowiązuje.

Wśród tych pogaduszek, Staszek przyznaje się, że ma pistolet typu Walter kalibru 7mm. Przy okazji demonstruje mi tą pićkna maszynę

x - Kij stalingradzki  
ix - skąd to wiesz?

Nie pozostaje mi dłużny i mówię o swojej nenaszy. Staszek jest na razie pierwszą osobą, która zna moją tajemnicę. Staszek mówi, że jego kuzyn ma karabin z obciętą lufą. Jest to dekonspiracja, ale natychmiast pojmuję, że było to niezbędne. Uczucie bezradności i osamotnienia jak gdyby mija.

Zapraszam Staszka do mojej stodoły i tam na sianie rozhieramy cały automat. Staszek ma wprawę i chociaż broń widzi po raz pierwszy—szybko dokonuje jej demontażu. Z uznaniem przyznaje, że do obrotu jest to broń wspaniała. Szybka składa automat spowrotem. Wiemy, gdzie jest dźwigiemka nastawna na strzały pojedyncze i serię. Nie wiemy tylko w jakim położeniu dźwigiemki uzyskać pożądany efekt. Postanawiamy to zbadać praktycznie, podczas naszego dyżuru, który pełnimy co drugi dzień. Wkrótce realizujemy nasz zamiar. W piwnicy mieszczącej się pod stodołą zapalamy świeczkę, pod przeciwległą ścianą układamy cegłę na sztorc. Staję po drugiej stronie piwnicy i naciskam spust. Rozlega się jeden wystrzał. Więc jesty sry w domu—mówię i zmieniam położenie dźwigiemki. Idzie seria z hukiem, niczym karabin maszynowy przytknięty do ucha. Z cegły pozostały kawałki porozrzucone przy ścianie piwnicy.

Zaniepokojeni, czy ta kanonada nie spowoduje alarmu we wsi, wychodzimy z piwnicy i nasłuchujemy....ale wieś śpi i nie nie wskazuje na to, ażeby ktoś cokolwiek usłyszał. Efektem naszego eksperymentu, jest pewność, że mamy broń, na której można polegać. Przy rozważnej i rezolutnej postawie, można przy jej użyciu rozpędzić nie byle jaką banderowską watahę. Uzupełniamy ubytek naboju w magazynku, moim zapasem. W dzień wyszukuję w domu deski i idę do warsztatu Staszka, gdzie wykonujemy skrzynkę na schowek dla posiadanej broni. Skrzynkę obijam papą.

W czasie nocnego dyżuru, kopię doł i wkładam doń skrzynkę a następnie zasypuję i nasłuchuję starannie. Wybrałem miejsce pod płotem z żywokostu, gdzie nikt, niczego, nigdy nie będzie szukał, ani coś w tym miejscu robił. Przenoszę pebeszę do nowej skrytki. Teraz tylko ja wiem, gdzie jest ukryta broń. Minęło sporo tygodni, zanim wtajemniczyłem mojego brata Staszka o posiadanej broni i miejscu skrytki.

Obecnie pełnimy dyżury, niezmiennie ze Staszkiem Lewickim ze świadomością posiadanej siły i jest nam raźniej. Pewnej kwietniowej nocy, siedzimy na snopkach słomy przy stodole. Pogoda typowo-kwietniowa. Nad nami rozawieźdżone niebo, za chwilę pojawia się wiatr. Wiatr wzrasta się. Nadchodzi gruby wał ciemnych chmur i robi się ciemno, choć oko wykol. Przed nami na północy

migoczą dwa ogniska pożarów—gdzieś w okolicy Rudanice i Żółtaniec. Zastanawiamy się, czy nasi rodacy tracą w tej chwili swój dobytek a uchodzą z życiem, czy też tracą i jedno i drugie. Z przemieszczającej się nad głowę czarnej chmury zaczyna sywać drobny grad i robi mi się markotno. Mówię: Staszek przyniesę pepeszę. Dobra—odpowiada Staszek. Idę i wydobywam broń ze schowka i wracam. Grad przestaje sywać, z za chmur pokazuje się niebo z gwiazdami. W rzędach ziemniaków rosnących tuż przed nami—słyszą szelest. Instynktownie pochylam głowę nisko, tuż nad ziemią i.... widzę na firmamencie gwiazdzistego nieba uszy postawione w szpic, zgrabną główkę i łanki przednie uniesione wdzięcznie do góry. Widzi to również Staszek i śmiejemy się a wystraszony naszym śmiechem szarak zmyka co siłą w nocny mrok.

Pełnimy dyżur solidnie, z poczuciem ważności pełnionego obowiązku. Aż tu pewnego dnia, nawalamy z kretesem. Wypiliśmy troszkę samogonu i wpadamy w beztrojski nastrój. Postanawiamy zignorować dzisiejszy dyżur zwłaszcza, że senność ogarnia nas z nie odpartą siłą. Zgłaszamy się na następny dyżur z nadzieją, że zostanie nam wybaczony ten pojedynczy wyskok. Dowództwo jest jednak stanowcze i orzeka, że za nasze przewinienie, zostajemy przeniesieni do pełnienia straży —przy stodole Serwaczków. Przyjmujemy ten wyrok bez protestu z przeświadczeniem jego słuszności.

Posłusznie udajemy się na wyznaczoną placówkę. Jakos niezręcznie tutaj. Na starym miejscu pozostały zasiedziałe snopki a tu nawet snopków nie ma. Ważniejszym jednak problemem jest uczucie beznacności naszego czuwania. Na tym stanowisku nasza rola jest ograniczona do uderzenia w gong alarmowy i co dalej? Tylko nogi za pas wzięty i zmykać co siłą ku domowi. Te czynności może wykonać nawet dziecko. Postanawiamy jednak poczekać i nie dekonspirować się przedwcześnie. A nuż wyobraźnia dowództwa zadzieła. Maszerujemy po raz trzeci na karną placówkę. Dziś postanowiłem wziąć ze sobą pepeszę. Mamy zmianę od północy do godz. 2—zej. Teraz pełnimy dyżur z poczuciem siły. O godz. 4—tej nadchodzi zmiana. Zmiennicy nie mogą zauważyć naszego uzbrojenia, bo na ramiona nam narzucony zimowy płaszcz. Pod nim pepesza przetrzymywana za magazynek lewą ręką. ~~wztknięciem~~ ~~w kieszeń skaszczą~~ To już koniec naszej służby na dziś, więc idziemy w kierunku domu, oddalonego o prawie kilometr.

Przeszliśmy już z trzysta metrów, gdy koło Maturów słyszemy jakieś głosy. Podchodzimy bliżej i widzimy jakąś białą postać w bielźnie a obok sylwetka ciemna, bełkocąca po niemiecku. Zorientowałem się, że biały duch, nie może się odcenić od Niemca a wystraszony,

nie znając języka, musi się czuć podle. Okazują gest wspaniałomyślności, podchodzę bliżej i pytam: was brauchen sie Kamerad? Niemiec natychmiast puszcza rękę białej postaci, podchodzi do mnie i chwytając mnie za prawe ramię a ja.....uzmysławiam sobie, że przecież przy sobie mam broń. W pierwszej chwili, przychodzi mi myśl, aby odrzucić rękę Niemca i oddalić się szybko, likwidując powstały problem. Reflektuję się jednak. Żołnierze organizacji Todta, zadomowili się już w Prusach. Pozawierali znajomości a jako ludzie w wieku przedemerytalnym są elementem mało groźnym. Prowadzą handel wymienny. Przynoszą różne rzeczy, jak na przykład wojskowe płaszcze nie praktyczne i inne części ubiorów, tak potrzebne mieszkańcom. Środkiem płatniczym jest bimber, powszechnie przez społeczność pruską podzany. Potężne chłopisko trzymające mnie za ramię, nie stanowi istotnego zagrożenia nawet gdyby w jakiś sposób zorientował się w sytuacji. Postanawiam pozostawić sytuację własnemu biegowi. Ugoszczony przez kogoś z prusaków samogonem bełkocze a ja mówię: gut ich begleite euch zum Organisations Todt Lager. Zadowolony Niemiec klepie mnie po plecach. Nie wiem co myśli o tym drepczący obok Staszek Lewicki, ale widocznie pozostawił inicjatywę postępowania mnie. Dochodzimy do strażnicy, więc mówię do Niemca: Lager ist schon nah und jetzt <sup>Sollen Sie</sup> selbst zum Ziel treffen. <sup>xxx</sup> Niemiec nie chce o tym nawet słyszeć - tylko mocniej zaciska rękę na moim ramieniu. Jestem kłopotliwym, czy iść z Niemcem do dyżurki strażniczej i narazić się na dekonspirację, czy odprowadzić go do baraków. Decyduję się na strażnicę, gdzie w ciąbie dyżurujących, łatwiej będzie pozbyć się kłopotliwego współtowarzysza. Wchodzimy do sieni a stąd do pokoju. Patrząc, ani żywego ducha. Niemiec na widok oświetlonego pokoju, puszcza moje ramię i wchodzi do środka. Ja zwracam i odchodzę spokojnie. Wychodzę poza strażnicę a tu spoza stodoły wychodzą zaferowani dyżurni z zapytaniem o co chodzi? Rozbawiony pytam, czy tak zachowują się przy nadejściu banderowców? Chwilę rozmawiamy a Niemiec nie wychodzi. Proponuję dyżurnym, aby któryś zobaczył. Dlaczego Niemiec utknął w izbie. Nikt nie ma ochoty, więc powracam sam. Niemiec leży na podłodze pochrapując potężnie. Biedaczysko zdażył zalać połowę podłogi i spać. Wychodzę na dwór zastanawiając się co zrobić z Niemcem. Moją rozterkę przerywa, jak na zamówienie nowy Niemiec, który wykonał się spoza węgla stodoły. Ten jest trzeźwy więc prowadzę go do izby. Wychodzę mrużąc: radz sobie sam ze swoim kameradem. Jest zupełnie jasno. Wracam ze Staszkiem do domu. Nie do wiary - mówię do Staszka. Tyle przypetiła a nikomu nie przyszło nawet do głowy, że przy moim aktywnym działaniu, trzymam

x - czego potrzebujecie kolego?

xx - dobrze, odprowadzę was do obozu organizacji Todta

xxx - obóz jest już blisko i teraz powinniście samodzielnie trafić do celu.

w zdrewniałych już ~~już~~ palcach, ciężki automat. Oglądam się do tyłu i widzę wylaniających się z za węgla stodoły Niemców trzymających się za ręce. Nie <sup>ie</sup>kirują się do baraków, lecz trześwy Niemiec prowadzi karrata pełną dróżką w pole, pomiędzy łany zbóż. Przy porannej ro-~~sie~~, trunkowy Niemiec wytrzeźwieje i powrócą we dwójkę do baraku, jak gdyby nic się nie wydarzyło - mówię do Staszka a ten potakuje. Perypetie nocne z Niemcem spowodowały, że nie decyduję się brać ponownie broni na dyżur.

Bardzo niezręcznie czuwać nad bezpieczeństwem wsi z mustymi rękami. Na razie godzimy się z naszym bezsensownym położeniem i wzorowo pełnimy służbę. Jest druga w nocy a w nosie czują zapach dymu. Spoglądam po pobliskich kominach i widzę białą smugę wydostającą się z komina Serwaczaków. Aha pędzą bimber.

Dochodzi czwarta z domu Serwaczaków wychodzi gospodarz Józef i podchodzi ku nam. Cześć chłopaki, widzę, że czuwaliście wzorowo, więc w dowód uznania proszę was do domu na kielicha. Zmęczony i senny, nie bardzo usmiecha mi się ta gościna, ale prosi starszy poważny gospodarz, więc niezręcznie jest odmawiać. Wchodzę do mieszkania a tam na stole kieliszki. Gospodarz nalewa i sennie toast. Gospodarz chce nalewać drugą <sup>kolejkę</sup> ~~przez szparę~~, ale ja zdecydowanie odmawiam. Pomimo ukończenia dwudziestu lat stronię od wódki i mam zamiar w tym wytrwać zawsze. Jednak ten jeden kieliszek działa. Jestem senny i ledwie włożę nogami. Co druga nie przespana noc na z pewnością w tym swój udział. Docieram do drzwi wejściowych domu i pukam. Siadam na stopniu w oczekiwaniu na otwarcie i natychmiast ~~miast~~ w zasypiam. Obudzenie szokujące, ktoś rąbnął mnie w głowę. Dochodzę do siebie, macam głowę, na głowie już mam guza. Kto mnie tak urządził? Przytomnieję i patrzę, czy ktoś nie ma koło mnie. Pustka - myśli jednak pracują. Nasuwa się wniosek, że po prostu ~~siadając~~ <sup>siadając</sup> straciłem równowagę i zamurkowałem głowę uderzając czołkiem w płytę kamienną umieszczoną przed wejściem. Zły, że dotychczas ~~nikt~~ <sup>nikt</sup> mi nie otworzył drzwi, postanawiam poszukać miejsca do snu.

Wzrok mój pada na szopę do przechowywania torfu. Może tam? Wchodzę do szopy i rozgądam się, gdzie by można usiąść. W narożu szopy stoi kosz wiklinowy wypełniony słomą. Tu będzie najlepiej. Zakładam skobel przy drzwiach i siadam do kosza. Ktoś wali mnie w plecy. Słyszę śmiech Zosi - mojej siostry. Wstała rano i chcąc zapalić ogień w kuchni poszła po torf do szopy, a tu szopa zamknięta. Zaciągnęła przez szparę drewnianej dyliny, dojrzała mnie a nie mogąc obudzić wołaniem, poszukała kija i przez szparę po soku, dokonała tego skutecznie. Odsunąłem skobel. Zosia wchodzi śmiejąc się do roz-

puku. Muszę sprawdzić—mówi, ile jej zniosłeś— bo wiklinowy kosz ze słoną słoną kurą do znoszenia jaj. Tak zakończyła się moja przygoda, w skróconym jej opisie.

Następnego dnia, nałożona na nas kara dyscyplinarna zostaje cofnięta i już do końca pakniemy wartość na snopkach przy stodole Lewickich.

Monotonny przebieg dyturów staje się nużącą koniecznością.

Trochę urozmaicenia wnoszą loty bojowe niemieckiego lotnictwa, dokonywane codziennie—od pewnego czasu. Już od zmierzchu z lwowskiego lotniska na Skniłowie, rozlega się huk podarzewanych silników i po pewnym czasie startują bombowce. Startują duże formacje, bo <sup>widzę</sup> ~~nie~~ około ~~to~~ <sup>to</sup> ~~konieczne~~, huczą nad naszymi głowami eskadry, z ciężką pracą silników obciążonych ładunkiem bomb.

Po zakończeniu przelotu, następuje cisza. Pomiędzy 2-gą a 5-tą godziną nad ranem, następuje powrót samolotów. Powracają one pojedynczo, na nie dużej wysokości. Nad naszymi głowami wystrzeliwiają kolorowe rakiety a w odpowiedzi na kopcu Unii Lubelskiej, czyli na wysokim zamku, ukazuje się silny błysk pulsujących lamp, wskazujących pilotom kurs na lotnisko.

Nadchodzą święta Wielkanocne. Pierwszy dzień tych uroczystych świąt, budzi się w blasku słonecznej pogody—już zaawansowanej wiosny. Ludzie spieszą do kościoła w pogodnym nastroju.

Od pewnego czasu, ludność Prus systematycznie rośnie. Na polecenie komendy AK, mieszkańcy bliskich i dalszych wsi, opuszczają tereny zagrożone przez baderowskie bandy, chroniąc się przed napaściami. Lokują się po domach w oczekiwaniu na wyjaśnienie sytuacji.

Z ich wypowiedzi wynika, że wielu ich sąsiadów wyjeżdża wprost na zachód, nie mając pewności własnego losu, w propagowanej przez AK łączności się Polaków w większe skupiska. Jednak z każdym dniem Polaków przybywa i jest ich coraz więcej.

Święta w Prusach są obchodzone, przy zwiększonej frekwencji wiernych w kościele. Przyczyna jest obecność ewakuujących się przybyszów, z terenów zagrożonych działalnością banderowców.

Drugim rejonem, gdzie powstaje jeszcze większa koncentracja Polaków są niezbyt odległe wsie: Bilka Królewska i Bilka Szlachecka.

Pruski oddział samoobrony, utrzymuje łączność z białczanami, mającą na celu współdziałanie w razie potrzeby.

Odchodząc od tej dygresji—powróćmy na teren Prus.

Po południu pierwszego dnia świąt, gościnnie w Prusach zaludniają się. Widać liczne grupy dziewcząt i chłopców spacerujących przez wieś. Spacerują są urozmaicane pogawędkami z ~~grupami~~ <sup>z grupami</sup> ~~podążających~~ z przeciwną. ~~xxxx~~ Słychać śmiech i śmiechy. Słowem na gościńcu zaplanowa-

ła atmosfera pogodnej beztrzeski, kolidującej z dramaturgią słowieszczych wydarzeń w bliższym i dalszym otoczeniu wai. U wylotu uliczek stoja przedstawiciele starszej generacji i obserwują obustronny exodus spacerującej młodzieży. Starsi mężczyźni toczą dysputy na poważne tematy, dotyczące wydarzeń na wojennych frontach, z których jeden znajduje się już w rejonie Tarnopola. Poruszana jest sytuacja na froncie włoskim, gdzie alianci zachodni, od jesieni utknęli pod Monte Cassino. Kobiety natomiast swoje zainteresowania skupiły na defiladzie ciagnących w obie strony młodych obcej płci. Wygłaszane są uwagi pozytywne i krytyczne odnośnie ubioru dziewcząt, zachowaniu się na ulicy, czy też naganne uwagi, odnośnie niewłaściwego prowadzenia się nie których z nich.

Wśród tej spacerowej imprezy, nadechodzi zmierzch a wraz z nim najpierw znikają grupki u wylotów ulic a następnie stopniowo łopnieją grupy młodych, kierujące się w stronę domów.

Od lotniska w Skniżowie nadciąga huk startujących samolotów. Po chwili bombowce są już nad Prusami. Silniki kłuczą na pełnych obrotach a szyby w oknach drżą. Nie bacząc na uroczyste święta, młoców wojny prowadzi swój bezmyślny proceder. Po dwu godzinach o godz. 20-tej, nowy huk dochodzi z przestrzeni powietrznej. Nie było by to intrygujące, gdyż jest normalnym zjawiskiem codziennym, ale ten odgłos dobiega ze wschodu a eskadry niemieckie, nigdy nie wracają tak szybko. Poza tym powracające samoloty niemieckie lecą na niskim pułapie a ten odgłos dociera z dużej wysokości a praca silników wskazuje na lot z obciążeniem. Kończąc swe domysły, gdy nad Lwowem zapalają się światła lampy oświetlające. Blask lamp jest tak silny, że we Lwowie widać wyraźnie kopiec na wysokim zamku, wieże kościelne, kominy fabryczne i budynki. Za chwilę rozlegają się wybuchy bomb. Niemcy zaspali-syreny fabryczne wyją, gdy już od dłuższego czasu na miasto sygnają się bomby. Flak<sup>x</sup> milczy. Zapalają się reflektory. Powolnymi ruchami pro nieni świetlnych, przeszukują niebo, bez skutku. W pewnej chwili jeden z nich chwytą w swe maski dwusilnikowy samolot. Pilot stosuje uniki. Szybko zbliżają się następne świetlne miotły, ale od widocznego w promieniach reflektora bombowca, wytryska struga pocisków działka szybkostrzelnego po osi strumienia świetlnego reflektora. Reflektor gasnie a następne nie potrafią chwycić intruza w swoje świetlne strzały. Odzywają się działa przeciwlotnicze, słabo słyszalne, gdyż zakłusza je nieustanny huk eksplodujących bomb. W powietrzu zapalają się nowe bomby oświetleniowe. W mieście wybuchają pożary. Nad naszymi słowami, huk nadlatujących formacji, nie milknie ani na chwilę. Walot trwa już pełną godzinę a jego intensywność nie maleje. Dobiega druga

x skrót - Flieger Abwehr Kanonen - artyleria przeciwlotnicza

godzina od wybuchu pierwszych bomb. Powietrze zapęknia się nowym warkotem silników. Widać wyraźnie pojedyncze maszyny niemieckie, powracające z lotu bojowego na niskim pułapie. Pierwszy samolot wystrzeliwuje kolorowe rakiety. W odpowiedzi reflektory na wysokim zanku, wypuszczają przerywane sygnały świetlne, ale zaraz gasną. Niemieckie bombowce zdeorientowane, krążą w powietrzu i wreszcie odlatują w kierunku północnym. Dochodzi godzina 22-ga. Intensywność nalotu maleje i ustaje równo z nadejściem godz. 22-giej. Pełno dwie godziny silnego nalotu, spadły nie spodziewanie na Lwów. Wiele bomb spadło na budynki mieszkalne. Wielu mieszkańców straciło życie w ten pamiętny pierwszy dzień świąt Zmartwychwstania Pańskiego 1944 roku.

Po kilkunastu dniach nastąpił następny nalot o podobnym natężeniu i skutkach.

Były to najsilniejsze naloty, jakie przeżył Lwów przez cały okres wojny.

W Prusach życie toczy się w atmosferze strefy przyfrontowej.

Budowa rowów strzeleckich i stanowisk broni maszynowej, na ukończeniu. Rozpoczyna się budowa schronów, dla obsady linii bojowej frontu. Wycinane są lasy, łaski i zagajniki. Kłody drewna dowożone są do przygotowanych kwadratowych wykopów i w charakterze stropów układane są w trzech warstwach krzyżowo. Na kłody układa się papę a następnie słomę warstwą matrowej grubości. Na słomę narzuca się ziemię z hałdy pochodzącej z wykopu. Następnie maskuje się powstały wzgórek kęperami ozimymi okrywającymi pole.

Działalność praskiej samoobrony trwa. Na początku maja przybywa nowa jednostka wojskowa. Lokuje się w pomieszczeniach budynku mleczarskiego. Dowódca major, lokuje się na plebanii.

Jednostka w składzie dwadzieścia kilku żołnierzy, posiada agregat prądotwórczy, uruchomiany na noc. Służy on do oświetlenia pomieszczeń mieszkalnych i podwórza przed wejściem do budynku. Przez noc czuwa uzbrojona warta. Na następny dzień nadchodzi wiadomość z komendy AK ze Lwowa, że jest to jednostka podporządkowana Sicherheitopolizei, przeznaczona do nawiązania kontaktów z polskim ruchem podziemnym. Mają dobry wywiad nasi z AK-komentujemy z kolegami. Jednak trzeba się mieć na baczności.

Z kolegami akowcami spotykamy się teraz codziennie.

Jest maj i z tej okazji odprawia się w kościele, codziennie nabożeństwo majowe. Dzisiaj właśnie wychodzimy z kościoła. Nasza grupa stoi przed kościołem w ożywionej rozmowie. Podchodzi do nas Józek Drozd i prosi mnie na bok. ~~Obchodzą~~ od kolegów z Józkiem  
x policja bezpieczeństwa



mówi: mam coś dla ciebie. Pod jakimś pretekstem zachęcam kolegów do pójścia w kierunku domu Józka, który mieści się za kościołem, przy drodze do Kamienopola. Spacerer udajemy się w tym kierunku. Nadchodzi Józek-wyprzedza kolegów i bierę od niego pakiet owinięty w papier. Domyślam się, że są to naboje do bezaszy. Na polecenie komendy AK, zgłosiłem posiadanie tej broni z zaznaczeniem, że brakuje naboji. Krąg wtajemniczonych powiększa się o Józka Drozda. Efekt tego mam w rękę w postaci 50szt.naboi. Z trudnością wsuwam ten pakiet do prawej kieszeni spodni. Z uwagi na chłodne wieczory, początku maja, mam na sobie jesionkę, co dodatnio wpływa na maskowanie pokatej kieszeni. Zawracamy ze Staszkiem Lewickim do domu. Przyłączają się do nas Broniek Kowalkowski i Broniek Szczepaniak. Jest już ciemno, gdy dochodzimy do kościoła. W ożywionej rozmowie naszej czwórki, dochodzą z na przeciwka słowa wypowiedziane po niemiecku. Na ten odgłos drgnąłem z wrażenia, bo prawnie miałem sobie fakt obecności, nowej jednostki, przybyłej przed dwoma dniami Sicherheitspolizei. W odległości kilku metrów ukazują się sylwetki trzech Niemców. Słyszę twarde słowo-halt!. Koledzy zatrzymują się ja podchodzi jeszcze dwa kroki ku pierwszemu Niemcowi. Od Niemca czuję wódkę-uznysławiam sobie w ułamku sekundy-to korzystna okoliczność-myślę i mówię: es verbindlicht keine Polizeistunde.<sup>xx</sup> Niemiec przerywa ostro: Maul halten!<sup>xxx</sup> Widzę, że drugi Niemiec zaczyna rewizję Bronka Kowalkowskiego. Staję na końcu kolejki i rozpinam jesionkę. Porządkuję kotłujące się myśli. Wiem, że do wadki nie wolno mi dopuścić. Obaj pozostali Niemcy rozmawiają ze sobą. Niemiec kończy już rewizję u Bronka Szczepaniaka i podchodzi do Staszka Lewickiego. W przebiegających po głowie myślach postanawiam: jeżeli sięgnie do prawej kieszeni spodni-walę pięścią w nos i pryskam w stronę lipy przy dziedzińcu kościelnym. Niemiec jest już przy mnie. Wsuwa rękę do lewej kieszeni jesionki i wyjmuję paczkę papierosną-w prawej chwytaczka i kluczyk, w kieszeni marynarki notes, w drugiej jakieś drobne manele. Lewa kieszeń spodni pusta a teraz kieszeń prawa.....Niemiec obejmuje dłonią kieszeń i naciska....Słyszę chrząst ocierających o siebie naboji-zaciskam pięść.....i słyszę-weg!<sup>xxxx</sup> Nie wierzę własnym uszom. Koledzy odchodzą a ja ruszając z miejsca, odwracam głowę do tyłu, jeszcze w napiętej czujności-ale Niemiec dołącza do stojących kamratów i razem ruszają w kierunku domu ludowego.

Wróciliśmy z dalekiej podróży, mówię do kolegów. A o co chodzi? pyta Broniek Szczepaniak. Dostałem od Józka Drozda trefny towar. Okazuje się, że wszyscy widzieli to i podejrzewali, że jest to pakiet niebezpieczny. Co byście zrobili, gdy bym rabnął niemca w nos i ruszył

x - stać  
xx - nie obowiązuje godzina policyjna  
xxx - stul pysk  
xxxx - precz

w kierunku lip przy kościelnym dziedzińcu. Wszyscy zgodnie twierdzą że zrobili by to samo. Uff...odetchnałem z ulgą, jak by to było najważniejsze w tym dramatycznym, minionym przed chwilą incydencie. Teraz pora do domu. Broniek Kowalkowski mówi: schowaj ten pakiet do dziupli lipy a zabierzesz w sprzyjającej okazji. O nie! on będzie u mnie w domu dzisiaj. Nic gorszego nie może się już wydarzyć od tego co się już przed chwilą odbyło. Broniek Kowalkowski z drugim Bronkiem Szczepaniakiem, ruszają uliczką w kierunku zagumienka, a my ze Staszkiem Lewickim ruszamy gościńcem ku domowi odległemu o blisko 1km. Przechodzimy obok kościoła. Najlepiej było by przez sad parafialny, do zagumienka, ale tam na kwaterze major i uzbrojona warta. Musimy przejść gościńcem, odcinek od kościoła do dziedzińca przed plebanią, dalej wzdłuż sadu parafialnego i działkę Krzyszczyków do uliczki ku zagumienkowi. Tam skręcimy w lewo - postanawiam. Pakiet z nabojami muszę wyjąć z kieszeni spodni. Muszę wyjąć, bo przeskakałby w ewentualnej ucieczce. Wyjmuję naboje z zamkiem przełożenie ich do kieszeni jesionki... Przed nami ludzka sylwetka. To żołnierz Sicherheitspolizei. Uważnie patrzy na nas - po minięciu, odwraca się i patrzy. Oddycham z ulgą, bo Niemiec odchodzi. Pakiet z nabojami trzymam w ręce i zniecierpliwiony wpycham go do tylnej kieszeni spodni. Jest ciemna noc. Przechodzimy z czterdziści kroków. Z ciemności dochodzi szwargot Niemca. Co u diabła, czy nie za dużo tych Niemców? Podchodzimy bliżej. Na przemyście wejścia do szkoły, koło Krzyszczyków stoi Sicherheitsman z Maschinennistole<sup>x</sup> w ręku, w otoczeniu trzech dziewcząt. Całe szczęście - myślę i recytuję: guten Abend. Niemiec wpręgnięty, przegina słowę do tyłu, ku nam i burczy: guten Abend.<sup>xx</sup> Trzecia niespodzianka sforsowana. Teraz przed nami główna kwatery Sicherheitspolizei, w budynku mleczarskim odległym o 150m. Idicha lepiej nie kusić. Tej przeszkody sforsować już nie będziemy - twarde postanawiam. Skręcamy w pierwszą uliczkę w lewo i koło Krzyszczyków, oraz Pijałkowskich, wychodzimy na zagumienek. Do domu jeszcze pół kilometra. Ten odcinek pokonujemy już bez przeszkód - porijając dialog z punktami samoobrony. Wchodzę do domu i siadam w małym pokoiku. Głęboko oddycham i czuję rozprzestrzeniające się po całym ciele nerwowe drżenie. To skutek pół godzinnej napięcia. Mimo wszystko jestem zadowolony. Ani na moment nie straciłem panowania nad sobą. Nie czułem strachu. Próbę charakteru w warunkach szczególnego zagrożenia zdałem - moim zdaniem pozytywnie. Przeżyłem już cztery i pół roku okupacji w różnych warunkach, ale po raz pierwszy zostałem poddany rewizji osobistej.

Nie wszystkim w Prusach, podoba się zorganizowana samoobrona.

x - pistolet maszynowy  
xx - dobry wieczór

Zdecydowanym antagonistą jest Jan Lechki, pełniący funkcję sołtysa. Był on kandydatem na gołowa sielradcy-jeszcze w czasie sowieckiej okupacji, ale przegrał w szrankach wyborczych z Kopcem, członkiem KPP. Roześlony przeżył okupację sowiecką i doczekał się-wilnyj Ukrainy-.Tu już konkurencji nie miał i decyzją urzędu gminy w Zapytowie, został sołtysiem w Prusach. Jak na sołtysa przystało, zaczął od picia wódki, z początku umiarkowanie, ponieważ jednak apetyt wzrasta w miarę jedzenia, Lechki nie mógł się wyłamać od tej zasady i zaczął pić coraz więcej i coraz częściej. W stanie upojenia, nie mógł znieść czyjejkolwiek obecności na pruskim gościńcu-zwłaszcza w nocy, Kiedy pod dobrą datą, wracał do domu. Autorytet sołtysa wymagał znikania intruza, z gościńca, z chwilą pojawienia się jego osoby na tej arterii komunikacyjnej. Kto nie uszanował autorytetu-Iwana groźnego-ten dostawał łagą w łeb. Iwan groźny nie mógł znieść istnienia wiejskiej samoobrony, założonej-jego zdaniem bezprawnie-.bo bez przyzwolenia sołtysa, w jego osobie. Podczas libacji u swego satelity Konika naśmiewał się z pruskiej samoobrony i zapowiedział, że jeszcze dzisiaj, w pojedynkę rozpędzi całą pruską samoobronę na cztery wiatry. W roli obserwatora i świadka miał wystąpić Konik.

Uzbrojony w potężną łagę, wyruszył Lechki na podbój najbliższej wartowni mieszczącej się za kościołem. W drodze na posterunek bojowy, dla dodania animuszu, wykrzykiwał mrozące krew w żyłach pogroźki, które nie mogły nie dotrzeć do wartowni. Część strażników nie zdziękowała i przezornie umknęła z wartowni. Jednak jej młoda rezolutna część, postanowiła wartowni bronić. Lechki z potrojoną przez wódkę odwagą, zaatakował grupkę młodych desperatów łagą. Pierwszy cios, częściowo sparowany, dotarł jednak do pleców zaatakowanego.

Ten-ponieważ był uzbrojony w siekierę, w obronie przed ponowieniem ataku, zdzielił agresora w łeb obuchem. Obecni przy incydencie, dołożyli mu jeszcze, co nie co. Świadek Konik, przezornie umknął w porę i powiadomił rodzinę Lechkiego. W rezultacie, Lechki powędrował do szpitala a żona jego Agnieszka, popędziła następnego dnia na posterunek ukraińskiej policji i zażądała interwencji. Policja ukraińska, nie mogła pozostawić sprawy bezkarnie, bo chodziło przecież o ich ziomka i sołtysa w jednej osobie. Wymierzanie kary, zaczęli już na pruskim polu, gdzie zastrzelili pracującego Bobrzeckiego. Z kolei ugodzony nociskiem karabinowym Krocak, zdołał umknąć i uciekając przestrzegł napotkanych po drodze prusaków przed groźącym niebezpieczeństwem. Uczestnicy samoobrony z za kościoła, urządzili na napastników zasadzkę, ale ci zwęszyli co się święci, powrócili na posterunek przez Sroki Dwowskie, unikając w ten sposób-zemsty.

Tak zakończył się tragiczny w skutkach incydent pruskiej samoobrony z sołtysiem Lechkim.

Dowództwo AK we Iwowie przydzieliło do Prus oddział partyzantów. Otrzymałem rozkaz przejęcia dwu z nich z obowiązkiem zakwaterowania i wyżywienia. Przejąłem dwu chłopców w moim wieku i przeprowadziłem na kwaterę w stodole Lewickich. Chłopcy pochodzili z Wołynia. Rodziny ewakuowały się na zachód a chłopcy wyrazili chęć uczestniczenia w obronie przed banderowcami, na kresach. Chłopcy słabo uzbrojeni i przeszkoleni, wtopili się w krąg społeczności pruskiej bez kłopotów. Sprzyjała temu okoliczność pobytu wielu ewakuowanych Polaków, którzy nie byli jeszcze znani wszystkim mieszkańcom Prus. Razem z partyzantami przybył dowódca, chorąży Wilk.

Często zabierał chłopaków na ćwiczenia, które odbywały się na błotach i w pikułowickim lesie. Codziennie spotykałem się z przyprowadzonymi chłopakami na pogawędkę. Mieli w schowku karabin. Znałem też schowek na naboje.

Za pośrednictwem siostry Krysi wszedłem w posiadanie pistoletu damskiego, kalibru 6 mm z jednym nabojem. Broniek Łęcki skarżył się, że nie posiada żadnej broni. Po namyśle, zdecydowałem się poderwać mu ten pistolecik, po zapewnieniu Bronka, że posiada do niego naboje. Broniek chodzi z dziewczyną Anią Drożdżicką.

Pewnego dnia był z wizytą u Ani. Wypił trochę samogonu z rówieśnikami spoza Prus. Z wdzięczności za gościnę, imigranci zaczęli mu podrywać Anię. Zdenerwowany Broniek wystąpił w obronie dotkniętej osobistej ambicji. Imigranci będąc w liczebnej przewadze, ani myśleli ustępować. Zdesperowany Broniek wyciągnął pistolet, co z miejsca dało mu przewagę. Wystraszeni rywale poczęli ustępować. Robili to jednak - zdaniem Bronka, zbyt powoli. Celem przyspieszenia rejterady, Broniek wystrzelił - szczęściem w powietrze. Nie byli tego pewni konkurenci i na huk wystrzału rzucili się do panicznej galopady, znikając błyskawicznie z pola widzenia - ku zadowoleniu Bronka.

Pech jednak chciał, że w sąsiedztwie Drożdżickich, mieszkał na kwatery krawiec Ukrainiec, który świadczył usługi krawieckie dla potrzeb Sicherheitspolizei. Był on przypadkowym świadkiem romantycznego incydentu i natychmiast pośpieszył do mleczarni z zamiarem zrelacjonowania tego, co widział. Sąsiedzi powiadomili o tym Drożdżickich a ci opowiedzieli o wszystkim Bronkowi. Wyraz triumfu znikł momentalnie z jego twarzy, ustępując oznakom całkowitej bezradności.

Ktoś woła, że żołnierze już blisko, lecz Broniek całkiem zakamany stoi w miejscu. Szczęściem, znalazł się w pobliżu Zygmunt Grzecki. Chwyć Bronka za rękę i pociągnął przez zagon ziemniaków, poza

zabudowania i przez panującą już ciemność wieczoru, przeprowadził przez zakopy do swego domu. Ponieważ przez zakopy były przeprowadzone zasięki z drutu kolczastego-przy ich przekraczaniu, obydwaj porozdzierali odzież i poranili ręce i nogi.

Ranikiem następnego dnia, po powrocie z warty, spię na sianie w stodo-  
le. Przychodzi Zygmunt Grzecki, budzi mnie i relacjonuje wczorajsze wydarzenie. Czuję się zagrożony na równi z Bronkiem. Przecież broń otrzymał on ode mnie. Ani na chwilę nie mam złudzeń, aby Bronek był zdolny utrzymać to w tajemnicy. O wydarzeniu wiedzą już rodzice Bronka. W domu, w obecności Stefana Derżko trwa dyskusja.

Stefan Derżko znajduje rozwiązanie. Mam-mówi, elegancki straszak i Bronek, w razie potrzeby odda go z oświadczeniem, że strzelał z niego.

Do domu Łęckich wchodzi „German”-Oberfeldfebel z Sicherheitspolizei. Nazwisko German nie jest jego nazwiskiem. To miano nadali mu prusacy z tej przyczyny, że był on bardzo podobny do przed wojennego komendanta posterunku policji państwowej w Barszczowicach o nazwisku German. Jest Ślązakiem, mówiącym bardzo dobrze po polsku. Prawdopodobnie był funkcjonariuszem polskiej policji państwowej na Górnym Śląsku, przed wojną. Pyta o Bronka Łęckiego a na informację, o tym, że nie wrócił on na noc do domu mówi, że nie odejdzie dopóki Bronek się nie zgłosi. Zygmunt pędzi do domu po Bronka. Ja tymczasem schowałem do skrytki pepeszę i popędziłem do stodoły ostrzec partyzantów Janka i Franka. W stodole pustka, co oznacza, że ktoś już uprzedził mnie. Sprawdzam schowek karabinu... jest pusty. Jeszcze naboje znajduję cztery magazynki z nabojami i wyrzucam je przez szczeliny pomiędzy dyliną ściany a dachem w zagon ziemniaków za stodołą.

Następnie z zachowaniem ostrożności, przysypuję magazynki ziemią i dyskretnie oznaczam miejsce schowku. Zakończyłem te czynności,

kiedy właśnie Zygmunt Grzecki przyprowadził trzęsącego się, jak osika-Bronka Łęckiego. Bronek ma już w kieszeni straszak.

Odetchnąłem z ulgą. Czuję, że niebezpieczeństwo wydatnie ~~zmalało~~ <sup>zmyliło</sup>.

Rzeczywiście-„German” po ogłoszeniu rebrymendy skierowanej do Bronka, zabrał belgijski straszak i wyszedł. Na tym zakończył się romantyczny incydent Bronka Łęckiego.

Jeszcze jedna niespodzianka spadła na prusaków.

Pewnej nocy ~~wjechały~~ wjechały do Prus, wozy załadowane mieszkańcami Żydatycz. Przyczyną ich ewakuacji, było podpalenie budynku, jednego z mieszkańców- Polaka. Pomimo protestu księdza proboszcza Kazimierza Zygmunta, część mieszkańców w pośpiechu, zaczęła ładować na wozy sprzęt domowy i opuszczać wieś. Spowodowało to powszechny wyjazd

Polaków, wbrew opinii księdza proboszcza. W rezultacie w Żydatyczach został tylko ksiądz Zygmunt z kościelnym na plebanii. Osamotnieni, w nocy na przemian<sup>czuwali</sup> w otoczeniu plebanii, rozległy się jakieś szmery i przyciszone głosy rozmów. Ksiądz Zygmunt, znany na okolicę majsterkowicz, z chwilą pojawienia się zagrożenia ze strony banderowskiej zgrał, nie mógł pozostać obojętny. W jakiś sposób zdobył uszkodzony karabin maszynowy, który własnoręcznie naprawił, i spokojnie oczekiwał na rozwój wypadków. Rozgoryczony, opuszczony przez parafian, w odpowiedzi na dochodzące odgłosy, otworzył okno i puścił po otaczających plebanie krzakach serię z karabinu maszynowego, po której odgłosy nie tylko umilkły, ale Ukraińcy w pośpiechu opuścili wioskę. Żydatycze zostały bez mieszkańców.

W tej sytuacji, ksiądz Zygmunt opuścił Żydatycze i przeniósł się na plebanie<sup>do Prus</sup>. Od tej pory mieszkańcy Żydatycz wyjeżdżali codziennie, uzbrojeni do pracy na swoich polach. Nie mniej jednak w Prusach zrobiło się jeszcze tłoczniej.

Wążęjący się po wiosce żołnierze organizacji Todta roznoszą pogłoski o ofensywie alianckiej we Włoszech. W wyniku tej ofensywy, linia Gustawa została przerwana a największy udział w tym natarciu miał polski korpus pod dowództwem generała Andersa. Polacy zdobyli klasztor na masywie górskim Monte Cassino. Po raz pierwszy słyszę wzmiankę o polskich siłach zbrojnych walczących na zachodzie z ust Niemców. Wiadomość ta znalazła potwierdzenie w niemiecko języcznej prasie. Nieco później, czytałem opis bitwy w Biuletynie Informacyjny. Chociaż wiadomości te dotyczą odległego frontu - poruszają jednak mocno serca Polaków, dodając otuchy w tak trudnej dla nich sytuacji. Zdajemy sobie sprawę, że pierwsi wkroczą do nas Śowietci, tylko nie jesteśmy pewni z jakim nastawieniem do Polaków i Polski to uczynią. ....Od strony Krasnego, ze wschodu, słychać intensywny huk. Zdziawiający jest to, że odgłosy te dochodzą w samo południe. Jak dotychczas, podobne odgłosy lotnictwa sowieckiego, słyszane były tylko w nocy. Huk przebiera na sile a jego natężenie wskazuje, że nadciąga na Lwów, jakaś potężna formacja lotnicza. Dziwne, że z lotniska lwowskiego nie startują Messerschmitty, które codziennie przelatują nad Prusami w locie na wschód. Nad Krasnem, pojawiają się błyski wybuchających w powietrzu pocisków artylerii przeciwlotniczej.

Wysoko w górze migocą dziesiątki ogników, pochodzące z odbitych od przezroczystych osłon kabin załogi - promieni słonecznych.

Huk obciążonych silników, panuje nie podzielnie w powietrzu. Słychać drżące brzęczenie szyb okiennych.

Wreszcie jest! W niespotykanym dotychczas szyku w kształcie rombu,

ostżem do przodu, sunie potężna armada składająca się z pięćdziesięciu czterosilnikowych bombowców. Nad formacją, z jej boków i z dołu, przewijają się w wirach roje myśliwców. Jest to amerykańska formacja latających fortec w osłonie dalekosiężnych Mustangów. Nad Lwowem rozbrzmiewa wycie syren fabrycznych. Potężny huczący romb dociera już prawie nad Prusy. Od ostrza rombu wylatuje rakietka. Leci łukiem w górę a następnie, powoli opada ku ziemi. Na sygnał rakietki cały potężny romb przechyla się w wirażu i zmienia kierunek lotu o 90° z zachodniego na południowy, nie naruszając ani odrobiny szyku rombu. Za pierwszą formacją, nadlatuje druga i w identycznej scenerii, powtarza manewr poprzedniczki z gracją baletowej tancerki. Nic dziwnego, że Messerschmitty nie wystartowały do walki. W osłonie latających fortec, leci około 200 Mustangów, najszybszych i najsilniej uzbrojonych myśliwców ówczesnego świata. Niezależnie od tej osłony, każdy amerykański bombowiec jest wyposażony w sześć ciężkich karabinów maszynowych i działek szybkostrzelnych. Luftwaffe niegdyż jest już zdolna przeciwstawić się skutecznie tej ruchomej superfortecy.

W takiej scenerii upływa dzień za dniem.

W dniu 6 czerwca alianci lądują u wybrzeży Francji. To ostatni akt zapowiadający rychły koniec osamotnionej w Europie Rzeszy hitlerowskiej.

Gdzieś w połowie czerwca jestem na dziedzińcu przy kościele. Od rana w przestworzach panuje ożywiony ruch. Kręcą się w formacjach dwójkowych i trójkowych myśliwce sowieckie. Pojawia się na arenie teatru wojennego nowy element w postaci szybkostrzelnych działek przeciwlotniczych. Jest to wskaźnik bliskiego już frontu. Te właśnie działka podejmują pojedynek z kręcącymi się po niebie myśliwcami sowieckimi. Od czasu do czasu słychać charakterystyczny stukot serii sprzężonych działek a nie opodal myśliwców sowieckich, ukazują małe kleksy po wybuchach pocisków, wystrzeliwanych przez te działka. Myśliwce sowieckie, natychmiast kołyszają się w unikach, starając się wyjść spod ostrzału. Widać wyraźnie, że mają respekt dla tej kąśliwej broni. Dziś w powietrzu kręci się ich wyjątkowo dużo. Robi to wrażenie, że w rejonie Lwowa, Sowietai osiągnęli przewagę w powietrzu.

Jednak Messerschmitty przyjmują wyzwanie. Nagle w powietrzu zaroilo się od czarnych krzyży. Ich widok podzielał, jak czerwona płachta na byka. Rzucają się ku Messerschmittom: Jaki, niggi, ławoczki. W powietrzu zakotłowało się. Z miejsca uformowało się

kilkadzieś par kręcących się w wirażach. Huk pracujących z różnym natężeniem silników, dominuje w powietrzu. Huk ten z rzadka przerywany jest serią broni maszynowej. Kręcące się w opętaniczym kołowrocie myśliwce, nabierają wysokości. Widać już tylko małe sylwetki maszyn, które wreszcie nikną zupełnie z oczu. Jestem rozczerowany. Moje wyobrażenie o walce powietrznej, wyraźnie koliduje z rzeczywistością. Ta tocząca się w powietrzu, niewidzialna już bitwa, jest mało efektowna. Wygląda to raczej na zawody w uzyskaniu jak największej wysokości a nie groźna walka o unicestwienie przeciwnika. Efektu tej bitwy jak na razie nie widać. To, że coś tam w powietrzu się dzieje, można wnioskować tylko po pracy silników, chwilowo huczących pełnym gazem, to znowu słyszalne, jakby w przytłumionym rytmie ich pracy, oraz bardzo rzadkich serii broni maszynowej.

Zmudzony, już mam zamiar odejść, gdy po blaszanym dachu kościoła bębni ostra seria trzasków, jak by grochem sypnął. Na tynku ściany kościelnej, ukazują się kłęбки odbitej zaprawy. Nie ma żartów, trzeba się kryć pod okap dachu. Słychać huk pracującego na wysokich obrotach silnika. Huk wznaga się. Z firmamentu niebieskiego wypada sylwetka samolotu....leci wprost na wieś. To Messerschmitt zbliża się ku ziemi-wreszcie wali w nią z równoczesną eksplozją, niczym bomba.

Po chwili nastąpiła sylwetka wypada z przestworzy, leci w korkociągu. To również Messerschmitt. Ten ma silnik unieruchomiony i cicho wali w łąkę, gdzieś pod Mikłaszowem. Na niebie dwie czasy spadochronów, z dyndającymi figurkami pilotów. Batalia powietrzna zakończona.

W powietrzu cisza-tylko 2 Messerschmitty latają dokoła opadających spadochronów, eskortując ich do opadnięcia na ziemię.

Efekt dzisiejszej bitwy powietrznej, wskazuje na to, że zwycięzcami zostali myśliwcy sowieccy. Nie jest to przypadek wyjątkowy.

Passa niepowodzeń lotników niemieckich trwa już od zimy. Przy jej końcu, na łąkach podboreckich lądował samolot transportowy Ju-52.

Przy lądowaniu doznaje uszkodzeń, czyniących z samolotu nie przydatny wrak. To samo dzieje się z samolotem tego samego typu, który wylądował przymusowo na łąkach pod Srokami Lwowskimi. Na błotach, przy kanale rządowym ląduje również przymusowo sześć-silnikowy samolot transportowy Me-323 zwany Gigantem. Stoi tam pod Żydatyczami do dzisiaj z ogonem zadartym do góry. Te wypadki przymusowych lądowań świadczą o wyeksploatowaniu maszyn nie remontowanych w odpowiednim czasie.

.....Jakaś cisza przed burzą wisi w powietrzu. Nie daleki front tkwi w miejscu już trzeci miesiąc.

We Francji w Normandii trwają zacięte walki pod Caen. Postęp wojsk sprzymierzonych dosyć mizerny. Niemcy podają triumfalne komunikaty



o druzgoczących w skutkach atakach latających bomb V-1 na Londyn. Nadchodzą wieści o zamachu na Hitlera, w ostatecznym efekcie nie udanym.

A w Prusach Niemcy, jak by wyczuwali nie uchronny, bliski termin ofensywy sowieckiej. Na błotach, przy moście kolejowym wykonali tamę. Wysoki nasyp toru kolejowego ma spełniać rolę grobli. Wody Kanału Rządowego zaczynają zalewać torfowiska szerokim, na kilkaset metrów pasem. Koniec zalewiska, przy szosie Lwów-Równe.

W Prusach linia umocnień, już zakończona. Niemcy wykorzystują system nawadniający na pruskich łąkach i zapełniają kwadraty irygacyjnych pól wodą. W przepełnionych Prusach atmosfera wyczekiwania.

Ekipa Kazachów i Uzbeków, wyjeżdża z Prus. Samoobrona działa nadal. Z partyzantami Jankiem i Frankiem siedzimy na dworze. Od strony Biłki Królewskiej, leci samolot. Silnik samolotu przerywa. Coś białego wypada z samolotu a sama maszyna przechyliła się w zakręcie i kieruje się ku ziemi. Samolot wali o ziemię. Widzimy słup ognia i po Messerschmitcie. Na niebie czasza spadochronu-to ten biały przedmiot co wypadł z samolotu.

Po kilku godzinach rozchodzi się wieść, że organizacja Todta pakuje manele i szykuje się do odjazdu. Następna wieść donosi, że Sowieci rozpoczęli ofensywę. Wszystko, co się dzieje w Prusach ma logiczny związek z rozpoczętą ofensywą. Pakuje się Sicherheitspolizei. Wieczorem już nie ma w Prusach ani jednego Niemca. Teraz trzeba wzmóc czujność. Obecność Niemców w Prusach była uciążliwa, ze względu na zagrożenie dekonspiracji uczestników samoobrony. Ale równocześnie była czynnikiem odstrasającym dla banderowców. Prusacy trzymają wartę pod bronią.

Wykonana linia umocnień jest pusta. Schrony dla żołnierzy czekają na obsadę. Jednak niszczycielska machina wojny działa. Żołnierzy na linii obronnej nie ma, ale na placu ducha przy sklepie kółka rolniczego pojawia się grupka żołnierzy. Wchodzą do stanowisk dla karabinów maszynowych i coś tam poprawiają, podkładają pod nogi cegły. To niszczyciele czołgów. Mają w ręku panzerfausty, czyli pięć ci pancerne. Jeden z nich wchodzi do owalnego wykopu dla karabinu maszynowego i mierzy do ~~murzyn~~ ściany baraku wykonanej z płyt ceramicznych. Rozlega się huk, z tyłu rury wyrzutowej panzerfausta wytryska płomień. Od rury odrywa się grusza pocisku i leci łukiem ku barakowi. Pocisk uderza w ścianę, rozlega się huk wybuchu. W ścianie powstaje sporej wielkości dziura. Eksperyment udany, broń ujawnia swoje niszczycielskie możliwości. Od stacji w Barszczowicach ukazuje się parowóz. Ciągnie za sobą,

jakąs przyczepę ciężką z ogromnym hakiem. Parowóz sapiąc, jedzie powoli a hak łamie ~~maszyny~~ drewniane podkłady pod tory, jak zapalki. Za hakiem szyny stalowe przybierają kształt spirali a tłuczeń na podtorzu porozsuwany <sup>na</sup> ~~po~~ całkowicie zrujnowanej budowlu komunikacyjnej. To jeszcze nie koniec działalności dewastacyjnej niszczycielskich ekip. W pewnej odległości za parowozem idzie grupa w której każdy uczestnik ma określone zadanie. Część z nich rozkłada na każdej szynie po obu stronach, co kilka metrów, laski dynamitu, na ~~imi~~ ~~prz~~ stopce szyn. Inni przy każdej lasce dynamitu układają lonty z detonatorami. Ostatnia dwójka zapala lonty. Cała ta grupa maszeruje wzdłuż toru a w odległości kilkadziesiąt <sup>sięciu</sup> ~~metrów~~ metrów za tyłu, następują eksplozje założonych ładunków.

Oglądam tą niszczycielską kawalkadę z Prus. Z odległości około 3km, sylwetki ludzi to groteskowe postacie, jak z bajki. Jednak i z tej odległości można dokładnie rozpoznać ~~szczegóły~~ nawet najdrobniejsze szczegóły. Widzę nieprzerwany marsz ekipy ściganej przez gejzery wybuchów sunących w ślad za ludźmi. W pewnej chwili, wybuchy zbliżają się niebezpiecznie do ruchomej grupy, która rusza biegiem oddalając się przed groźnym natrętem. Ekipa dochodzi do mostu na Pełtwi. Tu cała grupa zatrzymuje się. Domyślam się, że przygotowuje most do wysadzenia. Po piętnastu minutach karawana rusza, prowadząc za sobą sznureczek wybuchów. Ludziki przeszły pół kilometra od mostu i wtedy most wylatuje w powietrze. Niebawem ta hałaśliwa kawalkada niknie za pasmem wzgórz podboreckich. Teraz nie widać nic, tylko słychać serie wybuchów postępujących naprzód w ślad za sprawcami niszczycielskiego exodusu.

Te same odgłosy dochodzą od strony linii kolejowej: Lwów-Zuck-Kowel. Różnica polega na tym, że tu nie ma lokomotywy z hakiem do łamania podkładów.

..... Jesteśmy z Frankiem Karstem/partyzantem/ na pagórku za zagumienkiem. Dokonaliśmy przeg<sup>ładu</sup> ~~nia~~ umocnień, które powinna obsadzić załoga schronu położonego na naszym polu.

Już kierujemy się ku domowi, gdy dochodzi do znajomy gang samolotów lecących na nie dużej wysokości. Wprost na nas leci eskadra Iłów. Kładziemy się w bruzdy przy miedzy. Iły są już nad nami i powietrze przeszywają serie karabinów maszynowych. Kierunek strzałów wskazują smugi wylatujących pocisków. Celem jest pruski kościół parafialny. Iły wystrzelują też rakiety. Serie milkną a samoloty zakręcają w lewo i zakręcają ku wschodowi nad pasmem wzgórz podboreckich. Po godzinie przychodzi do domu siostra Krysia i opowiada, że od ostrzału Iłów zginęła żona kierownika szkoły w Prusach - ~~Suzanna~~

pani Stecowa. Trafiona kilkakrotnie w ~~kręku~~ brzuch kulami, czy też odłamkami rakiet, zmarła w czasie nakładania opatrunku przez Krysię. Nie wiem, co ostrzeliwały samoloty. Szkoła mieści się obok kościoła. Może kościół był tym źródłem zagrożenia?

....W południe przyjechała wozami konnymi formacja żołnierzy rosyjskich zwanych własowcami. Lokują się grupami po całej wsi.

Wprowadza to trochę niepokoju, dotyczącego zamiaru z jakim przybyli. Słuchając rozmów prusaków dotyczących zamiarów własowców nie odczuwam zagrożenia. Jestem przekonany, że na wsi jest sporo broni. Są chłopcy z Wołynia z Wilkiem. Z młodych prusaków można zebrać zespół zdolny do nie byle jakiej obrony.

Wieczorem ustnym przekazem nadchodzi wiadomość, że w Pikułowicach, została przeprowadzona łapanka mężczyzn w wieku poborowym. Łapankę przeprowadzili własowcy pod komendą Niemców.

Tak więc, cel przybycia własowców został wyjaśniony.

Następnego dnia, rankiem wszyscy zagrożeni łapanką mają się na baczności. O godzinie dziewiątej nadchodzi wiadomość, że zatrzymani w łapance <sup>w Pikułowicach</sup> mężczyźni zostali przeprowadzeni do Prus i umieszczeni pod strażą w młynie.

Łapanka w Prusach może się rozocząć lada chwila.

Wychodzę z domu na pole. Na polu już pełno młodych prusaków. Dyskutujemy na temat łapanki. Czas wlecze się wolno. Nie wiemy, co się dzieje we wsi. Jest to przedsmak tego, co nas czeka .w przypadku nadejścia tego momentu.

Już po południu, czas na obiad. Schodzimy z pola i rozchodzimy się po domach.

Po spożyciu obiadu, podążam do sąsiadów Lewickich. Zagrożeni łapanką? Staszek, Wojtek i Zbigniew Lewiccy są w sadzie. Podchodzę do nich i mówię: nie bardzo mi się uśmiecha ucieczka przed łapanką w pola. Wielką nie wiadomą jest, jak długo trzeba będzie tam przebywać. Żadnej łączności z domem. Noce chłodne a w przypadku opadów deszczu, sytuacja będzie nie do pozazdroszczenia. Lewiccy godzą się z moją opinią. Tu w sadzie jest schron z kamienia, przygotowany na schowek na wypadek banderowskiego napadu. ~~Szeptem~~ mówi Wojtek Lewicki. Chcę ten schron obejrzeć - mówię. Podchodzę za Wojtkiem a Wojtek pokazuje mi czworożny stos kamieni cały porośnięty dokoła pokrzywami z zewnątrz niewidoczny. Wejście przy starej gruszy, nie do odgadnięcia. Wojtek ma trudności z <sup>10</sup> odszukaniem, chociaż był już w schronie. Odszukujemy wreszcie ~~głaz~~ <sup>10</sup> zamykające ~~wejście~~ wejście. Wnętrze niskie umożliwiające pobyt co najwyżej w pozycji siedzącej. Doskonały schron - mówię. Tu włączymy w razie łapanki. Trzeba tylko

rozłożyć kilka snopków słomy-mówię, bo nie wiadomo, jak długo przyjdzie nam tam przebywać. Po co słoma mówi Wojtek, lepsze siano i wskazuje na stóg stojący obok. Wnosimy siano i rozkładamy równomierną warstwą. Tu można przesiedzieć <sup>1/2</sup>cośby i tydzień-mówię.

Samo położenie schronu w zacisznym sadzie z dojściem tylko z jednej strony, bardzo korzystne. Idę do domu i powiadamiam o moim zamiarze domowników. Siostra Krysia, sceptycznie zapatruje się na moje postanowienie i uważa, że najlepszą schron to łany zboż na polach. Zdecydowany, odchodzę do sadu Lewickich.

Siedzimy w sadzie, osłonięci od światła zewnętrznego. Słońce ma się ku zachodowi. Na wsi normalna cisza.

.....Nagle przez wieś przechodzi, jak by szmer, gdzieś pada pojedynczy strzał, w innym miejscu, kobiecy pisk. Czas na nas chłopcy-mówię Nadbiega siostra Krysia i woła: już łapanka, uciekajcie w pola, wszyscy tam uciekają i wylicza kto uciekł a kogo schwytali.

Idę zdecydowanie w stronę schronu. Krysia mówi: ja ciebie proszę uciekaj w pole. Próżne gadanie, to sprawa przemyślana-mówię. i wchodzę do środka przez dość ciasny wjazd. Za mną podążają Lewiccy. Krysiu-mówię pomóż nam przykryć wejście głazem i idź do domu, bo sprowadzisz nam tu łapaczy. Z pomocą Krysi zamykam wjazd. Czy z zewnątrz można dojrzeć wjazd-pytam Krysię. Nie widać *nic* tylko kamienny stos. Krysia odchodzi a my słuchamy odgłosów wsi. Słychać krzyki własowców, pisk i płacz kobiet. Ciągnie się to prawie dwie godziny. Jest już noc i zasypiamy.

Około północy budzę się na odgłos kroków i przyciszoną rozmowę. Poznaje głos Marysi Lewickiej i Zygmunta Grzeckiego. Gdzie tu jest wejście? pyta Marysia. Podejdz tu do gruszy, ja odepchnę głaz. Wypycham głaz i do schronu przeciska się Zygmunt. Jak tu zacisznie i ciepło mówi. ~~Zx~~ Tak w dzień słońce nagrzewa kamienie a te nocą oddają ciepło-odpowiadam. Zygmunt opowiada swoje przygody w polu. Wspólnie z innymi uciekinierami brodzili po polach. Rosa już opadła więc przemoczyli nogi i spodnie. Na domiar złego spadł drobny deszczyk. Zacząłem marznąć i chwyciły mnie dreszcze. Miałem tego dosyć i postanowiłem wrócić do wsi. Dotarłem do Lewickich i Marysia zaprowadziła mnie do was. Zygmunt rozgrzał się i usnął a ja zaraz za nim.

.....Budzi mnie turkot wozów konnych na gościńcu. Turkot sичnie. Słychać warkot motocykla. Motocykl wjeżdża w uliczkę, na podwórza a z podwórka Lewickich, do sadu. Zawraca i meandrując pomiędzy drzewami, odjeżdża. Po chwili ruszają wozy konne i wjeżdżają do

sadu. Po pół godzinie, cały sad jest zapełniony wozami. Słychać rozmowy po rosyjsku—to własowcy. No wadliwy, jak śliwka w kompot-stwierdzam wmyślach. Na domiar złego, Zygmunt zaczyna kaszleć. Szturkam go w bok. Zygmunt budzi się i przez jakiś czas w schronie panuje cisza. Nie mogę jednak pozwolić sobie na zaśnięcie. Tak głupio wpaść w tak wspaniałej kryjówce? Odpędzam myśli o śnie i od czasu do czasu, szturkam Zygmunta w bok. Zasypiam dopiero o brzasku. Budzę się, gdy współlokatorzy rozmawiają półgłosem. Jest pełnia dnia. Bądźmy głodowali mówię. Ale po chwili słyszę głos matki Staszka Lewickiego, zwołującej kury do karmienia tuż przy schronie. Domyslam się, że rozsypuje pszenicę. Po chwili przez szczeliny, pomiędzy kamieniami, zaczynają spadać na nas, gotowane jajka i chleb. Sprytnie pomyślane—myślę. Były tylko własowcy odjechali jak najprędzej. Na razie, nie zanoszą się na to. Na dworze ruch w przestworzach. Trwa pojedynki sowieckich myśliwców z szybkostrzelnymi działkami. Nadchodzi Marysia Lewicka i informuje, że brat Broniek został <sup>schwyty</sup> (przez własowców. Wszyscy schwyty wyszli już z Prus i poszli w stronę Kamienopola.

Słyszemy wybuchy pocisków artyleryjskich. Około godziny 10-tej słychać przelot Iłów a następnie serie karabinów maszynowych. Własowcy w sadzie, zaczynają zaprzęgać konie. Wszystko to obserwuję przez szczeliny pomiędzy kamieniami schronu. Konie zaprzęgnięte, gotowe do wyjazdu. Pozostawione w zaprzęgu, gryzą trawę w sadzie. Po południu, znowu ruch. Własowcy poprawiają <sup>p</sup> polataną uprząż. Mijają minuty i godziny a własowcy siedzą na trawie i rozmawiają. Jest późno po południe—nadchodzi Marysia Lewicka i z płaczem oznajmia, że brat Broniek zginął w wyniku ataku Iłów na kolumnę schwytych prusaków, w Podborcach. Ojciec pojechał po ciało. Zapada zmierzch a w nie dalekiej odległości rozlegają się ostre trzaski wybuchów granatów. Tym razem jest to skuteczny bodziec dla własowców, którzy szybko porządkują uprząż i pierwsze wozy zaczynają wyjeżdżać z sadu. Po pół godzinie sad jest pusty. Wychodzimy ze schronu. Rozprostowujemy kości i idziemy do domu ~~xx~~ Lewickich. Na stole stoi truma a w trumnie leżą zwłoki Bronka. Klękamy przy trumnie i modlimy się. Broniek pozostawił młodą żonę i małą córeczkę, którą bardzo kochał. W Podborcach zginęło kilku prusaków, część odniosło rany a część korzystając z zamieszania w czasie nalotu—uciekła. W Prusach atmosfera frontowa. W południe przejechała po gościńcu kolumna czołgów w kierunku Pikułowic. Następnego dnia, wczesnym rankiem na gościńcu pojawia się wojsko

Naszą uliczką idzie gęsięgo oddział wojska. Żołnierze wchodzą na podwórka. Kilku żołnierzy zdejmują karabiny i strzela do kur space-  
rujących na podwórkach. Zabite kury wręczają Piotrowskiej z poleceniem przygotowania rosółu na godziny po południowe.

Na podwórkach pokazują się tylko kobiety. Mężczyźni przezornie unikają kontaktu wzrokowego z Niemcami, ukryci w różnych schowkach. Żołnierze udają się na pole, celem obsadzenia przygotowanych umocnień. Przy okazji przechwytyją starszych mężczyzn, nie zagrożonych łapanką i z kosami zabierają ze sobą. Ci kosiarze wykaszali zboża przed stanowiskami ogniowymi, celem odsłonięcia pola ostrzału broni maszynowej.

Około godziny 10-tej rozlegają się pierwsze strzały.

Na naszym podwórzu, jest urządzony schron, przygotowany na wzór wykonywanych schronów frontowych. W tej chwili toczymy Zygmuntem Grzeckim i szwagrem Drozdem potężny gład, celem osłonięcia wejścia do schronu przed ewentualnymi pociskami. Na linii frontowej trwa wymiana strzałów karabinowych. Najbliższe stanowiska obronne pierwszej linii bojowej są oddalone od nas o 150m. Do schronu przy naszym domu schodzą się sąsiadki z dziećmi. Nie ma miejsca dla mężczyzn. Nie przejmuję się tym. Siadamy z Zygmuntem Grzeckim na gładzie przysłaniającym wejście do schronu i wsłuchujemy się w odgłosy bitwy. Linia ognia ciągnie się od torów kolejowych od strony Żydaticz, na północy i łukiem kieruje się ku południowi, po zachodnim <sup>stronku</sup> strumyku Rudka, dochodzi do pańskiego sadu i kończy się przy sklepie kółka rolniczego a po przeciwnej stronie gościńca są jeszcze dwa stanowiska karabinów maszynowych. Jedno na placu ducha a drugie przy ogrodzeniu domu Pajtrów. Dalej ku południowi, przez zakopy do Malechówki, dostęp przegradzają zasieki z drutu kolczastego a od Malechówki, do rzeki Pełtwi rozciąga się lustro wodyszerokości 1km. Zalewisko to powstało z uruchomienia systemu irygacyjnego, wykonanego na kilka lat przed wojną przez polskie służby wodne. Stanowi ono najlepsze, jakie można sobie wyobrazić, zabezpieczenie południowej flanki niemieckiej linii bojowej.

Wzdłuż tej linii, rozbrzmiewa w tej chwili trzask wybuchających granatów artyleryjskich i moździerzowych min. Rozlegają się serie karabinów maszynowych. Zaraz za strumykiem Rudka zostały przygotowane trzy stanowiska dla granatników. W akcji jest też granatnik usytuowany, gdzieś za stodołą Dorociaków. Na polach słychać wybuchy sowieckich pocisków artyleryjskich, wyszukujących stanowiska granatników. Widzę też pociski wybuchające na polach kamienopolskich, gdzie znajdują się również linie polowych umocnień

od strony kółka rolniczego, rozlegają się krótkie serie karabinów maszynowych.

Przed wejściem do naszego schronu, leży przeciągnięty kabel telefoniczny od jakiegoś sztabu do pierwszej linii bojowej. Kabel za podwórzem Lewickich, skręca w lewo ku polom i wodzi w łan żyta Lechickiego. Wzdłuż kabla, w łanach zbóż, wydeptana jest ścieżka, po której, w pewnych odstępach czasu, przechodzą, lub przebiegają łącznicy, prawdopodobnie ze sztabu dowództwa do pierwszej linii bojowej.

Od strony Baraszowic, pod osłoną nasypu kolejowego, widzę dwa samochody ciężarowe. Jadą powoli w kierunku Pełtew. W odległości kilkuset metrów od rzeki, samochody zatrzymują się. Po chwili na samochodach zadymiło potężnie w powietrzu pojawiły się smugi rakiet wystrzelonych w kierunku Mikłaszowa. Po chwili niszczący huragan wybuchów przetoczył się przez wieś. Samochody podjeżdżają pod samą Pełtew i powtarzają niszczycielską salwę. Mikłaszów zamienia się w wulkan, nad którym unosi się kłębiąca warstwa dymu i kurzu i szerokie ogniska płomieni. Nad Bilką Królewską widać balon obserwacyjny na uwięzi. Nie wiem dlaczego ten balon kojarzy mi się z seriami karabinów maszynowych przy sklepie. Podejrzewam, że serie te są kierowane na widocznego na horyzoncie balona.

Nieco zmęczeni, siedzimy z Zygmuntem na kamiennym głazie, gdy nad głowami słyszemy gwizd przelatujących pocisków artyleryjskich. Równocześnie słyszemy ostry trzask eksplodujących w pobliżu granatów. Instynktownie, głowami w dół, staczamy się do wąskiego przekopu wejścia do schronu. Wybuchy nie powtarzają się. Ostrożnie wychylamy głowy z przekopu a następnie powracamy na gład.

Rozglądamy się dokoła i widzimy tumany kurzu na podwórzu Dorociaków. Widzimy dwa leje w ogrodzie sąsiadów Kowalskich, w odległości 40m od nas. Od Dorociaków, wychodzi dziadek z łopatą i zaczyna zasypywać długi lej, przed domem. Odważny, lub nie roztropny ten dziadek, mówię do Zygmunta. Odwracam głowę ku gościńcowi i wzrokiem chwytam wgnętkę po wybuchu pocisku na ścianie domu wujka Preisa, tuż pod okapem dachu. Ogarnia mnie nienacko los wujków. Idę w kierunku domu wujka. Przed domem stoi blada wujenka. Czy nie złego nikomu nie stało się u was? pytam. W domu byłam tylko ja, odpowiada wujenka. Wieszkałam do domu przygotować coś do zjedzenia. Poszłam do pokoju, zobaczyć, która godzina i w tym momencie nastąpił huk, dom się zatrzęsł a stary zegar z kukułką hrymnał na podłogę.

Szczęśliwą można nazwać tą artyleryjską salwą, w wyniku której nikt nie zginął, nikt z mieszkańców nie został nawet draśnięty.

Nie zapalił się również żaden budynek. Myślę, że ta salwa była przeznaczona dla granatnika, na stanowisku koło Dorociaków, który systematycznie wysyła pociski, gdzieś hen w pole.

Zaniepokojony tą serią wybuchów, zastanawiam się, czy nie należy wyszukać bezpieczniejszego miejsca od odkrytego stanowiska na kamiennym gładzie. Jest przecież murowana piwnica pod stodołą. Nad piwnicą trzy metrowa warstwa siana z pierwszego pokosu. Nawet najcięższy pocisk nie dotrze do tego naturalnego bunkra.

Wchodzimy do piwnicy. Po dziesięciu minutach mamy dość. Zbyt głucho, zbyt ponuro tu. Tam na zewnątrz dzieją się ciekawe rzeczy a w piwnicy czas wlecze się niczym ślinak. Wychodzimy z piwnicy i powracamy na gład. Nad głową słyszę gwizd z równoczesnym uderzeniem czegoś w mur domu, tuż obok mnie. Dostrzegam świeży odprysk cegły od uderzenia karabinowego pocisku. Jednak to jest front a uderzenie pocisku karabinowego świadczy o jego bliskości.

Bezustanny łomot wybuchających pocisków słychać z pól od strony Żydaticz. Skutki wybuchów są nie widoczne, gdyż pola przesłaniane są pagórkami u stóp, którego położona jest wieś. Natomiast wybuch każdego pocisku na polach kamienopolskich jest doskonale widoczny z naszego gładu.

Wśród tych rozmyślań słyszę łomot wybuchów, dochodzących od strony za kościoła. Widzę unoszący się dym ponad dachami zabudowań. Najpierw są to grzyby po wybuchach pocisków a następnie dymy z płonących stodoł. Nniej szczęścia mają prusacy z tej części wsi. Tam ostrzał spowodował ofiary śmiertelne. Spłonęło też kilka stodoł. Po nie długim czasie, nawała artyleryjskiego ognia przetacza się przez Kamienopol. Widzę trzy pociski eksplodujące jeden po drugim, na dachu nie czynnego młyna Burbyży. Wybucho też kilka pożarów. Są tam też ofiary śmiertelne. Już po przejściu frontu rozeszły się wieści, że eksplozje pocisków, wypłoszyły ze schowka we młynie córkę kamienopolskiego karczmarza - Sarę, Żydówkę.

Cała rodzina zginęła w getcie w Jaryczowie Nowym. Nikt nie wie - dzisiaj, co się stało z Sarą, aż gdy ten ostrzał spowodował dekonspirację. Dziwili się ludziska, że Ukraińiec, nacjonalista Burbyża zdobył się na taki akt wielkoduszności i przechował Żydówkę przez tak długi okres. Nie był to jednak akt wielkoduszności.

Burbyża zakochał się po prostu w Sarze i wkrótce po nadejściu Sowieców, ożenił się z Sarą.

Odchodzę jednak od tej dygresji.

Posterunek na gładzie opuścił Zygmunt. Zbyt monotony przebieg mają tu wydarzenia - powiedział. Idę, bo muszę obejrzeć, co się dzieje



we wiosce. Na kamieniu pozostałem osamotniony.

Na wydeptanej, wśród żanu żyta ścieżce, ukazuje się sylwetka biegnącego żołnierza. Opuszczam głaz i chowam się do szopy z torfem. Lepiej unikać takich spotkań ze zdenerwowanym Niemcem.

Słyszę słowa rozmowy. Przez szparę widzę Niemca pytającego siostrę <sup>(Zosie)</sup> o coś, czego ona wyjaśnić nie jest w stanie.

Natychmiast wychodzę z szopy i podchodzę do Niemca: was wollen sie wissen? pytam. Wo ist Granatwerfer? <sup>XX</sup> słyszę w odpowiedzi.

Min hundert fünfzig meter weiter, hinten dieser Scheune- <sup>XXX</sup> pokazuję mu palcem stodołę Dorociaków... Niemiec odwraca się, robi dwa kroki i powraca do mnie ze słowami: haben sie etwas zu rauchen? <sup>XXXX</sup>

Wyciągam z kieszonki Umana i podaję niemcowi - zapalam zapalke, niemiec odpala papierosa, trzęsącymi od zdenerwowania rękami.

Chce coś powiedzieć, ale odwraca się, robi dwa kroki i znowu przys- <sup>XXXXX</sup> taje. Was ist los? <sup>XXXXX</sup> pytam, Verfluchter- Leutnant kaputt. Nie odpowiadam nic, bo coś mogę powiedzieć, że mi przykro?

~~Krzyszczak~~ ~~niektóre słowa~~ Niemiec odwraca się i podąża do granatnika ~~Krzyszczak~~ Przypominam sobie słowa mojego szwagra Hermana Władka, wypowiedziane w roku 1936. W owym roku spędzałem wakacje w Mitulinie w powiecie złoczowskim, gdzie szwagier z siostrą Krysią byli nauczycielami w miejscowej szkole. Przy stole toczyła się dyskusja dotycząca wartości żołnierza na froncie. Szwagier zabrał głos i powiedział: żołnierz niemiecki należy do najlepszych w świecie, dopóki otrzymuje rozkazy. W przypadku śmierci dowódcy żołnierz ten traci połowę swej wartości. Słuszność tych słów, potwierdził dzisiaj niemiecki żołnierz, któremu zginął dowódca.

Ja dzisiaj byłem świadkiem <sup>II</sup> jeszcze czegoś innego. Dobiega końca piąty rok wojny a ja po raz pierwszy zobaczyłem żołnierza niemieckiego wystraszonego, zagubionego w swej bezradności, żołnierza, który po raz pierwszy poprosił o papierosa swego wroga.

W tej słabości natury ludzkiej, w żołnierzu tym zobaczyłem normalnego człowieka, który może być sympatycznym.

..... Na styku żak i pól uprawnych u podnóża wzgórz podboreckich, ukazują się grupki żołnierzy podążających w kierunku Kamienopola. Wśród grupek pieszych, trzech żołnierzy ciągnie coś za sobą.

Rozpoznaję karabin maszynowy na kołkach. Od czasu do czasu w pobliżu grupek wykwita wybuch pocisku moździeżowego. Wówczas żołnierze zapadają w żany zbóż, lub zagony ziemniaków, czy buraków. Po chwili wychodzą i pełzną ku Kamienopolowi. Kończy się żaka.

Dróżka wchodzi na pola uprawne. Grupki żołnierzy wchodzi w tą dróżkę i po chwili nikną pomiędzy żanami zbóż.

- x - co chcecie wiedzieć?
  - xx - gdzie jest miotacz granatów?
  - xxx - masz coś do zapalenia?
  - xxxx - co się stało?
  - xxxxx - leutnant zginął.
- xxx - 150 metrów dalej, za tą stodołą.

Nie ulega wątpliwości, że są to żołnierze sowieccy.

Od Kozierskich wychodzi żołnierz niemiecki w panterce.

Z boku naroża domu ustawia na nóżkach karabin maszynowy typu Spandau. Zawraca do domu Kozierskich i wynosi składane żelazne łóżko. Rozkłada łóżko za osłoną ściany i kładzie się na nim z książką w ręce. Od czasu do czasu wychyla głowę z za węgła i obserwuje przedpole w kierunku pańskiego sadu. Nie wiem, jakie zadanie ma ten żołnierz, ale po godzinie wnioskuję, że zamyka on jakąś lukę w systemie ogniowym karabinów maszynowych terkocących od rana przy sklepie kółka rolniczego. Nie do wiary, ale ciągle mam wrażenie, że linia frontu jest położona znacznie dalej, aniżeli jest istotnie. Jednak ten Spandau, jest oddalony o 100m a teren przed nim to poprostu ziemia niczyja. Słońce już nad zachodem. Intensywność ognia maleje, wraz z zapadającym zmierzchem.

Wreszcie robi się ciemno i na polu bitwy zalega cisza, zakłócana sporadycznie przez wystrzeliwane z rzadka moździerze.

W dalszym ciągu jestem przy schronie. Od strony pola słyszę przyciszzone głosy i szelest wielu stąpających nóg. Część matek z dziećmi opuściła już schron i powróciła do domów. Przezornie wchodzę do schronu. Niemcy przechodzą tuż przed wejściem do schronu. Przekraczają druty ogrodzeniowe. Jeden z nich zaczenia nogą o drut i wali się, jak długi na skarpę uliczki. Klunie, jak szewc a niektórzy kole-dzy dogadują mu uszczypliwie. Idą orientując się <sup>(wzrostu)</sup> ~~na~~ <sup>(ego)</sup> położony na ziemi kablu telefonicznym. Wreszcie koniec długiego szeregu.

Wychodzę na zewnątrz i dostrzegam jeszcze trzy sylwetki nadchodzących żołnierzy. Raz jeszcze cofam się do schronu. To telefoniści, którzy nawijają latający kabel telefoniczny na szpulę niesioną na plecach przez jednego z nich. Odchodzi w mrok zapadającej nocy. Granatnik koło Dorociaków, wysłał trzy pociski w pół minutowych odstępach. Zapada nocna cisza, już niczym nie zakłócana. Wchodzę do schronu i mówię siedzących skurczonych postaci: jesteście już na ziemi niczyjej. Jutro u nas nie będzie już żadnej bitwy. Wychodzą wszyscy a ja kroczę za nimi do domu. Zanosi się na spokojną, od niepariętnych dni-noc.

Noc jednak, jeszcze nie zupełnie spokojna. Cisza nocna jest zakłócana wybuchami. To wycofująca się ariergarda wysadza obiekty drogowe. Wylatuje w powietrze most stalowy na Pełtwi koło Kamienopolu. Wraz z mostem, ulega unicestwieniu system zasuw spełniających rolę przegrody, kierującej wody Pełtwi do systemu nawadniającego pruskich łąk. Ta przegroda stanowiła element ściśle powiązany z mostem. Wraz ze zniszczeniem mostu, znikła możliwość wykorzystania całego

systemu nawadniającego pruskich łąk.

Wycofujący się Niemcy niszczyli najmniejsze mostki i te o konstrukcji trwałej i tymczasowej-przeważnie drewnianej.

Ranek następnego dnia, nadchodzą patrole sowieckie. Język znajomy. Mundury spleźnione od słońca, ale już z pagonami. Jak na wielki Sojuz przystało, pagony dwukrotnie większe od wynikającej potrzeby. Jednak to nie ten żołnierz z 1941 roku. Inny sposób poruszania się, brak obawy kontaktowania się z ludnością a przede wszystkim jest to żołnierz zwycięski. Spiewane pieśni nie sławią natrętnie wielkiego Sowieckiego Sojuza, ale mają nacjonalistyczny wydźwięk: my ruskie ludzi, my mirnyj naród, śpiewa młodzieńcy Wanka. Pierwsze słowa to: daleko jesie do Berlina? a czując groteskowość pytania Wanka wybucha śmiechem.

Wojtek, Staszek i Zbyszek Lewiccy wybierają się w pole na zwiedzenie wczorajszego pola bitwy. Namawiają mnie do towarzysstwa, a ja skwapliwie przystaję na tą propozycję. Tu w Prusach nie pozostały, żadne

ślady po wczorajszym froncie. Niemcy o zmroku pozbierali wszystkich rannych i zabitych żołnierzy na samochody i zabrali z sobą.

Podążamy szybko w pole zaciekawieni, jak to wygląda pole bitwy, które znalazł tylko z książek. Dochodzimy do toru kolejowego nie napotykając żadnych istotnych śladów bitwy. Przechodzimy przez tor. To już teren Żydatycz i tu już widać żniwo wojny.

Po obu stronach drogi leżą zwłoki poległych niemieckich i sowieckich. <sup>(żołnierzy)</sup> Leżą różnie, jedni twarzami w dół, inni na wznak z twarzą odwróconą do góry. Jakże są podobni w majestacie śmierci. Oczy otwarte z wyrazem przerażenia, lub cierpienia. Wszyscy bez wyjątku, to młodzi chłopcy. Przy każdym poległym, roje much. Jest gorący lipiec, powietrze przepełnione odorem rozkładających się ciał.

Przed nami ukazuje się grupa żołnierzy sowieckich z łopatami. Krocząc od Żydatycz, grzebią ciała swoich poległych. Spostrzegłszy nas jeden z nich woła: polski pan pomagaj pachoronit etcho geroja, on żesz tiebia aswabodit. Podchodzi Wojtek i Zbyszek. Razem z żołnierzem ciągną zwłoki w stronę rowu dobiegowego. Tam spychają ciało na dno rowu a żołnierz przesypuje je warstwą ziemi. W ten sposób człowiek znika zupełnie bez śladu. Oddział grabarzy zabiera poległym blaszane pudełeczka z danymi personalnymi. Zapytany żołnierz, co z żołnierzami niemieckimi? Odpowiedział: cziorz pabieri hitlerowskuj swolocz. Udajemy się drogą w kierunku Żydatycz tam po obu stronach ciągną się łąny zboż. Tu leżą zwłoki żołnierzy niemieckich. Żołnierze sowieccy już pogrzebani. Zboża poprzecinane siecią ścieżek. Zwłoki zabitych leżą przy drodze, posiekane z reguły seriami z pepesz.

Wnioskuje, że Niemcy cofali się wzdłuż drogi a Sowieci zbożami starali się odciąć <sup>102</sup>odwrót. Dochodzimy do dwu ciał poległych leżących razem przy karabinie maszynowym. Obaj zginęli od serii pepeszy. Obok ciał porozrzucone fotografie. Jakaś kobieta z dzieckiem - to pewnie żona. Dokoła stanowiska porozrzucone cytryny i pomarańcze. Mam dosyć tego pobojuwiska. Dostaję zawrotu głowy. Chodźmy do domu - wołam. Odchodzimy pośpiesznie. Po co ja tu siedzę. Ten obraz pozostanie mi w pamięci do końca życia. To jest obraz ludzkiego barbarzyństwa. To pomnik bezkresnej głupoty człowieka, który sam sobie przygotował taki los. Wszystkie ciała poległych Niemców splądrowane. Ani jeden nie ma butów, nie ma munduru. Leżą w bieliźnie. Wyjątkiem był ten przy karabinie maszynowym. Ten miał jeszcze bluzę wojskową. Miał, ponieważ cała pierś podziurawiona kulami pepeszy a przy każdym otworze po kuli, plama krwi. ~~Jakaś istota ludzka nie~~ Miał bluzę, ale teraz już jej niema. Jakaś istota ludzka nie pogardziła nawet tym pokrwawionym zachmanem. Powracamy pośpiesznie do domu. W domu matka zła nasłada na mnie. Włóczy się nie wiadomo gdzie a w domu robota. Słucham tej reprimendy bez słowa. Szok po wizycie na polu bitewnym nie przemija. Wiele dni przeminie, zanim ta panorama bezmyślnego, wzajemnego mordowania się odejdzie ze świadomości, odsunięta przez codzienne dolegliwości życia codziennego. Wiele tygodni minie, zanim przypadkowo znajdzie się na terenie oglądanego dzisiaj pola bitwy. Sceneria zupełnie odmieniona. Znikły żany zbóż, ani śladu po okopach. Jest jednak coś, co przypomina dramat, który rozegrał się tym płaskim obecnie polu. Tym jedynym, widocznym elementem są białe krzyże, które pojawiły się na skraju drogi do Żydatycz. Krzyże wetknięte do wystających ponad poziom terenu mogił. Te mogiły są dziełem miejscowej ludności, która ciała poległych Niemców pozbierała z pól i pogrzebała. Pamięć o człowieku, który leży pogrzebany w ziemi, trwać będzie razem z krzyżem, dopóki niszczycielski okres czasowy nie powali krzyża na ziemię. ....W godzinach rannych pruski gościniec jeszcze pusty. Trwa usuwanie min przeciwczołgowych z jego odcinka ziemi niczyjej, to znaczy w obrębie pańskiego sadu, na długości około 150m, gdzie Niemcy naszpikowali nawierzchnię drogi, gęstą siecią min. Pełno ich też na przyległych do gościnca ogrodach. Saperzy wykrywają miny, odkrywają zapalniki a rozbrojone miny układają przy zbiorniku wody straży pożarnej, przy Rudce. Piętrzy się tam duży stos tych min i jeszcze ich przybywa. Mieszkańcy pobliskich domów wskazali dok-

żadną lokalizację założonych pól minowych. Na skutek ich informacji, Sowieci wstrzymali ruch pojazdów.

Rozminowanie skończone i pierwsze pojazdy oklejone bojcami i dziewczęszkami ruszają w kierunku Lwowa, ze śpiewem nowych, nie znanych jeszcze pieśni.

Wójt przedwojennej gminy w Prusach, Jan Preis przystępuje do organizowania administracji polskiej. Z uwagi na nie pewną jeszcze sytuację, potrzebna jest eskorta. dla tej eskorty potrzebna jest broń. Z uwagi na to, że moja pepesza figuruje w spisach AK, dostaję rozkaz oddania jej eskortie. Bez wewnętrznych oporów, bez wahania oddaję pepeszę, która towarzyszyła mi w chwilach zagrożenia. Nie została ona użyta, ponieważ nie zaistniała taka potrzeba.

Pepesza już do mnie nie wróciła. Zabrali ją prawdopodobnie partyzanci z Wołynia.

Trzeba przyznać, że ukraińska ludność w sąsiedztwie Prus nie włączyła się aktywnie do działalności band banderowskich. Przez cały czas zagrożenia, prusacy codziennie udawali się do Lwowa. Komunikacje różne: wozami konnymi, rowerami i pieszo. Nie wydarzył się ani jeden znaczący incydent, przy przejeździe przez Sroki Lwowskie, Laszki Marowane, czy Frenelówkę.

Po południu szkankawie w domu ludowym zbierają się akowcy. Otrzymujemy biało-czerwone opaski z pieczątką z napisem na otoku: Armia Krajowa. Następuje próba musztry wojskowej a o zroku ustny instruktaż. Do sali domu ludowego wchodzi żołnierze sowieccy. Fakt ten nie niepokoi nas, bo przecież jesteśmy sojusznikami. Wypytują co to za oddział, przyglądają się broni i wychodzą. Orientuję się, że są to enkawudysty. Wyczuwam, że sprawa AK nie znajdzie pozytywnego rozwiązania.

Rankiem następnego dnia, Broniek Kowalkowski w towarzystwie jeszcze jednego akowca wyjeżdżają rowerami z bronią i opaskami na rękawach do Lwowa po instrukcje i rozkazy. Po półtorej godzinie powracają, ale już bez broni i opasek. Przywożą wiadomość, że dowództwo AK we Lwowie aresztowane, a Armia Krajowa przechodzi do konspiracyjnej działalności. Wszyscy akowcy zebrani w domu ludowym, chowają broń, zdejmują opaski i rozchodzą się do domów.

W nocy oddział wołyński AK wymaszerowuje z Prus na zachód.

Sprawę pruskiego AK, rozwiązał prawdopodobnie Kopeć, który został ponownie-głową Sielradą. Spowodu AK w Prusach nie było żadnych konsekwencji, Być może musztra z bronią i samo jej posiadanie poszło na konto wołyńskiej grupy AK. Zresztą broń została częściowo oddana przez mieszkańców Prus, nie zrzeszonych w żadnej

organizacji.

Niedoszły wójt gminy w Prusach, Jan Preis, przezornie opuszcza Prusy i w tajemnicy wyjeżdża na zachód. Nie poszedł jego śladem brat Piotr i zapłacił za to dziesięcioletnim nobytem w sowieckich lagrach.

.....Gromadnie opuszczają Prusy mieszkańcy Żydajcz. Uliczką koło nas przejeżdża wóz jednokonny powożony przez małego chłopca, z jeszcze młodszymi dwoma chłopcami.

Ja powracam do tradycyjnej roli pasterza os krowek. Na polecenie matki wyprowadzam krowy ze stajni i pędzę drogą w pole. Krowy skubią trawę na przydrożkach, posuwając się naprzód z wolna. W ten sposób jesteśmy już na pagórku, gdy powietrzem wstrząsa potężna eksplozja. Widzę wysoki grzyb dymu wyrastający na kilkaset metrów w górę. Miejsce wybuchu na kierunku naszej drogi, nie daleko toru kolejowego. Nie jest to nic szczególnego ponieważ już drugi dzień powietrze wstrząsane jest tego typu wybuchami. ~~Temperzy~~ To saperzy zbierają różnego rodzaju pociski, miny i materiały wybuchowe i detonują na polach. Nie zastanawiam się więc nad przyczyną wybuchu posuwam się wraz z krowkami w kierunku Rudki. Z daleka widzę jakiegoś chłopca podążającego w moim kierunku, od strony Rudki. Intryguje mnie to, że chłopiec idzie prędko i chwilami podbiega truchtem. Coś nie naturalnego, wyczuwam w zachowaniu się chłopca.

Jest już nie daleko mnie. Dostrzegam wciern szaro-ziemista cerę a zaraz potem szeroko rozwarte oczy, jak by nie widzące. Chłopak już zupełnie blisko, idzie wprost na mnie. zaintrygowany pytam: co się stało? Chłopak drgnął, jak by się obudził i spostrzegszy mnie ~~kięciem~~ ominął i biegiem ruszył, przez obok rosnące buraki omi-  
ając mnie i moje krowy półkolem. ominawszy wbiega spowrotem na drogę....zatrzymuje się i odwraca się do mnie z zawołaniem: mina wybuchła! Po czym wybuchła spazmatycznym płaczem i biegiem rusza w kierunku wsi. Jestem zaszokowany. Nie dawno widziałem trzech chłopców na wozie a tu wraca jeden w takim stanie. Prawdopodobnie byłem pierwszym człowiekiem, jakiego spotkał oddalając się z miejsca tragedii. Spotkanie ze mną spowodowało nowy wstrząs, który zakończył się wybuchem płaczu. Jest to normalny odruch, po straszliwym napięciu. Rozważam: płacz spowoduje powrót chłopca do przytomności.

Raptem przypominam sobie, że przedwczoraj w czasie bitwy frontowej w Prusach, widziałem dwa żołnierzy niemieckich krórzyc na naszej drodze na pagórku ustawili kij z zatkniętym wiechciem słomy. To taki zwyczajowy znak oznaczający, że droga jest nie przejezdna spowodu jakiejś przeszkody. Dopiero teraz, gdy wydarzyła się

ta tragedia, skojarzyłem sobie wiecheć słomy z założoną pułapką minową na naszej drodze hen w polu. Przecież wczoraj maszerowaliśmy w czwórkę na wizytację pola bitwy i przy tej okazji musieliśmy po tych minach przejść. Żadnemu z nas nie nasunął się nawet ślady podejrzenia, o jakimś minowym zagrożeniu.

Na równoległej drodze, biegnącej od Koziarskich, widzę kobietę i mężczyznę podążających pośpiesznie w kierunku toru kolejowego. Z tyłu za tą parą, grupka małolatów. Słyszę kobiecy lament. Domyślam się, że są to rodzice chłopców. Związany z moiwi czworonożnymi towarzyszkami nie mogę podążyć za nimi chociaż wewnętrznie chciałbym polecieć na miejsce wydarzenia. Nie wiem jeszcze dokładnie, w którym miejscu położone jest to pole minowe. Posunąłem się ze swoją trzódką za Rudkę. Od strony toru kolejowego dostrzegam grupę, która nie dawno podążała drogą od Koziarskich. Kobieta z mężczyzną niosą zakrwawioną płachtę a w niej szczątki, które pozostały z chłopców. Twarze niosących zastygłe w cierpieniu. Omijają mnie z krowami, zda się nie widząc nas. Z tyłu z poważnymi minami kroczy grupka towarzyszących małolatów. Niecierpliwie popędzam krowy, aby jak najprędzej dotrzeć na miejsce tragedii. Wreszcie widzę wóz a raczej jego fragment. Tał wozu nie naruszony. Tam gdzie był przód, teraz głęboki lej. Z przedniej części wozu nie pozostało nic. Nie ma nawet najmniejszej choćby drzazgi. Po lewej stronie łan pszenicy, na źdźbłach kropelki zaskrzepłej krwi. Dokoła leża kilkanaście wyrzuconych przez wybuch-min. Ani śladu konia i dyszla. Później sprawa się wyjaśniła. Wybuch zdarł z końskiego zadu skórę i poszarpał mięśnie. Koń uwolniony od ciężaru wozu, przebiegł wraz z częścią dyszla z 200m i tam padł z ułożym krwi.

Razem ze szwagrem Drozdem pogrzebaliśmy go później na polu. Zawracam z krowami w kierunku domu. Dzisiaj nie dotrzemy do źródła przy torze kolejowym, dziś musi wystarczyć woda z Rudki. Zawracam z krówkami w kierunku domu. W połowie drogi spotykamy nową grupę, na czele której idzie sowiecki saper w otoczeniu eskorty składającej się z arcyciekawych małolatów. Saper rozbroił miny wyrzucone na powierzchnię i do tego wykrywaczem min to znaczy kijem z gwoździem na końcu odkrył i rozbroił jeszcze kilka. Po zakończeniu powiedział: bolsze min niet. W tym przypadku mylił się jednak sowiecki saper, bo kilka dni później wujek Preis chcąc dostać się na błota, sprawdził raz jeszcze pole minowe wykrywaczem z gwoździem, wydobyl jeszcze jedną minę.

Rozdz. XVII

Już po żniwach. Pozostały jeszcze małe zasony pszenicy na gruntach położonych w zaniżeniach terenowych, oraz małe łany prosa. W Prusach trwają rozmowy o zbliżającym się poborze do wojska. W myśl prawa sowieckiego, jesteśmy obywatelami sowieckimi. Sprawa służby wojskowej jest nie jasna. Czerwony Sztandar pisze o Związku Patriotów Polskich. Ostatnio mocno jest nagłaśniana sprawa powstania Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i manifestu tegoż Komitetu ogłoszonego w Chełmie. Wiele pisze się o pierwszej Armii Wojska Polskiego. Powstanie tej armii, polacy mogą zawdzięczać wielkoduszności tegoż Sojuza a w szczególności jej genialnemu wodzowi, generalissimusiowi Józefowi Stalinowi.

Te wszystkie wiadomości epływają bez szczególnego zainteresowania. Wiemy już, że sprawa przynależności Lwowa, została rozwiązana przez Sowieców w sowieckim stylu. Mówi się o rekompensacie terytorialnej dla Polski, kosztem hitleroskich Niemiec. Ale przecież wojna jeszcze trwa. Całą okupację Polacy przeżyli w łączności, nie tylko duchowej, z Rządem Polskim na zachodzie. Pod kierownictwem tegoż Rządu, powstała organizacja ruchu oporu, przekształconego następnie w Armię Krajową. Stosunek Stalina do tej armii, poznaliśmy już w praktycznym wyrazie. W miejsce Rządu Polskiego w Londynie, Stalin ofiarowuje Polakom -Związek Patriotów Polskich i powołany z jego woli PKWN. Sformowana Armia Polska i zamiar formowania dalszych polskich jednostek wojskowych, ma być przeciwwagą Armii Polskiej na zachodzie. To wszystko jest nie przekonujące i nie popularne w Polsce. Nie tak wyobrażali sobie Polacy, zakończenie bohaterskiej postawy w przebiegu całej wojny. Teraz o losie Polski ma decydować Rosja Sowiecka. Perspektywa służby wojskowej pod sowiecką komendą nie usmiecha mi się. Nie chcę iść do takiego wojska.

Z moich myśli zwierzam się bratu Tomkowi, który pracuje w dowożno eksploatacyjnym uczestku, czyli jednostce mającej zadanie utrzymanie w sprawności technicznej dróg publicznych. Służby drogowe są zmilitaryzowane i pracownicy tegoż przedsiębiorstwa są zwolnieni od służby wojskowej. Proszę brata, aby mi tą pracą załatwił.

Po kilku dniach, wyjeżdżam rowerem do pracy. Wraz ze mną pracuje jeszcze czterech prusaków. Oprócz nas pracuje jeszcze kilka osób ze Zboisk i Grzybowie. Pracujemy na głównej szosie Lwów- Warszawa. Na szosie panuje bardzo duży ruch. Prawie bez przerwy suną kolumny samochodów ciężarowych. Kolumny składają się, wyłącznie z samochodów amerykańskich a wśród nich królują: GMC, Studebaker, Fordy, Dodge,



Chevrolety, Willisy. Obserwuję od tygodni te długie kolumny i nigdy nie napotkałem chociaż by jednego samochodu sowieckiego. Sowietci nie lubią pytań dotyczących pochodzenia samochodów. Pytani, odpowiadają niezmiennie: eto naszyje ruskije avtomaszyny. Na skrzyżowaniach dróg, poustawiane ołtarze z wizerunkami dostojników, przede wszystkim wojskowych, oraz bohaterów sowieckiego sojuza. Na tychże skrzyżowaniach są poustawiane posterunki t.zw. kontrolne prawiery. Obsada, to dziewczęta w mundurach. Zatrzymują samochody i sprawdzają dokumenty. Przy okazji każą zabierać żołnierzy, którzy gromadzą się codziennie przy ołtarzu, obok którego mieści się kontrolna prawiera. Zastanawiam się, skąd są ci żołnierze. Ale nie można się temu dziwić. Tory kolejowe są zrujnowane. Wszystkie mosty, mostki a nawet przepusty zostały wysadzone w powietrze. Szyby leżą w postrzępionych kawałkach. Na najważniejszych liniach kolejowych, drewniane podkłady mają wartość drewna opałowego. Uruchomienie normalnej komunikacji kolejowej to kwestia dość odległej przyszłości. Nic dziwnego, że jedyną możliwością przemieszczania się ludzi, stanowią pojazdy wojskowe. Trwają prace przy naprawie torów, ale ich zakres jest olbrzymi. Z tej przyczyny, postęp robót jest nie zadawalający. Roboty wykonują jednostki wojskowe. Widocznie ręk do tych prac jest za mało, bo w teren wysyłane są zbrojne pary żołdatów. Wyłapują one przypadkowo napotkanych na drodze mężczyzn, zazwyczaj udających się do pracy i pędzą pod broń do roboty na torach. Poruszanie się po gościńcu jest równoznaczne z zagrożeniem zatrzymania i przymusowego zatrudnienia przy naprawie torów. Niebezpieczna jest jazda rowerem, bo przy okazji można go stracić. Zaczynamy chodzić pieszo. W Srokach Iwowskich i Laszkach Kurowanych, wyszukujemy boczne dróżki, aby nie wpaść na łapaczy. Jakiś czas przy udziale miejscowej ludności, udaje nam się nam ominąć dwie pary łapaczy, aby wpaść na trzecią. Bez pardonowo zatrzymują nas i pędzą na tory. Nic nie pomagają wyjaśnienia, że my drogowcy wykonujemy, nie mniej ważne prace, przy naprawie obłędnej szosiejnyj dorogi. Cała nasza piątka maszeruje przez łaki, na środku odcinka linii kolejowej Podborce-Lwów. Do przejścia mamy 3km. W czasie tego marszu, słucham rozmowy trzech eskortujących nas żołdatów. Jeden z nich mówi, że był już trzy razy ranny i nie chciał by doczekać jeszcze jednej rany. Wolał by śmierć, aniżeli pobyt w szpitalu. Krytykują swoje dowództwo, za błędne rozkazy, które nie potrzebnie spowodowały śmierć wielu żołnierzy. Szczególnie drastycznie atakują rozkazy o forsowaniu rzek, przy pomocy prymitywnych środków przepławowych. Położona forsujących rzeki, tonęła w nurtach,

z dala od brzegu. Następnie przeszli na tematy polityczne. Mówili o obietnicy marszałka Żukowa, że uczestnicy wojny ojczyźnianej mają otrzymać działki ziemi, na której będą mogli gospodarować indywidualnie. Ich zdaniem kołchozy są główną przyczyną niedostatku w kraju. I tak doszliśmy do celu, czyli do linii kolejowej Lwów-Równe-Tarnopol. Dostaliśmy zadanie wykonania czterech podpór pod stalowe dźwigary mostu. Podpory mają być wykonane z podkładów kolejowych. Ławy fundamentowe pod podporę mamy wykonać z tłuźnia. Grubość ławy 50cm. Wykonujemy więc ławy dowożąc tłuźceń taczkami. Do południa ławy zostały wykonane. Po południu, na wyrównanych ławach, układamy podkłady na podporę, warstwami na krzyż. Do zakończenia pracy, wykonaliśmy dwie podpory, łącznie z umocnieniem stalowymi klamrami. Lejtnant nadzorujący roboty jest zadowolony i dziękuje za dobrą pracę.

Zaświadczenia o zatrudnieniu nie daje, bo to zabronione. Przy okazji obejrzałem postęp robót. Szyny kładzie się na nowych podkładach, prawdopodobnie z zapasów niemieckich. Natomiast same szyny układa się z krótkich kawałków porozrywanych materiałami wybuchowymi. Tylko postrzępione końce są wyrównywane aparatem spawalniczym. Nowych szyn brakuje. Koniec roboty - więc idziemy do domu.

W Prusach już po poborze wojskowym. Do wojska poszła zdecydowana większość zdolnych do służby wojskowej. Teraz na gościńcu prym wiodą niedorostki. Tworzony są t.zw. istriebitielnyje bataliony, do których powoływani są przed poborowi, tak Polacy jak i Ukraińcy. Istriebitielnyje bataliony, oprócz podstawowego przeszkolenia wojskowego, biorą udział w obławach po wsiach, w poszukiwaniu banderowców. Wielu ukraińców zbojkotowało pobór do wojska i powątrowało do leśnych oddziałów UPA. Działalność banderowców jak by trochę przycichła. Punkt ciężkości ich działania przesuwają się na południe. Obiektem ich ataków stają się Sowieci. Zdarzają się przypadki zatrzymywania samochodów i likwidowania urzędników sowieckich, podczas gdy kierowca, Polak puszczany jest wolno, oczywiście bez samochodu, który banderowcy podpalają.

Prasa sowiecka podaje wstrzemięzliwe wiadomości o powstaniu warszawskim. Ogólne zainteresowanie społeczeństwa powstaniem bardzo duże, chociaż przeżywane na kresach nieco inaczej, aniżeli w innych częściach kraju. Ja nie mam złudzeń co do stosunku Sowieców do powstania warszawskiego, ale również do Polaków i państwa polskiego.

Pewne nadzieje były przed nadejściem po raz drugi sowieckich wojsk. Wiązały się one z przynależnością Sowieców do koalicji aliantów, którzy mieli zobowiązania w stosunku do Polaków i polskiego państwa. Te nadzieje prysły natychmiast z chwilą nadejścia wojsk sowiec-

kich i NKWD.

Nie mniej jednak odczuwam dumę, powodu tego zrywu polskiej duszy i jego trwania w beznadziejnej sytuacji.

Powstanie warszawskie uzyskało duży rozgłos na całym świecie.

Nie wygodnie jest Sowiетom, pozostawić powstańców na pastwę losu.

Cynizm polityki sowieckiej jest jednak totalny. Sowietci zlekceważyli opinię świata, który w ich bolszewickim programie ma ulec zdominowaniu przez komunizm i to w nie dalekiej przyszłości.

Obecnie nie mówi się o wyzwoleniu narodu ukraińskiego spod okupacji niemieckiej. Już wiedzą, że Ukraińcy nie życzą sobie wyzwolenia w stylu sowieckim. Chcą oni poprostu samostijnyj Ukrainy. Teraz ich działania są anty sowieckie. Wyczuli, że Polacy nie będą główną przeszkodą w realizacji tego celu. Nie na rękę jest Sowiетom ta odmiana. Chcą poprostu wmówić sobie i światu, że działalność UPA jest w dalszym ciągu kontynuacją zatargu polsko ukraińskiego.

Starają się stworzyć wrażenie, że władze sowieckie <sup>próbują</sup> dążą do zlikwidowania tego konfliktu. Dlatego istriebitielnyje bataliony robią <sup>oprócz</sup> zarówno we wioskach ukraińskich, jak i polskich.

Kiedy stało się pewnym, że Polacy opuszczą te ziemie, przedstawiają działanie podziemia ukraińskiego jako faszystowskie działanie Niemiecko-Ukraińskie. Jest to jednak dopiero kwestia przyszłości.

Na razie Sowietci postanawiają zlikwidować ukraińskie pomniki symbolizujące dążenie do wolności, w postaci kopców wolności wykonane w 1941/42 roku w Pikułowicach, Srokach Lwowskich i Laszkach Murowanych. Wydali zarządzenie ich likwidacji. W Pikułowicach i Srokach Lwowskich, ukraińcy usypali kopce o okazałych rozmiarach. W Laszkach Murowanych, mniej imponujący, ale lokalizacja kopca w miejscu mogiły i obelisku, poległych w 1939 roku oficerów sowieckich - wprost prowokacyjna. We wszystkich wioskach kopce zniknęły błyskawicznie. Jakie były konsekwencje ich ustawienia, tego nie wiem. W każdym bądź razie na wiosnę 1945 r., w miejscu kopca wolności w Laszkach Murowanych, pojawiła się spowrotem mogiła z obeliskiem, upamiętniającym poległych oficerów.

Atmosfera wojenna nie odeszła jeszcze zupełnie z Prus. Ciągłe jeszcze rozbrzmiewają detonacje, związane z likwidacją wykrytych różnego rodzaju pocisków, min i materiałów wybuchowych. Zdarzają się wypadki śmiertelne wśród niedorostków, zawsze ciekawych, naśladujących pracę saperów.

Pewnej soboty powróciłem, jak zwykle z pracy o dwie godziny wcześniej. Kończę jeść obiad, gdy dom został targnięty wybuchem w bliskiej odległości. W pokoju rozlega się brzęk, wygniecionych wybuchem

szyb okiennych. Wypadam z mieszkania i spoglądam w kierunku wybuchu i widzę w powietrzu gejzer dymu i kurzu, sięgający 200m wysokości. Wśród kłębow dymu wirują jakieś kawałki rozerwanych przedmiotów, wyniesionych siłą eksplozji w powietrze. Bez namysłu pędzę podwórkiem w kierunku wybuchu. Dobiegam do gościńca, przy sklepie kółka rolniczego. Rzut oka w lewo i w odległości około 50m widzę lej. Z miejsca orientuję się, że jest to lej, po wybuchu miny przeciwczołgowej. Podbiegam do leja i widzę rozrzucone postacie w mundurach. To żołnierze sowieccy. Pierwszy najbliżej leja leżący, przykuwa moją uwagę. Twarz jeszcze różowa, w moich oczach błędnie, usta szeroko otwarte, chwytają gorączkowo z pośpiechem powietrze, palce rozpostartych rąk, drapią ziemię. Twarz już żółta, po sekundach szaro ziemista i wreszcie mięśnie twarzy rozluźniają się. Ustępuje wyraz cierpienia i walki o życie, pojawia się ulga, jak gdyby ciało pozbyło się gniotącego ciężaru.

Tak wygląda śmierć gwałtowna, młodego, przed dwoma minutami, jeszcze zdrowego człowieka. Patrzę na zwłoki, a raczej ich część, bo po człowieku pozostał tylko tułów, od pasa w górę. Reszta uleciała hen w przestworza i opadła na ziemię, rozrzucona na przestrzeni kilku hektarów. Zdaję sobie sprawę, że jestem pierwszym i na razie jedynym, obecnym na miejscu wypadku. Jestem bezradny a powinienem coś zrobić. W rowie po południowej stronie gościńca leży nieruchomy żołnierz. Wygląda jak by spał. Mundur nie naruszony. Poza rowem na placu ducha, leży trzeci. Widać zakrwawioną zmasakrowaną dłoń i porwane spodnie. Czwarty po północnej stronie gościńca, leży bez ruchu w rowie. Żadnych uszkodzeń ciała nie widać, podobnie, jak u żołnierza w rowie, po południowej stronie. Kończę to oglądanie w obecności, już sporej grupy ludzi, których ciągle przybywa. Ale co było przyczyną wybuchu? Człowiek przez nadeptanie nogą, przeciwczołgowej miny nie spowoduje jej detonacji. Patrzę przed siebie i w odległości 40m widzę wóz z kołmi, na poboczu drogi. Została połowa wozu i dziwnym trafem, jest to połowa przednia. Konie zmęczone, bez woźnicy, stoją spokojnie. Siedzenie nie naruszone i wszystko wskazuje na to, że ci którzy na nim siedzieli, powinni przeżyć ten wybuch. Od chwili detonacji miny, do momentu mojego dotarcia na miejsce eksplozji, mogło upłynąć nie wiele więcej, niż minuta czasu. Nie zastałem przy leżących żołnierzach nikogo. Będąc zaabsorbowany leżącymi, nie zauważyłem stojącej resztki wozu z kołmi. Ci z siedzenia, na pewno ulegli amokowi szoku i biegiem oddalili się z miejsca wypadku. Rozlegają się jęki. To ten leżący na placu ducha, odzyskał przy-

tomność. Jęczy początkowo cicho, wzywa matkę. Wraz z powracającą świadomością, czuje ból coraz mocniej. Zaczyna kłać i bluźnić. Nadchodzi moja siostra Krysia z opatrunkami. Prowadziła ona, jako żołnierz AK, kursy instruktażu sanitarnego dla pruskich dziewcząt. Pełniąc tę funkcję, otrzymała pewną ilość środków opatrunkowych. Teraz nadszedł moment, kiedy te środki są bardzo potrzebne. Krysia dezynfekuje poszarpaną dłoń i sprawnie owija bandażem. Teraz należy sprawdzić resztę ciała. Poszarpane spodnie są nasiąknięte krwią. Krysia z czyjąś pomocą, odwraca ciało żołnierza na bok i rozrywa spodnie. Pośladki to krwawa masa mięśni pokrytych kałem. To należy umyć wodą—mówi Krysia. Ktoś biegnie po wodę. Żołnierz bez przerwy klnie szpetnie. Twarz Krysi mokra od potu. Wiem, że po raz drugi opatruje rannego. Pierwszy raz—śmiertelnie ranną panią Stecową. Watą namoczoną w wodzie, myje rozległą ranę, potem dezynfekuje wodą utlenioną i bandażuje trudną do opatrunku ranę. Nareszcie koniec opatrunku. Wyraz determinacji i obrzydzenia znika z twarzy Krysi. Ociera twarz chustką. Teraz pora na leżącego obok w rowie. Mundur w całości, nigdzie nie widać śladu krwi, ale twarz szaro-ziemista. Ten już nie żyje. Czwarty żołnierz po przeciwnej północnej stronie gościńca zaczyna jęczeć. Nie odniósł żadnej rany, z trudnością siada i słabym głosem prosi o wodę. Z przytkniętego do ust kubka, wypija kilka łyków i patrzy nie widzącymi oczami. Na pytanie, gdzie go boli—odpowiada, że w piersiach i nic nie widzi. Przyjeżdża wóz wyłożony słomą. Na wozie dwa cywili i lejtnant. Okazuje się, że jest to lejtnant, który w chwili wybuchu siedział z woźnicą na przednim siedzeniu. Jest też woźnica. Wóz srowadzili z Pikułowic z kolchozowego majątku. Z tłumu zebranego na miejscu wypadku rozlegają się głosy: takim wozem transportować rannych do szpitala? Tyle tu jeździ amerykańskich saniterek, jak wy dbacie o swoich rannych? Lejtnant, jeszcze zaszokowany, machnął ręką i powiedział: pomóżcie włożyć rannych i zabitych na wóz. Biorą wzdzi prusacy—najpierw tego nie widzącego, układają na słomie, następnie obandażowanego i tego bez widocznych ran nie żyjącego. Nadchodzi kolej na tego pół człowieka. Dwa mężczyźni bierze go za ręce i wahadłowym ruchem chcą go wrzucić na słomę...gdy nagle rozlega się strzał, potem drugi...mężczyźni opuszczają ciało na ziemię i odskakują a coś z tułowia nie żyjącego człowieka strzela nadal. Hurma stojących nie opodal, zaczyna uciekać. Po pięciu w sumie strzałach—tajemnicza broń samo-strzelająca milknie. Lejtnant podchodzi i wyciąga z kieszeni bluzy pół-człowieka pistolet ze słowami: ej druh ty mój, jeszcze po śmierci mogłeś kogoś zabić.

Wóz rusza i z turkotem kół rusza jedzie w stronę Lwowa.

.....Żołnierze powracali z pracy przy remoncie torów kolejowych. Jechali do Pikułowic, gdzie w kołchozie mają swoją bazę.

Wóz jechał krawędzią tłuczniówki i lewe, tylne koło najechało na kawałek tłucznia wyłuskanego z nawierzchni. Koło zesliznęło się z tłucznia—oczywiście razem z prawym, które o kilka centymetrów zeszło z osi jazdy i natrafiło wprost na zapalnik miny, którą ekipa saperów, przeoczyła w czasie rozminowania.

Ot i tak przypadki rządzą ludzkim losem.

.....Jest już trzecia dekada października. Pracujemy nadal na odcinku szosy prowadzącej do Warszawy. Nasz odcinek roboczy, ciągnie się od granic Lwowa do Grzybowic. Remont nawierzchni kostkowej, wykonanej z fundacji Ministerstwa Robót Publicznych, w czasie wielkiego kryzysu, w początkach lat trzydziestych, na naszym odcinku zakończony. Teraz pora na regulację poboczy. Pobocza są zdewastowane przez nie ustanny ruch kolumn samochodowych. Pełno na nich dołów i garbów. Scinamy te garby łopatami a uzyskanym urobkiem ziemi zasypujemy doły. Czasami brakuje gruntu do uzupełnienia dziur i wtedy schodzimy do rowu i wybieramy z dna namuł, który wrzucamy na zaniżone pobocze—wykonując równocześnie renowację rowu. Przy tej okazji znajdujemy w rowie skrzyneczkę z różnokolorowymi rakietami sygnalizacyjnymi. Jest już chłodno i w czasie przerwy śniadaniowej rozpalamy ognisko. Zawsze to wcześniej zjeść śniadanie przy ogniu.

Po zakończeniu śniadania, Zygmunt Grzecki wysypuje na ogień kolorowe rakiety. Urządzimy sobie trzeciego maja—mówi. Dajcie spokój, ostrzeżę szwagier Drozd, ale jest już za późno. Pierwsza rakietka wyskakuje z ognia. Kolorowa kula leci z trzydzięci metrów, pada na ziemię i natychmiast wraca ku nam. Zanim połapaliśmy się w czym rzecz, zostaliśmy otoczeni ze wszystkich stron feerią różnokolorowych kul, sypiących tysiące iskier, lecących w różnych kierunkach i skaczących, jak gumowa piłka. Uciekam w popłochu, odepdzając się figlarnym kulom. W ostatniej fazie tego nie planowanego pokazu ogni bengalskich nadjeżdża kolumna samochodów ciężarowych. Na skrzyniach siedzą stłoczone postacie żołnierzy. Na widok gromady skaczących i płaszących postaci, umykających przed skaczącymi, barwnymi kulami, śmieją się do rozpuku.

Są to ostatnie dni, jakie spędzamy na drodze. Już wcześniej, po otrzymaniu wiadomości, że Oszołdor organizuje we Lwowie kurs samochodowych dla swoich pracowników, bez namysłu zgłaszam swoją kandydaturę na uczestnika tego kursu. Wraz ze mną zapisuje się Zygmunt Grzecki i Staszek Preis. Od pierwszych dni listopada, jesteśmy już we Lwowie.

Dostaliśmy kwatery przy ul. Czarnieckiego, w dużej kamienicy, gdzie mieści się dyrekcja Oszosdora. Kwatery mieszczą się na parterze. Przy okazji dowiadujemy się, że w gmachu tym mieściła się redakcja przed wojennego dziennika-Chwila-. Był to żydowski dziennik, ukazujący się w języku polskim.

Słuchaczami kursu są Polacy i Ukraińcy, pracownicy drogowi z terenu lwowskiej okolicy i samego miasta Lwowa. Spotykam kolegów: Ludwika Bilińskiego z Winnik, z którym uczęszczaliśmy przed wojną do drugiego gimnazjum im. Karola Szajnochy, mieszczącego się na Wałach Gubernatorskich, przy ul. Podwale. Jest jeszcze Kezio Denidowicz, Broniek Pierczak, Kotiuszko z Dawidowa pod Lwowem i jeszcze kilku innych kolegów i znajomych.

W pierwszym dniu przechodzimy badania lekarskie a w następnym idziemy do szkoły dla kierowców, która mieści się przy Błacu Mariackim. Wykładowcami są polscy instruktorzy.

Powoli wdrażamy się w rytm zajęć i szkolej atmosfery.

Stołówka mieści się w siedzibie Oszosdora, to znaczy na miejscu. Jednym słowem warunki znośne. Na niedzielę wyjeżdżam zawsze do domu.

W Prusach, po odejściu powołanych do wojska, ich miejsce zajęło pokolenie młodsze. Wchodzi ono w rolę spełnianą dotychczas przez nie obecnych w tej chwili. W pobliżu mojego domu, jest grupa kilku niedorostków, specjalizująca się w pracach saperских. Przewodzi jej odważny, sprytny Stasio Fajtra. Z uwagi na to, że grupa ta rekrutuje się z młodocianych chłopców, mieszkających w pobliżu nie dawnej linii frontowej, stykają się oni ciągle z różnego rodzaju pozostałościami tegoż frontu, na pierwszej linii bojowej.

Najbardziej pasjonującą atrakcją, stanowią miny przeciw czołgowe. Po przejściu frontu, pełno tych min rozbrojonych, pozostało złożonych przy zbiorniku wodnym straży użarnej, mieszczącym się obok strumyka o nazwie Rudka. Niedorostki szybko pojęli, że mina bez detonatora, czyli zapalnika, nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Materiał wybuchowy mieszczący się w obudowie blaszanej miny, jest bardzo podobny do żelaza. Każdy z dzieciaków pędząc na pastwisko krowy, nie sie pod pachą rozbrojoną minę. Urozmaicając sobie czas, rozbijają, lub rozcinają blaszaną obudowę a z uzyskanego materiału wybuchowego urządzają sobie ogniska na łacie. Ponieważ zajęcie to stało się powszechną codziennością - po pewnym czasie rozbrojonych min zabrakło. Wtedy ci bardziej przedsiębiorczy, zaczęli poszukiwania min po wszystkich zakamarkach linii frontowej. Dzięki swej dociekliwości, znajdują miny, ale uzbrojone z zapalnikami.

Zdają sobie sprawę, że jest to niebezpieczne zajęcie, ale niektórzy

z nich widzieli, jak postępowali saperzy. Naśladowując ich, sami dokonują ~~ixk~~ rozbrajania min. Najbardziej odważny i przedsiębiorczy to Staszek Pajtra. Rodzice stanowczo sprzeciwiają się jego specjalizacji. Najbardziej aktywnie sprzeciwia się babcia. Chłopak śmieje się z obaw babci i mówi, że żadnej miny się nie boi i każdą z nich rozbroi. Uważaj Stasiu, bo ty jeszcze na swoją, ostatnią minę nie natrafiłeś—mówi rozdrażniona babcia.

Każda rzecz ma swój kres, tak też i min w końcu zabrakło i niema czego rozbrajać.

Jest listopadowa niedziela. Jestem w domu i przygotowuję się do wyjścia na mszę, do kościoła. Nagle następuje huk i kawałki szkła wypadają z brzękiem z wygniecionych wybuchem szyb okiennych, na podłogę. Wyskakuję na dwór i dostrzegam znajomy grzyb wybuchu, gdzieś na terenie stawu w dawnym majątku Krzeczunowicza. Pędzę w tym kierunku. Po przebiegnięciu 200m, wyłania się wyschnięte dno starego stawu przez srodek którego płynie obecnie strumyk Rudka. Na wysokim brzegu Rudki leży człowiek. Na podwórku, obok lamentuje Drozdowa: Matko Boska tam było ich pięciu i wszystkich rozewało. Podbiegam na miejsce wybuchu. Leżący na brzegu to młody chłopak—oceniłam po wyglądzie. Pośchodzę bliżej i widzę, że chłopiec jeszcze żyje. Z ust i nosa sączy się krew. Twarz bladej coraz bardziej, palce rąk chwytają trawę. Jeszcze chwila i ciało uspokaja się— życie chłopca odchodzi w wieczny niebyt.

Przyglądam się chłopcu i poznaję Stasia Pajtrę. Nadbiegają inni prusacy, patrzą na chłopca i mówią, że chyba jeszcze żyje. Umarł przed chwilką na moich oczach—informuję ich. Ciało nie jest zamaskowane, ponieważ chwycił je boczny podmuch wybuchu. Pomny słów Drozdowej rozglądam się dokoła w nadziei, że zobaczę jakiś ślad po chłopcach. Niczego jednak nie dostrzegam. To znaczy, że nikt więcej nie zginął. Na miejscu wypadku już spory tłum.

Nadchodzi matka chłopca z córką Zosią i prześcierańcem. Płacząc kładą ciało na prześcierańko i niosą do domu. Na prześcierańku plamy krwi, powiększające się z każdą chwilą. Zgromadzeni ludzie rozmawiają na temat chłopców, którzy byli ze Staszkiem w chwili wybuchu i czy tak rzeczywiście było, jak mówi Drozdowa.

O są już są, mówi ktoś z tłumu. Widzę Krzyszczyka z pasem w ręku, przeciskającego się przez tłum. Pośchoźi do chłopca odwróconego tyłem i bije pasem jeden raz, potem drugi i trzeci. Chłopiec wogóle nie reaguje. Daj spokój Józek—mówi ktoś z tłumu—nie widzisz, że chłopak nie przytomny? Krzyszczyk opuścił pas i patrzy na chłopca. Patrzą i ja. Nie trudno rozpoznać, że chłopak przeżył



wstrząs i jeszcze nie doszedł do równowagi. Oczy szeroko otwarte, przerażone i nic nie widzące. To syn Krzyszczuka-rozpoznaje. Przez moment, zobaczyłem w oczach chłopca przebłysk świadomości. Patrzy na otaczający go tłum a następnie zaniepokojony, na ojca. Widząc w ręku ojca-pas, reaguje normalnie. to znaczy bierze nogi i ~~wstrząs, nie bierze, że nie bierze, że nie bierze~~ za pas, nie bierząc, że nogawka rozzerwanych spodni, dynda się za nim, powiewając niczym latawiec.

W domu Pajtrów rozpacz. Najbardziej rozpacza babcia. Dokuczał babci Stasio, ale widocznie miłość babci do wnuka była silniejsza od dokuczań wnuka.

Z relacji czterech, pozostałych przy życiu niedorostków wynikało, że któryś z nich, po dłuższej przerwie, znalazł jeszcze jedną minę przeciw czołgową. Nie mogąc odkręcić zapalnika, powiadomił o tym pozostałych chłopców. Wtedy spróbował Stasio Pajtra, ale również bezskutecznie. Wtedy podjęli decyzję o zdetonowaniu miny.

Najlepszym do tego celu miejscem według nich były gliniska, czyli pionowa ściana wyrobiska z poboru gliny. Postanowili rzucić minę z góry pionowej ściany w dół wyrobiska i tym sposobem spowodować jej wybuch. Jak pomysłeli, tak wykonali. Wykonawcą był oczywiście Stasio Pajtra. Kilkakrotne próby nie powiodły się i zniechęceni chłopcy, postanowili zaniechać dalszych prób.

Stasio Pajtra wziął minę pod pachę i z glinisk zeszli na suche dno dawnego stawu. doszli do Rudki, przy nasypie starej grobli stawu. Tu była kiedyś śluzaupustowa. Dziś pozostała z niej tylko drewniana dylna na dnie Rudki.

Bystre oczy Staszka dojrzały dylinę i chłopak momentalnie dojrzał szansę zdetonowania miny. Na bok chłopcy-krzyknął i rzucił minę na drewniany nakład dyliny, sam padając na ziemię, poza osłonę skarpy Rudki. Nie zdążył Staszek. Smuga wybuchu przechwyciła część piersi i głowę i to wystarczyło. Podmuch eksplozji, był śmiertelny.

W pierwszej dekadzie stycznia, nocą we Lwowie nastąpiły masowe aresztowania. Aresztowania objęły ludzi różnych zawodów. Zdecydowanie największa grupa aresztowanych, stanowiły osoby związane z polskim ruchem podziemnym, w okresie okupacji niemieckiej. Z naszego kursu ubył Jurkiewicz. Broniek Pierczak informuje, że rodzina Jurkiewiczów podpisała w czasie okupacji niemieckiej Volkslistę. Masowa deportacja, spowodowała przygnębiające wrażenie. W takiej atmosferze żyć nie sposób. Coraz więcej Polaków deklaruje chęć wyjazdu z tego kraju absurdu. W Prusach jeszcze w listopadzie ubiegłego roku, chęć opuszczenia wsi zadeklarował prawie wszyscy mieszkańcy. Wyjątkiem były trzy rodziny o nieszanym narodowościowym rodowodzie. Były to rodziny: Jakimowiczów, Mielników i ze zrozumiałych względów - Lechkich. Odwieczny zwyczaj, dotyczący przynależności narodowej został tym razem złamany. Wszyscy ojcowie tych rodzin są pochodzenia ukraińskiego. Uświęcony tradycją obyczaj mówi, że synowie powinni zostać Ukraińcami a córki Polkami. Tymczasem jedyny syn Jakimowicza jest już w wojsku polskim w szkole oficerskiej. Z rodziny Mielników, starszy syn Stanisław przeżył wojnę w kornusie gen. Andersa a młodszy Kazimierz, wbrew postanowieniu rodziców zadeklarował chęć wyjazdu do Polski. W Prusach pozostają dwie nieletnie córki, które zgodnie z tradycją, powinny być Polkami. Lechki, został aresztowany i osadzony w sowieckich lagrach. Jego żona Agnieszka z domu Kawiaczek - Polka zadeklarowała chęć pozostania w Prusach, wraz z dwoma córkami.

W Prusach aresztowano Piotra Preisa i Koziara, oraz Stefana Derżko z Kamienopolu. Przyczyna aresztowań, nie znana.

.....Pod koniec lutego następuje zakończenie kursu. Komisyjny egzamin z przepisów o ruchu drogowym, zdali wszyscy moi koledzy a wśród nich również i ja. Do uzyskania prawa jazdy brakuje podstawowego, <sup>elementu,</sup> którym jest egzamin z umiejętności prowadzenia pojazdu samochodowego.

Szkoła posiada jeden samochód do praktycznej nauki jazdy. Jest to stary zdezelowany Gazik. Po każdym dniu nauki jazdy, samochód idzie do naprawy. Oszosdor udostępnia do tego celu, zdobyczą po niemiecką bagażówkę, ale ten samochód również ulega awarii, a brak części zamiennych potęguje trudności eksploatacyjne tego samochodu.

Przez kilka tygodni, miałem tylko trzy kilkunasto-minutowe jazdy. W marcu Oszosdor, przerywa kurs. Wszystkich kursantów, odsyła do nacierzystych uczestków, gdzie mają zdobyć praktyczne umiejętności kierowanie pojazdem samochodowym.

Wraz z Zygmuntem Grzeckim i Staszkiem Preisem, przechodzimy do Dorozno Eksploatacyjnego Uczastka, przy ul. Szymonowiczów we Lwowie. W charakterze kierowców stażystów jesteśmy przydzieleni jako pomocnicy zawodowych kierowców. Ja zostaję pomocnikiem u młodego kierowcy jeżdżącego na zdobycznej bagażówce francuskiej Puegot. Samochód wyeksploatowany, stary gruchot. Co kilkanaście kilometrów jazdy, trzeba wykręcać świece zarzucone olejem. Kierowca Miśka ma dosyć kłopotów z samochodem, aby zaprzętał sobie głowę jeszcze stażystą dodatkowo. Jeździmy z różnymi zadaniami na budowy. Od czasu do czasu jedzie z nami Bołchowityn. Wtedy moje miejsce na skrzyni. Wjeżdżamy do lasu. Silnik kicha, przerywa pracę i wreszcie samochód zatrzymuje się. Zabrosiło świeczu - stwierdza Miśka. Wchodzę do lasu i wyszukuję suche gałązki. Rozpalamy ogień na poboczu drogi i wypalamy świece. Bołchowityn zaniepokojony, rozgląda się po lesie. Miśka - mówi, że też musiało się to stać w lesie, w takim opasnym miejscu. Oczywiście boi się banderowców. Wreszcie świece wypalone, wkręcamy je do cylindrów i ruszamy. Już bez niespodzianek dojeżdżamy do bazy.

Pod koniec kwietnia, dostaję polecenie wyjazdu do Złoczowa, celem przywiezienia rzeczy znajomym naczelnika Bołchowityna - Bolakon. Puegotem kieruje zaufany kierowca Bołchowityna, Rosjanin Segmeninow. Okupację niemiecką, przeżył on we Lwowie, w niemieckich warsztatach samochodowych. Chodzi w brązowym, skórzanym płaszczu, który jest przedmiotem jego dumy. Segmeninow różni się od pozostałych Rosjan wyglądem i sposobem bycia. Oj Semeninow schowaj płaszcz i posmaruj ręce brudnym olejem, wróć do kaczkowatego chodu, bo doczekasz się przykrych niespodzianki - myślę.

Jedziemy do Złoczowa przez Winniki, Kurowice. Razem z nami jedzie pani, której rzeczy mamy przywieźć. Trzy razy wypalamy świece. Przejeżdżamy obok Oparowa. Budynki wzniesione przez Oparowców z Prus, przyciągają wzrok czerwoną cegłą i dachówkami na dachach. Nie zamieszkałe budynki, przetrzymały wojnę w dobrej kondycji. Oparowcy nawiązali już kontakt z Prusami. Poznaliśmy ich losy w czasie trzy letniej wojennej izolacji. Mała część z nich wydostała się z Rosji, razem z korpusem generała Andersa. Młodzi, ochotniczo poszli do pierwszej dywizji kościuszkowskiej. Przeszli chrzest bojowy pod Lenino. W tej bitwie zginął Bartek Kowalkowski, Józek Kowalki - mój rówieśnik - kolega ze szkolnej ławy w Prusach, oraz kilku innych. ... My tymczasem, przejeżdżamy przez Kurowice, skręcamy w lewo na skrzyżowaniu dróg w kierunku Złoczowa. Po chwili wyłania się, wieża kościelna Słowity a następnie widzimy znajomą drożkę prowadzącą do

do Mitulina-miejsca pracy nauczycielskiej mojej siostry Krysi i szwagra Hermana, przed wojną. Wieś położona nie daleko od szosy, ale nie widoczna, gdyż kotlina na której się znajduje, zasłonięta jest pasmem wzgórz Gołogór.

Mijamy Nowosiółki Złoczowskie z klasztorem i kościołem sióstr zakonnych. Potem Jesionowce i już Złoczów.

Miasto mocno zniszczone, nie dawnymi walkami, przewalającego się frontu. Wlotowa ul. Lwowska, w dużej części wypalona, w gruzach. Silnik Pucota zaczyna przerywać, ledwie dowlekamy się pod docelowy dom. Silnik ma poważniejszą awarię i powrót w dniu dzisiejszym do Lwowa, wykluczony. Segmeninow nawiązuje kontakt ze Złoczowskim Dorożno Eksploatacyjnym Uczastkiem. Tam mają się wystrząść o nowalony detal silnika. Trwa to dwa dni. Wreszcie samochód załadowany. Pani, której własnością są zakodowane rzeczy, nie zadowolona, gdyż w rzeczach pozostawionych na przechowanie, stwierdziła jakieś braki. Po tych wszystkich perypetiach, powracamy do Lwowa.

Kierowca Miśka dostał nowy samochód, po niemiecką ciężarówkę marki Mercedes, z silnikiem wysoko-prężnym. Samochód dobry, ale nie ma rozrusznika. Codziennie uruchamia się go na zaciąg. Po zapaleniu, silnik musi bez przerwy pracować przez cały dzień. ..

Jadę z Miśką do Szczerca. Zaraz za rogatką stryjską, przed Sokolnikami, Miśka każe mi prowadzić samochód. Ruszam i prowadzę Mercedesa pewnie i swobodnie. Dojeżdżamy do przejazdu kolejowego i tu niespodzianka. Międzytorze zdewastowane, samochód podskakuje i kiwa się na różne strony na nierównościach jezdnii. Zdejmuję nogę z gazu i hamuję. Miśka Krzyczy: przełącz bieg i dodaj gazu, ale jest już za późno, pogubiłem się. Samochód jeszcze w biegu-Miśka przeciska się do kierownicy i w ostatniej chwili silnik zaskakuje.

To nie jest samochód do nauki jazdy-mówię. Nie siadam więcej za kierownicą, dopóki nie będzie miał rozrusznika-postanawiam.

W Szczercu załatwiamy jakieś sprawy. Ulicą idzie stary, brodaty mężczyzna, pod eskortą żołdata z pepeszą. Nadchodząca z przeciwnej strony kobieta, na widok starca, pod eskortą krzyczy: tato dokąd was prowadzą? i zaczyna lament po ukraińsku. Żołdat szybko zdejmuje pepeszę z ramienia i brutalnie odtrąca kobietę ze słowami: paszła won ot tuda-swołocz.

Okazało się, że starzec został aresztowany <sup>z</sup>spowodu syna, który nie zgłosił się do poboru i zniknął z domu. Prawdopodobnie zasilił szeregi banderowców w lesie. Takich przypadków jest wiele.

.... Mamy dzień wolny od pracy, w święto robotnicze 1-go Maja. Biuro Dorożno Eksploatacionnogo Uczastka udekorowane.

Nad bramą wjazdową, na podwórzu uczastka, rozwieszono flagi i portrety: Stalina, Lenina, Marksa i Engelsa. Berlin padł i już wiadomo, że koniec wojny jest kwestią najbliższych dni.

Następnego dnia, wracamy do pracy. Nad bramą, portretów już nie ma. Dozorujący stróż, zamiata przed bramą potłuczone szkło. W biurze poruszenie a Bołchowityn błądy ze zdenerwowania.

Okazuje się, że w dniu 1-go maja, dyżur na stróżówce, pełnił Segmeninow. W godzinach po południowych, posypały się kamienie, rozleak się brzęk tłuczonego szkła. Segmeninow wyskoczył z dyżurki na ulicę i zobaczył tłum rannych żołnierzy w szpitalnych kitlech, z pobliskiego szpitala wojskowego, bombardujących świąteczne dekoracje. Segmeninow pobierał z chodnika, sponiewierane, podziurawione portrety i zaniósł je na biurko naczelnika Bołchowityna.

Rano naczelnik wchodzi do swego biura i widzi na swoim biurku niebezpieczny prezent. Onal nie padł z wrażenia.

Do naczelnika wchodzi Segmeninow i składa relację z 1-szo majowego incydentu. Stwierdza, że rozpozna tych, którzy zbezczścili portrety wodzów światowej rewolucji. A Bołchowityn na to: Segmeninow mażczy. Wiesz, co przy tej okazji grozi mnie i tobie? Bierz te portrety i schowaj tak, aby ich nikt nie zobaczył i ani słowa o tym, co się tu wydarzyło.

.....Do Prus przybyli wysiedleńcy ukraińscy z okolic Lubaczowa i Sieniawy. Zostali rozmieszczeni po domach prusaków, którzy spodziewają się rychłego wyjazdu na zachód.

U nas w domu zamieszkały dwie siostry - w tym jedna z małym chłopcem. Ukrainki mówią wyłącznie po polsku. Myślałem, że tak jest tylko w naszej obecności, ale przekonałem się, że będąc w swoim pokoju, po ukraińsku nie rozmawiają.

Siostra Zosia, przygotowała posiłek i poczęstowała, zmęczone podróżą przybyszki. Przyjęły ten odruch z wdzięcznością i zadowoleniem.

... Dnia 9-tego maja, radio i prasa donosi, od dawna oczekiwaną wiadomość o kapitulacji Niemiec.

A ja z Miśką w dalszym ciągu jeździmy po terenie lwowskiego uczastka. W połowie maja, zostaliśmy wysłani do Rawy Ruskiej z materiałami dla tamtejszego uczastka. Powrót ma nastąpić następnego dnia.

Nocuję w jakiejś klitce, bez okien. Noc chłodna, więc marzną.

Rano jedziemy na budowę, skąd mamy zabrać, jakieś maszyny do remontu, na Rembazę. Na budowie pracują jacyś mężczyźni i kobiety.

Okazuje się, że są to Niemcy osiedleni w Rosji za czasów carycy Katarzyny II-giej. Przed nadchodzącą armią sowiecką, zostali oni ewakuowani przez cofające się wojska niemieckie. Transport ich

został przechwycony przez posuwające się wojska sowieckie. obecnie pracują przy robotach drogowych, pod nadzorem NKWD. Z załadowanymi przez Niemców manelami wracamy do Lwowa.

.....W trzeciej dekadzie maja, rozstaję się z kierowcą Mićką i zostaję przydzielony do Segmeninowa. Segmeninow dostał przydział na po niemiecki samochód ciężarowy. Samochód jest nie sprawny. więc musi być poddany kapitalnemu remontowi. Remont ma być wykonany w bazie remontowej ~~Exzandera~~ Oszosdora. przy ul. Niemcewicza. Póki co wyjeżdżam na niedzielę do Prus.

Czekam na przystanku tramwajowym, przy ul. Katedralnej na Wałach Hetmańskich. Obok przystanku, w odległości kilkunastu metrów, znajduje się pomnik, króla Jana III-ciego Sobieskiego. Widzę przy pomniku. kręcącego się żołnierza sowieckiego. Dla skrócenia oczekiwania na tramwaj. przechadzam się obok przystanku. Podchodzi do mnie wspomniany żołnierz sowiecki i wskazując palcem na pomnik, pyta: słysz pan-kogo przedstawia ten pomnik, czy to jest ataman Chmielnicki. czy też ktoś inny? Niet-mówię. eto nie ataman Chmielnicki, tylko polski król Jan Sobieski. A dlaczego jego pomnik został tu ustawiony. czy był to dobry król i co ważnego on dokonał?

Zaskoczony tym pytaniem nie bardzo wiem. co mam żołdatowi odpowiedzieć, ale rąbię: Eto był oczeń charoszyj król, bo on kriepekko bił Turków-informuję żołdata. Informacja ta zadowoliła żołdata i z jego miny odniosłem wrażenie, że zaskceptował on pomnik polskiego króla, który mocno przetrzepał skórę Turkom.

W Prusach panuje gorączka przed wyjazdowa. Z okolicznych wiosek: Żydatycz, Podborzec, Pikużowie i Barszczowie. Polacy już wyjechali. W tej chwili ładują się do wagonów Polacy z Biłki Królewskiej i Szlacheckiej. Prusy pozostają jedną z ostatnich wiosek, w najbliższym otoczeniu, z której Polacy jeszcze nie wyjechali.

Jakiś mieszkaniec z Żydatycz. zdążył już przyjechać w jakiś sposób do Prus, z nowego miejsca zamieszkania, które znajduje się w pobliżu Kluczborka. Teraz już nikt w Prusach nie ma wątpliwości, gdzie będzie nasze nowe miejsce pobytu.

W poniedziałek udajemy się do rembazy, przy ul. Niemcewicza.

Główną siłą roboczą na bazie, są jeńcy niemieccy.

Segmeninowi przydzielono trzech jeńców. Szefem jest lotnik zestrzelony nad Wrocławiem. Wyskoczył ze spadochronem i ranny dostał się do niewoli sowieckiej. Rany jeszcze nie wygojone i Niemiec ciężki, z tego powodu. Drugi o ponurym wyglądzie, piechúr z kontuzjowaną nogą. Trzeci to młodziutki Hans z Hannoveru o dziecięcym wyglądzie. Hans z miejsca przylgnął do mnie, nosi silne okulary. Do

Wojska dostał się na podstawie ogłoszonego przez Hitlera stanu wojny totalnej i w konsekwencji tej wojny, Hans został powołany do Volkssturmu. Jestem od Hansa starszy o trzy lata, ale młodszego ode mnie na rembzie nie ma. Codzienne moje przyjście do rembazy. Hans kwituje szczerym uśmiechem. Dzielę się z nim śniadaniem i z każdym dniem, zbliżamy się do siebie w przyjaźni. We dwójkę wykonujemy prace, które przydziela nam szef-lotnik.

Po tygodniu, silnik poskładany po przeglądzie wędruje na ramę podwozia. Obaj z Hansem, pasujemy i wkręcamy śruby do skrzyni ładunkowej.

Przy okazji obserwuję rytm pracy na rembzie. Szefami wydziałów, są prawie wyłącznie inżynierowie polscy. W oczy rzuca się przystojny, szczupły elektryk nazywany Tolkiem a czasami filozofem. Tolek wykonuje oprządkowanie elektryczne, remontowanych samochodów, wraz z pomocnikiem Miśkiem. Częstym gościem na rembzie, jest zastępca naczelnika Oszosdora-Blumsztein.

Dzięki częstym wizytom, Blumsztein ma dobre rozeznanie w postępie robót i atmosferze panującej na rembzie.

Dzisiaj Blumsztein jest w hali remontowej bazy. Dyskutuje z polskimi inżynierami a następnie podchodzi do poszczególnych stanowisk pracy, przyglądając się pracującym. Kolejno podchodzi do stanowiska Tolka i Miśka. Tolek udaje, że nie widzi Blumszteina. Męczy się z kablem, którego nie może przepchnąć przez otwór w jakimś małym detalu. Blumsztein z rozpogodzoną twarzą, obserwuje Tolka.

Słychać głos Tolka: Miśku, czy ty ni możesz powiedzieć naczelnikowi, aby tak mocno ni szpanował na moji ręki? Bo oni drzączki dostają i tym sposobem, mogą fuszerki a ni ruboty robić.

Na to Miśku: Tolko, czy ty lewą nogą na rozum napał? Ta jak ja mogim naczelnikowi taki ni kompetentny prupozycji przydstawiać. Taż naczelnik ma prawa a nawyt obowionzek, spuglondać na naszym renkodzieło.

Ja to Miśku kapujim, ali co bendzi, jak spuwođu tygu pudglondania. moji palcy opuszczom te śrubki i ona przypadni w tych wiórach na ziemi. Taki śrubki to ty nigdzi ni kupisz. Naczelnik bydzi musiaż dwiligacji du Byrlina tobi pudpić, cylem odszukania Ruzbitego Hanumaga, aby z grata odkrencić zatracomu we wiórach śrubki i przytaskać jom tu du Lwowa, du naszego Hanumaga. W tym momencie, Tolek dostrzeżga naczelnika. Dzień dobry panie naczelniku! Noje uszanowanie. Pan naczelnik się nie pogniewa, że my obaj z Miśkiem wspólnie lwowski bałak odstawiamy. Pan naczelnik nie gniewa się, bo pan naczelnik ma poczucie humoru, tak rzadko spotykane w sferze jego dzia-

łania. Nie po raz pierwszy słyszy dialogi Tolka i Miśka. Rozumie ich komizm i dowcip, okraszone lwowską gwarą, która stanowi 50% uroku wygłaszanych sentencji. Ze śmiechem odpowiada: nu ty Tolek, filozof z ciebie. Kiedy ty wreszcie przestaniesz szumieć na rembazi. Odchodzi z ~~rozszalałą~~ <sup>posodną</sup> miną. Widać, że rozbawił go dialog dwu lwowskich batiarów i po prostu ich lubi. A Tolek i Miśku, mają wy-czucie, na co mogą sobie pozwolić przy Blumszteinią, a czego nie odważyli by się powiedzieć przy majorze Gajdarowi, naczelniku Oszosdora, o groźnej, jak jeżozwierz twarzy.

Na rembazi mówią, że z jeńców tu pracujących, uciekło znowu dwu.. Dokąd uciekli i kto jest przyczyną tych ucieczek? Wszyscy polacy są pewni, że to dzieło UPA i że Niemcy uciekają do lasu. Młodziutki Hans z Hannoveru, mówi mi o ucieczkach jeńców w nie znanym kierunku.

Hans mówi, abyś nie ważył się uciekać z obozu. Wiem, że w obozie jest ciężko, ale tam, gdzie ty możesz uciec, czyli w lesie, było by ci znacznie gorzej. W obozie chroni cię prawo międzynarodowe o jeńcach wojennych. Ucieczka do lasu nie tylko pozbawia cię tego prawa, ale stawia cię w pozycji bandyty. W lesie będziesz skazany na zatracenie, z którego się już nie wydostaniesz i nigdy domu rodzinnego nie zobaczysz. Na pewno będą zwolnienia z niewoli a ty jako młodociany, będziesz zwolniony w pierwszej kolejności. W odpowiedzi na mój wykład, Hans oświadcza, że nigdy nie myślał o ucieczce i nigdy nie da się do niej namówić.

Razem z Hansem idziemy po resory do kuźni. Przynosimy cztery resory, pasujemy do uchwytów i przepychamy stalowe bolce mocujące resory do rany samochodu. Jeden resor nie pasuje do gniazda. Trzeba go podszlifować na szlifierce. Taszczymy resor do szlifierki. Uruchamiam szlifierkę i przytykam resor do wirującego kamienia. Od szlifierki wytryska strumień iskier, wprost na moją twarz. Odwracam głowę i na ślepo szlifuję resor. Jednak do oka coś mi wskakuje i nie da się usunąć ani przez pocieranie oka, ani przez podważanie <sup>zanie</sup> powieką. Jakoś udaje się nam z Hansem dopasować resor do uchwytu. Nadchodzi godz. 15-ta i wychodzę z pracy. Segmeninowi mówię, że jutro do pracy nie przychodzę, bo z moim okiem jest nie dobrze. Segmeninow przyjmuje moje oświadczenie ze zrozumieniem. Udaję się do uczastka na kwaterę przy ul. Szymonowiczów. Ból oka coraz bardziej dokuczliwy. Na kwaterę przychodzi brat Staszek z wiadomością, że muszę natychmiast jechać do Prus, bo już dziś, jedna połowa wsi ładuje się do wagonów. Mówię, jak przedstawia się sytuacja i jutro muszę zrobić porządek z okiem.



Staszek odjeżdża a ja przez całą noc nie zmrzyłem nawet oka. Oko rwie nie mikosiernie. Reno idę do biura i informuję, że idę do polikliniki i do pracy już nie wrócę, ponieważ wyjeżdżam do Polski. Udaję się do polikliniki. Pani doktor okulista ogląda oko i mówi, że w źrenicy znajduje się opiłka żelaza, ale ona nie może tu nic zrobić, ponieważ poliklinika nie dysponuje żadnymi narzędziami specjalistycznymi. Proponuje mi przyjście do jej prywatnego gabinetu ~~okulistycznego~~ <sup>okulistycznego</sup>. Tam posiada odpowiednie narzędzia i szybko wyjmie mi tę opiłkę. Podaje mi adres przy ul. Batorego.

Wychodzę z polikliniki załamany. Tyle godzin czekać bezczynnie na zabieg to beznadziejność. Buntuję się i postanawiam jechać do szpitala powszechnego na Łyczaków. Wsiadam na przystanku przy kościele św. Antoniego i pieszo dochodzę do szpitala. Idę do informacji i pytam o okulistę. Pani z informacji mówi, że okulista przyjmował do godz. 11-tej i parę minut temu opuścił szpital. Przyjmował pacjentów będzie dopiero jutro. No cóż, chcąc nie chcąc poczekać muszę na panią doktor z polikliniki.

Dotrwałem do godziny 15-tej i wchodzę do kamienicy, której numer podała mi pani doktor. Wychodzę na pierwsze piętro. Na drzwiach wieszka: Dr. okulista Buzatowa i godziny przyjęć. Otwieram drzwi i wchodzę do poczekalni. W poczekalni siedzi, jakiś starszy pan a pani doktor w gabinecie, przyjmuje pacjenta. Starszy pan jest rozmowny i pyta, co mi się stało w oko. Opowiadam mu swoją historię i tak od słowa do słowa, mówię mu o wyjeździe do Polski. Pan pyta skąd jestem. A kiedy informuję go, że jestem z Prus, okazuje się, że nazwa ta nie jest mu obca. Pyta o pana Dydę, czy go znam. Oczywiście, że tak, przecież przez ctery lata dojeżdżałem do szkoły powszechnej i gimnazjum we Lwowie. Pan Dyda, również dojeżdżał co dziennie, gdyż pracował w urzędzie wojewódzkim. Starszy pan również tam pracował i stąd ta znajomość. Z kolei ja pytam, czy pani doktor Buzatowa ma coś wspólnego z Dr. Buzatem, dyrektorem drugiego gimnazjum? Tak - odpowiada pan - to był mąż pani doktor. Dlaczego był? pytam. Tak był, ponieważ zmarł w roku 1943 po rozstrzelaniu jedynego syna w egzekucji ulicznej, za przynależność do AK. Fakt ten był przyczyną jego przedwczesnej śmierci Dr. Buzata.

Pacjent z gabinetu wychodzi a wchodzi starszy pan, znajomy pani Buzatowej.

Po dziesięciu minutach, już znajomy starszy pan wychodzi i ~~nadchodzi~~ nadchodzi kolej na mnie. Pani doktor ogląda moje oko przez lupę a następnie wpuszcza do oka krople znieczulające, mówiąc przy tym:

proszę pana, niech się pan nie obawia, ja to szybko panu zrobię, bo ja uniem to robić. Ja bez zapewnienia, nie obawiam się, ale bardzo mocno pragnę pozbyć się tej przeklętej obłki.

Pani doktor bierze do ręki cienką pałeczkę i zaczyna mi rozrywać tęczęwkę-takie mam wrażenie. Pomimo znieczulenia, ból okropny. Namęczyła się trochę pani doktor, zanim powiedziała: tak to już koniec i wszystko będzie w porządku. Daje jeszcze jakieś krople do oka a następnie watę, którą przykleja przyklepcem. Poleca przysłać oko przez kilka dni i jeszcze przyjść do kontroli. Mówię, że za kilka dni, będę już w Polsce. Płacę 100 rubli i z serdecznym podziękowaniem żegnam panią doktor.

Teraz szybko do tramwaju a potem pieszo podążam do Prus. Oko jeszcze pobolewa, ale nie porównanie mniej, aniżeli przed operacją. Do domu przychodzę wczesnym wieczorem.

Od rana następnego dnia, to znaczy 8-go czerwca 1945 roku, w Prusach na gościńcu rozbrzmiewa turkot wozów. To druga połowa wsi, czyli tak zwany zakościół, zaczyna swoje ostatnie kursy, wozami konnymi do Barszczowic. Opuszczają prusacy wieś, której historia zaczyna się jeszcze przed przyłączeniem Rusi Halickiej do Korony Polskiej w 1340 roku. Przechodząc różne koleje losu trwała na kresach, wraz z historią Polski. Nazwę swą otrzymała prawdopodobnie za panowania króla Władysława Jagiełły, <sup>który</sup> na królewskiej kaszubów osadził a potem zasilił dodatkowo jeńcami krzyżackimi po Grunwaldzkiej Wiktorii. Za króla Kazimierza Jagiellończyka, powstała w Prusach parafia Rzym-Kat. w 1485 r. Akt ten został potwierdzony w roku 1769 przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

.... Pakujemy na wóz swój dobytek. Trzeba będzie zrobić kilka kursów, gdyż razem z nami wyjeżdża również szwagier Drozd z siostrą Zosią i dwojgiem dzieci i siostra Krystia z synkiem Edziem Hermanem. Pierwszy kurs na stację w Barszczowicach-odwozę ja-z bratem Staszkiem. Staszek odjeżdża wozem po dalszą część bagażu a ja zostaję na stacji....Słyszę odgłos nadjeżdżającego pociągu. Pociąg wiezie ludzi. Na wagonach czytam napisy: Wicyń Duży i Wicyń Mały. Tak to ten Wicyń, z przemysłańskiego powiatu, który wytrzymał wiele miesięczne oblężenie banderowskich watah i dzisiaj opuszcza swój rodzinny kraj. Pozdrawiają prusacy wicyniaków machaniem rąk a ci odpowiadają podobnie. Do wieczora przewieźliśmy w zasadzie wszystkie rzeczy. W domu pozostały tylko krowy. Następnego dnia wyjeżdżamy po resztę rzeczy i po krowy, oraz domowników. Nnie przypada zgodnie z tradycją ekspediowanie krów. Biorę swoją trójkę i pędzę ostatni raz gościńcem, prawie zupełnie pustym. Około

południa. cała nasza rodzina jest już na stacji w Barszczowicach. Dotyczy to również pozostałych prusaków. Prusów pozostały bez Poleków.

Czekamy na wagony, które zostają podstawione, kiedy słońce ma się już mocno ku zachodowi.

Zaczyna się pośpieszny załadunek. Jeden przez drugiego, chce zająć jak najdogodniejsze miejsce w wagonie. Dzielnie nie słychać żadnych sprzeczek, co w zaistniałej sytuacji nie było by rzeczą dziwną.

Załadunek zakończony. Wszyscy znaleźli miejsce. Krowy jadą w ostatnich wagonach. Z Zygmuntem Grzeckim, idziemy jeszcze pomóc w załadunku rzeczy kościelnych.

Transport składa się z węslerek odkrętych. Pod komendą szwagra Drozda w części wagonu, robimy jeszcze załadunek.

Utrudzeni, kładziemy się spać.

Budzę się późną nocą a raczej jest to wczesny brzask, gdy nasz transport jest już w ruchu. Gdzie jesteśmy? W mroku bliskiego świtu mającą kontury góry zankowej z regularną brwią kopca unii lubelskiej na szczycie. Wjeżdżamy na teren dworca Podzamcze. Pociąg nie zatrzymując się, powoli jedzie dalej. Po lewej stronie, wylaniają się sylwetki wież kościelnych. Przyciągają swym pięknem strzeliste wieże neogotyku kościoła św. Elżbiety, oraz piękne kopuły cerkwi św. Jura. Pociąg zatrzymuje się na dworcu Kleparów.

Ruszamy w dalszą drogę. Nad Lwowem grube chmury, siąpi drobny deszczyk. Miasto oddala się i nagle niknie, przesłonięte drzewami brzuchowickiego lasu. Jest już pełnia dnia, mijamy Kulików a zaraz potem przejeżdżamy przez Żółkiew. Widzę okazałą brwią żółkiewskiej fary. W jej podziemiach spoczywają szczątki hetmana wielkiego koronnego, Stanisława Żółkiewskiego. W początku lat trzydziestych, byłem w kościele farnym i w jego podziemiach oglądałem trumnę z prochami, tego wielkiego hetmana.

Późnym po południu dojeżdżamy do Rawy Ruskiej. Powiatowe miasto, przed wojną, dziś leży w pobliżu Polsko-Sowieckiej granicy.

W Rawie Ruskiej odbywa się coś w rodzaju odpraw celnej.

Odprawa trwa długo. Nadchodzi noc, wszyscy kładą się spać.

Stukot kół jadącego pociągu powoduje moje przebudzenie.

Wjeżdżamy na stalowy most, komot kół wzmocniony rezonansem stalowej konstrukcji mostu. W nocnym mroku mającą kontury budynków a wśród nich dostojne wieże kościoła. To Jarosław. Opuściliśmy nasz kraj rodzinny i jesteśmy na zmienionym terytorium Polski.

Koła pociągu wbijają rytm nowego etapu życia w jego nie odgadnionej tajemniczej przyszłości.